



JERZY ROSTKOWSKI

# PODZIEMIA III RZESZY

TAJEMNICE KSIĄŻA, WAŁBRZYCHA  
I SZCZAWNA-ZDROJU



**JERZY ROSTKOWSKI**

# PODZIEMIA III RZESZY

**TAJEMNICE KSIĄŻA, WAŁBRZYCHA I SZCZAWNA-ZDROJU**

*Książkę tę dedykuję Najdroższej Żonie Ewie, która wspiera mnie w każdym momencie pracy.*

*Z życzeniami zdrowia, Ewuniu*

# Spis treści

[Przedmowa](#)

[Wstęp](#)

[Kamień i Stokrotka](#)

[Składnica depozytowa](#)

[Mówią świadkowie](#)

[Krecia robota](#)

[Dlaczego Dolny Śląsk?](#)

[Gry szpiegów, czyli granice kłeski](#)

[Jagerstab i radziecki czołg](#)

[Tajemnice dwóch zamków i Hubertus Strughold](#)

[Amerika Rakete](#)

[Bad Salzbrunn i adiutant Hitlera](#)

[Odnalezione laboratoria](#)

[Dlaczego nic nie wiemy o podziemiach Dolnego Śląska?](#)

[Geofizycy w Szczawnie-Zdroju](#)

[Nazistowska bomba atomowa](#)

[„Rüdiger” i podziemne korytarze](#)

[„Rüdiger” i Ridiger](#)

[Ostatnia tajemnica - zamek Książ i depozyt z Monte Cassino](#)

[„Strażnicy” - byli, są i będą](#)

[Ja tu jeszcze wrócę...](#)

[Podziękowania](#)

[Notatki z Księża](#)

[Wspomnienia - Bad Salzbrunn i Szczawno-Zdrój](#)

[Z ostatniej chwili](#)

[Fotografie](#)

# Przedmowa

Niewiele osób - jeśli w ogóle ktokolwiek - zdaje sobie sprawę, że sporo zdarzeń historycznych wciąż ma wpływ - niekiedy bardzo silny - na bieżące stosunki polityczne, zarówno międzynarodowe, jak i wewnętrzne. Kiedy zaś ktoś poda przykłady takich zdarzeń, często reakcją bywa niedowierzanie: „Jak to możliwe? Czy były one aż tak ważne? To chyba przesada”. Jednak to nie przesada, lecz fakt. Najbardziej dobitnym i nie budzącym żadnych wątpliwości przykładem jest zbrodnia katyńska. Dokonana w 1940 roku przez Stalina i NKWD, przez pięćdziesiąt lat całkowicie deformowała stosunki między Warszawą a Moskwą, a później, mimo że Kreml przyznał się do jej popełnienia, miała i wciąż ma na nie przemożny wpływ. Jest to oczywiste dla każdego, kto choćby pobieżnie śledzi doniesienia mediów.

Dyskretniej na bieżące stosunki polsko-rosyjskie - a także polsko-brytyjskie - wpływa sprawa śmierci generała Sikorskiego w Gibraltarze 4 lipca 1943 roku. Moskwa była sprawcą katastrofy, w której zginął polski naczelny wódz, a Londyn obawia się posądzenia o sprawstwo. To dobry przykład, jak wiele osób wciąż wątpi, czy echo jakiegoś dawnego zdarzenia może sięgać terażniejszości. Ciągłe słyhać pytania: „Czy to naprawdę był zamach? Czy polski premier był na tyle ważną postacią polityczną, aby ktoś chciał go zgładzić?”

Autor *Podziemi III Rzeszy* również ujawnia zdarzenia historyczne silnie wpływające na terażniejszość.

Jerzy Rostkowski nie jest historykiem, lecz specjalistą od akwizycji w handlu zagranicznym. To był przez lata jego zawód. Zarazem jednak stał się jednym z najwybitniejszych polskich eksploratorów — ludzi, których wiedza, dociekliwość, pasja i intuicja badawcza oraz niekonwencjonalne metody nierzadko prowadzą do ważnych odkryć, niejednokrotnie będących przedmiotem zazdrości zawodowych historyków.

Historycy pracują z dokumentami, czasem wychodzą z gabinetów i archiwów, by odebrać relacje od świadków interesujących ich zdarzeń. Eksploratorzy rzadko dysponują warsztatem historycznym, lecz najlepsi z nich zawsze dążą do odkrycia ważnych dokumentów oraz starają się dotrzeć do ważnych świadków. Ich metoda pracy tym się różni od metody historyków, że częściej niż w archiwach pracują w terenie, szukając głównie źródeł niepapierowych i - przede wszystkim - ludzi. By znaleźć świadków badanych wydarzeń, nie wahają się przemierzyć nawet tysiące kilometrów i zejść pod ziemię. Często też zdarza im się wdzierać (w dosłownym tego słowa znaczeniu) tam, gdzie brak wyobraźni, przedsiębiorczości i odwagi nie pozwolił wejść historykom.

Pasją Jerzego Rostkowskiego jest Dolny Śląsk. Opublikował wiele książek opisujących uroki jego krajobrazu i architektury, a także tajemnice tego regionu. W kontekście tych ostatnich *Podziemia III Rzeszy* nie mają jednak sobie równych. Stanowią ukoronowanie jego dotychczasowych eksploracji.

W Polsce jest bardzo liczne grono osób ekscytujących się wojennymi i powojennymi tajemnicami Dolnego Śląska. Jeszcze więcej jest tych, którzy wiedzą, że na przykład doktor inżynier Wernher von Braun był naprzód szefem programu raketowego III Rzeszy, a ćwierć wieku później umożliwił Amerykanom podbój Księżyca. Mnóstwo ludzi wie także, że doktor medycyny Josef Mengele, „Anioł Śmierci”, był zbrodniarzem wojennym. Niewielu jednak zdaje sobie sprawę, że profesor doktor medycyny Hubertus Strughold, którego nazywam Mengele bis, jest uznawany w Stanach Zjednoczonych za ojca medycyny kosmicznej. Jerzy Rostkowski przytacza wstrząsające dokumenty, ilustrując je nie mniej wstrząsającymi zdjęciami, potwierdzające słuszność mojego określenia. Różnica między Mengelem a Strugholdem jest zaś taka, że „Anioł Śmierci” był ścigany nawet po śmierci (jego zwłoki zidentyfikowano dopiero trzynaście lat po utonięciu), natomiast „Mengele bis” jest patronem nagrody własnego imienia za wybitne osiągnięcia w dziedzinie medycyny kosmicznej.

Akurat te informacje o Strugholdzie Jerzy Rostkowski podaje za innymi autorami, między innymi za Krzysztofem Kąkolewskim, sam jednak dokonał czegoś więcej: znalazł i sfotografował laboratoria Strugholda, komorę niskich ciśnień i inne pomieszczenia służące jego zbrodniczym doświadczeniom, a w nich między innymi wannę, w której badano ludzkie reakcje na skrajnie niskie temperatury. Żaden z polskich historyków deklarujących swoje zainteresowanie badaniem hitlerowskich zbrodni wojennych nie tylko nie może się wykazać podobnym osiągnięciem (a nie jest to jedyne osiągnięcie autora, czego można się dowiedzieć z tej książki), ale choćby inicjatywą przybliżającą go do niego.

Aby stwierdzić, dlaczego tak jest, należy wskazać na dwa aspekty pracy eksploratora, a zwłaszcza takiego, który działa na Dolnym Śląsku.

Po pierwsze, Jerzy Rostkowski i jego koledzy muszą się znać na wielu dziedzinach - jak na przykład górnictwo głębinowe, geofizyka, topografia, materiały wybuchowe, bronioznawstwo, minerstwo - i współpracować z różnorodnymi ekspertami, także uniwersyteckimi. Od tego zależy osiągnięcie celu ich licznych misji oraz ich osobiste bezpieczeństwo.

Po drugie, czego można szukać, czego można się spodziewać i co można znaleźć na

Dolnym Śląsku? Innymi słowy, co ukryli tam Niemcy? Pełny przegląd tej kwestii znajdziemy u Rostkowskiego. A zatem są to fabryki broni, zwłaszcza myśliwców i rakiet, elementy niemieckiego programu atomowego, różnego rodzaju laboratoria, dokumentacja techniczna dotycząca tych dziedzin produkcji i badań, składy broni chemicznej, dzieła sztuki, złoto...

Aby eksplorować Dolny Śląsk, trzeba więc mieć szerokie pojęcie o wszystkich wymienionych tu dziedzinach oraz - co nie najmniej ważne — odwagę.

Czasem można usłyszeć sceptyczne pytania, jaką wartość miałyby obecnie wydobyte z olbrzymich skrytek niemieckie myśliwce lub rakiety? W sensie praktycznym żadną, ale mówimy tu przecież o powiększaniu naszej wiedzy historycznej jako wartości samej w sobie. Natomiast poznanie tej czy innej zamierchłej, zdawałoby się, dokumentacji technicznej mogłoby mieć wartość praktyczną, ponieważ przynajmniej wskazywałoby na kierunek badań niemieckich uczonych. Nawet jeśli ich wysiłki z lat czterdziestych niekiedy zaprowadziły ich w ślepy zaułek poznawczy lub technologiczny, to przy obecnym stanie wiedzy mogłoby się okazać, że kontynuowanie ich drogi rokuje pomyślne efekty.

Oczywiście trudno kwestionować wartość ewentualnego wydobycia dzieł sztuki lub złota.

Wreszcie istnieje uniwersalna odpowiedź na wszelkie tego rodzaju wątpliwości. Odpowiedź ta zawiera się w pytaniu: Skoro rzeczy, które Niemcy ukryli na Dolnym Śląsku, nie mają obecnie żadnej wartości, to dlaczego są one tak pilnie strzeżone?

Że tak jest, nie ulega żadnej wątpliwości, znana jest nawet cena miesięcznego wynagrodzenia jednego ze strażników tych rzekomo bezwartościowych tajemnic. Rostkowski ją podaje. Znana jest też cena, jaką zapłacili za nadmierną ingerencję w owe tajemnice niektórzy eksploratorzy. Tą ceną było życie. Rostkowski od dawna odbiera telefony z groźbami, a osoba, która do niego dzwoni, zna treść jego rozmów prowadzonych przez telefon komórkowy i zawartość jego poczty elektronicznej.

Jestem spokojny o bezpieczeństwo Jerzego Rostkowskiego. Wszelka akcja wymierzona w niego stanowiłaby tylko głośnie potwierdzenie jego racji przedstawionych w tej książce. Gdyby zaś z jakichś względów nie mógł jednak kontynuować swoich wypraw i badań eksploracyjnych, na jego miejsce weszłoby wielu jego kolegów. Może właśnie dlatego przyjaciele Rostkowskiego założyli stowarzyszenie nazwane Grupą Badawczą JR i służyli mu pomocą, gdy pisał tę książkę. W każdym razie okres względnej ciszy wokół tajemnic Dolnego Śląska skończył się wraz z jej opublikowaniem.

Tajemnice te są tajemnicami niemieckimi, amerykańskimi, sowieckimi/rosyjskimi i polskimi. Uderzająca jest ciągłość, z jaką kolejne wcielenia polskich służb specjalnych -



UB, SB, UOP i ABW- oraz milicja i policja, a być może także kontrwywiad wojskowy, wzbraniały i wciąż bronią dostępu do poniemieckich skrytek. Znają ich zawartość? Nie chcą, by zwykli obywatele poznali ją przed nimi? Robią to na wszelki wypadek? A może jest jakieś inne wytłumaczenie?

Czyj rozkaz wykonywali oficerowie służb specjalnych, żądając od ekipy eksploratorów, by natychmiast przestała wiercić otwór w jednym ze stropów zamku Książ, chociaż miała ona na to zezwolenie wojewódzkiego konserwatora zabytków? Kto zatem jest dysponentem tego zamku? W świetle tego incydentu trudno uznać, aby była nim Polska Akademia Nauk albo zarządzająca spółka gminna, które niedawno zgodnie ogłosiły, że zamierzają przystąpić do eksploracji podziemi zamku. Dlaczego obserwatorium sejsmologiczne w zamku Książ nie tylko rejestruje wstrząsy sejsmiczne, lecz także ingerencje w strukturę tej budowli? Czy historyków to nie zastanawia? Niektórych zastanowiło, lecz stracili zainteresowanie tym tematem podczas pobytu w Niemczech.

Tak czy inaczej ze strony społeczności eksploratorów można się spodziewać dwóch rzeczy: nieustępliwości w dalszej eksploracji oraz odpowiedzialności. Eksploratorzy nigdy nie wejdą do pomieszczeń, w których ukryta jest broń bakteriologiczna i chemiczna, nigdy też nie ujawnią publicznie, gdzie ona została złożona. Wejście do tych pomieszczeń byłoby związane z ryzykiem spowodowania wybuchu broniących do nich dostępu min i uaktywnienia się śmiertelnych chemikaliów czy szczepów bakterii, co mogłoby mieć tragiczne skutki, dlatego broń taka musi pozostać tam, gdzie jest.

Natomiast Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Centralne Biuro Antykorupcyjne, a także Centralne Biuro Śledcze i Najwyższa Izba Kontroli mogłyby znaleźć w niektórych rejonach Dolnego Śląska niezwykle pożyteczne zajęcia, polegające na kontrwywiadowczym i antykorupcyjnym monitorowaniu kontaktów polsko-niemieckich. Jerzy Rostkowski nie zgłębia tego tematu w *Podziemiach III Rzeszy*, ale w tym miejscu wypada zadać przynajmniej trzy pytania. Kto i dlaczego decyduje, że za cenę odnowienia niektórych poniemieckich zabytków przemysłowych, finansowanych z zagranicy, dopuszcza się do tego, że podczas „prac rewaloryzacyjnych” są niszczone lub definitywnie zamykane miejsca, w których eksploratorzy spodziewają się odnaleźć ukryte depozyty? Dlaczego te - i być może także inne - służby dopuszczają, by taki proceder kwitnął? Czy ich rzecznicy, tak chętnie sławiący ich sukcesy w tropieniu rzeczywistych lub rzekomych afer, zechcą publicznie zająć w tej sprawie stanowisko?

W środowisku eksploratorów jest również tajemnicą poliszynela charakter niektórych przedsięwzięć gospodarczych od dawna rozwijanych w niektórych rejonach Dolnego

Śląska przez firmy zagraniczne lub z udziałem kapitału zagranicznego. Głównym celem ich działalności nie jest bronienie dostępu do ukrytych poniemieckich depozytów, lecz eksploatawanie niektórych z nich.

Nigdy nie zajmowałem się problematyką Dolnego Śląska, cała moja niewielka i fragmentaryczna wiedza o jego tajemnicach pochodzi z lektur i informacji od eksploratorów. Uznałem jednak, że te dwa rodzaje źródeł są na tyle wiarygodne i dobrze udokumentowane, by dać im wiarę. Nie mogąc zatem dodać nic więcej ponad to, o czym tu wspomniałem, zachęcam czytelników do lektury fascynującej książki Jerzego Rostkowskiego.

*Tadeusz A. Kisielewski*

# Wstęp

Zamek Książ, klejnot dolnośląskiej architektury, interesował mnie właściwie... zawsze. Już nie pamiętam, którego roku przybyłem tu po raz pierwszy, lecz było to chyba niedługo po zasypaniu wielkiego szybu, który drążyli tuż przed zamkiem więźniowie z komanda Fürstenstein. Dzięki tej właśnie, przypadkowej w zasadzie wycieczce zaczęła się moja fascynacja Dolnym Śląskiem, przywiązanie do tej ziemi...

Tak właśnie z nią jest. Trudno powiedzieć, kiedy się to zaczyna. Najpierw otwierają ci się na nią oczy, później uświadamiasz sobie, że trudno ci ją opuścić, aż nagle cię olśniewa i przychodzi czas wielkich uniesień. Potem powinna nastąpić szara codzienność, ale ona odsłania przed tobą coraz to nowe, coraz piękniejsze oblicza, zdradza coraz bardziej fascynujące, niekiedy mroczne tajemnice. I jesteś stracony, bo niecierpliwie czekasz na następne, które pozwoli ci poznać. Nie potrafisz się bez nich obejść. Już nie jesteś wolnym człowiekiem.

Tak też było z „moim” Dolnym Śląskiem. Książ wzbudził we mnie zachwyt i szacunek dla wspaniałych mistrzów, którzy go tworzyli, zafascynował historią, postaciami bywających tu ludzi, którzy mieli wpływ na przyszłość Europy, intrygował nie poznaną do dziś tajemnicą podziemi zamku. Lecz ona, dolnośląska ziemia, odsłaniała wciąż nowe twarze i sekrety. Kusiła urodą pałacu w Radomierzycach oraz zagadką ukrytych tam w czasie wojny dokumentów. Nie trwało długo, jak pozwoliła rozproszyć ciężką mgłą tajemnicy okrywającą wojenną produkcję w zgorzeleckich zakładach Opta Radio Werk III. A po jakimś czasie musiałem wrócić do Książa, bo coś mi poszeptywało, że to, co tu się działo podczas drugiej wojny światowej, może mieć związek z pobliskim Szczawnem-Zdrojem. Te dwa piękne miejsca powiązać miał pewien zbrodniarz — niemiecki naukowiec Hubertus Strughold. Pracował on w tajnych laboratoriach Szczawna, a w podziemiach Książa... Nie, nie, przeczytacie o tym później. A także o tym, co robił dla CIA.

A jeśli zaniósł mnie na ukochany Książ, to musiałem wyjaśnić tajemnicę dwunastu zabitych więźniów znalezionych przez załogę pierwszego radzieckiego czołgu, który wjechał przez zamkową bramę, i tropić tu ślady gigantycznego depozytu z klasztoru Benedyktynów na Monte Cassino. Gdzie ten depozyt? Ani jedno z należących do niego bezcennych dzieł sztuki, które wieziono do Książa z bronionej przez Ottona Skorzenego rezydencji Göringa, nie wróciło do włoskich muzeów, nie odnalazło się też w prywatnych zbiorach. Czy wystarczająco wyraźnie wskazałem miejsce, gdzie do dziś wszystkie czekają na znalazcę?

I trzecia z wielkich tajemnic tej książki — niemieckie badania nad bronią atomową. Tu,

na Dolnym Śląsku? Tak, tutaj, a ich śladów poszukamy razem, idąc wałbrzyskimi tropami niemieckich naukowców i katów oraz jednego z największych radzieckich fizyków atomowych, Georgija Nikołajewicza Florowa. Czy dojdziemy do nazistowskich cyklotronów drzemiących w zapomnianych chodnikach wałbrzyskiej kopalni, które atomowymi wybuchami w ostatniej chwili miały zmienić przebieg wojny? To wielkie tajemnice. Ale są także te małe, z podziemi Gór Sowich - w Ludwikowicach, Osowce, Rzecze. Małe dziś, ale jutro... kto wie? Materiałów ciągle przybywa.

Czytelnika może zdziwić konstrukcja tej książki. Łączę w niej fakty sprzed wielu dziesiątków lat ze znacznie późniejszymi, a nawet współczesnymi. Robię to celowo. Klio nie postawiła ostatniej kropki w historii Dolnego Śląska okresu drugiej wojny światowej. Pozostało do wyjaśnienia bardzo wiele białych plam. Sekrety, których dotykamy, to jedynie wierzchołek góry lodowej, a jej rzeczywistych rozmiarów jeszcze nie poznaliśmy. Dowodem na aktualność tego, co wciąż jeszcze nie odkryte, są anonimowe telefony, które odbieram... nie tylko ja zresztą. Głos w słuchawce zabrania szukać, jeździć w określone miejsca i pisać o odkryciach. Ostrzega i grozi. Telefony te potwierdzają, że „strażnicy”, jak nazywa się ich w środowisku eksploratorów, istnieją i działają. Kim są? Potomkami „wilkołaków” czy jakimiś nowymi, wynajętymi ludźmi? Nie wiem. Wiem, że są, a telefony te świadczą, że jesteśmy na właściwej drodze. To oni przez wszystkie powojenne lata pilnowali tajemnic III Rzeszy. Jakich? Cóż, przeczytajcie.

# Kamień i Stokrotka

Wedle legendy roku pańskiego 933 młody giermek przyniósł swemu władcy worek znalezionej w lesie czarnego kamienia, który - dziw nad dziwy - płonął lepiej i dłużej niżli najlepsze drewno. Władca, poznawszy cudowne właściwości owego znaleziska, w nagrodę pasował giermka na rycerza, nadał mu ziemie, na których dokonał on owego odkrycia, i nakazał, by wybudował tam warowny zamek, który miał strzec bogatej w czarne złoto okolicy.

Tyle legenda. Natomiast pierwsze ze znanych nam dokumentów wspominają nie o budowie, lecz odbudowie warowni na Książu. Przeprowadzono ją w latach 1288–1291, a zatem legendarna data powstania zamku jest prawdopodobna, tym bardziej że potwierdzają ją badania archeologiczne przeprowadzone na tak zwanym Starym Zamku. Miejsce to nazywano wówczas Fürstenbergiem, czyli Książęcą Górą. Warownię odbudował wnuk Henryka Pobożnego i syn Bolesława Rogatki, książę świdnicko-jaworski Bolko I Surowy, pierwszy z linii Piastów świdnickich. Z dokumentów wiemy, że wcześniej zamek ów, stojący na ważnym szlaku handlowym łączącym Czechy ze Śląskiem, został poważnie zniszczony przez króla Przemysła II Ottokara.

Podnoszono więc z ruin starą warownię, a zarazem niespełna kilometr dalej, na drugim brzegu Pełcznicy, rozpoczął Bolko I budowę nowego zamku, większego i potężniejszego. Takie założenia obronne stosowano już wtedy dość często, gdyż praktyka wojenna dowiodła, że dwie twierdze położone blisko siebie mogą się doskonale wspierać nawet w razie niespodziewanego ataku, zwłaszcza gdy połączyć je podziemnym korytarzem.

Nowa siedziba, skąd prowadziła dogodna droga do drugiej, w Świdnicy, tak się spodobała Bolkowi, że przeniósł tu swą książęcą stolicę z odległego Lwówka. Oba warowne zamki, wciąż rozbudowywane, powoli przeobrażały się w niewielką twierdzę, w czym duży udział miał siostrzeniec Kazimierza Wielkiego i wnuk Bolka Srogiego Bolko II Mały, który znacznie się przyczynił do rozkwitu śląskiego państwa. Po bezpotomnej śmierci Bolka Małego twierdza i okoliczne tereny na mocy dawnych umów przejść miały pod władanie króla Czech, Karola IV. Przez pewien czas - zgodnie z układami dożywotnio - panią na zamku była jeszcze wdowa po Bolku Małym, Agnieszka, która zmieniła nazwę warowni na Fürstenstein, czyli Książęcy Kamień. W roku 1392, po śmierci Agnieszki, zamek stracił znaczenie, jakie miał w państwie śląskim, przechodząc pod władanie Wacława IV Luksemburskiego, słabego i chwiejnego czeskiego króla uwikłanego w konflikty z własnym rodem. Wacław uczynił Fürstenstein siedzibą starostów, najpierw Keklo von Tschirna, a później Johanna von Chotienitza, który odkupił te ziemie od króla.

Nad zamek powoli ściągały czarne chmury. W roku 1419 w Czechach powstałi przeciwko Zygmuntowi Luksemburskiemu zwolennicy straconego cztery lata wcześniej Jana Husa, zapoczątkowując ciąg wojen zwanych husyckimi, mających najpierw charakter religijny, a później narodowy, skierowanych przeciwko niemieckiej dynastii panującej. Ten okres głębokiego kryzysu gospodarczego, militarnego i kulturalnego doprowadził do zubożenia części rycerstwa, które usiłowało podtrzymać swój status materialny, uciekając się do rozbojów. Rzemiosłem owym parali się też, tak jak ich sąsiedzi, ówczesni panowie na Książu. Głośno było w całej okolicy o rycerzu rabusiu Hermannie von Czettritz, który poślubiwszy w 1445 roku wnuczkę Johanna von Chotienitza, stał się właścicielem zamku.

Rabunkom tym i gwałtom opierali się bogatsi mieszczanie. Ślali petycje do Pragi, prosząc o przywrócenie porządku, aż król Jerzy z Podiebradu uczynił spokój wokół Książa, zbrojnie zajmując zamek. Nie trwało to jednak długo, bo osiadły tu w imieniu króla Birco von Nassidel wydzierżawił Fürstenstein - być może nie wiedząc, co czyni — innym znanym w tych okolicach grabieżcom, braciom Schellendorf. Łupili oni całą okolicę niemiłosiernie przez kilka lat, bo król Węgier i Czech Maciej Korwin, powstrzymany najazdem Turków na Węgry, nie mógł wysłać przeciw nim ekspedycji karnej. Wreszcie w roku 1482 dowodzone przez Jerzego von Steina oddziały wrocławskie i węgierskie przypuściły szturm na zbójeckie gniazdo. Walki były trudne, bo posadowiony na skale zamek był łatwy do obrony, lecz zakończyły się zwycięstwem von Steina, za które król Maciej mianował go ksiąskim starostą. Zamek trafił nareszcie we właściwe ręce. Nowy pan dbał o twierdzę i rozbudowywał ją, postawił między innymi od południa nowe skrzydło, które na cześć hojnego króla nazwano Skrzydłem Macieja.

Maciej Korwin zmarł w roku 1490. Tron objął po nim Władysław Jagiellończyk, stając się prawowitym właścicielem zamku. Fürstenstein chyba jednak nie przypadł mu do gustu, bo już w 1497 roku sprzedał go Janowi von Scheilenbergowi, jak podają źródła, za 10 tysięcy kop groszy praskich. Warownia w tym okresie często przechodziła z rąk do rąk. Syn i jedyny spadkobierca Jana, Jerzy von Scheilenberg, w 1503 roku przekazał ksiąskie dobra Piotrowi Haugwitzowi, a w zamian przejął od niego Głubczyce. Po zmarłym w roku 1508 Piotrze cały majątek odziedziczył Jan von Haugwitz, który nie chciał zatrzymać dla siebie zamku. Nim upłynął rok, Książ i okolice stały się własnością przybyłego z Miśni Konrada Hoberga.

Tak oto zamek i pobliskie ziemie na wieki przejął magnacki ród, który uczynił te tereny jednymi z bogatszych na Śląsku i był ich właścicielem do 1941 roku. Wielkość i bogactwo Hobergów — od 1714 roku Hochbergów — znajdowały odbicie w piękniejącym z

upływem lat Fürstensteinie. Pierwszej wielkiej modernizacji, a właściwie przebudowy, dokonał syn Konrada, Krzysztof Hoberg. Zamek w latach 1548–1558 całkowicie zmienił charakter - z surowej gotyckiej warowni przeobraził się w ujmującą miękkimi kształtami renesansową rezydencję magnacką. Krzysztof, energiczny i operatywny, spłacał przy tym resztę należności za Fürstenstein, a była to na owe czasy suma niemała, wynosząca ponad 72 tysiące talarów. W 1605 roku cesarz Rudolf potwierdził spłatę dokumentem ustanawiającym Książ dziedziczną własnością Hobergów.

Ta przełomowa dla zamku data okazała się też szczęśliwa dla współczesnych historyków, ponieważ działająca tam wówczas cesarska komisja szacunkowa szczegółowo opisała posiadłość. Wiemy z tego opisu, że budowla miała dwa rozdzielone fosą dziedzińce, dolny i górny. Na dolnym stały kuźnia, browar, dwie łaźnie, stajnie, duża szopa i inne zabudowania gospodarcze. Na górnym poczesne miejsce zajmował sam zamek, do którego przylegała kwadratowa - a nie okrągła, jak dziś - wieża. Oba dziedzińce otaczały wały oraz solidne mury i głęboka fosa. Podczas tej trwającej dziesięć lat rozbudowy założono też pierwszy ogród.

Nadchodziły jednak trudne czasy dla piękniejącej z roku na rok magnackiej rezydencji. Narastające w Niemczech antagonizmy religijne i polityczne zwiastowały nadchodzącą wojnę. Bezpośrednią przyczyną jej wybuchu w 1618 roku stało się antyhabsburskie powstanie w Czechach. Wojenna zawierucha trwała trzydzieści lat, Książ był grabiony i niszczone przez wojska saskie, a później szwedzkie. W 1644 roku z zamku uciekać musiał przed Szwedami ówczesny jego właściciel Jan Henryk Hoberg, który ukrył się w domu sołtysa pobliskiego Górbersdorfu, czyli dzisiejszego Sokołowska. Na zamku stanął też kwaterą Albrecht Vaclav Wallenstein, głównodowodzący wojsk cesarskich.

Wreszcie w październiku 1648 roku trzydziestoletnie pandemonium zakończył pokój westfalski. Wojna doprowadziła do rozdrobnienia politycznego Niemiec oraz ich całkowitej ruiny gospodarczej, lecz nie wpłynęła zasadniczo na stan posiadania Hobergów. Przewidywano długie lata pokoju, a i stare umocnienia straciły na znaczeniu militarnym, rozebrano więc część zamkowych murów i wałów, a powiększono znacznie ogrody. Wzrosło znaczenie rodu — Jan Henryk I otrzymał tytuł barona, a później dziedzicznego hrabiego.

Przełomowy dla Książa był rok 1705, kiedy Ernest Maksymilian von Hoberg zaczął przebudowywać renesansowy zamek na bajkowy barokowy pałac. Powstało wówczas całe barokowe skrzydło z przepiękną, znacznie bogatszą niż dziś, Salą Maksymiliana. Zbudowano podwójny szereg oficyn przy podjeździe i budynek bramny z dwiema wieżami. Przed zamkiem powstał dziedziniec honorowy. Pracowali tu najznakomitsi fachowcy,

między innymi sztukator Ramelli, kamieniarz Jan Szwibis, marmoryzator Ignacy Provisore, rzeźbiarz Feliks Scheffer, budowniczy Antoni Hammerschmidt. Wspaniałe efekty ich pracy możemy dziś zobaczyć jedynie na przedwojennych zdjęciach.

W 1772 roku posiadłości Hochbergów zyskały status ordynacji, czyli nie można ich było w żaden sposób uszczuplać i przechodziły jedynie na najstarszego męskiego spadkobiercę właściciela. Efektem był niemal natychmiastowy, bardzo silny rozwój gospodarczy wszystkich ziem należących do tego rodu. Z czasem Hochbergowie dorobili się ogromnego majątku, na który składały się wszystkie kopalnie dawnego Wałbrzycha, piętnaście kopalń w Zagłębiu Górnośląskim i wiele zakładów przemysłowych. Bogactwo lokowane po części w rodową siedzibę zaowocowało w latach 1794–1799 dalszymi remontami i przebudowami czyniącymi z Książa prawdziwy klejnot architektoniczny.

W tym też czasie ówczesny ordynat Jan Henryk VI zatrudnił heskiego architekta i malarza Christiana Wilhelma Tischbeina, któremu zlecił między innymi przebudowę poważnie zniszczonej średniowiecznej warowni na drugim brzegu Pełcznicy. W starych murach powstały romantyczne, stylizowane na gotyk sztuczne ruiny udające trójkątny zamek właściwy i dwa podzamcza. Tischbein z pietyzmem zatroszczył się o renesansowe i barokowe elementy architektoniczne z przebudowywanych budowli, zręcznie wkomponowując je w sztuczną ruinę. To właśnie piękne miejsce nazywamy dziś Starym Zamkiem.

Hochbergowie rośli w siłę. Dzięki zręcznym koligacjom posiadli wielkie włości pszczyńskie, a wraz z nimi tytuł książęcy. Fortuna panów na Książu, od tego czasu książąt Hochberg von Pless, szybko rosła - uznawana była za trzecią w Niemczech i siódmą w Europie. Zyskiwało na tym całe sąsiedztwo książęcej siedziby rodu. W samym pobliskim Wałbrzychu dla Hochbergów pracowało około dziewięciu tysięcy osób. Zamek gościł najznamienitsze osobistości – bawili tu między innymi zachwycony jego urodą król Prus Fryderyk Wilhelm III i późniejszy prezydent USA John Quincy Adams, którego ponoć jednak raził nadmierny jego zdaniem przepych i wręcz ostentacyjne bogactwo.

Musimy się teraz przenieść w czasie. Anglia, rok 1873. W rodzinie niezbyt zamożnej, ale skoligaconej z dwiema angielskimi królowymi oraz wieloma panującymi rodami ówczesnej Europy, urodziła się Mary Theresa Olivia Cornwallis-West. Ojciec, pułkownik armii królewskiej, zapewnił dziewczynce doskonałe wykształcenie. Wyrosła na pannę oszałamiającej, acz subtelnej urody i ujmującego usposobienia. Nazywano ją Daisy, czyli Stokrotką.

Na balu karnawałowym wydawanym przez księcia Walii los zetknął Daisy z Janem



Henrykiem XV, księciem Hochberg von Pless. Starszy o jedenaście lat arystokrata, otoczony sławą niebywałego bogacza i ustosunkowanego światowca, zaimponował dziewczynie. Małżeństwo było korzystne także dla Hochbergów, gdyż Daisy pochodziła z rodu De La Warr, z którego wywodził się król Edward III. Dzięki temu mogli się oni poszczycić koligacjami z domami panującymi Rosji, Austrii, Hiszpanii, Niemiec i Grecji. Jak się przekonamy, ślub Jana Henryka z Daisy miał wpływ na losy Księża podczas drugiej wojny światowej.

Pobrali się w 1891 roku, po czym wyruszyli w podróż poślubną dookoła świata. Z Egiptu młoda księżna przywiozła sześciometrowy sznur pereł zbieranych specjalnie dla niej przez nurków, których wynajął zakochany mąż. Legenda mówi, że jeden z nich przed śmiercią rzucił klątwę na młodą parę. Wyglądało jednak na to, że małżeństwo układa się bardzo dobrze. Po powrocie na Książ bal następował za balem, przyjęcie za przyjęciem. Szczęśliwy Jan Henryk nie szczędził pieniędzy na najpiękniejsze i najmodniejsze kreacje żony oraz najdroższe klejnoty.

Małżonkowie podejmowali w Książu największe postaci tej epoki: cara Mikołaja I z małżonką, maharadżę Kucz Biharu, cesarza Franciszka Józefa, Izabelę Czartoryską, księcia Antoniego Radziwiła, Romana Potockiego, arcyksięcia Franciszka Karola, królową grecką Małgorzatę oraz późniejszego brytyjskiego premiera Winstona Churchilla, którego ojczymem był starszy brat Daisy. Churchill zjeżdżał tu częściej, a na dłużej zagościł w 1906 roku, z okazji wielkich manewrów wojskowych na Dolnym Śląsku.

Wtedy to zaczęła krążyć plotka o romansie początkującego angielskiego dyplomaty z księżną von Pless. Daisy urodziła trzech synów, lecz w małżeństwie działo się coraz gorzej. Coraz bardziej raziła Stokrotkę sztywna pruska etykieta. Rozmawiać mogła jedynie z osobami, których towarzystwo w niczym nie uchybiało osobie o jej pozycji, nawet do pobliskiego Waldenburga (Wałbrzycha) musiała wyjeżdżać w asyście damy dworu, dwóch sekretarzy, kuriera, trzech lokajów i kilku służących. Denerwowała ją trzydziestoosobowa obsługa przy posiłkach i czterdziestu lokajów dzień i noc pilnie baczących na każdy jej ruch, otwierających przed nią drzwi, towarzyszących jej w każdej, najbliższej nawet sytuacji. Do rodziny pisała, że w Niemczech nawet kwiaty muszą żyć, rosnąć i kwitnąć wedle z góry ustalonych reguł, a mąż zaczyna ją traktować jak piękny mebel.

Daisy usiłowała wyzwolić się z pęt etykiety. Utrzymywała kontakty z Bernardem Shawem, który głosił radykalne poglądy estetyczne i propagował idee socjalistyczne, sympatyzowała ze słynącym z ekstrawaganckiego sposobu bycia Oscarem Wildeem, być może pod wpływem Izabeli Czartoryskiej poświęciła się działalności charytatywnej.

Między małżonkami rosła przepaść. Podczas pierwszej wojny światowej Daisy von Pless

pracowała jako siostra Czerwonego Krzyża, co chyba ostatecznie rozdzieliło ją z Janem Henrykiem. Kilka lat po Wielkiej Wojnie doszło wreszcie do rozwodu. Henryk XV wyemigrował do Francji, a Daisy pozostała w Książu.

Na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku zaczęły się także kłopoty finansowe zwiastujące upadek potęgi Hochbergów. Lata trzydzieste to również okres osobistej tragedii Daisy. W 1936 roku Gestapo aresztowało jej najmłodszego syna, Bolka, który po kilku miesiącach uwięzienia zmarł. Rozeszła się plotka, że został otruty. Najstarszy syn, Jan Henryk, w 1938 roku wyjechał do Anglii, gdzie wstąpił do armii. Prasa brytyjska, nie bacząc na rodzinę Jana Henryka pozostałą w Niemczech, opublikowała jego zdjęcie w angielskim mundurze, co Adolf Hitler uznał za zdradę. Przed wybuchem drugiej wojny światowej dobra rodzinne leżące w obrębie Rzeszy przejął za długi skarb państwa. Trzeci syn Daisy, Aleksander, także znalazł się w Anglii i został w Polskich Siłach Zbrojnych oficerem łącznikowym z RAF-em.

Daisy została na Książu sama. Zamek nie był już jej własnością i hitlerowcy, mając wobec niego własne plany, eksmitowali ją na początku 1941 roku do willi parkowej w Wałbrzychu, przy dzisiejszej ulicy Zamkowej, skąd przyglądała się do śmierci powolnemu upadkowi rodowej siedziby Hochbergów. Widywano jednak Daisy na Książu w najtragiczniejszych dla niego chwilach. Co tam wtedy robiła? Postaram się wyjaśnić tę jedną z wielu książkich tajemnic.

# Składnica depozytowa

W 1941 roku administrowany przez hitlerowców Książ stał się siedzibą wrocławskiej dyrekcji Kolei Rzeszy. Wojna nie była już dla Niemiec tak łatwa jak dotychczas. Od sierpnia 1940 roku trwała Bitwa o Anglię. Wymianę uderzeń powietrznych odczuły rozległe tereny Rzeszy. Bombowce RAF atakowały nie tylko tereny przemysłowe - bomby zaczęły też spadać na miasta. Nocą z 23 na 24 września nad stolicą Rzeszy pozbyło się śmiertelności ładunku 129 brytyjskich bombowców, a w połowie grudnia mieszkańcy Mannheim przeżyli pierwszy tej wojny nalot dywanowy. Berlin znów zapłonął 23 marca 1941 roku, kiedy RAF wsparły załogi Polskich Sił Powietrznych, a w początku sierpnia do aliantów zachodnich dołączyli Rosjanie, kilka tygodni wcześniej zaatakowani przez niedawnych niemieckich sojuszników. 14 sierpnia 1941 roku ponad trzysta maszyn Bomber Command przeprowadziło największy od początku wojny nalot na Niemcy.

Należało ukryć najcenniejsze skarby niemieckiej kultury narażone na zniszczenie przez alianckie bomby. Na pierwszy ogień musiała pójść sławna „berlinka”, czyli najcenniejsze zbiory Pruskiej Biblioteki Państwowej w Berlinie. Na stołach decydentów III Rzeszy rozpostarto mapy Niemiec z zaznaczonymi trasami angielskich i radzieckich bombowców. Wzrok przyciągały tereny dzisiejszego Dolnego Śląska, gdzie nie było żadnych złowieszczych linii kreślonych przez samoloty wroga. Należało teraz znaleźć potężną budowlę o solidnych podziemiach. Fürstenstein, pod administracją państwa, świetnie się do tego nadawał. Tu postanowiono ulokować cenne zbiory.

Pierwszy transport dotarł na Książ już jesienią 1941 roku. Składało się nań 201 skrzyń. Wiemy, jak wyglądał cenny depozyt: „Poszczególne dzieła pakowano do niewielkich drewnianych skrzyneczek, które owijano w płótno i chowano do skrzyń o wymiarach 60 x 60 x 80 centymetrów zbitych z mocnego, odpornego na wilgoć drewna”<sup>1</sup>. Bomby spadały na Berlin jak grad, toteż w kwietniu 1943 roku na zamek dowieziono jeszcze 304 skrzynie.

Tak oto Fürstenstein stał się po raz pierwszy składnicą depozytową istnych skarbów. Czego tam nie było... Wielowiekowe starodruki, atlasy, mapy, pierwsze rękopisy dzieł najznamienitszych mistrzów. Osobny dział stanowiły muzykalia, w tym rękopisy najwspanialszych dzieł Ludwiga van Beethovena, Jana Sebastiana Bacha, Johannes Brahmsa, Wolfganga Amadeusza Mozarta. Zbiory zinwentaryzowano z isticznie niemiecką pedanterią, na każdej skrzyni wymalowano wyraźny numer, a do środka włożono kopię spisu zawartości - oryginały pozostały w bombardowanym Berlinie.

Za całość depozytu, jego transport i składowanie odpowiadał doktor Wilhelm Poewe. Ów skrupulatny urzędnik przeprowadził dwie kontrole magazynu. Pierwsza, dokonana

jeszcze wtedy, gdy zamkiem zarządzały niemieckie koleje, wypadła nadzwyczaj pomyślnie - skarb był całkowicie bezpieczny. Następna, przeprowadzona po drugim transporcie, a więc w 1943 roku, wprawiła doktora Poewe w przerażenie. Zamek nie był już spokojną kryjówką, w której można było składować bezcenne skarby. W salach trwały gorączkowe roboty, przewijały się tu dziesiątki pracowników Organizacji Todta, urzędników RSHA i SD, doprowadzano do pracy wychudzonych więźniów w pasiakach...

Depozyt natychmiast należało przenieść do innej, bezpieczniejszej kryjówki. Znalaziono ją niedaleko Landeshut, czyli dzisiejszej Kamiennej Góry, w miejscowości Kloster, nazwanej tak od pocysterskiego klasztoru należącego wówczas do benedyktynów. Klasztor miał duże podziemia, benedyktynom można było nakazać milczenie, czyli mogła to być świetnie ukryta składnica depozytowa. Z zamku Książ przewieziono więc do dzisiejszego Krzeszowa 505 skrzyń z bezcennymi zabytkami. Doktor Wilhelm Poewe rzeczywiście ulokował je w doskonałym miejscu. Dopiero ponad rok później odnalazła wszystkie skrzynie komisja rewindykacyjna polskiego Ministerstwa Oświaty i wysłuchała opowieści zakonników o pilnie strzeżonym transporcie skrzyń z kolejnymi numerami poprzedzonymi dużymi literami PS - Preuftische Staatsbibliothek - przywiezionym do klasztoru na początku lipca 1944 roku.

Czy Fürstenstein przestał być tajną składnicą cennych depozytów? Niewątpliwie nie. Później inni dysponenci dzieł sztuki, cennych księgozbiorów i archiwaliów przywozili je właśnie tutaj, jakby liczyli na szczególną ochronę w jednym z najlepiej wtedy strzeżonych miejsc w Rzeszy. Do tego wątku wrócimy w następnych rozdziałach. Teraz jednak czas na wyjaśnienie, co w zamku robiły wspomniane ekipy budowlano-remontowe.

---

1

Włodzimierz Kalicki, *Ostatni jeniec wielkiej wojny. Polacy i Niemcy po 1945 roku*, W.A.B., Warszawa 2002, 360-361.

# Mówią świadkowie

Doktor Wilhelm Poewe, ratujący przed zniszczeniem skarby Pruskiej Biblioteki Państwowej, nie mógł wiedzieć – obejmowała to bowiem tajemnica państwowa - w jak trudnej sytuacji były niemieckie zakłady przemysłowe znajdujące się w zasięgu alianckiego lotnictwa. Po opisanych wcześniej nalotach nastąpiły następne. Odkąd w nocy z 13 na 14 marca 1942 roku podczas wyprawy bombowej RAF na Kolonię po raz pierwszy z powodzeniem użyto precyzyjnego systemu radionawigacyjnego Gee, skuteczność nalotów znacznie wzrosła. 20 maja 1942 roku alianci przyjęli plan masowych bombardowań ośrodków przemysłowych III Rzeszy.

W nocy z 30 na 31 maja 1946 bombowców, w tym 104 z polskich dywizjonów, pojawiło się nad Kolonią. W ciągu niecałych dziewięćdziesięciu minut na miasto spadło ponad dwa tysiące ton bomb. Był to pierwszy z serii „tysiącsamolotowych” nalotów na miasta niemieckie prowadzonych w 1942 roku pod kryptonimem „Arabian Nights”. W marcu 1943 roku rozpoczęła się tak zwana Bitwa o Ruhrę. Do lipca alianci przeprowadzili czterdzieści trzy duże naloty na Essen, Duisburg, Dusseldorf, Dortmund i Bochum w Zagłębiu Ruhry, a także na Berlin, Szczecin, Pilzno, Monachium,

Stuttgart i Norymbergę. Wzięło w nich udział łącznie 18 506 samolotów.

Osiemnaście tysięcy pięćset sześć samolotów... tego nikt w Niemczech nie przewidział, lecz nazistowscy planiści wiedzieli jedno – skutkiem tych nalotów należało zapobiegać, przemysł musiał działać i zaopatrywać front w niezbędne materiały wojenne. I nastąpił cud. Na niemieckim niebie panowały alianckie bombowce, a produkcja zbrojeniowa... Oddajmy jednak głos ministrowi przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy Albertowi Speerowi:

Już w pół roku po objęciu przeze mnie urzędowania [14 marca 1942 r. -J.R.] osiągnęliśmy znaczny wzrost produkcji we wszystkich przekazanych nam dziedzinach. Produkcja w sierpniu 1942 roku, zgodnie ze „wskaźnikami niemieckiej produkcji zbrojeniowej”, wzrosła w porównaniu z poziomem z lutego w wypadku broni o 27 procent, a czołgów o 25 procent, podczas gdy produkcja amunicji niemal się podwoiła (wzrost o 97 procent). Ogółem produkcja zbrojeniowa wzrosła w tym okresie o 59,6 procent. Najwyraźniej uruchomiliśmy nie wykorzystane dotychczas rezerwy. Po dwóch i pół roku, mimo zaczynających się wtedy na dobre nalotów lotniczych, zwiększyliśmy ogólną produkcję zbrojeniową: od wskaźnika 98 za rok 1941 do szczytowego wskaźnika 322 – w lipcu 1944.<sup>1</sup>

Albert Speer bez wątpienia wykazał się ogromnym talentem organizacyjnym, lecz czy to mogła być przyczyna owego cudu, który się wówczas zdarzył? Na tereny przemysłowe

Rzeszy spadały bomby, paliły się i zamieniały w gruzy fabryki, a produkcja... rosła! Na wiosnę 1942 roku rozpoczęły się naloty dywanowe, które wydawałoby się niczego nie uszkodziły, bo w 1943 roku na przykład dla Luftwaffe wyprodukowano prawie dwa razy więcej samolotów niż w roku poprzednim, a w 1944 znowu niemal dwukrotnie więcej niż w 1943.

Jak to możliwe, że mimo coraz większych i cięższych bombardowań aż tak rosła produkcja? Przyczyną tego cudu były nie tylko wielkie umiejętności organizacyjne Speera, lecz również przeniesienie fabryk pod z i e m i ę. Wspomina zresztą o tym minister w dalszej części swojej pracy:

Aby uniknąć skutków nalotów lotniczych, od miesięcy nalegał Hitler na przeniesienie przemysłu do pomieszczeń podziemnych oraz wielkich schronów<sup>2</sup>. [...] 14 kwietnia inicjatywę przejął Göring i wezwał do siebie Dorscha. Sądził zupełnie poważnie, że budowa wielkich schronów, jakich żądał Hitler, jest możliwa tylko przy pomocy Organizacji Todta. Dorsch odpowiedział, że tego rodzaju obiekty znajdujące się na terenie Rzeszy nie leżą w gestii tej organizacji, kompetentnej wyłącznie na terenach okupowanych. Mimo to mógł od razu przedłożyć gotowy projekt, chociaż opracowano go z myślą o realizacji we Francji. Jeszcze tego samego wieczoru Hitler wezwał Dorscha: „Podejmę decyzję, że tego rodzaju duże obiekty również na terenie Rzeszy będą w przyszłości wznoszone tylko za pana pośrednictwem”. Następnego dnia Dorsch mógł zaproponować kilka dogodnych miejsc oraz wyjaśnić niezbędne przesłanki administracyjno-techniczne do budowy sześciu zaplanowanych wielkich schronów, każdy o powierzchni 100 tysięcy metrów kwadratowych. Przynależało oddanie budowli do użytku już w listopadzie 1944 roku.<sup>3</sup>

Dlaczego jednak do dziś, sześćdziesiąt lat po wojnie, tak mało o tym wiemy, dlaczego tak niewiele pisze się na ten temat? Milczą albo napomykają o tym półgębkiem Amerykanie, Anglicy, o Niemcach nie wspominając. Nasi rodzeni „fachowcy” początkowo w swych publikacjach wspominają o podłożu tego zadziwiającego zjawiska, gdy jednak wybierają się do Niemiec przeprowadzić kwerendę archiwalną, szukać świadków... najczęściej cudownie zmieniają przekonania. Po powrocie słyszymy od nich jedno zdanie: „Tu nic nie było, Niemcy nie zdążyli...” Na pytania o udokumentowane powody tej rewolucji poglądów odpowiadają unikami, wyraźną niechęcią - ba, nawet agresją. Dlaczego?

Przemyślmy zatem to, co zdaje się cudem, a cudem nie jest, lecz efektem przewidywania, planowania, doskonałej organizacji, a także krwawego, najczęściej śmiertelnego trudu setek tysięcy, jeśli nie milionów, ludzi.

Muszę, choć nie lubię, zacząć od kilku słów o sobie. Jestem gadułą, lecz jeszcze bardziej lubię słuchać o czasach minionych, lubię odszukiwać ludzi, którzy o te czasy się otarli, którym wystarczy, że przymkną oczy, by stanęły przed nimi obrazy i cienie postaci sprzed lat. Coraz mniej tych ludzi i dlatego trzeba słuchać, notować i nagrywać ich opowieści. Z wielu takich cierpliwie zestawionych relacji układają się nieprawdopodobne puzzle wojennych dziejów Dolnego Śląska. Dlaczego puzzle? Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, z tej pięknej ziemi po „powrocie do macierzy” starano się zetrzeć wszelkie ślady niemieckości. Po drugie, przymusowo wysiedlono stąd rdzennych mieszkańców, a na ich miejsce przyszli inni, którym odebrano domy i zerwano wielowiekowe związki z ziemią leżącą daleko na wschodzie, za Bugiem. Rozgoryczeni, rozżaleni, często wściekli, przyszli w obce miejsce, z którym nic ich nie łączyło. Przyszli, bo musieli. Nie interesowała ich ta ziemia, jej zabytki, jej historia. I zacierali ślady przeszłości, głównie przypadkiem, nierzadko jednak celowo, by zyskać przychylność miejscowego partyjnego kacyka, który rozdelał „przydziałowe” dobra. Ten stosunek do przeszłości Dolnego Śląska trwał dziesiątki lat, a w wielu miejscach i umysłach pokutuje do dziś.

Jaki to wszystko ma związek z moim zamiłowaniem do gadania i słuchania? Aby wyjaśnić, opowiem o tym, co mi się przydarzyło na małym kawałeczku Dolnego Śląska, który łączy się bezpośrednio z tematem tej książki. Góry Sowie, Wałbrzyskie, Kamienne...jeździłem tam dziesiątki razy. Tylko w tym roku byłem w nich pięciokrotnie. Niełatwo trafić do właściwych ludzi, tych Niemców, którzy nie uciekli przed radzieckim wojskiem, a potem uniknęli przymusowego wysiedlenia. Można ich policzyć na palcach jednej ręki. Inni wracają po latach, bo pchają ich tu wspomnienia i przyciągają groby bliskich. Nie wszyscy chcą wracać na stałe. Starych drzew się nie przesadza, mówią.

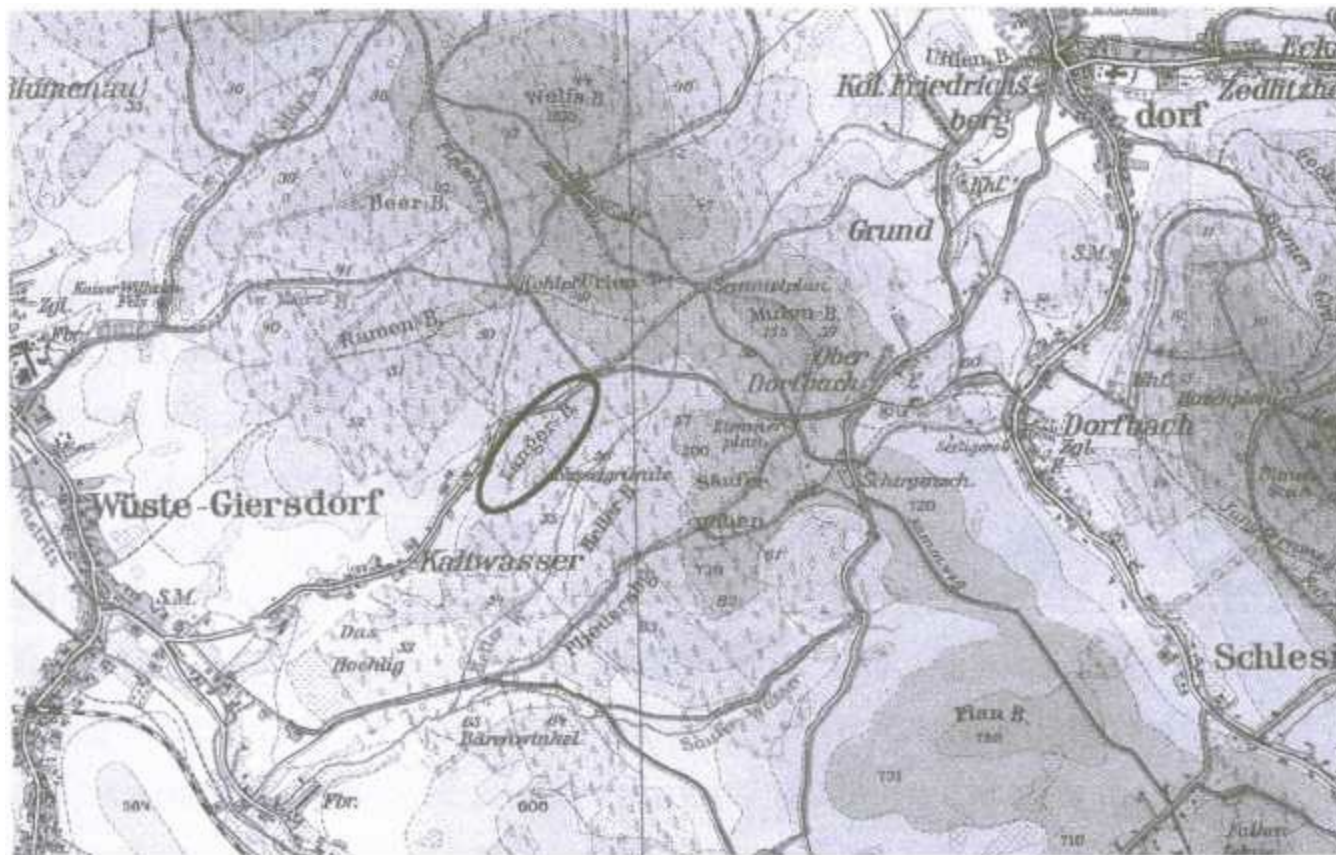
Właśnie, mówią! Mam szczęście. Jakimś sposobem udaje mi się trafić do ich serc, rozwiewać narosłe z wielu przyczyn obawy. Proszą, bym zachował w tajemnicy ich nazwiska, i ufają. Wiedzą, że nie powiem, nie napiszę, wiedzą, że interesuje mnie historia, której dotykali, w której uczestniczyli, a oni, opowiedziawszy o niej, pozostaną anonimowi. I tak trzeba. Za dużo w tej historii ludzkiego strachu, męki i krwi. Nie chcą nasłuchiwać szmerów za oknem, budzić się przy głośniejszym stuknięciu, nie chcą ostrzegawczych napisów na drzwiach i mrocznych listów. Są starzy, zmęczeni, sponiewierani przez życie. Gdy się to zrozumie i doceni, gdy zaufają, zaczynają mówić. Urywane to zdania i strzępki historii, lecz są ważną częścią naszych puzzli, którą trzeba porównać i zestawić ze znanymi już relacjami i dokumentami z tamtych lat. A ja słucham, słucham...



Ich opowieści mają już wiele lat, najnowsza pochodzi z 1995 roku. Teraz chyba bym już tych rozmów nie przeprowadził, część z tych ludzi już odeszła, lecz zostały ich relacje. Historia zatrzymana na kartkach notatnika.

*Relacja pierwsza.* Zapamiętajmy nazwy miejscowości. Opowiada Annę K. z D. (obecnie inne imię i nazwisko):

Ja tu zostałam właściwie... [zastanawia się] dla krowy. Ale ty nie o to pytałeś [uśmiecha się jakoś smutno]. Potem tato do wojska poszedł i my z mamą same zostały. Wcześniej my, to znaczy rodzice, mieli mały hotel. Nie, to nie hotel był [kręci głową], no, nie wiem, jak to powiedzieć, dużo takich było tu, w górach, no *Gasthof* taki w miejscu,



Langer Berg, dziś Długa Góra. Tu mieszkała Anne K.

które nazywało się Langer Berg<sup>4</sup>. Nie wiem, jaka jest dzisiejsza nazwa, mnie w głowie ta nasza została. U nas bardziej można było zjeść na wycieczce, niż przenocować, bo na nocleg tylko dwa większe pokoje były. Mieliśmy krowy i kozy, i mleko dla turystów było, mama sery sama robiła i masło. Wszyscy chwalili. My tam wszystko własne żeśmy mieli i na jedzenie nawet tacy strażnicy z VGE<sup>5</sup> przychodzili i oni raz chwalili mamę w swojej gazecie. Tak było do 1938 roku, do wiosny chyba. Przyszedł wtedy taki znajomy taty z policji i przyniósł papier, że musimy się przenieść do rodziny w Dornhau<sup>6</sup>, bo ten teren jest dla państwa i zapłacą za niego. Tato bardzo się złościł, wołał, że tu nasza praca i nasze życie, gdzieś z pismami jeździł, nie wiem, bo jedenaście lat wtedy miałam, ale nic nie załatwił, a niedługo do wojska go wzięli. My do cioci w Dornhau żeśmy się przenieśli. Ja



chciałam później z krowami na naszą łąkę chodzić, ale tam takie gęste ogrodzenie z kolczastego drutu postawili i tablice były, że wejście zabronione i strzelać mogą. Tam rzeczywiście wartownicy chodzili, nie policja, ale wojsko, wiem, bo kiedyś nawet mleko im zaniosłam, żeby kawałek z krowami wejść pozwolili. Mleko wypili, ale powiedzieli, że wejście dla wszystkich zabronione. Taki Klaus, mój kolega, kiedyś rano poszedł, bo ciekawy był, co tam jest, i uciekać musiał, bo naprawdę strzelili, ale w powietrze chyba, bo nic mu się nie stało, tylko uciekł. Później był u nas i w innych domach policjant i mamie mówił, żeby dzieci pilnować, bo za chodzenie tam kara może być, a strzelać też będą. Mama zabroniła, to żeśmy nie chodzili...

*Relacja druga.* Opowiada Else R., pochodząca z Molkę, dzisiejszego Miłkowa, dzielnicy Ludwikowie Kłodzkich\*. Mieszka na stałe w Niemczech. Na urlopy przyjeżdża do Polski. Ciągną ją tu „korzenie”. Świetnie mówi po polsku, ma jedynie kłopoty z trudniejszymi wyrazami, a akcent i pewna twardość wymowy zdradzają pochodzenie. Wypowiada się bez żadnych obaw, jakie miewają inne osoby, ale prosi, żebym nie zdradzał jej nazwiska.



Miłków i kopalnia „Wacław” na starej mapie górniczej

Mieszkaliśmy w małym domku w Molkę, teraz go już nie ma. Ojciec był, odkąd pamiętam... nie wiem, jak to się mówi... *steiger* [szytygar — J.R.] w kopalni „Wenzeslaus”. Tam był wielki wybuch, chyba w 1930. Ja tego nie pamiętam, miałam sześć lat, ale wiem,

że zginął wtedy mój wujek. Wiem też, że mama często później namawiała ojca, żeby zmienił pracę, ale nie chciał. Mówił, że nic więcej nie potrafi, ale myślę, że kochał tę kopalnię. Tam później była jakaś przerwa w pracy i pracował w innej kopalni, ale wrócił tam chyba w trzydziestym trzecim lub trzydziestym czwartym. Wiem, że wtedy mama się denerwowała, bo ta kopalnia nie była bezpieczna, i często mówiła do ojca, że chce sieroty zostawić. On tłumaczył, że zabezpieczyli te złe części kopalni i teraz nie jest niebezpiecznie [...]. Pracował na tej kopalni, ale później coś się stało. To było rok przed wojną. Był zły po pracy. Mamie mówił, że węgiel potrzebny, a górnicy będą musieli odejść z kopalni. Widziałam u niego jakąś dziwną przepustkę, gdy się ubierał do pracy, taką podobną do legitymacji partyjnej, a ojciec do partii nie należał. Powiedział mi, że bez niej teraz by nie wszedł na kopalnię, bo warta sprawdza [...]. Kiedyś ojciec zapomniał jedzenia i herbaty do pracy i mama wysłała brata. Nie wpuścili go nawet do biura i brat mówił, że wojskowy wartownik sprawdzał torbę z tym śniadaniem. Mówił, że na kopalni widział dużo wojska i że to było SS. Później tata poszedł do wojska i kopalnię zamknęli, ale często tam ześmy przechodzili i widzieliśmy na terenie dużo pojazdów wojskowych i żołnierzy. Chyba w 1940 roku musieliśmy się przeprowadzić do Neurode [Nowa Ruda — J.R.], bo nasze, czyli górników, domki były komuś potrzebne.

*Relacja trzecia.* Na zamku Książ spotkałem młode niemieckie małżeństwo przybyłe do Polski z Monachium. Kręciłem wówczas film dokumentalny dotyczący wojennej historii zamku, a w zdjęciach uczestniczyli, budząc powszechną sensację, statyści przebrani w mundury SS. Młodzi ludzie podeszli z ciekawości i pytali, o czym będzie ten film. Zajęty zdjęciami wyjaśniłem im w kilku słowach. I zaczęło się. Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Zrelacjonuję ją możliwie najdokładniej na podstawie notatek, które porobiłem, i z pamięci, łagodząc jedynie pewną trudność, z jaką posługiwał się językiem polskim mój rozmówca - Kurt O., mieszkaniec Monachium.

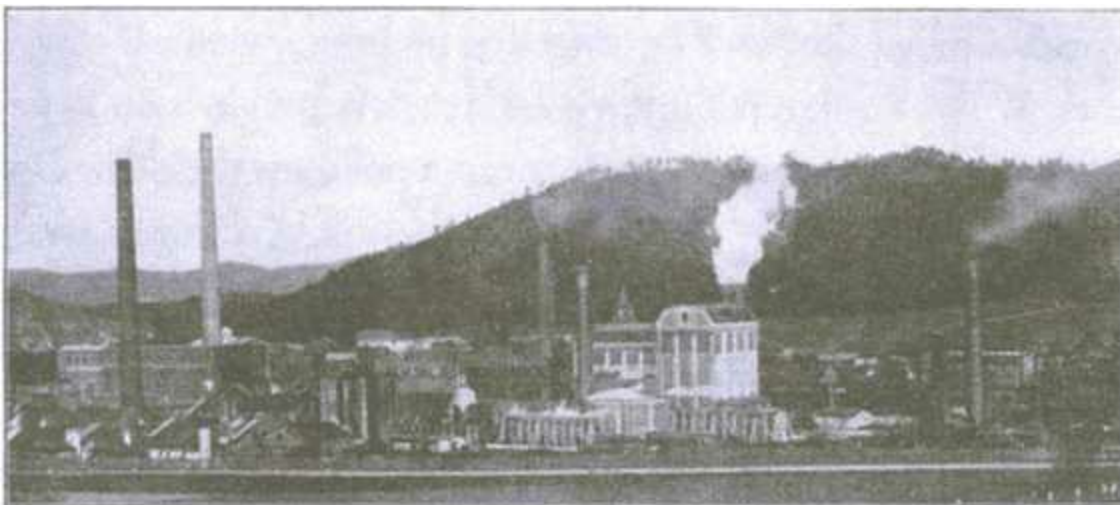
Mój dziadek pracował w latach trzydziestych i czterdziestych w największej zdaje się kopalni węgla w Waldenbergu. Nie wiem, która to była kopalnia, ale opowiadał, że jej chodniki idą w pobliże góry, która nazywała się Hochwald [dzisiejszy Chełmiec — J.R.J.]. Miał trochę szczęścia, bo był jednym z lepszych inżynierów zajmujących się... nie wiem, jak to powiedzieć... wietrzeniem kopalni. Dyrektor naczelny wybronił później dziadka, jako wybitnego specjalistę, przed służbą wojskową. W 1937 roku kopalnia w części modernizowała system wentylacyjny, a dziadek współprojektował część tego systemu, dostosowując go do potrzeb kopalni. Stał się niezbędnym fachowcem, bo o awariach, które w kopalni mogą skończyć się tragedią, podobno wiedział zawsze najwięcej. W 1938 roku,

jak opowiadał dziadek, przybyli do kopalni jacyś fachowcy i wezwano go do jednego z pokojów dyrekcji. Dyrektor oświadczył, że ci „nowi” zajmują się sprawami bezpieczeństwa i będą badać niektóre sztolnie pod kątem możliwości wypadków. O ile pamiętam, dziadek mówił coś, że wspomniano o groźnych pokładach powulkanicznych. Miał pomagać nowym we wszystkim, czego zażądają. Pomagał podobno, choć zaczęło go to wszystko dziwić. Zamknięto ponoć trzy poziomy na jednym z pokładów kopalni idącym w kierunku tej dużej góry. Tam „nowi” wprowadzali tylko swoich ludzi i coś badali. Dziadek mówił, że najbardziej był zaskoczony, gdy przypadkiem zobaczył na biurku w biurze zajmowanym przez „nowych” zamówienie na urządzenia wentylacyjne, zorientował się bowiem, że są one znacznie większe i mocniejsze niż używane dotychczas w kopalni.

Do tych biur wzywano go jednak coraz rzadziej, zostały one przeniesione do oddzielnego budynku i odgródzone płotem z drutu kolczastego. Pracowało tam coraz więcej ludzi. W sierpniu 1939 roku załoga kopalni przeżyła szok. Wszyscy pracownicy wydzielonych biur pojawili się w pracy w... mundurach SS. Przy wejściu na ogrodzony teren stanął na warcie uzbrojony esesman, podobnie przy wejściu do szybów, w których prowadzono badania. Wtedy też wprowadzono system przepustek na teren kopalni kontrolowany przez wojsko. Dziadek wspominał, że z koledzy z innych kopalni mówili o bardzo podobnej sytuacji w kopalni „Abendrote”. Tam w 1931 roku całkowicie zatrzymano produkcję i zalano trzy szyby, pozostawiając drożne dwa, w pobliżu tej góry [Chełmca - J.R.].

W kopalni dziadka, w sztolniach, jak i na całej kopalni, pracowali Niemcy, ale od wybuchu wojny w miarę kolejnych powołań do wojska było ich coraz mniej i praca w kopalni zaczęła trochę utykać. Nic się nie zmieniało natomiast w części należącej do SS. Tam ludzi jakby nawet przybywało, bo na kolejne zmiany przywożono ciężarówkami nowych i wtedy ciężarówki zabierały poprzednią zmianę. Z ludźmi z tej wydzielonej strefy nie było żadnego kontaktu, bo wartownicy SS natychmiast krzyczeli przy najmniejszej próbie podejścia do ogrodzenia. Dziadek twierdził, że węgla w tych wydzielonych szybach nie wydobywano. Sytuacja w kopalni pogorszyła się jeszcze w 1943 roku, bo zabrakło rąk do pracy. Dyrekcja zatrudniła pracowników przymusowych. Byli to Polacy, Czesi, jacyś Węgrzy i Austriacy. Dziadek o tym mało mówił, ale twierdził, że właśnie wtedy do strefy wydzielonej przywożono ciężarówkami także więźniów w pasiakach. Kopalnia funkcjonowała dość dobrze do kwietnia 1945 roku, później było coraz więcej mowy o Rosjanach i ludzie zaczęli znikać, ale w ogrodzonej strefie nic się nie zmieniło do 6 maja. Wtedy samochody nie przyjechały.





## **Gewerkschaft Steinkohlenwerk Vereinigte Glückhlf-Friedenshoffnung**

Sitz der Verwaltung: Hermsdorf, Bezirk Breslau.

Das Grubenfeld umfaßt 8000000 qm und ist in der Gemeinde Nieder-Hermsdorf gelegen.

Die Belegschaft beträgt 5000 Mann.

Gebaut werden etwa 20 Flöze des Waldenburger Hangend- und Liegend-Zuges in bester Beschaffenheit.

Die Jahresleistung beträgt rund 1 000 000 t Steinkohle.

250 000 t Koks.

7 000 t Teer.

2 000 t schwefelsaures Ammoniak.

2 000 t Rohbenzol.

1 000 t Toneisensteine.

4 000 000 Stück Ziegelsteine.

Aus der geförderten Kohle werden im wesentlichen folgende Sorten hergestellt:

**Gasstückkohle.**

**Flammstückkohle.**

**Gas- und Flamm-Würfelkohle.**

**Gas- und Flamm-Förderkohle.**

gew. Erbs- und Nußkohle, die namentlich für Schmiede- und Gaserzeugungszwecke geeignet ist.

gew. Gruskohle, geeignet zur Erzeugung eines hervorragenden Kokes, und auch geeignet für chemische Fabriken.

**Staubkohle**, die von Kalk- und Ziegelfabriken sowie für die Kesselfeuerung benutzt wird.

**Schlammkohle**, die vorwiegend im eigenen Betriebe verwandt wird.

Der Koks ist von hervorragendster Beschaffenheit und dient vorwiegend zu Gießerei-, Hochofen- und sonstigen gewerblichen Zwecken, aber auch zu Hausbrandzwecken in Form von Brechkoks.

Teer und Rohbenzol wird an chemische Fabriken zur Weiterverarbeitung abgesetzt.

Schwefelsaures Ammoniak wird im wesentlichen an landwirtschaftliche Abnehmer verkauft. Außerdem betreibt die Grube eine **Leuchtgasanlage**, zur Versorgung der eigenen Betriebsstätten und der Gemeinde Nieder-Hermsdorf mit Leucht- und Kraftgas.

*Przedwojenna reklama kopalni „Gluckhlf-Friedenshoffnung”*

Zszokowały mnie te informacje. Rozmawialiśmy jeszcze długo. Wiedziałem o pracach prowadzonych w podziemiach Książa do samego wkroczenia Rosjan, ale wałbrzyska kopalnia? SS od 1938 roku w wydzielonej strefie? Kopalniami węgla w Wałbrzychu nie

interesowałem się wtedy prawie wcale.

Jaka to kopalnia? Opowiedziałem Kurtowi więcej o pracach na Książu i pomogło. Zatelefonował do Monachium. Jego mama nic więcej nie wiedziała. Siedzieliśmy jak na gwoździach prawie dwie godziny. Oddzwonił ojciec Kurta. Rodzice znaleźli w jakichś starych dokumentach nazwę kopalni, w której pracował dziadek. „Glückhils-Friedenshoffnung”. Podzwoniłem po znajomych i okazało się, że to „Victoria”. Tak natrafiłem na trop wielkiej zagadki Dolnego Śląska. Zagadki, którą rozwiązać można dopiero teraz.

---

[1](#)

Albert Speer, *Wspomnienia*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1973, s. 292.

[2](#)

Ibidem, s. 472.

[3](#)

Ibidem, s. 473.

[4](#)

Długa Góra w Górach Sowich - w latach 1943—1945 Organizacja Todta budowała tu podczas II wojny światowej, m.in. siłami więźniów Gross-Rosen, tajemniczy kompleks podziemnych budowli.

[5](#)

Verband der Gebirgsvereine an der Eule (Federacja Towarzystw Górskich przy Sowie) — studencka organizacja turystyczna.

[6](#)

Obecnie Kolce, niewielka wieś nad górnym biegiem Bystrzycy. Ciągnie się ponad kilometr luźno rozrzuconymi zabudowaniami w dolinie pomiędzy masywem Światowida i najdalej wysuniętymi na północny zachód wzniesieniami Wzgórz Wy-rębińskich. Kolce znalazły się na obrzeżu rejonu zakrojonych na wielką skalę prac górniczo-budowlanych w masywie Włodarza. Organizacja Todta w ramach planu „Riese”, wykorzystując od 1942 r. sowieckich jeńców wojennych, a potem więźniów obozów koncentracyjnych, drążyła tam sztolnie oraz budowała drogi i linie kolejowe, prowadziła także prace w okolicznych kamieniołomach. W czerwcu 1944 r. obóz ten przekształcono w podobóz pracy obozu w Głuszycy. Zaczęto zwozić z Gross-Rosen, a potem także z Oświęcimia, Żydów polskich, greckich i węgierskich, później zaś Polaków, Belgów, Włochów i Francuzów. Żyli oni i pracowali w nieludzkich warunkach, toteż panowała wśród nich ogromna śmiertelność. Ocenia się, że w obozie stale przebywało do 3000 więźniów, a umierało przeciętnie do 10

procent miesięcznie.

\* Bardzo duża, uprzemysłowiona wieś łańcuchowa ciągnąca się 3,3 km wzdłuż Włodzicy. Podczas wojny na zboczach pobliskich wzniesień Niemcy budowali w ścisłej tajemnicy ogromny podziemny kompleks o nieznanym dotąd przeznaczeniu.

# Krecia robota

Zanim odpowiem na pytanie, dlaczego Albert Speer mógł się chwalić rosnącą mimo intensywnych bombardowań produkcją, omówię przytoczone w poprzednim rozdziale relacje. To, że udało mi się je zebrać i powiązać z innymi informacjami napływającymi z omawianych terenów, uważam za sukces. Cóż, zaowocowały lata mrówczej pracy nad układaniem dolnośląskich puzzli.

*Komentarz do relacji pierwszej.* Langer Berg, dziś Długa Góra — w całej tej okolicy dość dokładnie przetłumaczono stare niemieckie nazwy. Długa Góra to wysoki na 570—670 metrów boczny grzbiet Mosznej (niegdyś Mulenbergu) w masywie Włodarza (Wolfsbergu) ciągnący się ku południowemu zachodowi w widłach opływających go potoków. Czyżby tutaj kiedyś stał *Gasthof rodziców* małej Anne?

Wąski grzbiet góruje nad zabudowaniami wioski Zimna Woda (Kaltwasser). Przed drugą wojną światową przez Zimną i Długą Górę prowadził z Głuszycy (Wüstegiersdorfu) znany i uczęszczany szlak turystyczny. W latach 1943—1945 w Kaltwasser była filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Przetrzymano w niej około dwóch tysięcy więźniów rozlokowanych w pięciu barakach pomiędzy osadą a Głuszcą. Wykorzystywani byli do pracy przy budowie sztolni i hal podziemnych fabryk w zboczach Osówki (Saufer-Hóhen) i Sobonia (Ramenbergu), należących do obiektu nazywanego dziś „Riese”. Zachowały się ślady obozu oraz sztolnie i fragmenty budowli naziemnych powyżej wsi. Widoczne są też pozostałości torów kolejki prowadzących ze stacji w Głuszycy Górnej do wylotu poszczególnych sztolni. Prace te prowadziła Organizacja Todta, a więźniów pilnowało SS.

Długą Górę porasta piękny las świerkowo-bukowy, ale wzdłuż dawnych szlaków napotkać można dorodne modrzewie. Na ich pniach, wysoko nad ziemią, pozostały resztki wrośniętych w korę obręczy i dębowych klepek, Niemcy bowiem, żeby maskować swoje prace, sadzili te drzewa w dębowych beczkach. Cały grzbiet, położony pomiędzy Soboniem na północnym zachodzie a Osówką na południowym wschodzie, należy do podziemnego kompleksu budowanego podczas drugiej wojny światowej, bo choć nie drążono w nim — według tego, co dotąd udało się ustalić — podziemnych korytarzy, jego zbocza gęsto oplatały tory kolejki, która wozila urobek ze sztolni w innych miejscach i materiały budowlane do ich umacniania. Obecnie torowiska są słabo widoczne, bo po zdjęciu szyn służą jako drogi leśne. Były tu co najmniej dwie linie, poprowadzone obszernymi zakolami, ze ślepyimi torami do zmiany kierunku jazdy. Należałoby się jeszcze upewnić, czy tory te rzeczywiście są ślepe.

Tak oto wspomnienie małej dziewczynki nakłada się na znane fakty historyczne.

Elementy puzzli zaskakująco do siebie pasują. Niemcy, co jasno wynika z tej relacji, ogrodzili i utajnili teren już w 1938 roku, zasadniczo więc przesuwają to datę rozpoczęcia prac w tym miejscu. Ile takich ogrodzeń i tablic powstało w Górach Sowich? Prawdopodobnie wiele. Ludzie wskazują okolice Gontowej (Schindel Bergu), Włodyki (Bauer Bergu), Gruntowej (Grundbergu) i innych gór. Charakterystyczne, że większość tych miejsc jest związana z wydobyciem węgla kamiennego. To wbrew pozorom bardzo ważne, toteż jeszcze wrócę do tej sprawy.

*Komentarz do relacji drugiej.* Dotyczy kopalni „Wenzeslaus”, powojennego „Wacława”. Sięgnijmy do historii tej kopalni, żeby zweryfikować relację Else R., dziecięcymi oczami oglądającej tamten czas.

Co piszą niemieckie gazety o środzie 9 lipca 1930 roku? Dzień ten zapisał się czarnymi zgłoskami w historii górnictwa Niemiec, w Molkę doszło bowiem do najtragiczniejszej w dziejach dolnośląskiego górnictwa katastrofy. Wspomina o tym Joseph Wittig w *Kronice miasta Nowa Ruda (Chronik der Stadt Neurode)*: „Wybuchowi gazu w podziemnych wyrobiskach kopalni «Wenzeslaus» na drugim i trzecim poziomie towarzyszył wyrzut skał. Zginęło 151 górników! Ekipom ratowniczym ukazał się straszliwy widok spustoszenia i zniszczenia. Ofiary leżały jak posiane, większość pod zwałami...”<sup>1</sup>

O tej właśnie katastrofie dziewczynka słyszała od rodziców, w niej zginął jej wujek, po niej zaczęły się niesnaski w rodzinie sztygara.

Źródła wspominają, że przerwa w wydobyciu trwała trzy lata. To wtedy ojciec Else R. pracował w innej kopalni. Zapisy historyczne podają, że w 1933 roku dolnośląska NSDAP wystąpiła z inicjatywą ponownego uruchomienia kopalni „Wenzeslaus”, a od pani Else wiemy, że jej ojciec tam wrócił. Materiały źródłowe wspominają teraz o kolejnych wybuchach w kopalni, ale nic się nie mówi o ofiarach. Jestem przekonany, że w latach 1933-1938 zaczęła się wielka akcja dezinformacyjna kierowana przez Niemców nie tylko do własnego społeczeństwa, lecz także, a może przede wszystkim, do narodów Europy z niepokojem obserwujących zbrojenia Rzeszy. Gra szła o wielką stawkę - o przekształcenie największej kopalni na Dolnym Śląsku, 130 kilometrów chodników i hal o kubaturze przekraczającej milion metrów sześciennych, w gigantyczną, podziemną, a więc całkowicie ukrytą przed oczami ciekawskich, fabrykę zbrojeniową.

Jak tego dokonać? Kopalnia jest nieczynna, więc trzeba ściągnąć zatrudnionych tam wcześniej fachowców, którzy znają chodniki, urządzenia, zabezpieczenia. Nie można tym ludziom powiedzieć, że pracują teraz dla przemysłu zbrojeniowego. Jest ich zbyt wielu. Zbyt duże jest ryzyko dekonspiracji. Trzeba ponownie uruchomić kopalnię.



I partia wystąpiła z inicjatywą. Kopalnia ruszyła. Ojciec Else wrócił do pracy. Jednak tajemniczy przybysze wciąż zgłębiali warunki panujące pod ziemią i przygotowywali się do przejścia kopalni. Jak jednak to przeprowadzić, skoro wszem i wobec rozgłasza się o ogromnych potrzebach surowcowych III Rzeszy? Pomyślano i o tym. Wykorzystano w tym celu niedawną tragedię — wystarczyło, by co jakiś czas prasa i radio powiadamiały o zagrożeniu metanowym i niewielkich wypadkach w kopalni. Aby jeszcze bardziej rozdmuchać obawy, oprócz informacji oficjalnych do tej kampanii zaprzęgnięto plotkę.

Poskutkowało. Wiele żon górników, wśród nich matka małej Else, było przeciwnych pracy mężów w tej kopalni. Sprawa wymagała jednak większego pośpiechu, bo wojna nadchodziła wielkimi krokami. Należało bezboleśnie przejąć kopalnię z rąk nieświadomych cywilów. Else R. wspomina o napomknieniach ojca, że trzeba będzie opuścić „Wenzeslausa”, o dziwnych przepustkach i kontrolach „na bramie” oraz o tym, że jej brat widział na terenie kopalni wielu ludzi w mundurach SS. Działo się to na rok przed wojną. W *Kronice miasta Nowa Ruda* Joseph Wittig zapisał: „kolejne wybuchy spowodowały, że w 1939 roku kopalnię «Wenzeslaus» ostatecznie zamknięto”<sup>\*</sup>.

Zamknięto? Gdy dawno temu, dzieckiem będąc, chodziłem do szkoły, mawialiśmy w takiej sytuacji „guzik prawda”. Kopalni nie zamknięto, lecz usunięto z niej wszystkich cywilnych górników. Na ich miejsce sprowadzono zaś nowych, wysoko kwalifikowanych pracowników. Nie można ich było zakwaterować w barakach. Potrzebne były porządne mieszkania. Szybko się znalazły. Else R. wspomina o konieczności przeprowadzki do Nowej Rudy, bo górnicze domki były „komuś” potrzebne. Teraz wiemy komu. Zamieszkali tam fachowcy spod znaku trupiej główki.

Zacząła się wojna i kopalnia przeszła „wspaniałą metamorfozę”. Bezpowrotnie ulotnił się problem metanu. Już nie trzeba było trzymać wszystkiego w tajemnicy. Naród walczył o przestrzeń życiową i rozumiał, a innych można było mieć w nosie - Europa miała przecież należeć do Niemiec. Od początku 1941 roku w dawnej kopalni ruszyła pełną parą produkcja amunicji. Adolf Hitler już w grudniu 1940 roku, ponaglany doniesieniami wywiadu o przygotowaniach do uderzenia radzieckich armii na zachód, zatwierdził plan ataku uprzedzającego na Związek Radziecki, toteż duża fabryka amunicji na zapleczu przyszłego frontu była Niemcom niezbędną. 22 czerwca 1941 roku wojska III Rzeszy wspierane przez jednostki fińskie, rumuńskie, słowackie i włoskie, o włos wyprzedzając uderzenie dotychczasowego sojusznika, zaatakowały Związek Radziecki.

Blitzkrieg tym razem nie sprawdził się do końca. Przeciągająca się wojna była coraz trudniejsza, wymagała od niemieckiego państwa coraz większego wysiłku. Kompleks

zbrojeniowy w podziemiach dawnej kopalni musiał pracować wydajniej, dawać jeszcze większą produkcję. Już nie węgiel wyjeżdżał na powierzchnię, lecz broń, amunicja i materiały wybuchowe. Potrzebne były nowe windy, nowe magazyny spełniające najwyższe kryteria bezpieczeństwa, nowe pakownie i drogi transportowe. Z tym jednak był problem. Fronty domagały się żołnierzy. Skąd wziąć ludzi do tych adaptacji, skąd wziąć nowych robotników do zaczynających świecić pustką stanowisk przy maszynach? Od czego jednak niemiecki zmysł organizacyjny? Problem rozwiązano.

W pobliskich Ludwikowicach Kłodzkich (Ludwigsdorfie) już w 1942 roku przy dzisiejszej ulicy Wiejskiej założono obóz pracy dla polskich Żydów prowadzony przez należącą do SS Organizację Schmelta. Trzymano w nim około 600 więźniów zatrudnionych w fabryce amunicji urządzonej na terenie nieczynnej kopalni. W 1944 roku został on filią Konzentrationslager Gross-Rosen, później zaś zamieniono go na kobiecy. Powstał też drugi obóz, u wylotu doliny potoku. W pięćdziesięciu barakach przebywało tam ponad 1500 więźniów. Pracowali oni w znanej nam już fabryce amunicji, także przy jej rozbudowie. Dążyli również rozległe sztolnie w górach dominujących nad miejscowością Molkę: Włodyce (Bauerbergu) i Gruntowej (Grundbergu). Na stokach Włodyki na potrzeby fabryki amunicji w dawnej kopalni budowano częściowo wpuszczone w ziemię magazyny, betonowe drogi i inne obiekty. Prace te otoczone były ścisłą tajemnicą. Zakresu i przeznaczenia wznoszonych obiektów do dziś nie udało się poznać, a podziemnych korytarzy nigdy nie przebadano. Krążą natomiast opowieści o ogromnych sztolniach i wielopoziomowych chodnikach w obu górach oraz o ukrytych w nich skarbach. Pozostały ślady na powierzchni w postaci dróg w lasach, wartowni, bunkrów i innych budowli oraz ukrytych wlotów do niektórych sztolni. Nieznany jest los więźniów z obozu męskiego. Domniemywa się, że mogli oni zostać zasypani w którymś z wyrobisk.

Z całej relacji Else R. zapamiętajmy jedną ważną informację. Przełomową datą dla kopalni „Wenzeslaus” był rok 1938, kiedy to zaczęło ją przejmować SS.

*Komentarz do relacji trzeciej.* Wałbrzyskie kopalnie „Gluckhild-Friedenshoffnung” i „Abendrote”. Zajrzyjmy znów do źródeł. Czytamy tam:

Nastąpiły również znaczne zmiany własnościowe, w efekcie których pod koniec roku 1927 powstała spółka akcyjna Niederschlesische Bergbau A.G. (tzw. Nibag) z zakładami górniczymi Kulmiz, Aben-drote, Gluckhild-Friedenshoffnung, Fuchs, David, Segen Gottes, Carl--Georg-Victor, Gustav (łączna powierzchnia pól górniczych 62 km<sup>2</sup>), a w roku 1930 książe F. Fochberg przekształcił swoje wałbrzyskie kopalnie Fürstensteiner i Sophie (powierzchnia pól górniczych 74 km<sup>2</sup>) w spółkę akcyjną Waldenburger Bergwerks A.G. (tzw. Wabag).

Wynika z tego jasno, że obie te kopalnie miały to samo kierownictwo, co niewątpliwie musiało znacznie ułatwiać państwu wpływanie na to, co się w nich działo. Spójrzmy teraz na zestawienie wałbrzyskich kopalń, zwracając uwagę na te z nich, o których wspominał stary górnik:

**Zestawienie kopalń rejonu wałbrzyskiego, rok 1892\*\***

*Kopalnia*

*Głębokość*

*eksploatacji*

*Liczba*

*szybów*

*Wydobycie w tys. ton*

*Liczba*

*pracowników*

1. Gluckhilm

279

7

796,2

4017

2. Fuchs

233

19

577,1

2435

3. Fürstensteiner

260

6

415,1

1874

4. Friedenshofnung

385

3

398,2

2030

5. Carl-Georg-Victor

223

4

226,9

1477

6. Gustav

224

2

179,7

1044

7. Abendröte

223

5

129,6

786

8. Melchior

310

2

117,2

416

9. Segen Gottes

232

6

114,6

640

10. David

64

2

95,6

453

11. Caesar

253

4

46,2

279

11. Sophie

43

4

27,1

129

13. Wigand

47

2

0,6

11

14. Friedrich Stollberg

114

1

0,0

31

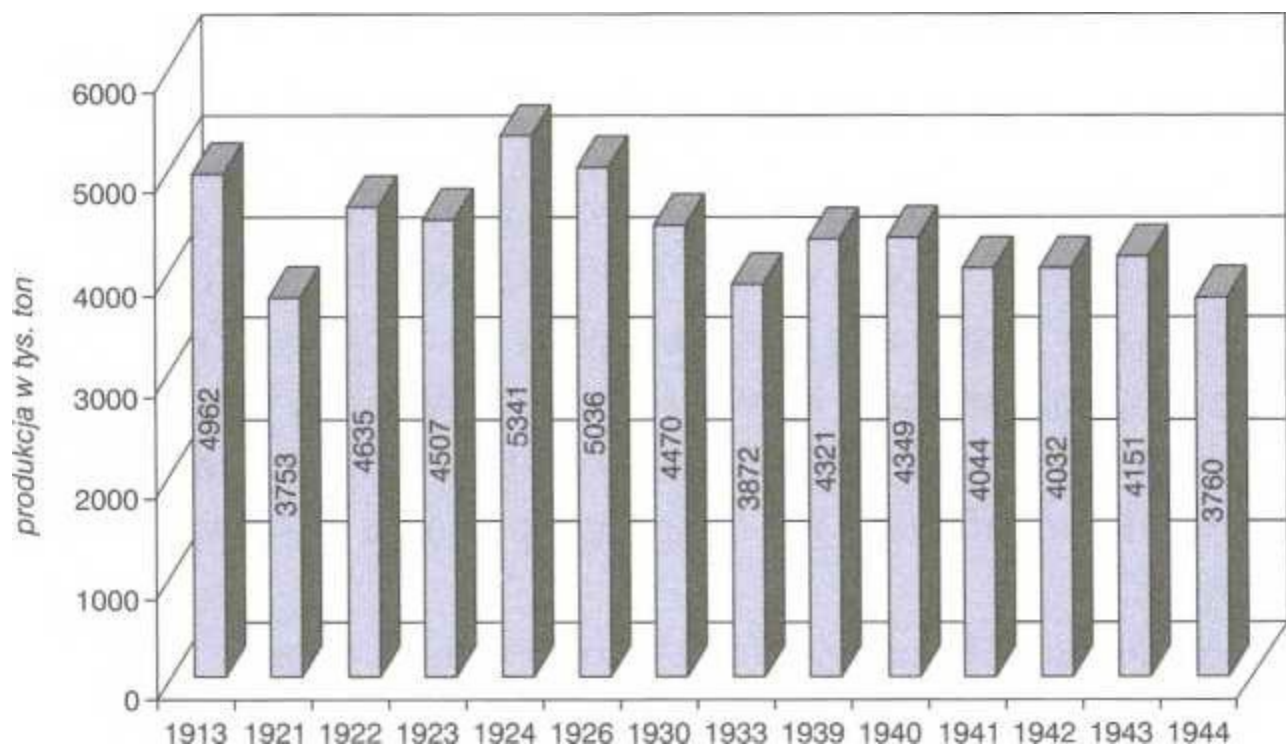
\* *Eksploracja górnicza a ochrona wałbrzyskich kopalń*, Główny Instytut Górnictwa, Katowice 2000, wydanie na płycie CD udostępnione autorowi przez GIG. \*\* Ibidem.

Z tabeli tej, mimo że dane są znacznie wcześniejsze i zebrano je przed wspomnianym połączeniem, znów jasno wynika, że to największe i najgłębsze kopalnie rejonu wałbrzyskiego.

Wróćmy do relacji. W 1938 roku „inni fachowcy” zaczynają ingerować w procesy wydobywcze. W wymienionych największych wałbrzyskich kopalniach zamykane są szyby i chodniki. Jeśli relacja jest zgodna z prawdą, to musiałoby to wpłynąć na wielkość wydobycia. Sięgnijmy więc ponownie do źródeł:

**Wydobycie węgla w kopalniach rejonu wałbrzyskiego w latach 1913–1944\***

-



I znów zrobiło się ciekawie. W 1924 roku wałbrzyskie kopalnie biją rekordy wydobywania. Pod koniec dekady Niemcy, tak jak i resztę świata, dotyka Wielki Kryzys, lecz po kilku latach w całym kraju wskaźniki przemysłowe zaczynają rosnąć. Osiągają apogeum w lipcu i sierpniu 1944 roku, a częstokroć, jak w wypadku broni strzeleckiej, okrętów i czołgów, na przełomie 1944 i 1945 roku. O przyczynach tego produkcyjnego fenomenu będzie jeszcze mowa, ale liczby nie kłamią. To fakty! Do produkcji niezbędne są surowce, w tym węgiel, a tymczasem w kopalniach rejonu wałbrzyskiego wydobywanie spada! Lekko wzrasta w latach 1939-1940, ale bardzo mu daleko do poziomu z 1924 roku, a już w latach 1941-1942 to istna klęska.

Dlaczego? Nie było tu żadnych bombardowań. Braki w sile roboczej można było bez problemu uzupełnić robotnikami przymusowymi i więźniami z pobliskiego obozu Gross-Rosen. Więc co się dzieje? Sabotaż? Przecież za coś takiego powinny polecieć głowy! Żadne jednak nie lecą, bo wszystko to zostało spokojnie i rozważnie zaplanowane, a służyć miało wsparciu walczących niemieckich wojsk. Jak to możliwe?

Wróćmy do tego, co od dziadka pracującego w kopalni „Gluck-hilf-Friedenshoffnung” usłyszał Kurt O. i co mi później przekazał: w 1938 roku w największych wałbrzyskich kopalniach pojawili się „jacyś fachowcy”, którzy w roku 1939 paradowali już w mundurach SS. Spójrzmy teraz na wykres obrazujący wydobywanie. Wyraźnie wyznacza on kolejne etapy opowieści starego górnika, łącznie z 1943 rokiem, kiedy zatrudniono więźniów i robotników przymusowych — i już wiadomo, dlaczego nie osiągnięto poziomu z połowy lat dwudziestych.

Jak można było osiągać tak dobre rezultaty, skoro z części najwydajniejszych szybów nie wydobywano węgla, lecz zajmowano się tam zupełnie czym innym? Czy sytuacja w kopalniach „Glückhils--Friedenshoffnung” i „Abendrote” nie przypomina tego, co działo się w „Wenzeslausie”? Wiadomo ze źródeł, że chodniki „Abendrote” sięgały także pod sąsiadującą z Chełmcem górę Mniszek\*. Część fachowców sugeruje, że spadek produkcji wiązał się z zamknięciem niewielkich kopalń. Mnie takie tłumaczenie nie zadowala, ponieważ w całych Niemczech zamykano wtedy małe nierentowne kopalnie, ale duże zwiększały wydobywanie.

Część specjalistów, wypowiadając się o niemieckim górnictwie węglowym w tym okresie, mówi o spowodowanym wojną braku rąk do pracy. Czy jednak rzeczywiście tłumaczy to spadek wydobywania w tych kopalniach? Nie zapominajmy o rzeszach więźniów obozów koncentracyjnych. Prawda, w większości byli niewykwalifikowani, a wszyscy słabi fizycznie, ale przerażająco wykorzystywani, pracujący dziesięć-dwanaście godzin na dobę, stanowili znaczącą siłę roboczą. Znamy dziś większość obozów, w których byli trzymani: u podnóża Chełmca na Białym Kamieniu, na Sobiecinie przy ulicy Kosteckiego, na Podgórzu w pobliżu szybu „Eugen” i na Nowym Mieście niedaleko dzisiejszej Szkoły Podstawowej numer 23.

Liczba ich więźniów z upływem wojny wzrosła od kilkuset do 8,5 tysiąca w 1944 roku, czyli aż 44 procent załóg kopalń i koksowni. Ponad połowę z nich stanowili jeńcy radzieccy. Oni byli najgorzej traktowani. Pozbawieni jakiegokolwiek opieki medycznej, stłoczeni w barakach, w których panowały nieludzkie warunki bytowe, wysyłani bez zabezpieczenia do najniebezpieczniejszych robót marli tak szybko, że z czasem front nie mógł nastarczyć z uzupełnieniami. Lecz i z tym sobie poradzono, sięgając po więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, największej na Dolnym Śląsku „fabryki śmierci” z mnóstwem filii. Do Gross-Rosen ze wszystkich okupowanych przez Niemcy krajów płynęły rzeki więźniów, toteż nietrudno było wyszukać wśród nich wystarczającą liczbę fachowców od wydobywania kopalni i produkcji przemysłowej.

Kopalnia „Abendrote” położona jest po zachodniej stronie Chełmca i Mniszka. Od wschodu w masyw ten wgrzyzały się szyby równie, jeśli nie bardziej interesujące.

Należały one do „Glückhilsgrube”. Niedysiejsza kopalnia w latach wojny stała się jednym z najtajniejszych zakładów zbrojeniowych tuż za ówczesnymi granicami Wałbrzycha. W kopalnianych wyrobiskach ukryto fabrykę amunicji chemicznej. Co tak naprawdę tam produkowano? Tego do dziś nie wiemy, bo pod określeniem „fabryka amunicji chemicznej” mogło się kryć praktycznie wszystko - nawet badania atomowe. W

okresie największej produkcji zatrudniano tam około dwóch tysięcy osób. Biegająca przez kopalnię linia kolejowa była w ostatnich miesiącach wojny widowiskiem ciekawego spektaklu. Na rampy wyładowywano materiały budowlane z licznych wagonów ściągniętych z całego obszaru „Riese” - gigantycznego podziemnego kompleksu budowanego na terenie Gór Sowich. Tam nie były już potrzebne, natomiast w tajnej fabryce służyły do budowy ścian maskujących i przegród wodoszczelnych zabezpieczających pomieszczenia, które miały pozostać sekretem III Rzeszy, nawet gdyby teren ten zajęły wrogie wojska.

Kilka dokumentów dotyczących „Glückhilfsgrube” odnaleźć można w aktach Bergamt Waldenburg-Nord - niemieckiego urzędu górniczego sprawującego kontrolę nad kopalnictwem na terenie Sudetów. Oczywiście konkretów próżno tam szukać, ale nawet z owych kilku dokumentów wynika, że ów powstały w kopalni ściśle tajny ukryty obiekt miał specjalne przeznaczenie. Wskazuje na to między innymi skierowanie do pracy w „Glückhilfsgrube” więźniów z dziewięciu pobliskich obozów.

Kiedy obozy te zaczęły pękać w szwach, więźniów kwaterowano w specjalnie przejętych w tym celu budynkach. Siłą roboczą w tej podziemnej fabryce byli Polacy i jeńcy radzieccy nieustannie dostarczani z frontu. Ze wspomnianych dokumentów wynika, że na terenie kopalni prowadziło też jakieś badania tajemnicze laboratorium z własną, bardzo wówczas nowoczesną elektrownią<sup>2</sup>. O znaczeniu produkcji i badań w „Glückhilfsgrube” świadczy to, że przede wszystkim tutaj kierowano jeńców z frontu wschodniego, którzy dostali się do niemieckiej niewoli podczas radzieckiej ofensywy z połowy stycznia 1945 roku. Jakże ważne musiały być prowadzone tu prace, skoro 1 kwietnia 1945 roku osiągnięto rekordowy poziom zatrudnienia – 2945 osób. A było to 37 dni przed pamiętnym dla Wałbrzycha poniedziałkiem, kiedy do miasta wjechał pierwszy radziecki czołg.

Co natomiast działo się na terenie wałbrzyskich kopalń tuż po zakończeniu walk? Oczywiście tym oficjalnym zakończeniu, bo strzały na Dolnym Śląsku słychać było jeszcze długie lata. Opowiada Ludwik Krzyścin, były więzień obozu Gross-Rosen, szef jednej z grup operacyjnych Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego działających w Wałbrzychu i na okolicznych terenach. Starszy pan mimo poważnego już wieku świetnie pamięta tamte czasy.

Wałbrzych znałem bardzo dobrze, ponieważ w 1945 roku, przed wkroczeniem Rosjan, jako więzień stawiałem tu zapory przeciwczołgowe. Mogliśmy przebywać w różnych rejonach miasta i jego okolic. Wiedziałem, że teren gór Chełmiec i Mniszek był za Niemców ściśle strzeżony. Były bunkry, umocnienia i straże. Na Chełmiec więźniowie budowali specjalną, dostępną dla samochodów drogę. Wiele osób opowiadało, że w okolicach kamieniołomów coś było chowane, wysadzano jakieś wejścia. Po wojnie



radzieckie wojska na tej górze siedziały bardzo długo, bo do września lub października 1946 roku. Zamknęli dojścia na górę, cały teren był znów ściśle pilnowany. Coś tam ciągle majstrowali. Często słyhać było głucho, podziemne wybuchy. Na górę jeździły rosyjskie ciężarówki, puste, co było widać po resorach i lekkości, z jaką się poruszały. Wracały już pełne, ze szczelnie zasznurowanymi plandekami. Co wywoziły, nie wiadomo i lepiej było się wtedy nie dowiadywać. [...] Obok Chełmca jest niższa góra nazywana Mniszek. Tam mieli Ruscy prawdziwą niespodziankę, jak weszli. Na całej górze było mnóstwo bunkrów i armat przeciwlotniczych sprzężonych z bateriami reflektorów i radarami. Mówili potem, że tak nowoczesnych dział przeciwlotniczych jeszcze nie widzieli. Na Mniszku też wejścia pod ziemię były, tak samo jak na Chełmcu. Stamtąd też długo coś wywozili.<sup>3</sup>

Co wywozili Rosjanie, dokładnie nie wiadomo, bo starali się wywieźć... wszystko. Interesujące informacje na ten temat opublikował doktor Mirosław Golon z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Odnalazłem wśród nich ciekawy passus na temat Wałbrzycha.

Bardzo poważną kwestią związaną z posiadanymi jeszcze przez AR [Armię Radziecką — J.R.] obiektami przemysłowymi były wypadki wywozu tych obiektów lub innego należnego Polsce mienia. Tylko w sytuacji orientacji w zawartości transportu władze polskie były w stanie zareagować na te grabieże. Czasem próby takie podejmowano na granicy lub jeszcze w trakcie załadunku transportów. Np. w czerwcu 1947 r. na stacji w Lublinie zatrzymane zostały trzy wagony PGW<sup>4</sup> z Kluczborka do Kowla z towarami luksusowymi, m.in. meblami, zegarami i pianinami. Nie jest znany dalszy los tego niewielkiego transportu z radzieckim szabrem. Znacznie poważniejszą sprawą była potężna partia zrabowanych dóbr wysłana ze Świebodzic, przez oddziały gen. Batowa, w listopadzie 1947 r. w transporcie wojskowym złożonym z 50 wagonów. Transport wg dokumentów miał zawierać wyłącznie mienie wojskowe. Urząd Likwidacyjny w Wałbrzychu zdążył jednak na czas interweniować i transport, za zgodą wiceministra Szyra, zatrzymano na stacji w Kluczborku, gdzie zażądano udostępnienia wagonów do kontroli. Najbardziej niesamowity wydźwięk miała sporządzona przez delegata rządu notatka z rozmowy z gen. Sakowiczem ze Sztabu PGW, który stwierdził, że w razie zatrzymania składu żołnierze zniszczą jego zawartość, a nie oddadzą go Polakom [sic!]. Trudno uwierzyć, aby w informacji dla wicepremiera Gomułki w delikatnej sprawie o na poły politycznym zabarwieniu Delegat cokolwiek zmyślił. Po ponad 10 dniach przetargów Dowództwo PGW zgodziło się na kontrolę, która wykazała, że wywożono m.in. blachę aluminiową, drewno budowlane, meble i inne niewojskowe materiały. Po kolejnych

naciskach Rosjanie wymusili zgodę na odprawienie 20 wagonów do Rosji, a 30 z powrotem do bazy radzieckiej w Strzegomiu<sup>5</sup>

Wróćmy jednak do niemieckich poczynań w Wałbrzychu i jego okolicach. Z relacji Ludwika Krzyścina i świadectw na temat wcześniejszych, niemieckich prac na tym terenie jasno wynika, że w czasie wojny w obrębie Chełmca i Mniszka wybudowano jakieś podziemne i naziemne instalacje. Obie te góry wznoszą się blisko kopalń, o których opowiadał stary niemiecki górnik, ojciec Kurta O. Twierdził on, że na ich terenie przez esesmanów i pod ich nadzorem wykonywane były jakieś dziwne prace. Obie te relacje wzajemnie się potwierdzają.

Pytanie, cóż to było tak ważnego, że do tajemnicy nie dopuszczano nawet rdzennych Niemców, że zainstalowano potężne baterie najnowocześniejszych armat przeciwlotniczych, że po wojnie tajemnicę chronili... No właśnie. Pora wspomnieć o bardzo aktywnej na tamtym terenie organizacji, która długie lata była przekleństwem polskiego osadnictwa. Jej działalność bardzo się przyczyniła do utajnienia podziemnych niemieckich budów i instalacji wojskowych w okresie powojennym, przez co do dziś niewiele wiemy o podziemnych fabrykach i laboratoriach III Rzeszy na Dolnym Śląsku.

Było lato 1943 roku. Niemieckie natarcie na łuku kurskim zostało zatrzymane i Hitler rozkazał przerwać operację „Cytadela”, która miała doprowadzić do okrążenia i zniszczenia wojsk radzieckich w rejonie Kurska. Niemcy ponieśli wielkie straty w ludziach i sprzęcie, zaczęła się także zarysowywać przewaga Rosjan. Na tajnym spotkaniu Heinricha Himmlera z kilkoma ministrami i zaufanymi wyższymi oficerami SS po raz pierwszy pojawiła się myśl, że niewykluczone, iż kiedyś wojska niemieckie będą musiały przejść do odwrotu. Oczywiście o tej naradzie w gabinecie Reichsführera nie mógł wiedzieć Hitler, bo jej uczestnicy zapewne natychmiast stanęliby przed plutonem egzekucyjnym oskarżeni o sianie defetyzmu. Obradujący stworzyli zarysy planu nazwanego roboczo „W ü” - od *Werwolf*, czyli „wilkołak” – mającego na celu zorganizowanie dywersji na tyłach wojsk nieprzyjaciela.

Upłynęło kilkanaście miesięcy. W okupowanej przez Niemcy Europie i w samej Rzeszy działały się w tym czasie ważne rzeczy. Jeszcze w 1943 roku na Sycylii wylądowały wojska alianckie i rząd Badoglio wypowiedział wojnę Niemcom, na konferencjach w Waszyngtonie, Quebecu, Kairze oraz Teheranie planowano wspólne działania aliantów i obmyślano kształt powojennej Europy, a na niemieckie miasta i fabryki sypały się tysiące ton bomb. W roku 1944 położenie Rzeszy wciąż się pogarszało. Jej armie na froncie wschodnim już zdecydowanie się cofały, we Włoszech klęska goniła klęskę, w Normandii lądowały wojska sprzymierzonych i szybko nacierając, zaczęły zagrażać granicom Niemiec,

a w Wilczym Szańcu dokonano zamachu na Hitlera. Wyczerpywały się zasoby ludzkie i we wrześniu Führer rozkazał utworzyć Volkssturm, oddziały obrony terytorialnej grupujące wszystkich nie służących w regularnej armii mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat, którzy zdolni byli do noszenia broni, liczące od 4 do 5 milionów ludzi.

To wszystko, łącznie z nieskutecznością „cudownych broni” - rakiet V-1 i V-2 - musiało uzmysłwić wielu decydom, że wojna może się zakończyć dla Rzeszy klęską i okupacją. Jesienią 1944 roku Heinrich Himmler znów zorganizował tajne spotkanie - w znacznie już poszerzonym gronie. Tematem rozmów był ponownie plan „W-ü”, a raczej takie jego zmodyfikowanie, by możliwa była zorganizowana walka podziemna w warunkach okupacyjnych. Twórcą i późniejszym koordynatorem całego przedsięwzięcia został pułkownik Reinhard Gehlen<sup>6</sup>.

Trudno było o lepszy wybór. Doświadczony oficer wywiadu, opracowując strukturę owej podziemnej organizacji, czerpał z najlepszego wzorca - polskiego ruchu oporu. Po upadku powstania warszawskiego wywiad SS zdobył powstańcze archiwa, w tym dokumenty dotyczące struktury oddziałów, ich organizacji i wyszkolenia. Zasady decentralizacji organizacji, oparcie siły podziemnego wojska na niewielkich, ruchliwych oddziałach, materiały do szkolenia przyszłych sabotażystów, wywiadowców i dywersantów, organizacja łączności, zaopatrzenia, magazynów... Wystarczyło skopiować i wprowadzić w życie. Struktury dostosowano do miejscowych potrzeb i bardzo rozsądnie zdecydowano, że będą formowane wokół miejscowych dowódców sił bezpieczeństwa, którzy najlepiej znali swój teren i ludzi, co było główną przyczyną późniejszych trudności w zwalczaniu Werwolfu.

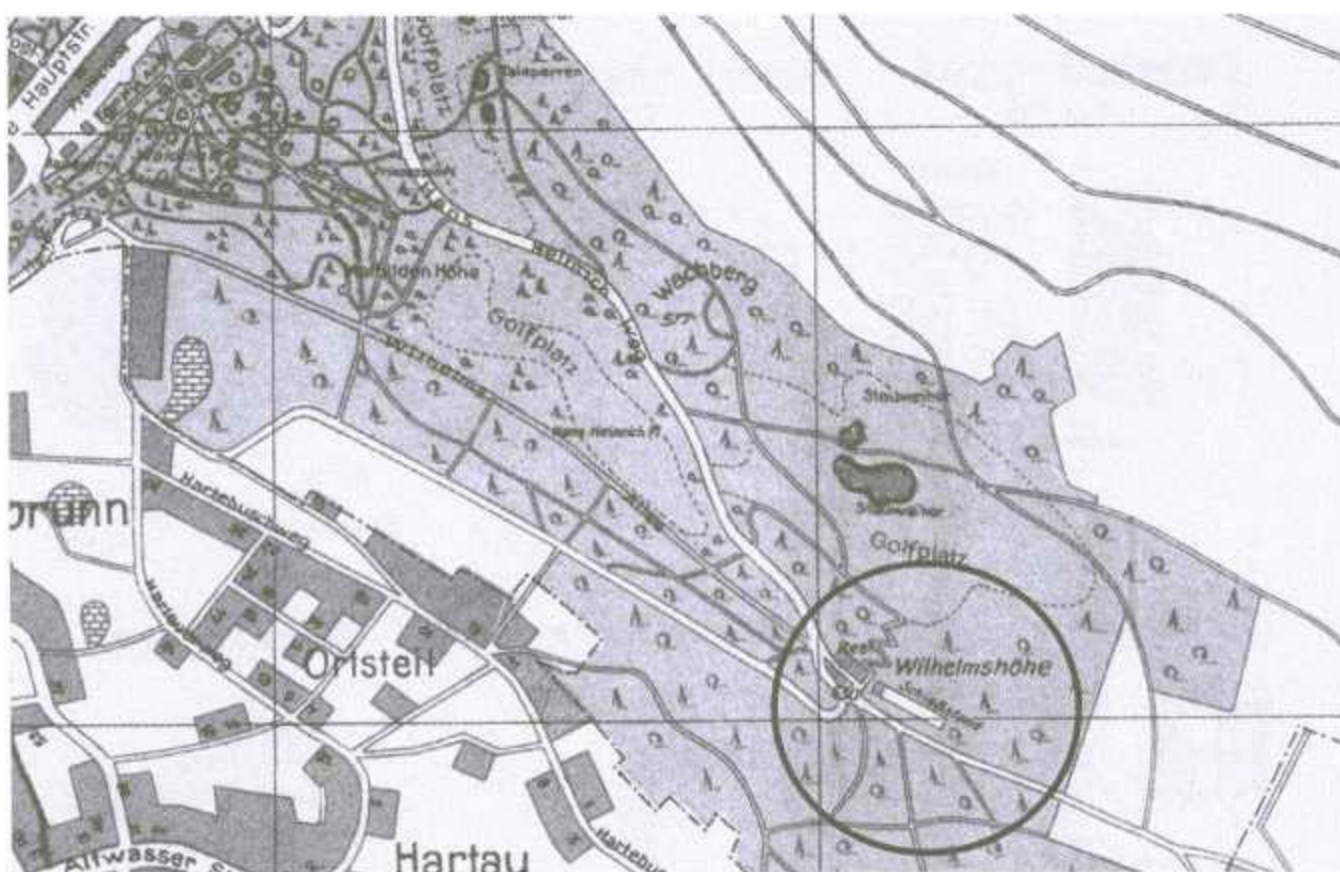
Werbunek do tajnej organizacji rozpoczęto pod koniec 1944 roku. Chętnych było wielu, do czego przyczyniały się opowieści uchodźców o rabunkach, gwałtach i mordach czerwonoarmistów na zdobytych terenach. Podczas rekrutacji wylaniano więc najlepszych, najsprawniejszych, najbardziej zaufanych i oddanych „sprawie”. Dla tej elity utworzono specjalne ośrodki szkoleniowe w Hanowerze, Ahlbecku, Nysie, Cieszynie oraz Wrocławiu. Ukończyło je wówczas około 1300 osób, ale pamiętać należy, że była to jedynie kadra, która szybko rozjechała się do miejsc zamieszkania, by prowadzić tam nabór i szkolenie rekrutów. Wiem, że takie kursy odbywały się na przykład w Wałbrzychu i Szczawnie-Zdroju. Na Wilhelmshöhe, dzisiejszym szczawieńskim Wzgórzu Gedymina, na tamtejszej strzelnicy prowadzono szkolenie bojowe „wilkołaków”, a w ściśle strzeżonym Grand Hotelu i restauracji - zajęcia teoretyczne.

Na ciekawe kursy uczęszczał już od połowy lutego 1945 roku przyjmowany do Werwolfu

wyższy i średni personel wałbrzyskich kopalń. Niemcy dobrze wiedzieli, że nowa administracja będzie chciała jak najszybciej przywrócić wydobywanie węgla, lecz niewątpliwie zabraknie specjalistów znających specyfikę tutejszych złóż. Przewidywano zatem, że Sowieci i Polacy z konieczności zatrzymają część Niemców na stanowiskach albo zatrudnią jako doradców. Szkolono więc górników dołowych w zakładaniu min pułapek, które miały odstraszyć nowych gospodarzy od niektórych chodników, a nawet spowodować zalanie całego pokładu. Wskazywano im i uczono maskować te części wałbrzyskich kopalń, do których nowi właściciele nie powinni dotrzeć. Szykowano cały zespół działań dezinformacyjnych mających zatrzymać po wojnie wydobywanie tam, gdzie prowadzono prace i badania o charakterze militarnym. Podmieniano plany kopalń na takie, w których nie oznaczono części chodników, by umożliwić dywersantom z Werwolfu skryte przemieszczanie się po kopalniach i ucieczkę po akcji czy korzystanie z podziemnych składów broni, żywności i środków medycznych.

Szybkie postępy radzieckiej ofensywy styczniowej w pełni potwierdziły niemieckie przewidywania. Landkreis Waldenburg, czyli powiat wałbrzyski, zamieszkiwało przed majem 1945 roku ponad 80 tysięcy osób (w 1939 roku żyło tu 118 tysięcy ludzi, znaczna część mężczyzn została jednak zmobilizowana), z czego ponad dwie trzecie zbiegło przed Rosjanami za Odrę i Nysę. Zostali zbyt starzy na ucieczkę, najsilniej przywiązani do rodzinnych domostw oraz ci, któ-



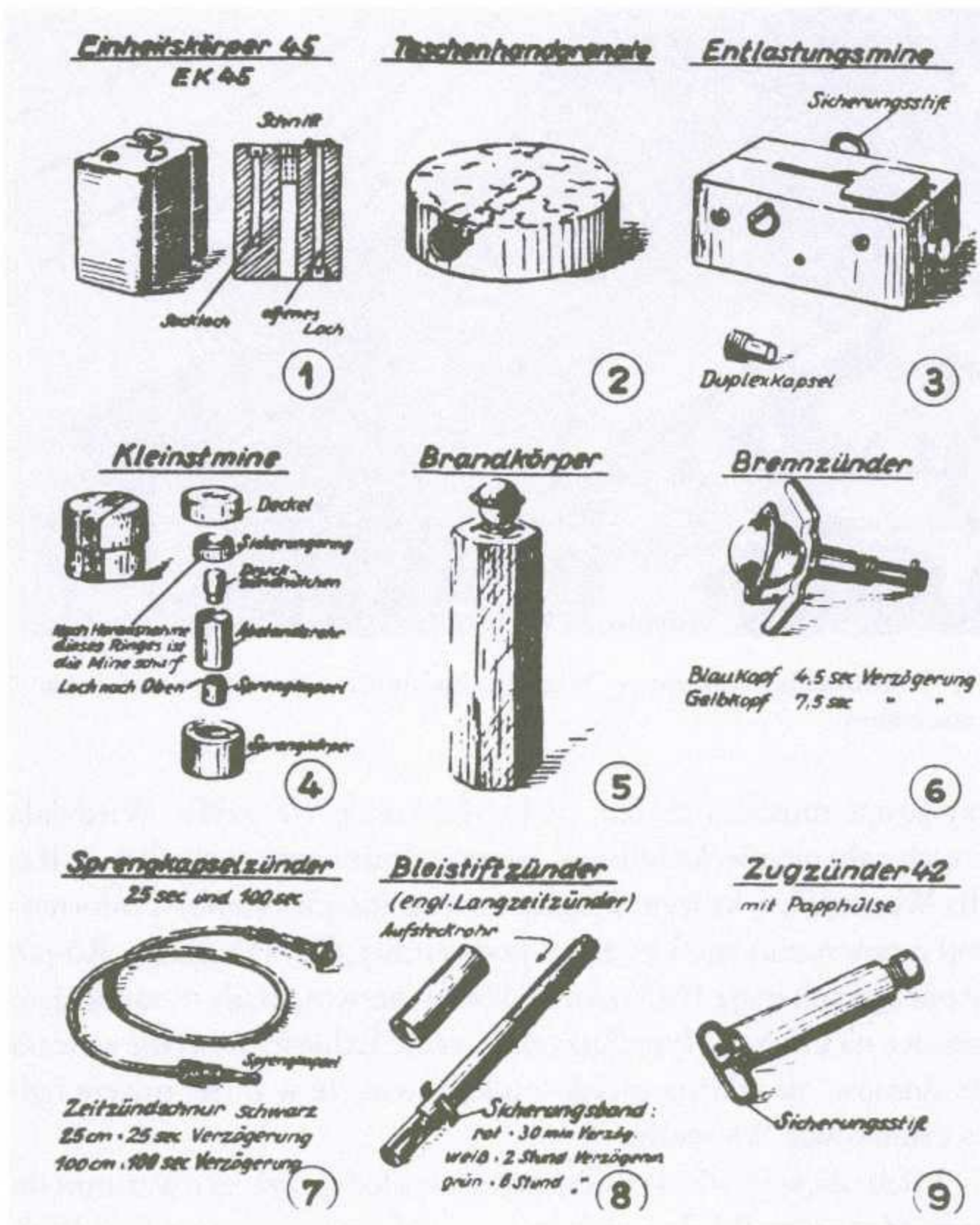


Na Wilhelmshöhe – dzisiejszym Wzgórzu Giedymina – Werwolf prowadził szkolenia bojowe

rzy zostać musieli i chcieli, czyli członkowie Werwolu. Wiedziała o nich cała niemiecka ludność, powszechnie bowiem słuchano „Radia Werwolf”, w którym między innymi Joseph Goebbels informował o powstaniu wielkiej armii podziemnej. Od wkroczenia Rosjan w początkach maja 1945 roku do końca czerwca, kiedy to zamknięto granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, część ludności powiatu wracała do domów, ale można śmiało podejrzewać, że w dużej mierze byli to członkowie Werwolu.

Mieli oni w powiecie wałbrzyskim wielce sprzyjające warunki do prowadzenia walki. Lasy porastające stykające się pasma Gór Wałbrzyskich, Kamiennych i Sowich umożliwiały skryte przemieszczanie się, a nie znane nowej administracji chodniki dawnych i nowych kopalń oraz niedostępne podziemne budowle z okresu wojny pozwalały na rozbudowę niewykrywalnego zaplecza. Do tego trzeba dodać, że technicy i inni fachowcy w szeregach Werwolu mogli tu korzystać z wszelkiego specjalistycznego sprzętu przydatnego tajnej organizacji. Pod ziemią, w kopalnianych chodnikach i niedawno wykutych halach, mieściły się przecież fabryki, pracownie i laboratoria pracujące dla przemysłu zbrojeniowego i wywiadu wojskowego Rzeszy. Nie było problemem ulokowanie w nich i prowadzenie wytwórni najwymyślniejszych min pułapek, tajnych drukarni produkujących fałszywe dokumenty, warsztatów naprawczych broni i innego sprzętu, szkół dla dywersantów prowadzących nakazane czternastodniowe kursy

oraz magazynów, a nawet podziemnych strzelnic. Idealne zaplecze do działań partyzanckich.



z archiwum Igora Witkowskiego

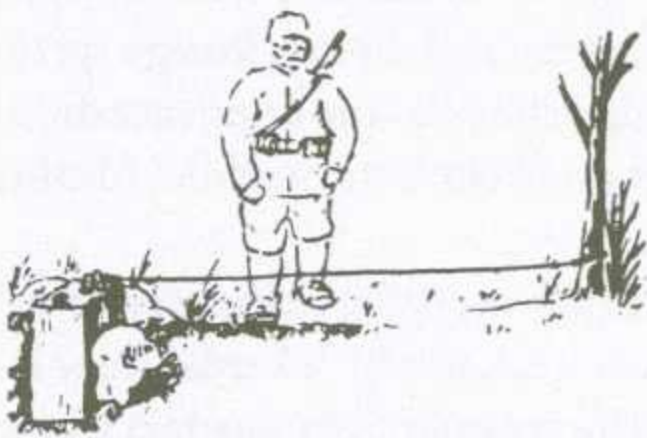
Pałapki minerskie Werwofu

Przed i po kapitulacji Niemiec instruktorzy Werwofu uczyli swoich ludzi, zwłaszcza tych, którzy znali język polski, wkładać się w łaski przedstawicieli władz. Popularną

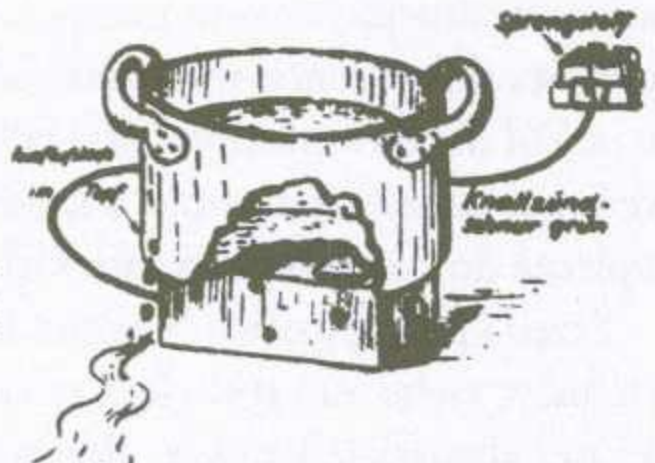
metodą było nawiązywanie intymnych stosunków z pracownikami ważniejszych urzędów. Posuwano się nawet do ślubu. Inni za dnia udawali, że pogodzili się z nową sytuacją i chętnie współpracują z nową władzą, nocą zaś w zorganizowanych grupach mordowali Polaków, a także Niemców niechętnych do współpracy z podziemiem. Charakter tych grup był tak różny, jak różne były cele Werwolfu. Grupy wojskowe występowały zbrojnie przeciw oddziałom polskim i radzieckim, prowadziły także sabotaż przemysłowy i działania czysto terrorystyczne. Grupy woj-skowo-cywilne w dzień rozpraszały się, nocą natomiast przyłączały się do wojskowych, a nawet przejmowały ich zadania. Grupy cywilne, złożone najczęściej z fachowców zatrudnionych na przeróżnych, niekiedy odpowiedzialnych, stanowiskach w nowej administracji, zajmowały się sabotażem i dezinformacją, często też kontynuowały nie ukończone prace zabezpieczające w miejscach, które dla Polaków i Sowietów miały pozostać niedostępne. Dwa ostatnie rodzaje grup prowadziły również intensywną działalność wywiadowczą.

Pod koniec czerwca 1945 roku zamknięto granicę dla Niemców zamierzających wracać na Dolny Śląsk. W praktyce jednak niektóre rejony były, szczególnie nocą, we władzy Werwolfu, na innych zaś charakter terenu, systemy tajnych tuneli i kryjówek oraz współpraca ludności z Werwolfem niezwykle utrudniały kontrolę pasa przygranicznego. W lipcu 1945 roku Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego udało się aresztować 32 „wilkołaków”, jednak w nocy wciąż bardzo często słyhać było strzały. Nie mogło być inaczej, skoro - jak wykazał spis powszechny ze stycznia i lutego 1946 roku - na Dolnym Śląsku, przede wszystkim w zwartych skupiskach miejskich, mieszkało 1 330 000 rdzennych Niemców, co przy szczupłości polskiego osadnictwa stwarzało Werwolfowi warunki do faktycznego panowania nad znacznymi obszarami tego rejonu. Dotyczyło to przede wszystkim Sudetów.

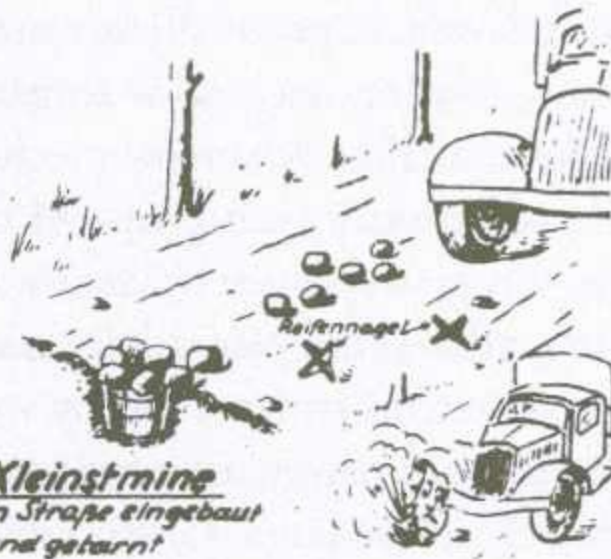




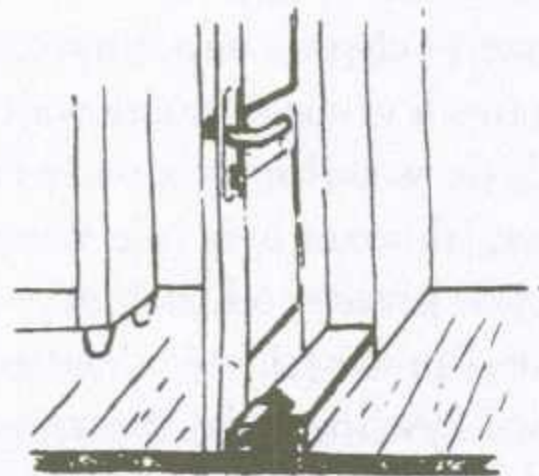
**EK45 mit Zugzünder als Stolperfalle**



**Entlastungsmine als Zeitzünder**



**Kleinstmine in Straße eingebaut und getarnt**



**Entlastungsmine als Raumsperre**

**Strassenverminnung mit Entlastungsmine und Kleinstmine**



Taschenhandgranate zur Erhöhung der Sprengwirkung

Sicherungsstift nur bei Belastung herausziehen

**Entlastungsmine unter Kiste eingebaut**



Sicherungsstift langsam herausziehen

z archiwum Igora Witkowskiego

Niektóre metody wykorzystania pułapek minerskich

Wciąż pracujący w tamtejszych kopalniach niemieccy fachowcy dopuszczali się licznych aktów sabotażu nie tylko utrudniających uruchomienie zakładów, ale często prowadzących do ich zniszczenia. W powiecie wałbrzyskim (nie tylko, lecz przede



wszystkim) działała również druga pod względem liczebności niemiecka organizacja podziemna - Freies Deutschland. Należeli do niej cywile, w większości osoby dobrze wykształcone, sprawujące kierownicze stanowiska w kopalniach, koksowniach, elektrowniach i hutach, co rzecz jasna bardzo im ułatwiało prowadzenie sabotażu. Organizacja ta jednak powoli rezygnowała z działań zaczepnych i skupiała się na zacieraniu śladów i zabezpieczaniu nazistowskich tajemnic, kierując się zaleceniem jej członka Hansa Handelsmanna, który stwierdził, że trzeba robić wszystko, aby w każdej chwili Niemcy znów mogli objąć swój dorobek<sup>7</sup>.

Tymczasem dowódcą Werwofu został wałbrzyszanin Zoegger, a jego zastępcą jeden ze szczawieńskich instruktorów, Josef Wein-gang z Bad Salzbrunn. W 1947 roku, aby maksymalnie utrudnić de-konspirację, całkowicie wyodrębnili oni i podzielili na cztery grupy część dywersyjną organizacji, która otrzymała nazwę Kessel-Ring. Dowodzili w niej esesmani. Pierwszą grupą Helmuth Nowak, drugą Alfred Kramer, trzecią Eksner. Czwarta, chyba najbardziej aktywna, Munition-Spreng-Gruppe, działała pod komendą Waltera Ebsberga w okolicach Jedliny-Zdroju, przedwojennego Bad Charlottenbrunn. Jej głównym celem były fabryki i kopalnie regionu wałbrzyskiego, w których dokonała licznych aktów sabotażu.

Dlaczego się tak rozpisuję na temat Werwofu? Odpowiedź na to daje między innymi lektura jednego z ogólnodostępnych opracowań historycznych:

Działania wojenne w 1945 roku ominęły południową, górzystą część Dolnego Śląska. Wałbrzych został wyzwolony przez 21 armię wojsk radzieckich 8 maja. Miasto, jak też zakłady przemysłowe, w tym kopalnie, nie odniosły żadnych uszkodzeń w wyniku działań wojennych. Władzę w mieście z rąk radzieckiego komendanta wojennego przejęła polska grupa operacyjna 28 maja 1945 roku. Przejmowanie przemysłu węglowego — kopalń i koksowni — przez Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego rozpoczęto na początku czerwca 1945 roku. Dolnośląskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego z siedzibą w Wałbrzychu zostało formalnie zorganizowane dopiero 7 sierpnia tego roku.

Zjednoczenia węglowe, grupujące kopalnie według terytorialnego klucza, miały osobowość prawną i działały na zasadach skomercjalizowanych przedsiębiorstw państwowych. Obejmowały one swym zarządem kopalnie, koksownie, brykietownie i inne zakłady pomocnicze przemysłu węglowego. W Wałbrzychu Dolnośląskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego zgodnie z okólnikiem CZPW nr 64 z dnia 7.08.1945 roku przejęło majątek dwóch towarzystw akcyjnych:

1. Towarzystwa Wabag, które miało kopalnię Fürstensteiner-Bahnschachtanlage,

nazywaną do 1.01.1946 roku kopalnią Wałbrzych, wraz z elektrownią, koksownią, cegielnią, tartakiem, lasami i majątkiem rolnym;

## 2. Towarzystwa Nibag wraz z podległymi mu kopalniami:

Fuchs (do 1.01.1946 roku noszącą nazwę Julia) z elektrownią, koksownią i tartakiem, oraz Glückhilm-Friedenshoffnung (Victoria) wraz z elektrownią, koksownią i tartakiem, Melchior (od 1.01.1946 roku Mieszko) wraz z koksownią i elektrownią.

Oprócz wymienionych kopalń Zjednoczeniu podlegały: brykietownia Lofix, fabryka kwasu siarkowego, fabryka maszyn górniczych, warsztaty mechaniczne, zakłady budowlane, obiekty socjalne i osiedla mieszkaniowe.<sup>8</sup>

Potężny ośrodek przemysłowy kierowany przez... Ano właśnie. Z tym był największy problem. Posłuchajmy znów Ludwika Krzyścina, który na tym terenie przebywał od 1945 roku:

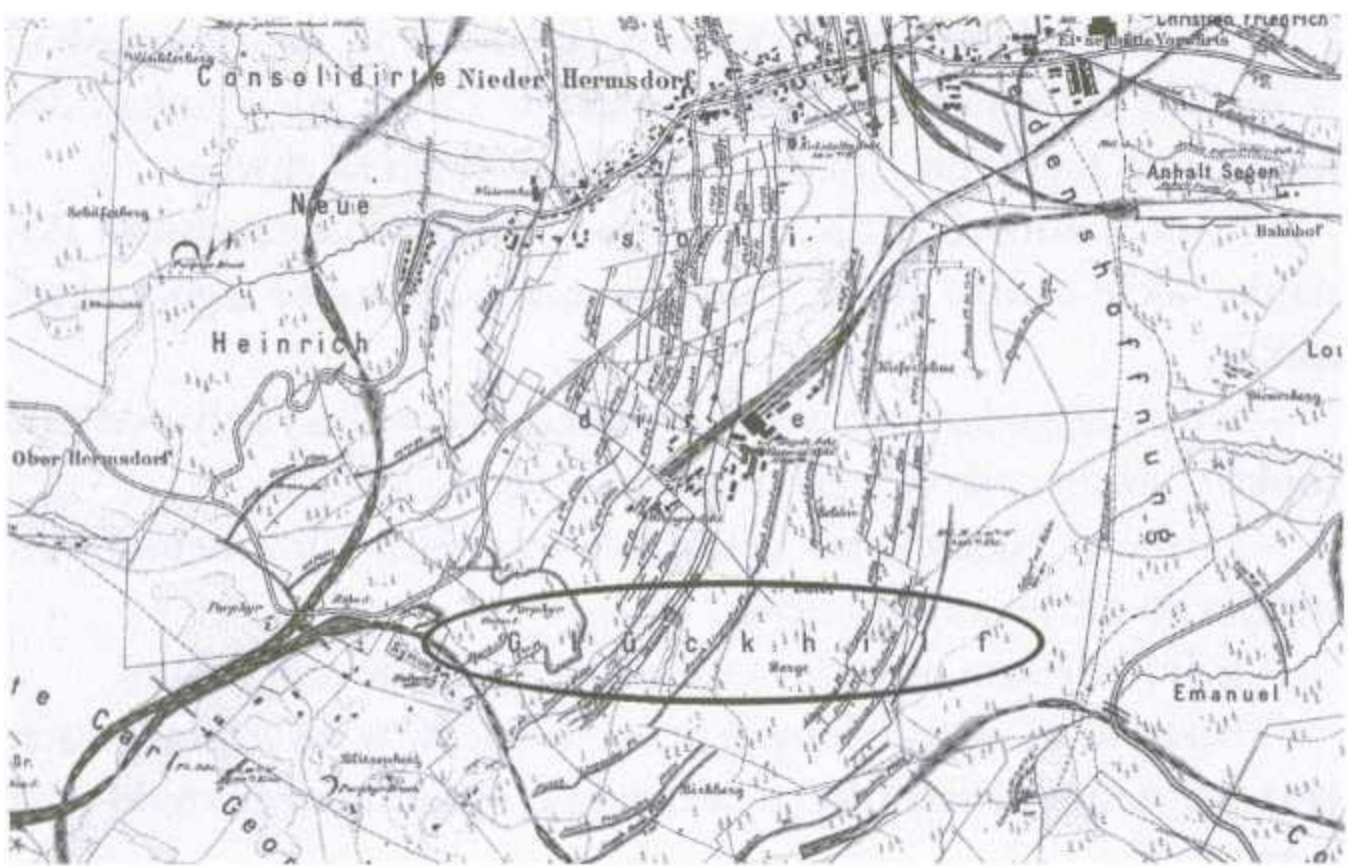
Bezpośrednio po wojnie w kopalniach Wałbrzycha bardzo brakowało fachowców, poczynając od górników dołowych, kończąc na personelu kierowniczym wszelkich szczebli. Górny Śląsk i jego kopalnie takie braki odczuły w mniejszym stopniu. Ludność napływająca powoli na teren Dolnego Śląska na wydobywaniu kopalin nie znała się wcale lub prawie wcale, a kraj z trudem podnoszący się z gruzów potrzebował węgla i jeszcze raz węgla. Nie było wyjścia, na poszczególnych stanowiskach pracy trzeba było zatrudniać pracujących tu wcześniej Niemców. W 1945 i 1946 roku Niemcami byli górnicy, sztygarzy, kierownicy poszczególnych odcinków, personel biurowy. Pracowały całe niemieckie oddziały wydobywcze pod strażą pracowników MBP. Przyczyna była prosta. Znali te kopalnie i zasady ich działania. Innych fachowców nie było.

Często personel nadzoru stanowili niedawni pracownicy przymusowi zatrudnieni w kopalniach, a nawet więźniowie obozów znajdujący się w dobrej kondycji fizycznej. Około 75-80 procent załóg stanowili jednak Niemcy powoli szkolący polskich górników. Do kopalń kierowano także przymusowo osoby skazane, często niesłusznie, przez polskie sądownictwo. Taka, oparta na Niemcach kadra nie mogła zapewnić ani efektywnego wydobywania, ani dobrych stosunków pomiędzy pracownikami, nie pozwalała też Polakom w pełni poznać kopalń. My przecież nie znaliśmy nawet układu chodników na poszczególnych kopalniach. Poszukiwania były bardzo trudne ze względu na wielką liczbę małych szybików łączących poszczególne chodniki. Plany, jakie otrzymywaliśmy, bardzo często były niepełne, a często celowo fałszowane, bo niemieccy pracownicy doskonale znający każdy szyb z oczywistych powodów nie darzyli sympatią nowej władzy, a chętnie słuchali o rodzącej się zaraz po wojnie organizacji nazywanej Werwolf. Nie znaliśmy

wtedy jej struktury, składu osobowego ani zasięgu działania, który z czasem okazał się bardzo duży. Coraz częściej zdarzały się akty sabotażu, w nieznanymi chodnikach kopalń natykaliśmy się na ukryte składy broni i materiałów wybuchowych.

W jednym z zamaskowanych pomieszczeń na dole odnaleźliśmy pancerne szafy z dokumentami świadczącymi o adaptowaniu podziemnych korytarzy na tajne skrytki i czasowe kryjówki działających przeciw nam band. Mogliśmy nawet poznać schemat działań przygotowywanych przeciw polskim władzom, jednak na zapoznanie się z tą dokumentacją nie było dużo czasu, bo bardzo szybko przejęły ją radzieckie organy bezpieczeństwa. Miały łatwo, bo w pobliżu na Sobięcinie umieszczono placówkę NKWD, prawie 700 osób [podkr. J.R.], w większości doskonale wyszkolone i świetnie znające niemiecki kobiety. Jakoś tak wychodziło, że na kopalni często pojawiały się te same, które widziałem na terenie fabryki Fiebiga, produkującej w czasie wojny nie tylko solidne sejfy, lecz jak się później dowiedziałem, także części do niemieckich rakiet, chyba elementy usterzenia [podkr. J.R.]. Z przedstawicielami radzieckich władz także było trochę problemów, bo majątek trwały kopalń traktowali oni jak mienie zdobyczne, a nam był on potrzebny do kontynuowania wydobywania.

Na terenie kopalń Rosjanie ciągle zabierali kogoś z niemieckiego personelu, a jeszcze częściej szukali czegoś w podziemnych chodnikach, zamykając przed nami całe szyby. Rosjan, a także mnie, interesowały chodniki prowadzące pod górę Chełmiec, bo zupełnie ich nie rozpoznaliśmy. Znałem wiele z nich, ale kończyły się wykonanym niepotrzebnie zawałem odstrzelonych ścian. Co było za tymi zawałami, nie wiem do dziś [podkr. J.R.], bo Niemcy pytani o nie zasłaniaли się niewiedzą i twierdzili, że lepiej o to nie pytać, bo to niebezpieczny temat. Interesowałem się jednak tym bardzo, bo miałem informacje o jakimś składzie Werwolfu. Temat rzeczywiście okazał się niebezpieczny, bo kiedyś, po jednej z prób rozpoznania podziemnego chodnika, wieczorem, gdy wyszedłem z szybu na terenie kopalni „Victoria”, strzelano do mnie i raniono w nogi. Nie zaprzestałem jednak roboty i udało się nam rozbić dwie grupy Werwolfu z Sobięcina. Drugą z tych grup udało się nam ująć w chodnikach prowadzących właśnie pod Chełmiec, ale kilku naszych zostało rannych w tej potyczce. Efektem tych akcji było aresztowanie w latach 1946-1947 szefów tych grup umieszczonych w wałbrzyskiej energetyce i strzegących tam niemieckich tajemnic.<sup>9</sup>



Po wojnie kopalnię tę nazwano „Victoria”

W takiej właśnie sytuacji znalazł się Dolny Śląsk tuż po wojnie. Z działań Niemców, a później Sowietów, można wyciągnąć kilka oczywistych wniosków:

- w omawianych miejscach jedni i drudzy musieli wykonywać dziwne, niezwykle ważne zadania;
- Niemcy siłami i pod nadzorem SS od 1938 roku prowadzili w wielkiej tajemnicy jakieś prace, niektóre z nich, jak wynika z dokumentów, nawet do 1 maja 1945 roku, o czym za chwilę;
- w tych samych miejscach długo i intensywnie pracowali Rosjanie, także bardzo dbając o utrzymanie w tajemnicy tego, co tam robili;
- tereny te znalazły się w strefie działań Werwolfu i były pod jego „opieką” aż do całkowitego zniszczenia tej organizacji;
- zarówno Niemcy, jak i Rosjanie wysadzili lub zabetonowali wejścia do omawianych miejsc;
- jedni i drudzy usunęli świadków tego, co się tam działo;
- liczba ludzi zatrudnionych przez Niemców w owych miejscach oraz użyte środki techniczne świadczą o ogromnym zakresie tych prac.



Nadszedł czas na wnioski. Jeśli do tego, co wiemy z dokumentów i relacji świadków, dodamy informację o utajnieniu części map kopalnianych na przełomie 1937 i 1939 roku lub ich podmianie na fałszywe w ostatnim okresie wojny, to elementy układanki zaczynają do siebie zaskakująco dobrze pasować. Czy nie staje się jasne, że pragmatyczni Niemcy, pragnąc ukryć pod ziemią badania i produkcję zbrojeniową, zaczęli już w 1938 roku przygotowywać gigantyczny podziemny kompleks zbrojeniowy? Ciągi łatwych do połączenia chodników kopalnianych stanowiły świetną sieć komunikacyjną, należało tylko wydrążyć komory na laboratoria, podziemne fabryki i montażownie. Wykuwano je rzecz jasna poza pokładami węgla, w których napotkać można było groźny wybuchami gaz.

Największe komory Niemcy zdecydowali się wykuć w porfirach, dolomitach i granitach, które mają właściwości mechaniczne doskonale sprawdzające się w tego rodzaju konstrukcjach. Powstały tak znane nam dziś częściowo obiekty „Włodarz”, „Rzeczka”, „Osów-ka”, „Jugowice”, „Książ”. Mniejsze pomieszczenia, ze względu na właściwości górotworu, wykonywano w miękkim piaskowcu, tak jak w górach Gontowa, Gruntowa i Włodyka.

Niemieccy planiści uznali, że podstawą gigantycznego podziemnego kompleksu zbrojeniowego, który miał powstać między Ludwi-kowicami Kłodzkimi a Wałbrzychem, musi być rozwinięty system komunikacyjny. Jak wspomniałem, wystarczyło połączyć i zaadaptować istniejące chodniki. W samym „Wenzeslausie” miały one łącznie 130 kilometrów. Ostatni szyb tej kopalni w kierunku interesującym projektantów znajdował się w Rudolfswaldau, dzisiejszej Sierpnicy, czyli znacznie ponad połowę drogi z Ludwikowie Kłodzkich do Wałbrzycha.

A po drodze... Po drodze było już łatwo, bo wszędzie należało jedynie przystosować stare wyrobiska rud metali ciągnące się do Charlottenbrunnu (Jedliny), skąd było już niedaleko do Steingrundu (Kamieńska) z pierwszymi kopalniami zagłębia wałbrzyskiego. Ogromna oszczędność pracy, czasu oraz środków technicznych. I jeszcze jedna bardzo korzystna okoliczność - prace można było niemal całkowicie ukryć przed ciekawskimi. A gdyby ktoś zaczął się czegoś domyślać, wystarczyło powiedzieć, że trzeba sprawdzić i zabezpieczyć stare chodniki. Na terenach górniczych to nic niezwykłego.

---

1

Joseph Wittig, *Kronika miasta Nowa Ruda. Kolebka i rozwój przestrzenny miasta Nowa Ruda*, Wydawnictwo Maria, Nowa Ruda 2004, tom 10, s. 81.

2

Igor Witkowski, *Supertajne bronie Hitlera, część 6. Podziemna III Rzesza*, Wydawnictwo WiS-2, Warszawa 2000, s.

[3](#)

Relacja spisana na prośbę autora przez Andrzeja Nowickiego w listopadzie 2005 r.

[4](#)

Północna Grupa Wojsk - związek operacyjny (skadrowany front) armii Radzieckiej stacjonujący na terytorium Polski w latach 1945–1993. Zgodnie z dyrektywą radzieckiego Naczelnego Dowództwa jej sztab miał być w Łodzi, czasowo w rejonie Bydgoszczy. Marszałek Rokossowski jednak, przekonawszy do tego swoich przełożonych i Bolesława Bieruta, na siedzibę sztabu grupy wybrał mało zniszczoną Legnicę, przed wojną drugie po Wrocławiu miasto na Dolnym Śląsku.

[5](#)

*Północna Grupa Wojsk armii Radzieckiej w Polsce w latach 1945–1956. Okupant w roli sojusznika*, w: *Czasy nowożytnie*, t. VI, Fundacja „Pomerania” i Fundacja Uniwersytecka KUL, Toruń 1999, s. 39.

[6](#)

Reinhard Gehlen (1902-1979) — oficer łącznikowy w czasie kampanii francuskiej, od 1941 r. służył na froncie wschodnim. W kwietniu 1942 r. w stopniu podpułkownika przejął dowództwo Abteilung Fremde Heere Ost - XII Oddziału Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, odpowiedzialnego za wywiad na froncie wschodnim. W grudniu 1944 r. awansowany na generała. Jego wydział zebrał wiele cennych materiałów na temat siły armii Czerwonej. Realistyczne raporty Fremde Heere Ost Hitler uznał za defetystyczne, co 9 kwietnia 1945 r. doprowadziło do dymisji Gehlena. 22 maja tego roku poddał się Amerykanom. Wywiad USA, który docenił jego wiedzę na temat ZSRR i materiały wywiadowcze ukryte przezeń w 50 beczkach, umożliwił mu w lipcu 1946 r. powrót do Niemiec i utworzenie służby wywiadowczej Gehlen Organisation z siedzibą w Pullach pod Monachium. W 1956 r. Gehlen stanął na czele BND, wywiadu RFN, którym kierował do 1968 r.

[7](#)

Jacek M. Kowalski, J. Robert Kudelski, Zbigniew Rekuć, *Tajemnica Riese. Na tropach największej kwatery Hitlera*, Biuro Odkryć, Łódź 2002, s. 198.

[8](#)

*Eksploracja górnicza a ochrona walbrzyskich kopalń...*

[9](#)

Relacja, którą na prośbę autora złożył Ludwik Krzyścin sudeckiemu przewodnikowi Andrzejowi Nowickiemu.

# Dlaczego Dolny Śląsk?

W jakim celu podczas wojny Niemcy skrycie przenosili na cały Dolny Śląsk zakłady przemysłowe i inne firmy pracujące na potrzeby przemysłu zbrojeniowego? Miejsc lokalizacji było bez liku: Lubiąż, Kłodzko, Śleza, Piechowice, Bolesławiec, Kowary, Ogorzelec, Zgorzelec, Leśna, Kamienna Góra, Zielona Góra, Legnica, Strzegom, Bolesławiec, Jelenia Góra, Sobótka, Bolków, Wrocław... Największe zagęszczenie tajnych zakładów było w Górach Sowich i Wałbrzyskich, zwłaszcza w Ludwikowicach Kłodzkich i okolicznych górach, w Walimiu i w pobliżu tej miejscowości, a także w Głuszycy, Wałbrzychu i Książu, gdzie działał potężny, korzystający z własnych laboratoriów badawczych, znajdujący się pod jednym kierownictwem kompleks zbrojeniowy.

Wiemy już, że rozpoczęte w 1942 roku przenoszenie niemieckich zakładów zbrojeniowych na Dolny Śląsk było skutkiem alianckich bombardowań. Tyle że były to już drugie przenosiny — pierwsze zaczęły się w 1935 roku i miały związek z kończącym pierwszą wojnę światową Traktatem pokojowym z Niemcami. Podpisany 28 czerwca 1919 roku wszedł on w życie sześć miesięcy później. Ustalono w nim nowy porządek terytorialny i polityczny w Europie, tak zwany system wersalski. Niemcy utraciły mniej więcej 6,5 miliona ludzi i około 70,5 tysiąca kilometrów kwadratowych, w tym bardzo ważne dla obronności rejony przemysłowe. Nadto zdemilitaryzowano strefę nadreńską, ograniczono liczebność armii niemieckiej do 100 tysięcy żołnierzy, wprowadzono zakaz posiadania czołgów, lotnictwa, okrętów podwodnych, nakazano zniszczyć fortyfikacje. Traktat ów wytrącił Niemcom broń z ręki i jak się zdawało, pozbawił możliwości jej budowania. Razem z Alzacją straciły one ośrodki przemysłu maszynowego, środków transportu, stocznioвого i chemicznego. Z utratą Lotaryngü przepadły kopalnie rud żelaza, węgla kamiennego oraz rozwinięte tam hutnictwo żelaza.

Niemcy miały także zapłacić ogromne reparacje wojenne w wysokości 132 miliardów marek. W tej sprawie jednak pospieszyli im z ratunkiem międzynarodowi, głównie amerykańscy, bankierzy, którzy zarobili krocie na pierwszej wojnie światowej i również teraz zwietrzyli zysk. W wyniku ich starań w 1924 roku powstał tak zwany Plan Damesa, a pięć lat później Plan Younga, przewidujące między innymi rozłożenie reparacji na kilkadziesiąt lat i zasilenie niemieckiej gospodarki pożyczkami w wysokości niemal dorównującej niemieckim zobowiązaniom wobec sprzymierzonych. Na tych pieniądzach w latach dwudziestych wyrosły kartele przemysłowe stanowiące podstawę gospodarki III Rzeszy.

Dojście do władzy Hitlera zapoczątkowało odradzanie się przemysłu zbrojeniowego i niemieckiej armii. Niemcy wciąż jednak musiały się liczyć z restrykcjami traktatu wersalskiego. Początkowo pewne szanse dawała współpraca ze Związkiem Radzieckim, gdzie na potrzeby armii obu państw w tajemnicy pracowali niemieccy naukowcy i technicy oraz radzieckie fabryki zbrojeniowe. Niemcy wbrew zakazowi odtwarzali swoją potęgę militarną, a ZSRR miał dzięki nim dostęp do nowoczesnej myśli technicznej. Fabryki amunicji postawione przez Niemców między rokiem 1926 i 1933, przede wszystkim w Azji Środkowej, w **1939** roku dostarczyły **ZSRR** środków do napaści na Polskę i zaatakowania Finlandii, a dwa lata później pozwoliły doczekać amerykańskiej pomocy.

W Związku Radzieckim działały niemieckie fabryki lotnicze, fabryki amunicji i czołgów, niemieccy żołnierze ćwiczyli na radzieckich poligonach, niemieccy fachowcy nabierali doświadczenia. Nie wkładano jednak wszystkich jajek do jednego koszyka.

Niemcy (a konkretnie niemieckie przedsiębiorstwo IVS, fasadowa firma Kruppa zarejestrowana w Holandii) już od dawna produkowali też okręty podwodne w Finlandii i Hiszpanii (prototypy). W założonej w Turcji (która kupiła okręty wyprodukowane przez IVS) przez Kriegsmarine szkole okrętów podwodnych szkolili się początkowo niemieckie załogi. Dzięki temu Kriegsmarine już w 1935 roku zamówiła połowę tonażu U-bootów dozwolonego Niemcom przez brytyjsko-niemiecki traktat morski z 18 czerwca 1935 roku.<sup>1</sup>

Hitler w końcu poczuł się tak pewnie, że zdecydował, iż dalsze zbrojenia należy prowadzić na terenie Rzeszy, a więc i na niemieckim Dolnym Śląsku. Daleko stąd było do bacznego oczu pilnujących realizacji postanowień traktatu wersalskiego, mimo to należało być ostrożnym, postanowiono więc ukrywać fabryki broni pod ziemią. Rozpoczął się pierwszy etap przenoszenia tam zakładów pracujących na potrzeby armii. Wiemy dziś, że wielu z działających podczas wojny zakładów nie ujęto w programie drugiego etapu przenoszenia przemysłu zbrojeniowego na Dolny Śląsk, z roku 1944 - a to dlatego, że zaczęto je tam lokować wcześniej, właśnie w połowie lat trzydziestych.

Przykładem może być obiekt noszący kryptonim „Heinrich”, jedna z fabryk Lubiąża. Były one budowane w latach 1936-1942 i zostały ukończone na długo przed kapitulacją Rzeszy. Podziemny zespół przypominających ogromne bunkry hal rozciągał się wiele kilometrów kwadratowych na północ i północny wschód od klasztoru Cystersów w Lubiążu. Stanowił on tylko jeden z elementów kompleksu i tak jak pozostałym obiektom w tym rejonie, nadano mu kryptonim od imienia męskiego. Wiemy już, że także w 1938 roku zaczęto budować podobne konstrukcje w Miłkowie, Walimiu i Wałbrzychu.

Etap drugi wiąże się ściśle z tak zwanym programem Geilenberga. Napisałem o nim



szczegółowo w książce *Lampy śmierci*, której fragment pozwolę sobie teraz przytoczyć:

Albert Speer, minister uzbrojenia i amunicji, nie wspomina o swoim własnym urzędniku, Edmundzie Geilenbergu, doskonale dotychczas zarządzającym produkcją amunicji. Urzędnik ten został kierownikiem specjalnej komórki w ministerstwie Speera, utworzonej na początku 1944 roku i szybko rozrastającej się do rozmiarów potężnego wydziału. Jego zadaniem było przenoszenie pod ziemię wszystkich ważnych fabryk Rzeszy w celu ukrycia ich przed alianckimi nalotami. Geilenberg otrzymał wtedy tytuł Generalkommissar für die Sofortmalsnahmen beim Reichsminister für Rüstung und Kriegsproduktion, czyli generalnego komisarza do spraw natychmiastowych przedsięwzięć przy ministrze do spraw zbrojeń i produkcji wojennej. Albert Speer woli też nie pamiętać jeszcze o jednym - o fakcie, że Niemcy w swoich perfekcyjnych planach wykorzystywali często, a nawet bardzo często, do budowy obiektów podziemnych istniejące już kopalnie. Przykładem jest umieszczenie na liście obiektów objętych projektem kryptonimu „Wolf”, obiektu zlokalizowanego w kopalni soli w Wieliczce.

Innymi osobami odpowiedzialnymi za program budowy podziemnych obiektów byli:

- Albert Speer — architekt, minister gospodarki
- Oswald Pohl - generał SS, szef Urzędu Administracji SS
- Karl Otto Saur - szef Jägerstab
- Paul Pleiger — jeden z szefów przedsiębiorstw zbrojeniowych SS
- Hans Kammler — jeden z szefów Urzędu Administracji SS
- Xaver Dorsch - współpracownik Speera, kierownik Organizacji Todta
- Albert Yogler — generalny dyrektor przemysłu
- Karl Fiebinger - jeden z głównych inżynierów budowy podziemnych obiektów „Bergkristall”, „Quarz”, „Olga”, „Raxwerk”, „Schlier”, „Zement”
- Fritz Sauckel — Szef Departamentu Siły Roboczej Rzeszy.<sup>2</sup>

Dolny Śląsk wydawał się planistom idealny do przeniesienia zagrożonych obiektów z bombardowanych terenów Rzeszy. Jak już wspomniałem, nie latały tu alianckie bombowce, naziści mieli oparcie w miejscowej, zasiedziałej od wieków ludności. Stosunkowo mała gęstość zaludnienia i solidne zalesienie gwarantowały zachowanie tajemnicy tych działań.

Była jeszcze jedna przyczyna, o której wiedzieli tylko wtajemniczeni, co rozsądniejsi niemieccy decydenci. Świadczyły o niej działania niemieckiego wywiadu radiowego, praca niemieckich szpiegów, raporty dyplomatów Rzeszy kontaktujących się z przedstawicielami

przeróżnych służb przeciwnika. Obawiano się choćby napomknąć o niej Hitlerowi, bo jak, nie wkładając głowy w stryczek, powiedzieć mu, że przewiduje się klęskę w tej wojnie, że myśli się o granicach niemieckiego państwa, które mogą z owej klęski wyniknąć...?

---

1

Przedmowa Tadeusza A. Kisielewskiego do: Władysław Sikorski, *Przyszła wojna – jej możliwości i charakter oraz związane z nimi zagadnienia obrony kraju*, Universitas, Kraków 2010, s. 8.

2

Jerzy Rostkowski, *Lampy śmierci*, Wydawnictwo Technol, Kraków 2005, s. 67.

# Gry szpiegów, czyli granice klęski

Czy niemiecki wywiad pozyskał w czasie drugiej wojny światowej jakieś informacje, które mogły wpłynąć na lokowanie przemysłu zbrojeniowego i pracujących dla niego laboratoriów badawczych na Dolnym Śląsku? Zapewne. Jakie to mogły być informacje? Wyszczególnię je.

## *Informacja 1.*

Pierwszym takim - korzystnym dla Niemców — znakiem było wydanie w Filadelfii, w 1942 roku, dzięki umiejętnym działaniom amerykańskich komunistów, mapy nazwanej później od nazwiska wydawcy mapą Gomberga.

Wiadomo dziś, że była to fałszywka amerykańskich organizacji komunistycznych, ale wówczas ten całkiem szeroko rozpowszechniany druk można było wziąć za półoficjalny dokument przedstawiający stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza że ów rząd bynajmniej nie przeciwdziałał jego opublikowaniu. Nie była to zwykła mapa. Zatytułowano ją „Plan powojennego nowego świata w zarysie”, a poniżej umieszczono czterdzieści jeden punktów, w których wyszczególniono, jak „USA we współpracy z demokracjami Ameryki Łacińskiej, Brytyjską Wspólnotą Narodów i Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich” zamierzają ustanowić nowy światowy porządek. Zastanawiające, jak niewiele pomylili się autorzy tej publikacji, ale dla nas istotne jest to, że według nich Dolny Śląsk miał pozostać w granicach strefy określonej jako „Niemcy w kwarantannie”<sup>1</sup>.

Trzeba zresztą dodać, że mapa ta w znacznej mierze odzwierciedlała zarówno dyskusje i studia prowadzone w Wydziale Spraw Europejskich Departamentu Stanu i w Komisji Doradczej do spraw Powojennej Polityki Zagranicznej (Advisory Committee on Post-War Foreign Policy), działającej od 12 lutego 1942 roku przy Departamencie Stanu, jak i późniejszy plan podsekretarza stanu Sumnera Wellesa<sup>2</sup>. Longin Pastusiak dołączył do przywoływanej tu monografii *Roosevelt a sprawa polska* dwie mapy: jedna przedstawia „Podział Niemiec według planu Sumnera Wellesa”, druga zaś „Niemcy - strefy okupacyjne”. Na obu tych mapach Dolny Śląsk jest w granicach Niemiec. Tak więc, chociaż mapa Gomberga była fałszywa, potwierdzała zasadę, że falsyfikat - jeśli ma być przekonujący - musi się częściowo opierać na prawdzie, ponadto stanowi ona kolejny dowód, jak głęboko administracja amerykańska, a szczególnie Departament Stanu, spenetrowana była przez komunistów.

### *Informacja 2.*

Już podczas pierwszych rozmów między aliantami wymieniano uwagi na temat wschodniej granicy Niemiec. Miała ona przebiegać na Nysie, nie stwierdzono jednak na której – Kłodzkiej czy Łużyckiej. Wybór pierwszego wariantu pozostawiłby Niemcom teren Dolnego Śląska, co uważali za prawdopodobniejsze, bliższe bowiem zarówno przedwojennym granicom ich państwa, jak i mapie Gomberga, z którą zapewne już się zapoznali. O nie sprecyzowanej Nysie wspomniano w Casablance, w Quebecu podczas spotkania anglo-amerykańskiego, kiedy wystosowywano notę do Stalina w sprawie trójstronnego spotkania. Tak samo było w Teheranie, Jalcie i podczas rozmów Franklina D. Roosevelta z Winstonem Churchillem, które częściowo rozszyfrowywał nasłuch SS. Dopiero w Xii rozdziale umowy poczdamskiej z 2 sierpnia 1945 roku oraz późniejszych porozumieniach definitywne wskazano jako granicę Polski i Niemiec „zachodnią Nysę”.

### *Informacja 3.*

Podczas negocjacji z Allenem Dullesem prowadzonych w Bernie przez kolejnych niemieckich wysłanników pojawiła się na krótko opcja przyznania Niemcom w zamian za kapitulację przed aliantami zachodnimi niewielkiego, całkowicie suwerennego terytorium na terenach „Nieder Schlesien und Brandenburg”, czyli Dolnego Śląska i Brandenburgii. Jak wiadomo, Dulles nie był upoważniony do jakichkolwiek rozmów, a tym bardziej decyzji na tak wysokim poziomie, a niemieckie propozycje zakończyły się bezwzględną odmową koalicjantów zachodnich. Samo to jednak, że taka opcja była omawiana, świadczy, jak bardzo Niemcom zależało na wydawałoby się niepozornym Dolnym Śląsku.

Podobnych informacji jest bardzo dużo, poczynając od ustaleń niemieckiego wywiadu dających Niemcom nadzieję na zachowanie Dolnego Śląska w razie klęski, kończąc na działaniach dyplomatów i początkowo niejasnych ustaleniach w sprawie przebiegu granicy z Polską.

A skoro tak, to pora wrócić na Dolny Śląsk. Jeśli było bardzo prawdopodobne, że pozostanie niemiecki, to właśnie tu należało lokować wszystko, co pozwoliłoby Niemcom w przyszłości odzyskać dawną świetność. Teraz istniały tu przygotowane do działania kompleksy podziemnych fabryk, ogromne źródła surowców mineralnych, doskonała infrastruktura komunikacyjna naziemna i podziemna, utajniona, oraz potężne rzesze fachowców zdolnych budować nową potęgę gospodarczą i militarną. Pamiętać również należy o ogromnych źródłach finansowych - depozytach ukrytych pod ziemią na Dolnym Śląsku, których pewna część nie została odkryta do dzisiaj. O tym nie pomyśleli ich

decydenci w czasie pierwszej wojny światowej i traktat wersalski prawie powalił przegranych na kolana. Teraz Niemcy, nauczeni doświadczeniem, starali się minimalizować spodziewane straty.

---

1

Aleksander Gella, *Zagłada II Rzeczypospolitej 1945-1947*, Cinderella Books, Warszawa 1998, s. 92.

2

Longin Pastusiak, *Roosevelt a sprawa polska 1939-1945*, Książka i Wiedza, Warszawa 1980, s. 105.

# Jagerstab i radziecki czołg

W lutym 1944 roku w celu zwiększenia i skoordynowania produkcji samolotów myśliwskich powołano Jagerstab, czyli Sztab Myśliwski. O randze tej instytucji może świadczyć choćby to, że jej szefem został sam minister zbrojeń, Albert Speer. Jagerstabowi podlegały wszystkie fabryki samolotów w Rzeszy oraz zakłady kooperujące. Jego kompetencje były bardzo szerokie, ponieważ miał on prawo ingerować praktycznie we wszystkie dziedziny produkcji związane z przemysłem lotniczym. Do zadań Jagerstabu należało także zapewnienie bezpieczeństwa zakładom pracującym dla lotnictwa, czyli głównie ukrycie ich w obiektach podziemnych i współpraca przy ich budowie. Sztabowi Myśliwskiemu podlegały także wszelkie badania prowadzone dla lotnictwa, w tym medyczne.

Dlaczego o tym wspominam? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wrócić na zamek Książ.

Daisy von Pless została, jak wiemy, usunięta z zamku i jej pozycja znacznie się obniżyła, jednak wciąż się z nią liczone, szczególnie wśród wyższych wojskowych, z których wielu należało do jej warstwy społecznej. Księżna bywała zarówno w książkim parku, jak i w samym zamku, gdzie ulokowała się wrocławska dyrekcja kolei.

Spotykała się tam z Güntherem Grundmannem, konserwatorem zabytków prowincji dolnośląskiej, który zachwycony starą budowlą, kończył tam pisać książkę o zabytkach tego regionu.

Pracę tę, pod tytułem *Schlesien*, wydał w Berlinie w 1941 roku i w tym samym czasie zaczął się dla zamku najtrudniejszy okres. Pod koniec owego roku przybył na Książ gauleiter Dolnego Śląska Karl Hanke i zakomunikował, że władze zdecydowały się zmienić przeznaczenie zamku, który miał się teraz stać surową siedzibą dolnośląskiej NSDAP. Decyzja ta zapadła podobno w Berlinie, a podjął ją sam Führer, nie podlegała więc dyskusji. Hitler przysłał tu swojego ulubionego architekta, profesora Hermanna Gieslera. Nad projektem przebudowy zamku jego pracownia trudniła się niemal rok i w październiku 1942 roku profesor Giesler przedstawił swe dzieło Guntherowi Grundmannowi. Rozmiłowany w dolnośląskiej historii i architekturze konserwator zabytków przeraził się. To, co zobaczył, nie było żadnym planem adaptacji, lecz doprowadzenia przepięknego zamku do ruiny. Zaczął pisać listy protestacyjne, sporządzać dokumenty wykazujące ogromną wartość tego, co zmierzano bezpowrotnie zniszczyć. Wspomina o tym w swojej książce *Erlebter Jahre Widerschein* („Odblask przeżytych lat”):

Tak między profesorem Gieslerem a mną doszło do ostrego sporu, gdy przedłożył

projekt przeobrażenia Sali Maksymiliana. Wspaniały, harmonijny zespół rzeźb, stiuków i malowideł najlepszych śląskich i czeskich mistrzów chciano zastąpić wystrojem architektonicznym o cechach ówczasie panującego pseudoklasycyzmu, typowym dla sztuki w III Rzeszy.<sup>1</sup>

Jak wielkie wpływy musiały mieć osoby dążące do tej przebudowy, skoro ktoś tak znany jak Grundmann, szanowany w kręgach władzy oraz miłośników i znawców sztuki, przyjaciel wielu kolekcjonerów, autor publikacji o kościołach ewangelickich i katolickich na Śląsku nie mógł zmienić planów adaptacji?

Być może w wyniku tych rozlicznych starań, pism i petycji do wrocławskiego biura konserwatora przybył sekretarz stanu Meisner. Nie była to wizyta kurtuazyjna. Poinformował Grundmanna, że decyzja o przebudowie została podtrzymana, a nawet że znacznie poszerzono jej zakres, ponieważ zamek, co było tajemnicą państwową, miał zostać zaadaptowany na jedną z kwater Führera. Trudno powiedzieć, czy Meisner wierzył w tę dezinformację, czy też powtarzał ją świadomie. Teraz już konserwator nie mógł zrobić nic więcej, tylko skonstatować, że prowadzone w Fürstensteinie prace budowlane „zmierzały do rozmyślnego totalnego zniszczenia substancji zamku”<sup>2</sup>.

A prace rzeczywiście zakrojone były na gigantyczną skalę. Zaczęło się od nieustannych wizyt i delegacji wysokich oficerów z Berlina i pobliskiego Wrocławia legitymujących się dokumentami Reichs-sicherheitshauptamt (RSHA), Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, często przybywali wyglądający na architektów lub naukowców cywile z przepustką wystawioną przez sekretarza Meisnera, równie często wizytowali zamek wyżsi oficerowie Luftwaffe.

Wszyscy oni oglądali, mierzyli, sprawdzali. Grundmannowi, często przebywającemu teraz na zamku, wydawało się dziwne, że przybysze po wizycie na Książu co do jednego wybierają się na tak zwany Stary Zamek na drugim brzegu Pełcznicy. Co tam robili - nie mógł się dowiedzieć. Od lat uparcie wraca informacja, którą niestety wciąż trudno potwierdzić, że w 1943 lub 1944 roku Niemcy sprowadzili na Książ grupę fizyków i chemików ze Skandynawii, którzy prowadzili tu jakieś badania, a widywano ich ponoć także w zakładach VDM – Vereinigte Deutsche Maschinenwerke GmbH w Mieroszowie. Tej informacji nie udało mi się potwierdzić, lecz pogłoskę tę powtarza wiele osób.

Prace na zamku rozpoczęły się z wielkim rozmachem. Przybyła pierwsza brygada Organizacji Todta, a po niej ściągały następne. Już wstępne przygotowania świadczyły o skali prac.

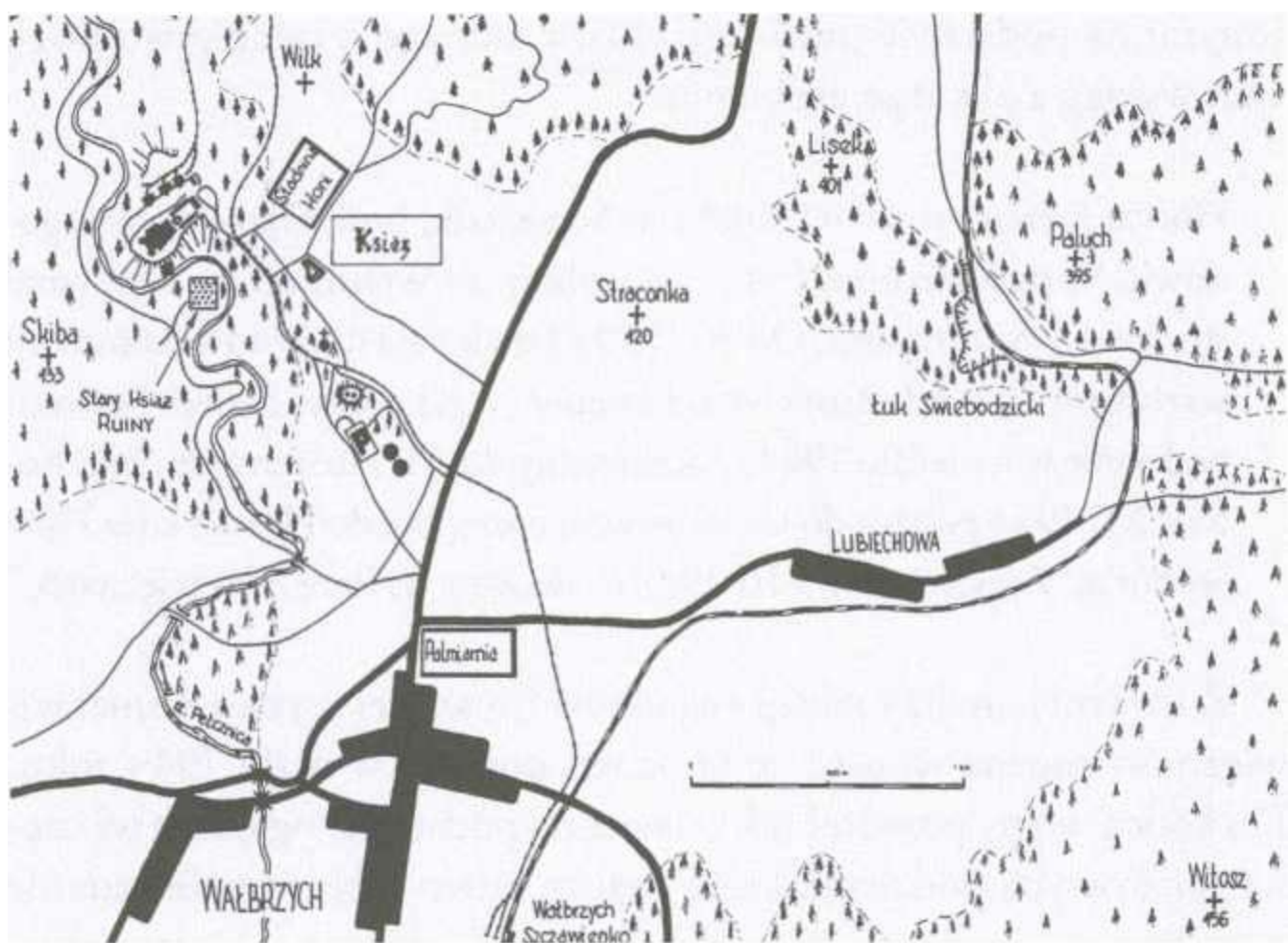
W Szczawienku wybudowano dużą rampę kolejową do rozładunku materiałów



budowlanych na potrzeby tej „adaptacji”, wybudowano trzy bloki mieszkalne, do których natychmiast przeniesiono domowników i całą służbę Hochbergów dotychczas zamieszkującą podzamcze. Następnym etapem, i to niebagatelnym, było wykonanie dwudziestoosiłkiometrowego podwójnego ogrodzenia, które szczelnie otoczyło Książ i – przekraczając nurt Pełcznicy – Stary Zamek. Powstały wartownie i bunkry strażnicze. Interesujące, że zewnętrzny pierścień straży stanowili żołnierze SS, rekrutowani na ogół z krajów nadbałtyckich, słabo znający język niemiecki. W obrębie ogrodzenia warty pełnili ludzie w mundurach Luftwaffe. Wyjątkiem były okolice Starego Zamku, gdzie wartownikami byli wyłącznie żołnierze Luftwaffe.

Szybko „adaptowano” sale zamkowe. Skrzętnie usuwano piękne ozdoby, niszcząc między innymi wyposażenie sal Maksymiliana, Konrada, Krzywej i Holu Bolka, gdzie pozrywano zabytkowe plafony. Z drugiego poziomu piwnic zamkowych poprowadzono szyb klatki schodowej do pierwszej kondygnacji nowych podziemi budowanych teraz pod zamkiem. W związku z tymi pracami w jednym z pomieszczeń na parterze zamku ustawiono kompresor, rujnując wiekową posadzkę. Na głównym tarasie, obok wlotu szybu wentylacyjnego, ulokowano skład materiałów budowlanych, natomiast przed budynkiem biblioteki wybudowano tajemniczy żelbetowy zbiornik, w którym wedle świadków nawet zimą woda była ciepła.

Grundmann, przerażony rozmiarem zniszczeń, ratował co mógł. Cały przebogaty księgozbiór i archiwalia Hochbergów umieścił w jednym z dolnośląskich klasztorów. Część depozytów zamkowych i bardziej wartościowych mebli przeniósł do pałacu w Borowej, a później do rezydencji Hochbergów w Roztoce. Przewidując, że ich cenne rodowe ruchomości będą narażone na zniszczenie bądź rabunek, rozproszył je i ukrył w wielu znanych tylko sobie miejscach. Odnalezione zostały nieliczne. Pozostałe wciąż czekają na prawowitych właścicieli.



Linia kolejki wąskotorowej ze Szczawienka i oznaczony literą „P” obóz Fürstenstein

Poważne prace wszczęto również w okolicy zamku. Ze stacji kolejowej Wałbrzych Szczawienko (Nieder Salzbrunn) poprowadzono w stronę podziemi linię kolejki wąskotorowej. Drugą pociągnięto z pobliskiego Lubiechowa (Liebichau). Stała się ona wąskim gardłem prac na zamku, bo zabrakło tu rąk do pracy. Szybko jednak się z tym problemem uporano – w okolicy dzisiejszego przyzamkowego parkingu na przełomie kwietnia i maja 1944 roku powstała filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, która przeszła do historii jako Arbeitslager Fürstenstein.

Nie zachowały się żadne dokumenty bezpośrednio dotyczące tego podobozu. Datę jego powstania możemy jednak określić między innymi na podstawie przebiegu służby jednego z członków załogi. Oto wyciąg z akt tego esesmana:

Horvat Stefan, ur. 20.02.1908 r. w Semelxzik, pow. Djakowo w Jugosławii. W październiku 1942 r. powołany do Wehrmachtu. Otrzymał stopień SS-Sturmann. Od 10.11.1942 do końca 03.1944 w kompanii wartowniczej w KL Auschwitz, następnie w KL Gross-Rosen. Prawdopodobnie w kwietniu 1944 r. skierowany do AL Fürstenstein. Pod koniec Xü 1944 powrót do Gross-Rosen, następnie do Flossen koło Flossenburga. Aresztowany 5 III 1947 r., skazany na karę 3 lat więzienia<sup>3</sup>

Z uważnej analizy relacji świadków i rosnącej szybko numeracji więźniów można wnosić, że obóz ten powstał w maju 1944 roku. Do końca wojny pozostał rok i nawet na podstawie oględzin tej części zamkowych podziemi, które znamy, łatwo sobie wyrobić zdanie o postępach i szybkości prac górniczych. Więźniów dobierano, kierując się ich umiejętnościami zawodowymi - większość stanowili fachowcy budowlani lub drogowi. Pozostały jedynie śladowe informacje na temat strażników obozowych, żołnierzy SS. Znamy jedynie kilka nazwisk: Krieger, Scheintawer, Schwerk, Horvat i Lippokl. Lageraltesterem był niejaki Markowie. Wiemy, jakie firmy korzystały z katorżniczej pracy więźniów: Kemna und Co., Hegerfeld, Singer und Laninger, Singer und Muller oraz Pischel. Dopiero w grudniu 1944 roku postawiono cztery baraki mieszkalne. Wydawać się może, że to niewiele. Nie one świadczą jednak o liczbie skazańców wykuwających sztolnie, przeładowujących na stacji w Lubiechowie materiały budowlane na kolejkę wożącą je pod zamek. Prace prowadzono na trzy zmiany, tak więc jedna prycza w baraku przypadała na trzech więźniów<sup>4</sup>.

Niedaleko obozu Fürstenstein, blisko dzisiejszego parkingu, wybudowano dwa duże zbiorniki wodne oraz przepompownię. Najciekawsza jednak budowla znajduje się pod kaplicą grobową Hoch-bergów. Jest to wyłożona pięknym piaskowcem duża krypta, do której prowadzi kilkanaście granitowych stopni. Niewiele ocalało z jej dawnego wyposażenia. Pozostały jedynie zdewastowane sarkofagi księżnej Marü von Pless, księcia Jana Henryka XI oraz księżniczki Matyldy. Komora miała zapewne instalację gazową, której pozostałościami mogą być dwie niewielkie, zasypane gruzem studzienki w podłodze. Świadczyć o tym może też dobry system wentylacyjny - dziewięć sporej średnicy okrągłych otworów prowadzących na powierzchnię.

Prace na Książu trwały. Po drugiej stronie zamku przy wlotach do trzech sztolni postawiono kilka baraków pełniących funkcję magazynów oraz fundamenty pod jakieś urządzenia. Nieco niżej rozpoczęto budowę niewielkiej oczyszczalni ścieków, od której wykopano rów w kierunku Pełcznicy. W zamierzeniach Niemców dojazd do zamku miał być możliwy tylko tunelami - samochodowym i kolejowym — od strony Świebodzic.

Podziemną część kompleksu zamku Książ stanowią wyrobiska o dwóch znanych nam poziomach. Pierwszy, rozbudowany w czasie wojny, znajduje się 15 metrów pod zamkiem. Można się tam dostać z tarasu bogini Flory. Idąc tunelem, mijamy wartownię, wejście do windy łączącej podziemia z poszczególnymi kondygnacjami zamku oraz szyb klatki schodowej dochodzący do piwnic zamkowych. Podziemia poziomu pierwszego mają około 80 metrów długości, powierzchnię 180 metrów kwadratowych i kubaturę 400 metrów

sześciennych. Drugi znany nam poziom rozciąga się 53 metry pod dziedzińcem. Składają się nań cztery sztolnie dolotowe oraz sieć krzyżujących się, powiększonych do 5 metrów wysokości i 5,5 metra szerokości, wyrobisk chodnikowych. Znajdują się tam również cztery całkowicie wybetonowane komory o wymiarach 13 na 4,5 na 3,8 metra, oraz trzy szyby. Pierwszy, o średnicy 5 metrów, miał pomieścić windę i urządzenia wentylacyjne, drugi, półtora metra węższy, którym podczas budowy lano beton do podziemi, służyć miał celom wentylacyjnym, a trzeci, o średnicy 0,7 metra, wykonano tylko do podawania betonu.

Do podziemi poziomu drugiego, jedynych tak dobrze wykończonych z obecnie nam znanych, niestety w ogóle nie można wejść, gdyż mieści się w nich aparatura pomiarowa stacji sejsmograficznej PAN. Ani pierwszy, ani drugi poziom nigdy nie został dokładnie przebadany. Nie sprawdzono zamurowanych fragmentów ścian, a podniesienie poziomu korytarzy uniemożliwiło sprawdzenie spągu.

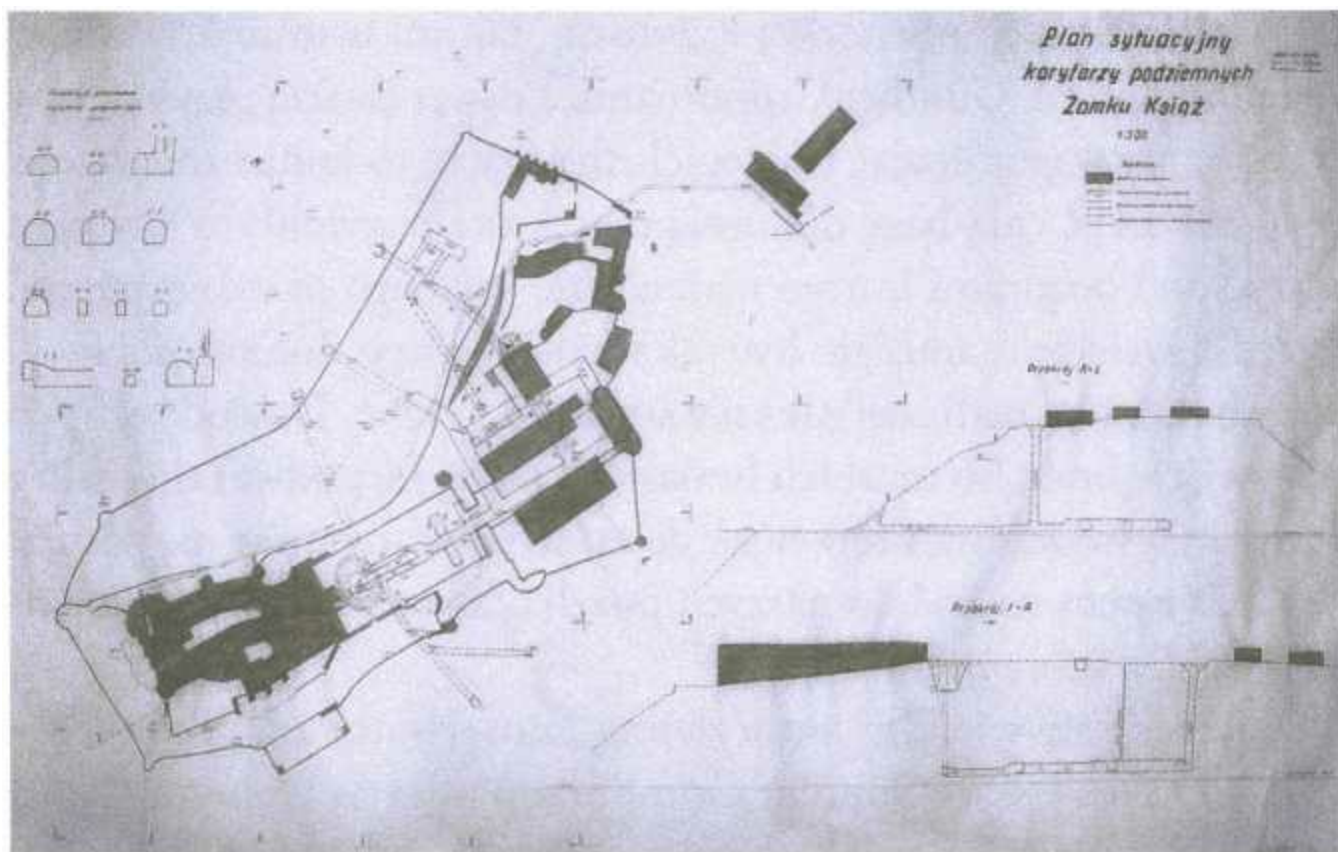
Niemcy planowali także doprowadzić do zamku linię kolejową, co według niektórych przynajmniej częściowo zrealizowali. Przytoczę tutaj słowa jednego z wieloletnich badaczy Książa, pana Tadeusza Słowikowskiego:

Wjazd do tunelu istniał w okolicy miejscowości Lubiechów. Z moich badań wynika, że były nawet dwa tunele wjazdowe do podziemi. Pierwszy tor wiodący do tak zwanego górnego tunelu o długości 2100 metrów kończył się w podziemnym dworcu Książa, którego fragmenty istnieją do dziś. Linia biegła od strony Świebodzic z poziomu 325 metrów, czyli właśnie 50 metrów pod powierzchnią dziedzińca zamku. Istniał też drugi rezerwowy tunel, który szedł od strony Wałbrzycha upadową<sup>5</sup> z poziomu 375 na 350 metrów.<sup>6</sup>

Nadeszła pora na komentarze, wnioski i powrót do hipotezy, że zdecydowana większość podziemnych prac w Górach Sowich i regionie wałbrzyskim — a także na całym Dolnym Śląsku - prowadzonych w latach 1938-1945 była realizacją planu posadowienia tu wielkiego podziemnego ośrodka przemysłu zbrojeniowego, a pozornie przeczące temu dokumenty, które ostatnio pojawiają się coraz częściej, należy traktować bardzo ostrożnie. Dlaczego? Ponieważ Niemcy wielokrotnie okazywali się mistrzami mistyfikacji, kamuflażu i dezinformacji. Ponieważ nie wystarczy rozsiewać co jakiś czas informacji „Tu nic nie ma, bo hitlerowcy nie zdążyli”. Nie każdy przecież uwierzy na słowo. Zawsze znajdzie się jakiś dociekliwy, który zapyta zapewnającego o tym badacza: „Dlaczego wcześniej mówiłeś, że tutaj pod ziemią coś było, a po wizycie w Niemczech, skąd nie przywozłeś żadnych nowych dokumentów, nagle twierdzisz, że nic tu nie ma, bo Niemcom nie starczyło czasu?” Takim ludziom trzeba zatkać gębę kilkoma nagle



odnalezionymi dokumentami, których nikt nie będzie badał, bo przecież opatrzone są stosowną pieczęcią i podpisem.



Archiwum Muzeum Gross-Rosen

Jeden ze starszych planów podziemnych korytarzy pod zamkiem Książ

Jestem zresztą przekonany, że dokumenty, w których możemy przeczytać o kwaterze Hitlera w Górach Sowich czy stanowiskach dowodzenia, są autentyczne. Dlaczego miałyby nie być? Jeśli w głowach niemieckich decydentów powstał doniosły plan, który trzeba było utajnić przed miejscową ludnością, takimi ustosunkowanymi urzędnikami jak Gunther Grundmann, a nawet częścią przywódców Rzeszy, nie wspominając o wrogich szpiegach, to koniecznie trzeba było stworzyć całą bazę dokumentów, które pozwoliłyby ów plan ukryć pod pozorami innego nadzwyczaj ważnego przedsięwzięcia. Przedsięwzięcie to musiało być tak ważne, by jego doniosłości i wysokich kosztów realizacji nikt nie śmiał podważyć. Dowodów na to oczywiście brak, bo musi ich brakować, ale są niepodważalne fakty i zeznania świadków, które nijak do takich dokumentów nie pasują.

Czas zatem wrócić do naszych puzzli. Zobaczmy, które elementy pasują, a które nie.

Cieszący się wielkim autorytetem konserwator zabytków Prowincji Dolnośląskiej Gunther Grundmann miał na Dolnym Śląsku podobne uprawnienia, jak obecnie mają polscy konserwatorzy zabytków, a wielokrotnie większe możliwości. Większe, bo w Niemczech w przeciwieństwie do współczesnej Polski egzekwowano prawo. Konserwator

miał prawo i obowiązek zaprotestować i musiano go wysłuchać, bo *Ordnung muss sein*. Zaprotestował i cóż? Natychmiast zmieniło się przeznaczenie obiektu. Zmieniło się prawo! Dla siedziby partyjnej nie można niszczyć zabytku, ale dla Führe-ra? Przecież to on był prawem. Cóż tu znaczy jakiś tam konserwator zabytków?

Jeśli założymy, że zamek Książ miał być kwaterą Führera, to nieco dziwią wizyty w nim nieznanymi naukowców i wyższych oficerów Luftwaffe. Czyżby siły powietrzne przygotowywały zamach na Hitlera i przeprowadzały rozpoznanie terenu? Jakoś nic nie wiemy o spisku w Luftwaffe, a przygotowania szły chyba pełną parą, bo z żołnierzy tej właśnie formacji utworzono wewnętrzne stráže, a część terenu wokół Starego Zamku pilnowali jedynie oni.

Właśnie, właśnie. Stary Zamek! Tę romantyczną ruinę odwiedzały wszystkie delegacje. Czyżby Adolf Hitler zajęty trzeszczącą w posadach III Rzeszą tak polubił spacerować w romantycznych okolicach, że tam przygotowywano mu kwaterę bis? Dłgie musiałyby to być spacerować. Zejście stromą ścieżką do mostku na Pełcznicy, ostre podejście pod górę. Proponuję każdemu taką wycieczkę. Szlak jest piękny, ale czy tak bardzo bezpieczny? Co, gdyby Führerowi zakręciło się w głowie? Kto by odpowiadał za wypadek? A może miała powstać kolejka linowa? Może istniał wiszący most, o którym mówią niektórzy? Dokumenty jakoś o tym nie wspominają, ale relacji na ten temat jest stosunkowo dużo.

Pozostańmy chwilę przy Adolfie Hitlerze. Co mówią źródła o jego opinii na temat kwater w zamkach?

Już w roku 1939, przed rozpoczęciem wojny z Francją, Hitler polecił zbudować kwaterę na zachodzie Niemiec. Zajął się tym jego architekt Albert Speer. Wykorzystał do tego celu stary zamek Ziegenberg, położony 11 kilometrów od uzdrowiska Nauheim, w górach Taunus. Zamek ten został zmodernizowany, wyposażony w schrony, zainstalowano tu najnowocześniejsze środki łączności. Hitler jednak odmówił wtedy zamieszkania w tym miejscu, oświadczając, że jest to kwatera zbyt luksusowa. Chodziło o jego wizerunek jako Führera. Przewidywał, że po wygranej przez niego wojnie jego byłe kwatery będą odwiedzane przez tysiące pielgrzymów. Chciał pokazać, że w czasie wojny żył skromnie, tak jak i inni niemieccy obywatele. Kilka lat później, przed rozpoczęciem ofensywy w Ardenach, Hitler ponownie tu przybył, ale zamieszkał w odległej o dwa kilometry od zamku kwaterze Orle Gniazdo (Adler-horst). Przebywał w niej od 10 grudnia 1944 r. do 15 stycznia 1945 r. Decyzję o zaatakowaniu aliantów na Zachodzie podjął znacznie wcześniej. Jesienią 1944 roku nie miał już nadziei na sukcesy na Wschodzie. Uważał, że łatwiej będzie mu pokonać niezdecydowanych jego zdaniem Anglików i Amerykanów i w ten sposób zdobyć trochę czasu, a może i doprowadzić do rozłamu we wrogu dla niego

koalicji. Przez trzy miesiące udawało mu się przygotowania do ofensywy utrzymać w tajemnicy. Uczestnicy narad, na których ta sprawa była omawiana, musieli podpisać specjalne zobowiązanie, że nikomu nie zdradzą planów ataku. Nie wolno było też przekazywać drogą lotniczą ani radiową żadnych rozkazów, co zapobiegło ich przejściu przez alianckie służby wywiadowcze. Miejsce usytuowania kwatery Orle Gniazdo Hitler utrzymywał w tajemnicy nawet przed dowódcami frontu zachodniego. Gdy na krótko przed atakiem postanowił ich wezwać na odprawę, zebrano ich w jednym miejscu, odebrano im broń i długo wożono po okolicy, aby nie zorientowali się, dokąd jada. Po dotarciu do kwatery oficerowie byli zdumieni wielką liczbą SS-manów pilnujących Hitlera. Gdy w sali narad usiedli, nad każdym z nich stał uzbrojony strażnik. Jeden z oficerów później wspominał, że bał się nawet sięgnąć do kieszeni po chustkę do nosa.<sup>7</sup>

Zaskakująca niekonsekwencja Führera. W 1939, 1944 i 1945 roku odmawia on kwatery w zamku Ziegenberg, bo to może naruszyć jego wizerunek w oczach narodu, a w roku 1943 chce mieć kwaterę w zamku Książ! Jest też druga nielogiczność. Hitler utrzymuje w wielkiej tajemnicy lokalizację Adlerhorst. Oficerów wozi się po górach, by nie mogli tu trafić, natomiast o kwaterze na Książu wiedzą wszyscy! Dyskutuje się o niej na naradach (patrz pamiętniki Ni-colausa von Belowa i Alberta Speera), planuje usytuowanie poszczególnych pokoi i ich użytkowanie. Przecież budowę wielkiej kwatery Wolfsschanze na polecenie Hitlera cały czas ukrywano, a oficjalnie podawano, że powstają tam zakłady chemiczne „Askania”.

Jest też trzecia, równie znacząca niekonsekwencja. Budowy wszystkich — zaznaczam, wszystkich - kwater Hitlera pilnowały najbardziej zaufane oddziały SS. Na Książu było inaczej. Dziwił się bardzo w rozmowie ze mną pan Antoni Graj, pracownik Organizacji Todta, którego odnalazłem, wykonujący wcześniej prace elektryczne na budowie Wilczego Szańca w podkętrzyńskim lesie. Dziwił się, bo gdy przeniesiono go na zamek Książ, zobaczył tu strażników SS z Łotwy, Estonii, Ukrainy i Jugosławii. Zaskoczyły go także mundury Luft wafle strażników pierścienia wewnętrznego. Tego nie mógł zrozumieć. My może zrozumiemy, bo znamy również inne dziwne fakty związane z domniemaną Führerhauptquartier Fürstenstein.

Przyjrzyjmy się choćby wydatkom związanym z tym przedsięwzięciem. Koszty budowy potężnego podkętrzyńskiego Wolfsschanze wynosiły 36 milionów marek. Koszty obiektu „Riese”, w którego skład wchodził zamek Książ, przekroczyły, jak pisze w swych *Wspomnieniach* Albert Speer, 150 milionów marek. Coś za wielka ta „kwatery”.

Całkiem niedawno światło dzienne ujrzały informacje o jeszcze jednej kwaterze głównej



Adolfa Fütlera. Poznański zamek. Tutaj także niemal od początku wojny przygotowywano Führerhauptquartier, a swój wkład w projekt miał Albert Speer. Prace trwały praktycznie cztery lata i zostały przerwane decyzją Alberta Speera dopiero 3 sierpnia 1944 roku, podobno na skutek konieczności innego ukierunkowania „wysiłków wojennych narodu niemieckiego”<sup>8</sup>.

To jeszcze rozumiem. „Wyskoczyła” nowa Führerhauptquartier. Dobrze, zgoda, są dokumenty, dowody, opinie niewątpliwych autorytetów światowej sławy. Tylko proszę mi coś wytłumaczyć. Ze „wschodu” do Poznania jest przecież równie daleko jak na Dolny Śląsk — i co? Tam bezpieczniej? Dlatego równolegle z kwaterą poznańską, której koszty pod koniec 1941 roku szacowano na 17 milionów marek, budowano drugą, dolnośląską? Przecież to Poznań miał być „reprezentacyjną siedzibą władcy i równocześnie politycznym centrum decyzyjnym”<sup>9</sup>. Absurd za absurdem.

Warto przeprowadzić analizę materiału opublikowanego przez doktor Dorotę Sulę w cytowanej już doskonałej książce o obozach pracy filiach Gross-Rosen. Jak pisze pani doktor, jedna z mieszkank zamku złożyła zeznanie o ewakuacji podobozu Fürstenstein w połowie lutego 1945 roku. Są też podobne relacje na temat wielu podobozów w Górach Sowich. Jediną mieszkanką pozostawioną przez Niemców na zamku (z niewiadomych dotychczas przyczyn) jest przebywająca tam do dziś pani Dorota Stempowska. Nie myli się w swojej relacji, potwierdzają to zeznania więźniów. Nie wspomina jednak, że więźniowie przywiezieni na zamek w lutym 1945 różnili się od znanych jej dotychczas wychudzonych widm Arbeits-lager Fürstenstein. Byli dobrze odżywieni, nosili porządniejsze kurtki i czystsze pasiaki. Gdy szli do pracy, nie było już słyhać stukotu więziennych drewniaków - czyżby mieli normalne obuwie? Pani doktor Sula wspomina o braku dokumentacji, o tym, że więźniowie z tej nowej grupy pracowali do 7 maja, kiedy to, jak zeznała pani Stempowska, zostali wyprowadzeni.

Zbierając materiały do książki o Bornem Sulinowie, spotkałem w tym mieście pułkownika Andrieja Konkowa, który kiedyś służył w tamtejszym radzieckim garnizonie i przyjechał właśnie na wycieczkę. Rozmawialiśmy o Bornem Sulinowie, a pułkownik coraz bardziej się dziwił, skąd u cywila takie zainteresowanie Armią Radziecką, o której zresztą opowiadał z wyraźną nostalgią. Wyjaśniłem, że piszę książki na temat drugiej wojny światowej. Był dociekliwy, musiałem mu więc opowiedzieć o Radomierzycach i zabójstwie Piotra Jaroszewicza, po czym zacząłem mówić o zamku Książ i jego wojennej historii. Wtedy wyraźnie się nasrożył.

- Kto cię tu przysłał, synu? — burknął.

Zamurowało mnie. Tłumaczyłem, że piszę, zbieram materiały. Patrzył na mnie

podejrzliwie.

- Masz jakieś swoje książki ? — burknął znów.

Na szczęście miałem, zawsze woziłem - taki drobny prezent często rozwiązuje języki.

- To za godzinę u mnie w pokoju z książkami - niemal zakomenderował.

Stawiłem się na czas, wiedziałem, że mieszka u mojego znajomego. Uważnie wertował książki. Szczególnie zainteresowała go pozycja dotycząca zamku Książ, długo oglądał zdjęcia. Jakiś czas obracał ją w rękach. Nagle wyciągnął do mnie wielką jak bochen dłoń.

- Teraz będzie tak - powiedział - ja dla ciebie Andriej jestem, a nie żaden pułkownik, a tę książkę dasz mi na pamiątkę.

Roześmiałem się, modląc się w duchu, żeby mi ręki nie połamał. Oczywiście podarowałem mu tę książkę, ale ciekaw byłem, dlaczego tak bardzo mu na niej zależało.

- Nie spiesz się — przystopował mnie - ja teraz pomyśleć muszę minutkę.

Z wielkiej walizy wyjął sporą butelkę. No tak — przemknęło mi przez głowę — *bież wódki nie razbieriosz*, ale czekałem, milcząc.

- Wypijmy - mruknął po chwili - powiem ci.

Wypiliśmy.

- Widzisz, ty w tej książce o moim ojcu piszesz - wyjaśnił. Znów mnie zamurowało. Książka dotyczyła zamku Książ i jego podziemi, niemieckiego naukowca robiącego doświadczenia na więźniach obozu koncentracyjnego Dachau. Co mogło tam być o ojcu Konkowa? Pułkownik grubym paluchem przerzucał kartki. Wreszcie znalazł i zaczął opowiadać.

- Zobacz, zrobiłeś błąd w nazwisku. Nie Końkow, tylko Konkow — to mój ojciec.

Czytałem artykuł Mieczysława Orłowskiego, który zamieściłem w książce. Był stary - „Życie Warszawy”, z którego pochodził, wydrukowano 18 września 1977 roku. Orłowski napisał tam:

Wśród osób badających stare plany Książa panuje przekonanie, że zameczek miał silnie rozwinięty system podziemnych lochów, które pod dnem wąwozu i rzeczki Pełcznicy łączyły się z najstarszymi korytarzami zamkowymi<sup>10</sup>. Rozwiązanie tej zagadki usłyszałem w 1967 roku. [...] W grupie radzieckich turystów, kombatantów ostatniej wojny, którzy walczyli na Dolnym Śląsku, spotkałem Iwana Końkowa. [...] W pewnej chwili Końkow wspomniał, że stacjonował na zamku Księżno -tak wtedy nazywał się Książ. [...] Końkow, widząc moje zainteresowanie tym tematem spytał, czy znam przyczynę zniszczenia zameczku na cyplu. Poprosiłem o relację. Oto jego opowieść:

Pewnego dnia żołnierze spostrzegli dwóch ludzi kręcących się wśród gaju zawsze

zielonych rododendronów. Wezwani do zatrzymania czmychnęli w chaszcze, ostrzeliwując się. [...]

Uciekający kluczyli, ale gdy pierścień zacieśnił się, zniknęli na terenie „starego zamku”. Kilku żołnierzy dotarło na dziedziniec, ale tu dostali się pod silny ogień ręcznej broni maszynowej. [...] W pewnym momencie nastąpił potężny wybuch. Ściany gotyckich ruin zakołysa-ły się i zwały na dziedziniec, który siłą podziemnego wybuchu zafalował i zapadł się.

Zapytałem, czy mogę naszą rozmowę nagrywać na magnetofon, bo to wygodniejsze niż robienie notatek, szczególnie gdy trzeba czasem unieść szklanę. Pułkownik Końkow kiwnął potwierdzająco głową i mówił dalej:

U nas w rodzinie taka tradycja była. Dziadek czerwonoarmista, ojciec czerwonoarmista i ja też. Dziadek i ojciec często opowiadali o tym, jak wojowali. Dobrze pamiętam te opowieści, bo one też były rodzinną tradycją.

Ojciec służył w zwiadzie 21. armii 1. Frontu Białoruskiego. Podlegał bezpośrednio dowódcy armii generałowi Gusiewowi. Pododdział ojca miał jeden czołg i składał się z kilkunastu zwiadowców. Ten właśnie pododdział wszedł pierwszy do Waldenburga 8 maja. W mieście nikt się nie bronił. Czołg raz wystrzelił i wypuścił serię z kaemu bardziej na wiwat niż z jakiejś potrzeby. Na wszystkich domach wisiały białe flagi. Na rynku czekał podobno oddział niemieckiego Wehrmachtu z bronią poustawianą w kozły, gotowy się poddać.

W mieście zainstalowało się dowództwo. Wieczór i noc nie były już takie spokojne, bo z południowego zachodu, gdzieś blisko, dochodziły odgłosy wybuchów i strzałów. Zatrzymany miejscowy Niemiec powiedział, że to słyhać od strony zamku nad rzeką. Dowództwo zdecydowało, że o świcie pójdzie tam zwiad, bo po nocy niebezpiecznie. Tak się stało. Świtaniem zwiadowcy na czołgu dojechali do zamku. Nikogo tam nie było. Ojciec jeszcze o jakiejś kolei na zamku mówił i torach i dziwne to było. Na dziedziniec weszli, bo czołgiści nie chcieli przejechać po trupach w więziennych pasiakach, które leżały przy bramie. Wiedzieli, że to z obozu koncentracyjnego.

W zamku było pusto i tylko wszystkich zdziwiła wielka dziura przed zamkiem i te trupy więźniów. Było ich kilkanaście, mówił, że chyba dwanaście, ale mógł się mylić, mogę tego i ja nie pamiętać. Żołnierze widzieli wcześniej więźniów z obozów. Ci byli inni. Nie mieli ogolonych głów i nie byli wychudzeni jak wszędzie indziej. Nikogo żywego nie było i [zwiadowcy - red.] dość szybko wrócili, a dowództwo zawiadomiło NKWD, bo taki nakaz był, jak więźniów się znajdowało.

Dla ojca front w Waldenburgu się zatrzymał, bo jego oddział został oddany do

dyspozycji komendanta miasta, był nim major, chyba Pachomow się nazywał. On, ojciec znaczy, jeszcze długo był w tym mieście, do pięćdziesiątego roku chyba. Interesował się później zamkiem i jeszcze tam poszedł. Mówił, że wszędzie dużo różnych pięknych rzeczy było, naczyń stołowych, zegarów i książek. Zabrać nic nie mógł, bo NKWD pilnował i go legitymowali, ale jak się dowiedzieli, że on tu pierwszy był, to zaczęli rozmawiać i pytać, jak to wtedy było. Powiedzieli mu, że tych więźniów, zwłoki znaczy się, to dokładnie badali, bo dziwne były. Mówili wtedy, że to przebierańcy jacyś, bo za dobrze odżywieni, a podobno przed śmiercią do fryzjera i dentysty chadzali. Nic nie pasowało, żeby to więźniowie byli.

Tam, w Waldenburgu, spokojnie nie było, choć fabryki i kopalnie pracowały, sklepy czynne były, tramwaje jeździły, działały telefony, wszędzie był gaz i elektryczność. Po nocy w pojedynkę zabronione było chodzić, bo Niemcy strzelali do naszych, a polskie władze za słabe były. Tam całe niemieckie bandy działały, dobrze uzbrojone i wszędzie były. Napadały na żołnierzy, samochody, nawet niewielki oddział ostrzelać potrafiły. W 1946 roku chyba oni napadli w nocy na pociąg, który wiozł materiały dla kopalni. To sprawa głośna była, bo tam w dwóch wagonach materiały wybuchowe były i bandyci zabrali. Prawie dwa miesiące ich szukali, aż ktoś doniósł, gdzie oni się zbierają. Zaskoczyć się nie dali i uciekali, ale nasi psy mieli i te psy doprowadziły pod sam zamek od strony rzeki, co tam jest, tam były te podziemia, co o nich piszesz. Nasi wejście zablokowali i zaczęli zamuroвывать. Krzyczeli, że żywcem bandytów pogrzebią, jak nie wyjdą. Wyszło szesnastu, a siedemnasty, oficer, bo resztki munduru SS później były, rozerwał się przy wyjściu granatami.

Tamtych na przesłuchanie później wzięto i co z nimi dalej, ojciec nie wiedział. To wejście zaraz później nasi wysadzili i już nikt nie wyszedł. Niemcy się nie uspokoili, potyczek było dużo, a największa po drugiej stronie rzeki, ale o tym napisałeś. Tam podobno NKWD fabryki części do samolotów szukał, bo jakiś Niemiec zeznał, że tam była.<sup>11</sup>

Tak oto trafiła mi się ciekawa relacja na temat Książa. Trzeba mieć szczęście, żeby na drugim końcu Polski, w Bornem Sulinowie, usłyszeć opowieść o Książu, i to jeszcze taką...

Kolejno sprawdzałem informacje. Wszystko się zgadzało. Major Pachomow rzeczywiście był w Wałbrzychu, a na Książu działał NKWD z Sobięcina. Czekiści zresztą grzebali w podziemiach i coś z nich wywożono, a radzieccy żołnierze ponoć bali się nocować na zamku, obawiając się wysadzenia w powietrze. Czyżby zdawali sobie sprawę, że nie znają wszystkich podziemnych korytarzy, i sądzili, że nie odkryta ich część jest zaminowana?

Nie zgadzało się w tej rosyjskiej relacji tylko jedno. Z tego, co wiemy, wynika, że wkraczających do zamku Rosjan widziała jedynie pani Dorota Stempowska. Mieszkała na zamku od urodzenia — jej rodzice pracowali u Hochbergów. 2 kwietnia 1987 roku w rozmowie z pracownikiem Muzeum Gross-Rosen powiedziała, że Rosjanie zajęli zamek ósmego około piętnastej<sup>12</sup>. My zaś wiemy, że wtedy dopiero zdobywali jednym czołgiem Wałbrzych. Jestem przekonany, że pani Stempowska się myli. Obaj panowie Konkowowie, wojskowi, musieli znać i pamiętać te sprawy lepiej. Ponadto zbyt dużo w jej relacji jest znaków zapytania, by mogła być prawdziwa. Wymienię je kolejno, tak jak pojawiają się w wypowiedzi Doroty Stempowskiej:

1. „Szefem OT na Książu był architekt o nazwisku Gaben. Zamek i więźniów pilnowało Werkspolizei - mieli mundury koloru bardziej zielonego niż Wehrmacht”<sup>13</sup>.

Choć gruntownie przeszukałem archiwa i biblioteki, wypytywałem mogących coś wiedzieć o tej sprawie Niemców, nie udało mi się ustalić, aby przebywał tam wtedy ktoś o nazwisku Gaben. Chyba że... Członkiem Jagerstabu, współpracownikiem Hansa Kammlera projektującym w imieniu Organizacji Todta najtajniejsze podziemne obiekty był wysokiej klasy specjalista Oberberghauptmann Oskar Gabel. Rzeczywiście pracował on na Książu<sup>14</sup>. Zapewne to o niego chodziło, tyle że pani Stempowska pomyliła ostatnią literę nazwiska.

Tu muszę zadać ważne pytanie: Co pani Stempowska robiła na tej niezwykle przecież tajnej budowie? Czyżby Niemcy tak zaniedbali kwestie bezpieczeństwa, że pozwalali się po niej kręcić cywilom nie związanym z tym przedsięwzięciem? Do tego zaś opowiadali im o prominentnym esesmanie, którego tożsamość i obecność na zamku na pewno także trzymana była w wielkim sekrecie?

A co do „Werkspolizei”, to pani Stempowska widzi chyba innymi oczami niż wszyscy inni świadkowie, którzy przecież nie zginęli co do jednego. Dlaczego sprowadza ona tragedię Arbeitslager Fürsten-



Notatka służbowa z rozmowy przeprowadzonej z p. Dorotą Stempowską w Książu dnia 2 IV 87r.

Pani Dorota Stempowska mieszka na terenie zamku Książ od urodzenia. Rodzice jej pracowali u właścicieli zamku. Obecnie mieszka i pracuje w Stacji Geofizycznej PAN także na terenie zamku.

W czasie rozmowy powiedziła, że około 6 tygodni przed rozpoczęciem II wojny światowej z zamku Książ wyjechał właściciel do rodziny matki do Anglii. Zamku od tego czasu nie opuszczano i nikt w nim nie mieszkał. Księżna Deisy mieszkała w oficynie przed dziedzińcem zamkowym (obecnie jest tam Stacja Geofizyczna) do jesieni 1940r. Następnie przeniosła się do willi, która budynek obecnego Śniadownia i KH PZPR.

W oficynie po przeciwnej stronie (obecnie hotel) mieszkali inni pracownicy zamku. Od jesieni 1940r. po ks. Deisy, w oficynie mieszkali przesiedleńcy z Rumunii. W roku 1944 wysiedleni oni zostali do Świebodzic a budynek objęła Organizacja Todt.

W roku 1938 upaństwowiono studnię opierów. Fizycznie opierły z kubicz. Także pracowników studni. Natomiast ludzi popracując pracujących w studniach, wysiedlono do 5 domów zbudowanych jako obronny ulicy Wiercińskiego (kolo Palmiarni)

Do roku 1942 w zamku Książ nie prowadzono żadnych prac.

W 1942r. Książ objął mial Zarząd Kolei Państwowych na archiwum. Byli w związku z tym przedstawiciele Kolei, ale nie wiadomo czy znaleźli już jakieś dokumenty.

Na przełomie roku 1942/43 rozpoczęła pracę w zamku Organizacja Todt. Zbudowano sporo baraków w Półcznicy (kolo ul. Polka) - ślady widoczne do dzisiaj). ~~Byli~~ Pacyowali tam Ukraińcy - robotnicy przymusowi - nosili literę U ~~na~~ w trójkącie. Polaków nie było.

(Półcznicy - robotnicy przymusowi, kilka osób - pracowali w nadzórctwie. Mieszkali w nieistniejącym obecnie domu, ndony po drzewo, poniżej alei Kasztanowej nad a. Półcznicą k/Szazawianka) obecnego

Baraki wybudowano też na terenie parku zamkowego, min. na terenie nowego biopodrozu znajdowały się magazyny materiałów, - przy alei Lipowej.

Kolejka wąskotorowa doprowadzona była od bocznicy kolei normalnotorowej w Lubiedkowie do zamku: na dziedzińcu głównym - do szopy i boczną bramą do otwora wiertniczego k/hotelu.

Prace prowadzono równoległe w kilku miejscach (podziemie, szyby 2, otwory wiertnicze 2, i inne)

Szefem OT w Książu był architekt o nazwisku Geben.

Zamek i więzienie pilnowało Wehrschut. - mieli mundury barczny zielonego koloru jak Wehrmacht.

~~Byli~~ ~~W~~ ~~Okolo~~ ~~3~~ ~~IV~~ ~~43r~~ zaczęto budować obóz dla więźniów w pobliżu obecnego Parkingu. Wybudowano okrągłe tzw. celly fińskie. Po małej więcej tygodniu byli tam już więźniowie. P. Stempowska twierdzi, że byli to więźniowie polityczni - Żydzi węgierscy (z 1943r. Niemców). Okolo 9 II 45r. roboty przerwano w związku z odwołaniem frontu kolo Strzegomia przez wojska radzieckie. Żydów - więźniów ewakuowano do Trautau. Jednakże, po wyjaśnieniu się sytuacji na froncie, roboty wznowiono i przyniesiono nowych więźniów. Kontynuowano je do 6 V 45r. 7 V 45r. Organizacja Todt opasała teren zamku - w tym samym dniu wywieziono prawdopodobnie również więźniów w stronę Świdowa.

Zapis rozmowy pracownika Muzeum Gross-Rosen z Dorotą Stempowską

stein do sytuacji panującej w zwykłej fabryce korzystającej z pracy więźniów pilnowanych przez Wehrschutz? Tak było ze zwykłymi robotnikami przymusowymi w

fabrykach o na pół cywilnym, nie wymagającym zbytniego utajnienia, charakterze produkcji. Nie jest mi znany żaden przypadek, by więźniów obozów koncentracyjnych pilnowała wyłącznie straż zakładowa. Czerwonych naszywek i znaczka na furazerce noszonych w tej formacji spostrzegawcza pani Stempowska zresztą nie zauważyła.

2. „Okolo 3 maja 1943 roku zaczęto budować obóz w pobliżu dzisiejszego parkingu. Wybudowano okrągłe tzw. celtki fińskie<sup>15</sup>. Po mniej więcej tygodniu byli tam już więźniowie. Pani D. Stempowska twierdzi, że byli to więźniowie polityczni - Żydzi węgierscy”<sup>16</sup>.

Cóż — znów dziwny błąd jak na osobę, która co do dnia przytacza daty. Deportacja z Węgier zaczęła się w 1944 roku, skąd zatem by się tu wzięli więźniowie, o których wspomina świadek? Chyba że pani Stempowska znów się myli, mówiąc o trzecim maja.

3. „[...] po wyjaśnieniu się sytuacji na froncie roboty wznowiono i przywieziono nowych więźniów. Kontynuowano je do 6 V 1945. 7 V 1945 r. Organizacja Todt opuściła teren zamku - w tym samym dniu wywieziono również więźniów w Góry Sowie”<sup>17</sup>.

Tu pani Stempowska znów wykazuje się zaskakującą pamięcią i wiedzą. Powinna w takim razie pamiętać, kto oprócz niej został na Książu. Była to przecież jedna z tajniejszych niemieckich budów, musiał więc jej ktoś pilnować. Antoni Graj z Książa, pracownik Organizacji Todta, opowiadał mi o specjalnych wartach i przepustkach. A na zamku przebywa cywil, pani Stempowska — kto jej wydał taką przepustkę i w jakim celu? Dziś w takiej sytuacji zapytano by, czy ma certyfikat dostępu do tajnych informacji. I kto ją poinformował o wywiezieniu więźniów w Góry Sowie?

4. „[...] żadnych walk nie było — w zamku znajdowały się tylko osoby cywilne”<sup>18</sup>.

Jakie u licha osoby cywilne na tajnej niemieckiej budowie? I na dokładkę ta data zajęcia zamku przez Rosjan. Nazbyt wiele się nie zgadza w wypowiedziach tego świadka.

5.1 wreszcie — dlaczego pani Stempowska, która pamięta tyle szczegółów, nie wspomina o zamordowaniu tuzina „dziwnych więźniów” na zamkowym dziedzińcu, gdzie ich ciała znalazł radziecki patrol?

A teraz mój komentarz. Być może błędny, pani Dorota Stempowska mogła mnie jednak poprawić, bo prosiłem ją o rozmowę, gdy zbierałem materiały do pierwszej książki o Książu. Powiedziałem jej wtedy, o co chcę ją zapytać, i to był koniec. Wywołałem jedynie wielkie wzburzenie.

Myślę, że pani Stempowska kłamie. Jestem przekonany, że dowodzi tego to, że żyje. Przecież nie wyczekiwała Rosjan w zamkowej bramie, powiewając czerwonym sztandarem. Zresztą nawet gdyby tak było, wiedziałbym o tym od pułkownika Konkowa. A



skoro nie, to najpewniej wykazała się instynktem samozachowawczym. Wiedziała, co robią Rosjanie z niemieckimi kobietami. Ta wieść szła przed radziecką armią jak fala, powiększana przez hitlerowską propagandę<sup>19</sup>.

Jestem przekonany, że Dorota Stempowska zaszyła się pośród wałbrzyskich Niemców, by przeczekać i zachować kobiecą cześć, a może nawet życie. I słusznie. A na zamek rankiem wjechał czołg ze zwiadowcami, którzy zobaczyli „dziwne trupy więźniów”. Było tych zwłok kilkanaście, może dwanaście, tego mój rosyjski świadek nie pamięta. Mamy jednak dokument Archiwum Gross-Rosen wspominający o pracach Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, który potwierdza opowiadanie rosyjskiego świadka, a podważa zeznania Doroty Stempowskiej. Jest to odpowiedź na zapytanie doktora Jerzego Kotarby dotyczące Arbeitslager Fürstenstein. Mowa w niej o egzekucji pięciu więźniów za próbę ucieczki i poszukiwaniu miejsca ich pochówku. Oto jego urywek:

Więzień podał orientacyjną lokalizację grobu. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu, przy współudziale Muzeum, podjęła w lipcu 1987 roku próbę odszukania tej mogiły. Podczas prac prowadzonych w lasku sąsiadującym z terenem byłej filii [obozu koncentracyjnego — J.R.] nie natrafiono na miejsce pochówku wspomnianych 5 więźniów. Odkryto natomiast zbiorową mogiłę kryjącą szczątki 12 mężczyzn, których nie udało się zidentyfikować. W mogile nie znaleziono także żadnych przedmiotów materialnych, które mogłyby pomóc w stwierdzeniu, czyje zwłoki zostały tam pochowane.<sup>20</sup>

Zbiorowy grób dwunastu mężczyzn. Czy aby nie jest to mogiła kryjąca odnalezione przez Rosjan ciała więźniów, o których wspomina mój świadek z armii Czerwonej? Zgadza się liczba zwłok, a brak jakichkolwiek przedmiotów osobistych świadczy o zaplanowanej egzekucji, więźniowie bowiem lubili mieć przy sobie przedmioty ułatwiające przeżycie. Znalazłby się jakiś kubek, łyżka... Szkoda, że w dokumencie tym nie wspomina się o butach zabitych więźniów. Czy były to drewniaki? Jeśli nie, to rosyjska relacja byłaby w pełni potwierdzona.

Na dotyczące tej sprawy informacje natrafiłem także w regionalnej gazecie. Napisano w niej, że

W dole zakopanych było 12 szkieletów mężczyzn. Nie znaleziono przy nich żadnych przedmiotów. Nie było również widać na kościach śladów po kulach z pistoletu lub karabinu. 3 września 1987 roku na cmentarzu komunalnym przy ul. Przemysłowej w Wałbrzychu odbyła się ceremonia pogrzebowa. Szczątkom pomordowanych nie dane było jednak zaznać spokoju. 21 października 1991 roku zostały ponownie ekshumowane i wywiezione w nieznanym kierunku. Prawdopodobnie do Czechosłowacji.<sup>21</sup>

W zestawieniu z resztą materiałów ta notatka zasługuje na baczna uwagę.

Co wywozili z zamku Sowieci? Wiadomo już, że odkryli tu jedną trzecią archiwum Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), rozdzielonego i schowanego przez Niemców także w Radomierzycach i na zamku Czocha<sup>22</sup>. Na pewno wywieziono nie tylko to archiwum. Rosjanin Paweł Knyszewski w książce *Moskaus Beute* („Łupy Moskwy”), wydanej w 1995 roku w Niemczech, napisał, jak to w archiwach Federacji Rosyjskiej natknął się na notatkę sporządzoną w 1945 roku przez generała Andrieja Okorokowa, szefa Zarządu Politycznego Północnej Grupy Wojsk, adresowaną do Gieorgija Aleksandrowa, który kierował aparatem propagandy i agitacji KC WKP(b). Notatka ta brzmiała:

Na terenie, na którym stacjonowała 65. Armia, w zamku Fürstenstein koło Waldenburga, została odkryta biblioteka licząca około 65 tysięcy tomów, w tym znaleziono wiele książek z XVI i XVII wieku, które uchodzą za bardzo rzadkie i cenne. Poza tym biblioteka zawiera wyjątkowy zbiór rękopisów. Proszę was o wskazówki, co zrobić z tym zbiorem.<sup>23</sup>

Aleksandrów nakazał ewakuację - czytaj: wywiezienie - do ZSRR całej biblioteki. Informacja ta wydaje się interesująca w świetle artykułu Mariana Brandysa napisanego w 1947 roku po wizycie na Książu. Co widział Brandys? „[...] całe mnóstwo bezcennych źródłowych dzieł, starych dokumentów i historycznych rękopisów, których skromny wygląd nie przywabił złodziejskiego oka”<sup>24</sup>.

Czyżby Rosjanie nie wywieźli całości zbiorów? A może pobyt na zamku z jakichś powodów wydawał im się tak niebezpieczny, że nie zdążyli wszystkiego wywieźć? Co w takim razie stało się z bezcennymi woluminami? A może notatka Okorokowa dotyczyła innej biblioteki? W każdym razie NKWD działał na Książu bardzo długo. Zamek i budynki podzamcza oraz wykute pod nimi tunele, a także rozległy park Sowieci zajmowali trzynaście miesięcy, do pierwszych dni czerwca 1946 roku, kiedy to zamek Książno (takiej wtedy używano nazwy) oddali Polakom, mimo że 28 maja 1945 roku władzę nad Wałbrzychem uroczyście przekazano polskiej grupie operacyjnej. Sowieci pracowali tam ponad rok. Co wywozili i co tam robili? Nie dowiemy się tego, chyba że Rosjanie ujawnią poradzieckie archiwa, bo na zamek nie miał wtedy wstępu nawet pierwszy polski pełnomocnik rządu na miasto Wałbrzych, Eugeniusz Szewczyk.

We wspomnieniach ojca pułkownika Konkowa przewija się informacja, że funkcjonariusze NKWD szukali w okolicy zamku podziemnej fabryki lotniczej. Coś na ten temat musieli wiedzieć, skoro prowadzili te poszukiwania. Informacja ta łączy się ze

strzępkami wiadomości z okresu wojny, że zamku Fürstenstein pilnowały SS i Luftwaffe, a Starego Zamku jedynie Luftwaffe. Takie zasady obowiązywały we wszystkich zakładach pracujących dla lotnictwa III Rzeszy. Czy to trop prowadzący do fabryki części samolotów usytuowanej pod Starym Zamkiem? Jeśli tak, to muszą być jeszcze inne ślady.

Niemożliwe, by fabryka lotnicza pracowała w całkowitym odosobnieniu, odcięta od sieci współpracujących z nią zakładów, dostarczających jej podzespoły i urządzenia, produkujących potrzebne detale. W okolicy musiałyby także działać ich laboratoria doświadczalne. Nikt rozsądnie myślący nie woziłby z daleka, szczególnie w czasie wojny, wszystkiego, co potrzebne do takiej produkcji. Zakłady te i laboratoria musiały pracować w pobliżu fabryki, nie dalej niż o sto kilometrów. Za chwilę je zidentyfikujemy...

Odległości, jakie będę podawał, są mierzone po krętych drogach Dolnego Śląska, a nie w linii prostej.

*Marklissa* — dziś Leśna. Działały tu obiekty o kryptonimach „Eisenglanz” i „Titrkis”, w których koncern VDM produkował podzespoły samolotów. Odległość od Książa 100 kilometrów.

*Lauban* — dziś Lubań. Firma GEMA Werke wytwarzała tu systemy radiolokacyjne. Odległość od Książa 98 kilometrów.

*Rengersdorf* - dziś Krosnowice Kłodzkie. W zboczach góry o niemieckiej nazwie Roter Berg wykuto obiekt o kryptonimie „Wille-mit” z przeznaczeniem na produkcję lotniczą - bliższych informacji niestety brak. Odległość od Książa 70 kilometrów.

*Leubus* - dziś Lubiąż. Powstał tu cały zespół fabryk produkujących dla przemysłu lotniczego. Odległość od Książa 54 kilometry.

*Bushvorwerk* — dziś Kowary, dzielnica Krzaczyzna. Działała tutaj podziemna fabryka lotnicza, figurująca w niemieckich spisach jako obiekt o kryptonimie „Sylvinit”. Jej dyrektorem był Wilhelm Schmidding, konstruktor silników raketowych. Odległość od Książa 45 kilometrów.

*Langebielau* — dziś Bielawa. Mieściły się tu pracujące dla lotnictwa zakłady koncernów Kruppa i Boscha. Odległość od Książa 38 kilometrów.

*Reichenbach* - dziś Dzierżoniów. Przeniesiono tu zakłady radiowe firmy Hagenuk z Kilonü. Odległość od Książa 35 kilometrów.

*Friedland* — dziś Mieroszów. Działały tutaj zakłady koncernu VDM pracującego na rzecz przemysłu lotniczego. Odległość od Książa 29 kilometrów.

*Landeshut* - dziś Kamienna Góra. Pracował tu na potrzeby lotnictwa chroniony przez Luftwaffe zespół fabryk i laboratoriów doświadczalnych. Odległość od Książa 24 kilometry.

*Wustegiersdorf*— dziś Głuszyca. W dawnych zakładach włókienniczych umieszczono tu zakład koncernu Kruppa pracujący na rzecz lotnictwa. Odległość od Książa 22 kilometry.

*Zobten* — dziś Sobótka. Znajduje się tu podziemny obiekt „See-hund” wykonany pod górą Ślężą przez rozbudowę dawnej kopalni magnezytu. Przeniesiono tu między innymi zakłady Kruppa z Markstadt, wytwarzające wały korbowe dla samolotów śmigłowych. Odległość od Książa 20 kilometrów.

*Gross-Rosen* - dziś Rogoźnica. Jedno z komand tutejszego obozu składało się z wykwalifikowanych więźniów prowadzących na potrzeby lotnictwa badania zdobycznego sprzętu radioelektronicznego. Odległość od Książa 20 kilometrów.

*Bolkenhain* - dziś Bolków. Były tu zakłady VDM produkujące dla lotnictwa. Odległość od Książa 20 kilometrów.

*Waldenburg* - dziś Wałbrzych. Pracowało tu na rzecz lotnictwa wiele zakładów, między innymi firma Fiebig, produkująca elementy płatów i usterzenia. Odległość od Książa 5 kilometrów.

*Striegau* - dziś Strzegom. W Górze Szerokiej powstał tutaj podziemny obiekt o nazwie „Balthasar” mieszczący fabrykę lotniczą. Odległość od Książa 4 kilometry.

*Freiburg* — dziś Świebodzice. W czasie drugiej wojny światowej prawie cały przemysł tego miasta przestawiony został na potrzeby sił zbrojnych III Rzeszy. Jednym z ważniejszych zakładów była fabryka produkująca przyrządy pomiarowe, a dla Luftwaffe przyrządy pokładowe do samolotów. Odległość od Książa 3 kilometry.

Nie wspomniałem o wielu mniejszych zakładach, jednak wymieniłem chyba już dość firm, by można było stwierdzić, że zamek Książ i położony na drugim brzegu Pełcznicy Stary Zamek znalazły się w samym środku wielkiego okręgu, w którym ulokowano mnóstwo fabryk pracujących na rzecz Luftwaffe.

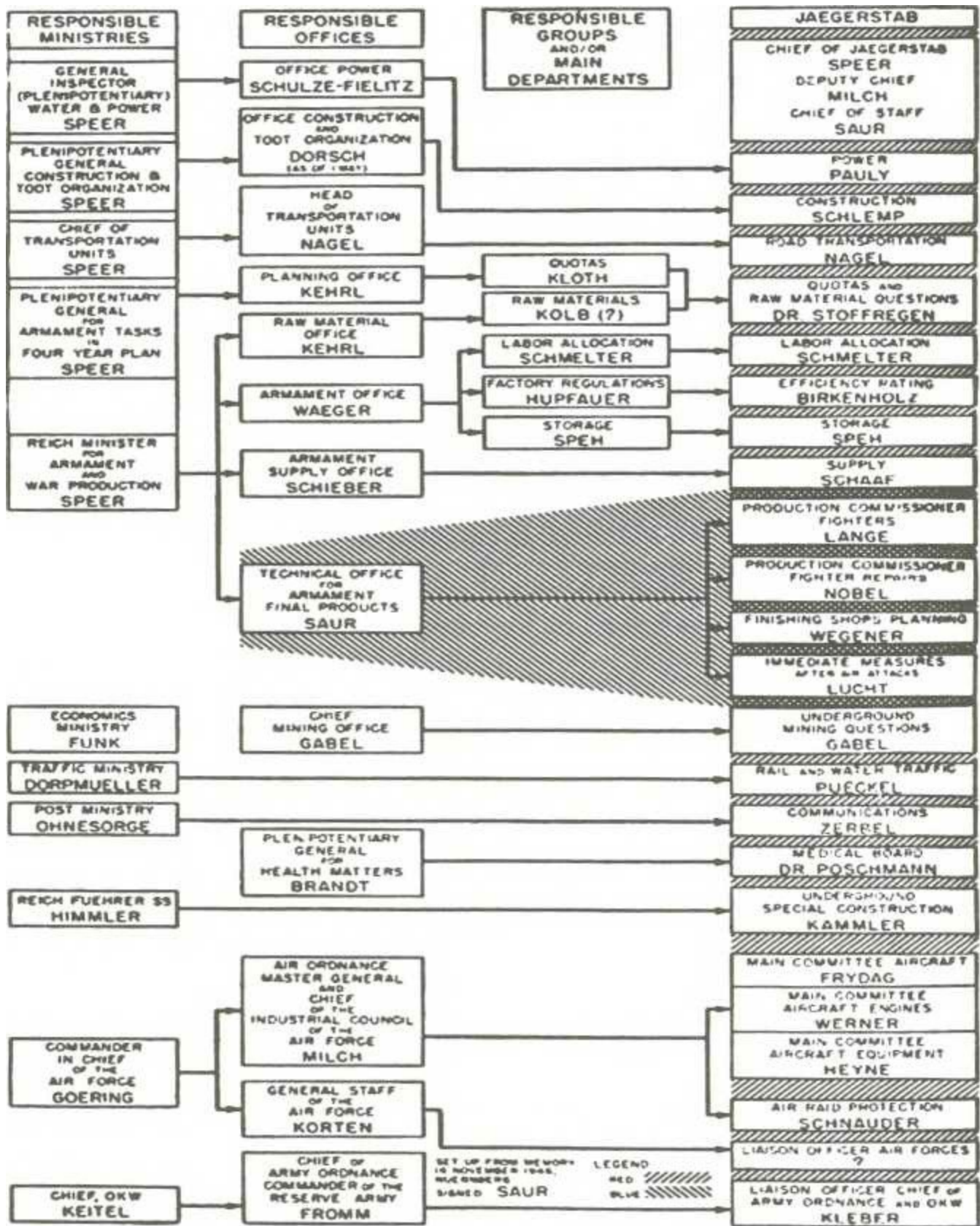
W tym kontekście łatwo zrozumieć, dlaczego tak często bywał tu Hans Kammler, prominentna postać z Jagerstabu w Gross-Rosen. Wśród ludzi, których widywał na zamku Günther Grundmann, niewątpliwie były i inne osoby z tej jednostki organizacyjnej. Jak dowiodę, była ona ściśle związana ze wszystkim, co działo się w obu zamkach.

Wspomina Albert Speer, minister uzbrojenia i amunicji:

23 lutego 1944 roku odwiedził mnie w szpitalu Milch<sup>25</sup>. 8 i 15 amerykańska flota powietrzna skoncentrowały swe naloty na niemieckim przemyśle lotniczym. Z tych właśnie powodów, jak twierdził, nasza produkcja samolotów w następnym miesiącu może osiągnąć tylko jedną trzecią stanu poprzedniego miesiąca. Milch przyniósł ze sobą opracowaną na piśmie propozycję: w celu podjęcia wspólnych wysiłków obu ministrów dla



przewyciężenia trudności w dziedzinie uzbrojenia lotniczego należy powołać do życia „sztab myśliwców” na wzór tzw. sztabu Ruhry, który skutecznie usuwa na terenie Zagłębia szkody spowodowane przez naloty lotnicze.



Struktura Jägerstabu

Być może w tej sytuacji rozsądniej byłoby dać wymijającą odpowiedź, ale chciałem przynajmniej podjąć jakąś próbę przyjscia z pomocą znajdującemu się w trudnej sytuacji

lotnictwu, więc zgodziłem się. Obaj z Milchem zdawaliśmy sobie sprawę, że sztab myśliwców byłby pierwszym krokiem do fuzji uzbrojenia również ostatniego rodzaju wojsk Wehrmachtu z moim ministerstwem.

Leżąc w łóżku zatelefonowałem najpierw do Göringa, ale odrzucił naszą propozycję wspólnej działalności. Nie mogłem uznać zarzutu Göringa, że wkraczam w jego kompetencje. Zadzwoiłem więc do Hitlera, któremu sam pomysł podobał się, ale gdy mu oznajmiłem, że na szefa sztabu myśliwców przewidzieliśmy gauleitera Hankego, stracił już zainteresowanie i sprzeciwił się. „Zrobiłem duży błąd, powierzając Saucklowi kierownictwo nad werbowaniem siły roboczej”, odpowiedział po drugiej stronie telefonu Hitler. „Gauleiter może wydawać jedynie nieodwołalne decyzje, a tutaj musi on stale pertraktować i iść na kompromisy. Już nigdy nie powierzę gauleiterowi takiego zadania”. Hitler wpadał coraz bardziej w złość. „Eksperyment z Saucklem wpłynął na obniżenie autorytetu wszystkich gauleiterów. Saur przejmie to zadanie!” Po czym zdecydowanie uciał rozmowę, po raz drugi w krótkim czasie ingerując w moją politykę personalną. W trakcie tej rozmowy telefonicznej głos Hitlera brzmiał chłodno i nieprzyjaźnie. Być może w zły humor wprawiło go coś innego. Przyjąłem rozkaz bez zastrzeżeń, gdyż również Milch faworyzował Saura, którego ranga jeszcze bardziej wzrosła w czasie mojej choroby.<sup>26</sup>

Karl Otto Saur, dotychczasowy szef departamentu techniki (Tech-nisches Amt) w Ministerstwie Uzbrojenia i Amunicji, rzeczywiście otrzymał nadzwyczaj szerokie uprawnienia. Podczas przesłuchania prowadzonego przez Amerykanów od 8 do 10 sierpnia 1945 roku powiedział na ten temat:

Wraz z utworzeniem „sztabu myśliwskiego” (Jagerstab), 1 marca 1944, porzucono stary system, co umożliwiło wytwarzanie różnego rodzaju podzespołów we wszystkich fabrykach, jakie były dostępne, a w innym wypadku pozostałyby niewykorzystane. Powołano ciało koor-





Oba zamki książkie na starej mapie

dynujące, którego zadaniem było zapewnienie lotnictwu niezbędnej przestrzeni (produkcyjnej). Było to niekwestionowanym osiągnięciem (późniejszego) oficera łącznikowego Jagerstab - H. Rüsta. Doprowadziło do przekazania na użytek lotnictwa co najmniej miliona metrów kwadratowych powierzchni, służącej dotychczas wojskom lądowym\*

Widzimy więc wyraźnie przyczynę wszystkiego, co działo się na Dolnym Śląsku. Należało znaleźć dla przemysłu lotniczego nowe miejsce, milion metrów kwadratowych, poza zasięgiem bombardowań, należało znaleźć i powiększyć przestrzeń produkcyjną na potrzeby Luftwaffe, a że te zadania zrealizowano, jednoznacznie udowadnia wcześniejszy wykaz lokalizacji zakładów otaczających ze wszystkich stron oba dawne zamki Hochbergów oraz stały <sup>27</sup> wzrost produkcji samolotów. Z przedstawionego wyżej zestawienia wynika też jasno, że oba te zamki nie były przygotowywane na nową Führerhauptquartier. Znajdowały się natomiast w samym centrum okręgu związanego z przemysłem lotniczym. Czym więc miały być, jakie było ich przeznaczenie? Jaki jest ich związek z Jagerstabem?

2

Ibidem, s. 204.

3

AMGR, sygn. 44/375-376/MF, Protokół przesłuchania Stefana Horvata w Sądzie Okręgowym w Krakowie.

4

Dorota Sula, *Arbeitslager Riese. Filia KL Gross-Rosen*, Wydawnictwo Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych 2003, s. 61.

5

Korytarz łączący dwa chodniki na różnych poziomach, drażony po upadzie, czyli z góry na dół.

6

Relacja Tadeusza Słowikowskiego dla autora, Wałbrzych 1994.

7

Jan Zduniak, *Wilczy Szaniec i inne kwatery wojenne Hitlera*, Energopol-Trade-Poligrafia, Olsztyn 1998, s. 150.

8

Heinrich Schwendemann, Wolfgang Dietsche, przy współpr. Bożeny Górczyńskiej-Przybyłowicz, *Hitlers Schloss: Die „Führerresidenz“ in Posen*, Christoph Links Verlag, Berlin 2003, s. 175-183.

9

Ibidem, str. 178.

10

Pod istniejącą do dziś budowlą Książa.

11

Relacja płk. Andrieja Konkowa, Borne Sulinowo 2002.

12

Archiwum Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych, fotokopia w zbiorach autora.

13

Ibidem.

14

[http://www.gtgi.de/archiv/indexa.htmkkammer\\_leb44.html](http://www.gtgi.de/archiv/indexa.htmkkammer_leb44.html)

15

Namioty na planie okręgu zimą wkopywane w ziemię i ogrzewane centralnie stawianym piecykiem (przyp. red.).

16

Archiwum Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych, fotokopia w zbiorach autora.

17

Ibidem.

18

Ibidem.

[19](#)

Zimą roku 1946/1947, gdy rosyjscy dowódcy zaczęli wymuszać dyscyplinę z obawy przed zachorowaniami żołnierzy.

Wiemy jednak, że w radzieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech mieszkało co najmniej 15 mln kobiet, łącznie z uchodźczyniami ze wschodu. Pewne wyobrażenie o skali gwałtów daje to, że w latach 1945–1948 ok. 2 mln Niemek rocznie usuwało ciężę (PAP, [www.onet.pl](http://www.onet.pl), *Nowe dane o gwałtach czerwonarmistów*, 24 stycznia 2002).

[20](#)

Archiwum Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych, fotokopia w zbiorach autora.

[21](#)

„Gazeta Wrocławska”, Artur Szatkowski, *Zaproszenie do przeszłości, część 2*,

<http://tarnow.naszemiasto.pl/artukul/226947,zaproszenie-do-przeszlosci-2,id,t.html>

[22](#)

[http://www.obnie.info/Joomla/index.php?option=com\\_content&view=article](http://www.obnie.info/Joomla/index.php?option=com_content&view=article) &id=580:jaroszewicz-

radomierzyce&catid=108:tajemnice&Itemid=27

[23](#)

Paweł Nikolaewitsch Knyschewski, *Moskans Beute. Wie Vermógen, Kultur-güter und Intelligenz nach 1945 aus*

*Deutschlandgeraubt wurden*, Munchen/Lands-berg am Lech 1995.

[24](#)

„Przekrój”, czerwiec (?) 1947.

[25](#)

Erhard Milch — feldmarszałek, główny inspektor Luftwaffe.

[26](#)

Albert Speer, *Wspomnienia*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1973, s. 468.

[27](#)

Ibidem, s. 552.

# Tajemnice dwóch zamków i Hubertus Strughold

Stojąc na dziedzińcu zamku Książ, przez dobrą lornetkę dostrzec można na nieodległym wzgórzu ukryte wśród drzew ruiny Starego Zamku. Wiele lat sądzono, że budowla ta jest li tylko romantyczną sztuczną ruiną, lecz przeprowadzone około dziesięciu lat temu badania archeologiczne obaliły tę teorię. Stwierdzono, że na przełomie IX i X stulecia stał już tutaj ziemno-drewniany gród, a cztery wieki później murowana warownia, której fundatorem był zapewne książę świdnicko-jaworski Bolko I Surowy. W tym samym czasie 800 metrów dalej Bolko wznosił potężną siedzibę w Książu. Obie twierdze miały się wzajemnie wspierać w razie ataku, tworzyły zespół obronny, dzisiejszy zamek Książ powinien więc w zasadzie nosić nazwę Nowego Zamku i tak też będę go czasem nazywał<sup>1</sup>.

Byłem na Starym Zamku dwadzieścia lat temu, lecz wtedy nie interesowały mnie wojenne tajemnice siedziby Hochbergów. A szkoda, bo zapewne więcej wtedy było śladów wspomianej przebudowy z czasów drugiej wojny światowej.

W 2008 roku przebyłem tę trasę ponownie i wtedy interesowała mnie nie tylko bujna przyroda doliny Pełcznicy. Od Nowego Zamku iść trzeba ciągnącym się od Świdnicy do Strzegomia Szlakiem Ułanów Legü Nadwiślańskiej, która 15 maja 1807 roku między Strugą a Szczawnem na zboczach Czerwonego Wzgórza stoczyła zwycięską bitwę z wojskami pruskimi. Trzykilometrowa trasa nie należy do najłatwiejszych, zwłaszcza dla osób cierpiących na lęk przestrzeni, krajobrazy jednak w pełni rekompensują trudy i chwile obaw. Pierwszy odcinek prowadzi w dół ku oddzielającej oba zamki Pełcznicy. Cieszą tu oko wspaniałe pomniki przyrody, piękne formacje skalne, a wraz z szumem rzeki, nawet w słoneczny dzień, rośnie mrok, potęgując nastrój tajemnicy. Tu w działania przyrody nie ma prawa ingerować ręka leśnika, usuwa się jedynie pnie padające na szlak, toteż drzewa tworzą naturalny tunel.

Z Ewą, moją towarzyszką w życiu i na tej wycieczce, przeszliśmy przez mostek nad szybkim nurtem ujętej w betonowe płyty Pełcznicy i na przeciwległym brzegu dostrzegliśmy budynek nieczynnej dziś małej elektrowni wodnej. Konstrukcje te pochodzą z okresu drugowojennej przebudowy zamków. Widocznie w podziemiach potrzeba było dużo energii elektrycznej, a elektrownie na Pełcznicy, bo było ich kilka, uniezależniały je od dostaw z Wałbrzycha<sup>2</sup>. Woda, za sprawą różnych glinek i związków żelaza napływających tu z wałbrzyskich kopalń, miała intensywnie żółty kolor. Urodę rzeki pieniącej się tu na stromych, skośnych progach psuły zanieczyszczenia niesione przez szybki nurt.

Dalej szlak prowadzi stromo pod górę pięknym bukowym lasem. Wiedziałem, że tu

właśnie powinny być ślady drugowojennych tajemnic. Dotarliśmy do szerszej drogi, niewątpliwie pamiętającej niemieckie czasy. Szukaliśmy na jej obrzeżach i znaleźliśmy. Z leżących na ziemi konarów wyglądały potężne betonowe płyty z charakterystycznymi otworami – resztki dawnego bunkra strażniczego pilnującego drogi do Starego Zamku od strony Wałbrzycha. Musiała być dla Niemców ważna ta „romantyczna ruina”, skoro strzegły jej tak potężne wartownie...

Drogą ciągle prowadzącą pod górę dotarliśmy do ruin zamku, których obecność sygnalizują kamienne mury oporowe, a może fundamenty starych budynków po lewej stronie drogi.

Raczej były to budynki, bo w kilku miejscach odnajdujemy zawalone już wejścia do podpiwniczeń opanowanych przez korzenie rosnących wyżej drzew. Cały wierzchołek wzgórza został wyrównany. Przed zamkiem krzyżują się szerokie drogi dojazdowe. Za szerokie dla karet i powozów. Spod cienkiej warstwy ziemi wyzierają kamienie – drogi te bardzo solidnie utwardzono. Przed samym wjazdem do zamku naszą uwagę zwraca mały obiekt na zboczu, z zewnątrz wyglądający jak obudowane kamieniami zejście do jakiejś piwniczki. Jeszcze niedawno dostępu do niego broniły potężne stalowe drzwi. Teraz już ich nie ma - stały się łupem okolicznych złomiarzy.

W środku „piwniczka” okazuje się solidnym betonowym obiektem składającym się z trzech pomieszczeń na planie krzyża. Futryna drzwi wejściowych nosi ślady mocowań dodatkowych drzwi wewnętrznych, a wielkie zawiasy świadczą o ich wadze. Pomieszczenia po lewej i prawej od wejścia mają wymiary metr na metr i wysokość około trzech metrów. W pomieszczeniu po lewej, jak wiem z opowiadań, do niedawna w ścianie tkwiły pozostałości dziwnego stalowego stelaża, który podzielił los drzwi zewnętrznych i wewnętrznych. Odnajduję tu małą wnękę żywo przypominającą wnęki do paneli sterowniczych wind w podziemiach Nowego Zamku. W pomieszczeniu po prawej, o identycznych wymiarach, jest podobne zagłębienie, a ze ściany wystają uchwyty, które mogłyby podtrzymywać solidne półki.

Z głównego pomieszczenia, o wymiarach trzy na dwa metry, prowadzi - dostępne także z zewnątrz - wyjście przez strop. Była to zamkowa lodownia, intuicja mówi mi jednak, że w czasie wojny wykorzystywano ją w zupełnie innym celu.

Na pobliskim pagórku jest betonowy basenik o wymiarach dwa na dwa metry - dawny zbiornik na wodę. Ktoś zadał sobie sporo trudu, by tę konstrukcję upodobnić do pozostałych ruin.

Przed ruinami zamku naszą uwagę zwróciły cztery filary. Dwa mniej więcej



pięciometrowe, zakończone stalowymi elementami, i dwa mierzące około trzech metrów. Na wyższych można było zauważyć resztki maskowania przypominającego spotykane w niemieckich schronach. Były to niegdyś filary mostu prowadzącego na zamek. Czy i w jakiej mierze okolice mostu zostały przebudowane przez Niemców w czasie wojny, nie wiemy.

Przed frontem zamku zdziwiony dostrzegłem kamionkowe rury biegnące pionowo pod ziemię. Zastanawiające są też liczne inne widoczne tu ślady wojennej „modernizacji”: stalowe elementy niewiadomego przeznaczenia, szyny stropowe, stalowe rury...

W ruinach stoi kamiennie-ceglana ściana z pięknie zdobionym wejściem, do dziś nosząca ślady wielkiego pożaru, który znamy z relacji o potyczce Rosjan z Werwolfem. Jak wyglądało to miejsce przed wysadzeniem i pożarem, który później nastąpił? Tego zapewne nie dowiemy się nigdy, jak i tego, czego Rosjanie szukali na Starym Zamku. Ślady przebudowy są jednak aż nadto widoczne. Oprócz stalowych i kamionkowych elementów na dziedzińcu leżą fragmenty betonowej posadzki, w prawym rogu widoczne są zerwane wybuchem elementy piwnicznego stropu. Czy ktoś kiedyś odkopie te piwnice, jeśli rzecz jasna otrzyma na to pozwolenie?

Z baszty, której wewnętrzne ściany też przyciemnił dym pożaru, krótkim tunelem wychodzimy z ruin. Uporczywa, powtarzana przez wiele ust pogłoska głosi, że bezpośrednio po wojnie stąd właśnie strome schody prowadziły głęboko w podziemia Starego Zamku.

Starsi już dziś panowie, których dzieciństwo przypadło na lata tuż po wojnie, opowiadają o wyjściu pod tarasami zamku po drugiej stronie rzeki, o tunelu ciągnącym się aż do mauzoleum Hochbergów. I o tym, że wojsko zalało te korytarze wieloma metrami sześciennymi betonu. Legendy to czy prawda? Nie wiem, a bez szczegółowych badań niczego autorytatywnie stwierdzić nie można. Zastanawiające jednak, że niektórzy z tych świadków nigdy się nie znali, a powtarzane przez nich opowieści są niemal identyczne.

Po wyjściu z tunelu przed nami kilkadziesiąt metrów poziomej grani, którą wiedzie szeroka, obudowana murkiem ścieżka. Ten grzbiet miał być niegdyś tarasem widokowym prowadzącym na cypel nad wąwozem Pełcznicy. Po lewej, niezbyt daleko, zza drzew wyzierają mury Nowego Zamku, po prawej mamy piękny widok na dolinę Pełcznicy. Tu Ewę i mnie czekała bardzo miła niespodzianka. Spotkaliśmy Andrzeja Nowickiego, niezwykle popularnego w tych stronach przewodnika terenowego. Nikt nie potrafi tak barwnie i zajmująco jak on opowiadać o historii, zabytkach i przyrodzie tych miejsc. Uważany jest za następcę Tadeusza Stecia, piewcy Sudetów, z którym zresztą się przez lata przyjaźnił. Dalej poszliśmy razem, co bardzo mnie cieszyło, bo wiedziałem, że Andrzej zna



tu każde drzewo i każdą ścieżkę. Poza tym dobrze wiedział, czego szukam.

Schodziliśmy karkołomną ścieżką ku Pełcznicy, zagłębiając się w gęsty mrok pod szczelnym baldachimem listowia. Nad nami wypiętrzało się wzgórze ukoronowane Starym Zamkiem. Po dłużących się minutach na pół zejścia, na pół zjazdu usłyszeliśmy, a później zobaczyliśmy, żółte wody rzeki. Andrzej wskazał trzy osuwiska. Były inne niż te, które widzieliśmy wcześniej nad brzegiem Pełcznicy. Tam materiał skalny składał się ze sporych głazów i mniejszych kamieni. Tu, we wszystkich trzech osuwiskach, kamienie były drobno pokruszone, a nawet roztarte na pył. Nachylenie zbocza także było inne, nie tak duże. Czy przy takim małym spadku może powstać naturalne osuwisko? - zapytałem Andrzeja. W końcu był górnikiem, dopiero na emeryturze oddał się swojej prawdziwej pasji – historii Sudetów. Potwierdził moje podejrzenia. Zarówno struktura drobno pokruszonego materiału, jak i niewielkie nachylenie zbocza praktycznie wykluczały powstanie naturalnego osuwiska. Tu zadziałała ręka człowieka, a raczej materiały wybuchowe. Te skały po prostu odstrzelono. Dlaczego? Co kryje się pod zwałami kamieni? Obszernie przytoczę opowieść Andrzeja:

W Wałbrzychu jestem od urodzenia. W kopalni i poza nią stykałem się z Niemcami, którzy mieszkali tu w czasie wojny. Interesowała mnie historia tych miejsc, lecz żeby zaczęli mówić, musieli mnie poznać, niejednokrotnie więc musiałem się z nimi zaprzyjaźnić. [...] Usłyszałem wiele interesujących opowieści, czasami wyglądających na nieprawdopodobne. Później nadszedł czas emerytury, lecz jeszcze wcześniej poznałem w kole PTTK Tadeusza Stecia. On o Sudetach wiedział wszystko, a nawet jeszcze więcej, bo to był dziwny facet kumający się z ludźmi, od których z daleka pachniało służbami [specjalnymi - J.R.] lub wywiadem. Wojenne tajemnice tych gór zawsze były jego wielką pasją. Często bywał u mnie w domu, bo jakoś zbliżyła nas ta sudecka pasja, a ponadto bardzo polubił mojego syna. Często gadaliśmy do późnej nocy o Książu, jego podziemiach, o Starym Zamku i opowieściach, jakie zasłyszałem od Niemców. Ciekawe to były opowieści, bo wynikało z nich, że pod Starym Zamkiem hitlerowcy wybudowali podziemne laboratoria i fabrykę części do samolotów. Tadeusza wcale te opowieści nie zdziwiły a nawet je potwierdził. Mówił, że upłynie dużo czasu, zanim wyjdzie na jaw prawda o podziemiach obu zamków, tunelach pomiędzy nimi i ich wykorzystaniu w czasie wojny. Uważał też, że nie znamy nawet połowy tej prawdy, bo to jeszcze długo będą tajne sprawy. Później, już po jego śmierci, oprowadzałem po Starym Zamku wycieczkę Niemców. Niemiecki trochę znam. Nie za wiele, ale wystarczająco, by zrozumieć, że szeptali o podziemnej fabryce, którą tu wysadzono. Wtedy mnie wzięło i zacząłem sam szukać. Te

osuwiska przelazłem wzdłuż i wszerz, odwracając prawie każdy kamień, i znalazłem. Było potwierdzenie. Kilka kamieni miało ślady takich samych nawierceń jak w podziemiach Książa lub przy wejściu do kompleksu Osówka. W te otwory wkładano materiał wybuchowy przed wysadzeniem skał. Widocznie nie wszystko tu wybuchło, ale wystarczyło, żeby zamknąć wejścia do fabryki. Żałuję teraz, że nie zrobiłem zdjęć, ale tu ciemno i nie miałem wtedy odpowiedniego aparatu, ale przecież każdy fachowiec stwierdzi, że to sztuczne osuwisko, a zresztą są i inne dowody, które zaraz zobaczycie.<sup>3</sup>

Zamyśleni szliśmy prawie tuż nad brzegiem Pełcznicy. Wąska ścieżka zmieniła się teraz w szeroką drogę, którą dotarliśmy do następnej małej elektrowni wodnej. Przedtem jednak Andrzej wskazał nam rozległą płaską powierzchnię. Niegdyś stały tu obozowe baraki. Odnaleźliśmy ślady ich fundamentów. Niemcy pędzili stąd więźniów do budowy podziemnego kompleksu, a później do pracy w fabryce pod Starym Zamkiem. Nad rzeką wybudowano niewielkie murowane magazyny. Co w nich przechowywano? Żywność, narzędzia czy potrzebne na bieżąco materiały wybuchowe? W zasadzie nic nie usprawiedliwiałoby istnienia na przeciwnym wobec zamku Książ brzegu Pełcznicy szerokich utwardzonych dróg ani całkiem sporego obozu pracy niewolniczej. Nic oprócz jakiegoś kompleksu fabrycznego lub badawczego pod Starym Zamkiem. Nie mówię tu o gigantycznej fabryce samolotów, co mi sugerowano, sądzę jednak, że w rozbudowanych piwnicach Starego Zamku produkowano lub badano coś bardzo dla Niemców ważnego, później zaś w pobliskich sztolniach, w tym sztolniach nad brzegami Szczawnika, oraz w części wałbrzyskich podziemi ukrywano bardzo cenne depozyty III Rzeszy.

Jest jeszcze jedna opowieść, która wprowadza do historii Starego i Nowego Zamku niezwykle ważną postać. Chodzi o Hubertusa Strugholda, uczonego zbrodniarza będącego pionierem niemieckiej medycyny lotniczej. Jakie są jego związki z zamkami nad Pełcznicą i dlaczego tego hitlerowca, który prowadził doświadczenia na więźniach obozów koncentracyjnych, Amerykanie nazywają ojcem medycyny kosmicznej i do dziś przyznają swym naukowcom nagrodę jego imienia?

Co o nim wiemy? Studiował medycynę w Munster, Getyndze, Monachium i Würzburgu. W roku 1922 zrobił doktorat i został asystentem Maximiliana von Freya, profesora fizjologii na Uniwersytecie Würzburgskim. Pięć lat później zajął się będącą jeszcze w powijakach medycyną lotniczą. Przez dwa lata przebywał w Stanach Zjednoczonych na zaproszenie Fundacji Rockefellera i wydziałów fizjologii uniwersytetów w Chicago i Cleveland, po czym wrócił do Würzburga. W 1933 roku został profesorem nadzwyczajnym.

W 1935 roku Ministerstwo Lotnictwa ściągnęło go do Berlina i powierzyło kierownictwo podlegającego mu bezpośrednio prestiżowego Instytutu Badawczego Medycyny Lotniczej,

decydującego o kwestiach medycznych w niemieckich siłach powietrznych. Odtąd bardzo trudno odtworzyć przebieg jego kariery i - z wiadomych przyczyn — zakres prac prowadzonych przez ów instytut oraz inne niemieckie placówki medycyny lotniczej. Pewien pogląd dają na to spisy uczestników konferencji naukowych, w których odnotowywano zajmowane przez nich stanowiska, a tematyka takich zjazdów świadczyć może o kierunku badań, które prowadzili.

W norymberskim hotelu „Deutscher Hof”, w którym zatrzymywał się Adolf Hitler podczas zjazdów partyjnych, 26 i 27 października 1942 roku Strughold uczestniczył w konferencji lekarzy specjalizujących się w medycynie lotniczej i badaniach nad zimnem. Temat jej brzmiał nader niewinnie - „Problemy medyczne niebezpieczeństw na morzu i zimą” — kryły się jednak za nim tortury i śmierć w męczarniach...

Nie wymieniam wszystkich jej uczestników, a jedynie nazwiska lekarzy, których prace omówię. Zachowuję numerację spisu z Dokumentów Norymberskich.

22. Finkę, kapitan, szpital Luftwaffe, Westerland.

34. Holzlöhner, kapitan, prof., wydz. sanitarny, naukowy i dydaktyczny Luftwaffe, Jüterbog.

64. Rascher, kapitan, wydz. sanit. Luftgau 7, Monachium.

65. Rein, naczelny lekarz wojenny, prof., konsultant fizjolog, RLM [Reichsluftfahrtministerium - Ministerstwo Lotnictwa Rzeszy-J.R.], L. In. 14.

66. Romberg, dr, DVL [Deutsche Versuchsanstalt für Luftfahrt — Niemiecki Zakład Doświadczalny Lotnictwa - J.R.] Adlershof.

67. Rosę, podpułkownik, prof. konsultant higienista, RLM, L. In. 14.

69. Ruff, kapitan lotn. dr hab. n. med., DVL Adlershof.

84. Strughold, dyrektor, prof. dr n. med. et. phil., LMFI [Luft-fahrtmedizinischen Forschungsinstitut — Instytut Badawczy Medycyny Lotniczej -J.R.] RLM.<sup>4</sup>

O eksperymentach prowadzonych na ludziach wiedzieli wszyscy uczestnicy tej konferencji. Jest na to niezbity dowód: pełne sprawozdanie z niej, wydane zresztą drukiem. Zacytowany w nim został Ernst Holzlöhner (34. na liście):

Było więc możliwe przeprowadzenie badań na ludziach. Odpowiednie dane zawdzięczamy kapitanowi dr. Rascherowi [64. na liście - J.R.] i kapitanowi dr. Finkemu [22. na liście — J.R.]. Odnoszą się one do przebywania w wodzie o temperaturze od 2 do 12 stopni [...]. Stężenie [...] natychmiast znika, gdy następuje śmierć.<sup>5</sup>

O nieszczęsnych, okrutnie mordowanych więźniach nazywanych tu osobami doświadczalnymi dowiedzieli się wszyscy „lekarze” biorący udział w konferencji.

Dowiedzieli się i... nic. Nikt nie zaprotestował, wszyscy uważali te mordy za coś normalnego, sankcjonowała je przecież nauka.

Przedstawmy zatem „najbardziej zaangażowanych naukowców” będących zarazem bliskimi współpracownikami lub podwładnymi pułkownika Hubertusa Strugholda, dyrektora Instytutu Badawczego Medycyny Lotniczej.

22. na liście kapitan Erich Finke. Poddawał on więźniów obozu Dachau eksperymentom mającym sprawdzić wytrzymałość człowieka na niskie temperatury.

Lekarz obozowy kapitan Sigmund Rascher, 64. na liście. Członek SA od 1936, a SS od 1939 roku. W latach 1936-1938 pracował w Instytucie Patologii Uniwersytetu Monachijskiego, gdzie prowadził badania nad nowotworami. W 1939 roku został powołany do Luftwaffe i służył w stopniu kapitana w monachijskim Luftgaukommando<sup>6</sup> VII. Dzięki osobistym układom oraz przynależności do założonego przez Himmlera „towarzystwa naukowego” Ahnenerbe listownie podzielił się z Reichsführerem swymi przemyśleniami z zakresu medycyny lotniczej:

Podczas tego kursu [dla lekarzy Luftgaukommando VII – J.R.] bardzo dużą rolę odgrywały doświadczenia dotyczące lotów na dużych wysokościach, wyznaczanych przez nieco większe wysokości osiągnęte przez angielskie myśliwce. Z ubolewaniem zauważono, że niestety nie udało się jeszcze przeprowadzić żadnych eksperymentów z materiałem ludzkim, takie eksperymenty są bowiem bardzo niebezpieczne i nikt nie zgłosił się do nich dobrowolnie.<sup>7</sup>

Co sugeruje Himmlerowi uczestnik owego kursu? Potrzebny jest „materiał ludzki”, czyli „osoby doświadczalne”. Nie zgłoszą się same, bo doświadczenia kończą się śmiercią. Trzeba je odszukać. Najlepiej w obozach koncentracyjnych. I Reichsführer SS, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, pomaga rozwiązać ten problem, bo już niedługo odnajdujemy Raschera we wspomnieniach więźnia obozu w Dachau, lekarza, który za pomoc towarzyszom niedoli został przeniesiony karnie do pracy w kostnicy:

Każdego dnia przed kostnicą, jak suszące się na sznurku pranie, wisały ludzkie skóry. Skóry zdejmowano ze zmarłych od klatki piersiowej do pleców. Następnie starannie je preparowano i ręcznie robiono z nich bardzo delikatne przedmioty skórzane. Wszyscy członkowie SS, w tym ordynator, główny lekarz dr Rascher i dr Kahr, a także pewna liczba cywilnych gości, dostarczali wzory, według których robiono siodła, spodnie do jazdy konnej, rękawiczki, torby, aktówki, pantofle, oprawy na książki. Oczywiście do tych celów używano tylko skóry nieuszkodzonej, bez blizn, wrzodów czy ropowicy, które były w obozie na porządku dziennym. Dlatego tak niebezpieczne było pokazywanie pięknej, zdrowej skóry czy tatuaży.<sup>8</sup>

Poszukajmy innych „osiągnięć” tego „lekarza”, który już wkrótce stał się cennym współpracownikiem interesującego się podobnymi zagadnieniami pułkownika profesora Strugholda. Nie zapominajmy, że Rascher, podobnie jak Strughold, był członkiem tajnej himmlerowskiej organizacji Ahnenerbe<sup>9</sup>, której poświęcę sporo miejsca w tej książce. Wszystkie doświadczenia wykonywane na więźniach obozu koncentracyjnego Dachau były filmowane właśnie dla niej<sup>10</sup>.

Z Dachau Rascher ponownie pisał do Himmlera:

Doświadczenia, podczas których osoby doświadczalne mogą oczywiście stracić życie, byłyby przeprowadzane we współpracy ze mną. [...] Rozmawiałem o tym w absolutnej tajemnicy z przedstawicielem naczelnego lekarza lotnictwa, który także jest zdania, że te kwestie można rozwiązać tylko na drodze doświadczeń na ludziach (jako materiał doświadczalny mogą także zostać wykorzystani niedorozwinięci umysłowo).<sup>11</sup>

I Reichsführer znów pomaga, bo jakże nie pomóc naukowcowi tak wytrwale starającemu się osiąść potrzebną krajowi wiedzę. Himmler zgadza się, a kapitan Rascher zostaje służbowo przeniesiony do Instytutu Badawczego Medycyny Lotniczej pod opiekuńcze skrzydła Hubertusa Strugholda. Zespół planujący tak wspaniałą działalność rozrasta się - dołączają do niego Siegfried Ruff (69. na liście uczestników wspomianej konferencji), kierownik wydziału medycyny lotniczej Niemieckiego Zakładu Doświadczalnego Lotnictwa (DVL) i jego asystent Wolfgang Romberg (66. na liście uczestników konferencji). Prace zespołu morderców ruszają teraz bardzo szybko. Na przełomie stycznia i lutego 1942 roku po raz pierwszy spotykają się w berlińskim instytucie<sup>12</sup>, a już następnego dnia ruszają do obozu koncentracyjnego, by przygotować wszystko do przyszłej „pracy”<sup>13</sup>. Jeszcze w lutym do obozu zostaje przewieziona z Instytutu Badawczego Medycyny Lotniczej ruchoma komora, której budowę nadzorował Strughold, umożliwiająca znaczne obniżanie ciśnienia. Doświadczenia rozpoczynają się 22 lutego 1942 roku. Miejsce: obóz koncentracyjny Dachau.

Cel: przebadanie reakcji organizmu ludzkiego na zmiany wysokości.

Obiekty doświadczeń: VP, czyli „osoby doświadczalne”, dobiera się z więźniów wszystkich narodowości - Żydów, Polaków, Rosjan — w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat. Muszą być oni w dobrej kondycji fizycznej, przed cyklem badań dostają więc dodatkowe racje żywnościowe.

Techniki doświadczeń: VP wieszka się na szelkach spadochronu pod sufitem komory lub sadza na fotelu, przymocowując pasami tułów, szyję, ręce i nogi. Pompy próżniowe obniżają ciśnienie do poziomu panującego na wysokości dwudziestu jeden kilometrów. W



zależności od doświadczenia eksperymentatorzy podają VP powietrze lub go nie podają. Ci, którzy przeżyli doświadczenie, poddawani są mu ponownie.

Objawy: kurcze, paraliż, ślepotą, obłąd, śmierć.

Badania zwłok VP. Relacja świadka:

Dr Rascher obstawał przy tym, byśmy wykonywali sekcje świeżych, jeszcze ciepłych zwłok, czasem jeszcze oddychających ludzi. [...] Ra-scherowi zależało na tym, żeby jak największa część organów pracowała jeszcze na stole sekcyjnym. [...] Wycinało się: części mózgu (okolice trzeciej i czwartej komory), przysadkę i szyszynkę, część nerwu współczulnego z gardła i jamy klatki piersiowej, część wątroby, trzustkę, jądra i najądrze, dalej część mięśnia sercowego, nerki i mięśnie poprzecznie prążkowane kończyn. [...] Ponieważ wzbraniałem się przeprowadzać te wiwisekcje, dr Rascher załatwił do tej pracy specjalnego prosektora, lekarza z Wiednia.<sup>14</sup>

Świadkiem jest więzień obozu Dachau Franz Błaha, lekarz, który studiował w Pradze, Wiedniu i Paryżu, później ordynator szpitala na Morawach. Niemcy aresztowali go w 1939 roku, a w 1941 umieścili w Dachau. W latach 1942-1945 pracował tam jako prosektor, toteż jego świadectwa mają pierwszorzędną wagę.

Ilu niemieckich lekarzy oglądało opisane doświadczenia i ilu w nich uczestniczyło, nie sposób dziś stwierdzić, ponieważ eksperymentatorzy opisywali je w protokołach jako doświadczenia na zwierzętach lub w ogóle nie wspominali o nich w oficjalnych dokumentach. Sądzić należy jednak, że pułkownik profesor Hubertus Strughold przy wielu z nich był obecny, a na pewno otrzymywał z nich bardzo dokładne sprawozdania.

Dla naszej opowieści wielkie znaczenie ma jeszcze jedna osoba związana z tymi nieludzkimi doświadczeniami. Mówię o kierowniku Wydziału Patologii Mózgu Niemieckiego Instytutu Psychiatrii należącego do Instytutu Genealogii i Demografii imienia Cesarza Wilhelma w Monachium. Człowiek ten, profesor Willibald Scholz, we współpracy z Instytutem Patologii Medycyny Lotniczej prowadził badania „wpływu ogólnego niedotlenienia na ludzki mózg”. W swoich notatkach zapisał on między innymi, że „Luftwaffe udostępniła mi preparaty mózgowie ofiar, które zginęły w katastrofach lotniczych wskutek oddziaływania dużych wysokości”<sup>15</sup>.

Z różnych względów profesor Scholz mógł sfinalizować swe badania, dopiero gdy wojna zbliżała się ku końcowi. Gdzie jednak to robił, bo przecież nie w bombardowanym bez przerwy Monachium? Skąd Instytut Patologii mógł bez przeszkód dostarczać profesorowi niezbędne preparaty mózgowie? To decydujące pytania dla mojej książki.

Wróćmy jednak do współpracowników i podwładnych profesora Hubertusa Strugholda, bo w wielkiej mierze kształtowali oni jego dorobek naukowy, a ich i jego prace



kontynuowane były w miejscach, o których opowiadałam w tej książce. Te zbiorowe dokonania pozwoliły Hubertusowi Strugholdowi uniknąć procesu norymberskiego i osiąść w Stanach Zjednoczonych. O tym jednak opowiem za chwilę.

64. na liście uczestników norymberskiej konferencji kapitan Sigmund Rascher w 1942 roku zakończył doświadczenia nad oddziaływaniem na ludzki organizm dużych wysokości. „Osoby doświadczalne” bardzo się przyczyniły do ich powodzenia, należało je więc wykorzystać w innych badaniach. W walkach powietrznych coraz częściej zwyciężali piloci alianccy, a lotnicy niezwycięzonej Luftwaffe wodowali na kanale La Manche lub lądowali na ośnieżonych polach Rosji, gdzie umierali z wychłodzenia, jeśli przeżyli starcie.

W wir pracy znów rzucają się: wspomniany numer 64, czyli kapitan Rascher, numer 90, czyli major August Weltz, następny podwładny Hubertusa Strugholda z Instytutu Badawczego Medycyny Lotniczej, ponownie numer 22, czyli kapitan Erich Finke, znany nam już z udziału w poprzednich doświadczeniach, a szefem zespołu zostaje numer 34 - kapitan Ernst Holzlöhner, profesor zwyczajny fizjologii z Kilonii.

Miejsce: obóz koncentracyjny Dachau

Cel doświadczeń: przebadanie reakcji organizmu ludzkiego na kolejnych etapach wychładzania i zaprojektowanie właściwego kombinezonu lotniczego.

Obiekty badań: „osoby doświadczalne”. Jak w poprzednich doświadczeniach — zdrowi Żydzi, Sowieci i Polacy.

Techniki doświadczeń: VP umieszczane są nago lub w różnych kombinezonach lotniczych w wannach o wymiarach dwa na dwa i na dwa metry, wypełnionych wodą, której temperatura jest obniżana za pomocą lodu do 2,3 stopnia Celsjusza. Badania są różnicowane, w kilku przypadkach stosowana jest narkoza. W czasie badania sprawdza się temperaturę ciała „osoby doświadczalnej” — za pomocą termosond umieszczonych w żołądku i odcybie - oraz puls. Z głowy i kręgosłupa pobierany jest płyn mózgowo-rdzeniowy, a przy każdym spadku temperatury o jeden stopień cewnikowany jest mocz i pobierana krew. Silniejsze VP utrzymuje się dłużej przy życiu, podając środki wzmacniające, co odsuwa czas wystąpienia mdłości oraz zapaści i przedłuża eksperyment.

Objawy: mdłości, stopniowa utrata przytomności, zapaść, śmierć.

Badania zwłok VP: sekcje mające określić stan organów we wewnętrznych przeprowadzane w obecności zainteresowanych lekarzy z Monachium, Berlina, Erlangen, Kilonii, Heidelbergu, Bonn<sup>16</sup>.

Wyniki doświadczeń zamieszczono w „Raporcie o doświadczeniach dotyczących wychłodzenia”. Czytamy w nim między innymi:

Rigor [stężenie mięśni - J.R.] zwiększał się w miarę oziębiania, niekiedy przerywany drgawkami toniczno-klonicznymi. Przy jeszcze większym spadku temperatury ciała nagle zanikał. Te przypadki kończyły się śmiertelnie, próby reanimacji nie przynosiły żadnych rezultatów. [...] Śmierć w większości przypadków następuje po sześciu-ośmiu godzinach, gdy temperatura ciała spada do 28°—25°C. [...] Dzięki temu, że udowodniono, iż śmierć z wychłodzenia jest głównie śmiercią sercową, wyjaśniono istotne problemy terapeutyczne. [...] Wyobrażenie, że śmierć z wychłodzenia w wodzie, z lub bez dostępu tlenu, następuje wskutek ustania pracy serca, wymaga ograniczenia. Z pięćdziesięciu siedmiu doświadczeń wyróżniło się jedno. Chodzi tu o przypadek osoby doświadczalnej, która przeżyła wychłodzenie ciała do 25,2°, przebywając trzy godziny w wodzie o temperaturze 5,5°. Przez ostatnie półtorej godziny temperatura mierzona w odbycie była stała, z lekkimi wahaniami między 27 a 25°. Nie zwiększył się także poziom cukru we krwi, co całkowicie odbiega od normy. Najniezwyklejsze jednak było to, że nie wystąpiły zaburzenia świadomości, ani podczas doświadczenia, ani po jego przerwaniu. Przebieg eksperymentu przypomina zachowanie niektórych zwierząt doświadczalnych, które długo wytrzymywały przy najniższej temperaturze ciała. Niższe stałocieplne, jak np. szczury, mogą wytrzymać wiele godzin przy temperaturze ciała 20° mierzonej w odbycie.<sup>17</sup>

Czyli jedna z „osób doświadczalnych” wytrzymała w pełni świadomie trzy godziny straszliwych tortur. Relacjonować te przerażające doświadczenia można by jeszcze bardzo długo. Można by napisać o kolejnych badaniach Raschera, który ogrzewał wychłodzonych więźniów nagimi więźniarkami, i o tym, że w pracy przeszkadzał mu — jak napisał w sprawozdaniu — „ryk osób doświadczalnych”. Można by wiele pisać o doświadczeniach na dzieciach, o uśmiercaniu zastrzykami, tyle jednak wystarczy, by nakreślić sylwetki profesora Strugholda i jego kolegów. Wymienię jeszcze tylko dwóch jego towarzyszy, szczególnie zasłużonych, i wspomnę o ich zainteresowaniach:

65. na liście uczestników konferencji norymberskiej profesor Hermann Rein — prowadził badania związane z lotami na wielkich wysokościach i z dużymi przyspieszeniami. Konsultant przy doświadczeniach w komorze podciśnieniowej.

67. na liście profesor Gerhard Rose — znany z doświadczeń nad malarią, które prowadził w klinikach psychiatrycznych. Higienista Luftwaffe, nadzorował większość doświadczeń na ludziach.

Odwracając najciemniejsze karty naszej cywilizacji, poznaliśmy sylwetkę pułkownika profesora Hubertusa Strugholda i drogę zawodową, która zaprowadziła go na stanowisko dyrektora instytutu Ministerstwa Lotnictwa i - po trupach - na piedestał „ojca medycyny

lotniczej III Rzeszy”. Wojna tymczasem zbliża się powoli ku końcowi. Niespodziewanie odnajdujemy Strugholda na Śląsku, a niedługo później w USA. Jak to możliwe? Dlaczego Śląsk, dlaczego USA, gdzie proces norymberski i zasłużona kara?

---

[1](#)

W aneksie 1 czytelnik znajdzie piękny dziewiętnastowieczny opis Książa z lwowskiego „Dziennika Literackiego”.

[2](#)

Informację tę zawdzięczam przewodnikowi sudeckiemu Andrzejowi Nowickiemu, który z kolei dowiedział się tego po wojnie od miejscowych Niemców.

[3](#)

Relacja Andrzeja Nowickiego złożona autorowi.

[4](#)

Dok. Nor. NO-401, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 229.

[5](#)

Ibidem.

[6](#)

Dowództwo okręgu obrony powietrznej (przyp. red.).

[7](#)

Dok. Nor. PS-1602-PS, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 210.

[8](#)

Franz Błaha, *Medizin aufschiefer Ebene*, rękopis bez daty, Archiwum Gedenkstätte Dachau, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 38.

[9](#)

Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 210.

[10](#)

Ibidem, str. 219.

[11](#)

Dok. Nor. 1902-PS, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 210—211.

[12](#)

Ibidem.

[13](#)

Dok. Nor. 1582-PS, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 211.

[14](#)

Błaha, *Medizin aufschiefer Ebene*, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*str. 214.

[15](#)

Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 215.

[16](#)

Błaha, *Medizin aufscbiefer Ebene...* oraz Dok. Nor. NO-428, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 225.

[17](#)

Dok. Nor. NO-428, wg Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, s. 225-226.

# Amerika Rakete

Wkraczamy w najmniej udokumentowany, bo najtajniejszy okres życia Hubertusa Strugholda. Najtajniejszy nie znaczy jednak niemożliwy do poznania. Przemówić mogą nieliczne dokumenty, a także miejsca, na których odcisnęły się jego poczynania, i świadkowie jego późniejszych badań. Hubertusa Strugholda odnalazł po wojnie polski prozaik, reportażysta i publicysta Krzysztof Kąkolewski. Przygotowywał książkę, w której chciał zawrzeć serię wywiadów z hitlerowskimi zbrodniarzami rozsianymi po świecie. Tropił ich na wielu kontynentach i wielu państwach. Tropił niestrudzenie i do skutku. Strugholda odnalazł w USA - co było proste, bo oprawca nawet nie zmienił nazwiska, a do tego był cenioną postacią publiczną — i skłonił do mówienia, co już zapewne wcale proste nie było. Jak mu się to udało? Cóż, to tajemnica warsztatu świetnego dokumentalisty, opisana zresztą dość dokładnie w jego książce.

*Strughold:* Interesowały mnie zagadnienia drgań, jakie mogą wystąpić. Wiedziałem, że drgania będą miały znaczenie. Nasz instytut został zbombardowany, więc ewakuowano go na Śląsk. Ta miejscowość należy teraz do Polski. To był zamek baronowej. Nie pamiętam już, jak się nazywała.

*Kąkolewski:* Baronowej nie przeszkadzały hałasy?

*S:* Nie. Ona oddała nam zamek, żeby, jak naziści zwyciężą, nie zabrali jej.

*K:* A jak przegrają, też żeby nie zabrali?

*S:* I tak straciła. Polacy zabrali. Musieliśmy uciekać, bo Rosjanie byli o dziesięć kilometrów.

*K:* Ale wracam do doświadczenia. Było przygotowaniem do lotu kosmicznego?

*S:* Nie, nie całkiem.

*K:* Jakiego pan doświadczał uczucia?

*S:* Pamiętam: wszystko drżało, wibrowało, aż niebezpiecznie.

*K:* Czym szkodzi wibracja?

*S:* Nie można było kierować, traciło się panowanie nad sterem.<sup>1</sup> Zweryfikujmy tę wypowiedź.

Czy Hubertus Strughold mógł kłamać? Mógł, ale nie miał ku temu najmniejszego powodu. Gdy udzielał wywiadu Kąkolewskiemu, był wolnym człowiekiem, który odniósł sukces w pracy zawodowej. Swobodnie podróżował po świecie. Mógł nic nie mówić o Śląsku albo w ogóle odmówić wywiadu.

Instytut Badawczy Medycyny Lotniczej w Berlinie został zbombardowany 8 maja 1944 roku, kiedy nad miasto nadleciało 378 li-beratorów i zrzuciło swój niszczycielski ładunek.



Nalot ten mógł być bezpośrednią przyczyną przeniesienia instytutu w bezpieczne miejsce, należy jednak sądzić, że przenosiny placówek badawczych planowano i rozpoczęto znacznie wcześniej w ramach planu Geilen-berga.

„Bezpiecznym miejscem” najpewniej był Dolny Śląsk i okolice Wałbrzycha, gdzie przez całą wojnę nie spadła ani jedna bomba.

Mówiąc o „zamku baronowej”, Strughold nie musiał wiedzieć lub pamiętać, że Książ należał przedtem do księżnej Daisy von Pless.

„Oddała zamek” - Książ został jej odebrany przez nazistów, którzy jednak wcale nie musieli się tym chwalić i być może woleli przedstawiać taką właśnie wersję wydarzeń.

„Polacy zabrali” — zamek przejęły polskie władze i nie wrócił już do Hochbergów.

„Musieliśmy uciekać, gdy Rosjanie byli o dziesięć kilometrów” — Wałbrzych zdobywały bardzo małe siły armii Radzieckiej, które nie mogły zająć całego terenu. Wiadomo, że Niemcy byli na zamku do 8 maja. Ucieczka, zapewne wcześniej przygotowana, nie stwarzała więc żadnych problemów.

Doświadczenie „nie całkiem” było „przygotowaniem do lotu kosmicznego” — jeśli Hubertus Strughold mówił prawdę, to choć nie znamy charakteru pomieszczeń domniemanej fabryki lotniczej pod Starym Zamkiem, a może i Nowym, możemy domniemywać, że działał tam przeniesiony na Dolny Śląsk zakład produkcyjno-doświadczalny rakiet A4b - uskrzydłonej pilotowanej wersji V-2. A4b stanowić miała drugi człon międzykontynentalnej dwustopniowej rakiety A4b/A10 zwanej *Amerika Rakete*, bo przygotowywano ją między innymi do ataku na Stany Zjednoczone. Hipotezę, że A4b budowano w Książu, uprawdopodobniają zlokalizowanie w pobliżu zakłady produkujące elementy rakiet.

Dzięki temu, co obecnie wiemy, wyraźnie widać, że w rozmowie z Kąkolewskim Strughold kłamał jedynie wtedy, gdy chodziło o jego działalność ludobójczą. Kłamał, usiłując zataić swą zbrodniczą współpracę z Ruffem i Oskarem Schroderem, skazanym w Norymberdze na karę dożywotniego więzienia<sup>2</sup>. Opowiadanie o „locie” rakieta nie groziło mu jednak niczym. Jeśli więc mówił prawdę, że „wszystko drżało i wibrowało”, to mogło tu chodzić o próby niedopracowanych płatów nośnych w tunelu aerodynamicznym. Niemcy od 1939 roku mieli na przykład odpowiedni do takich doświadczeń tunel w Peenemunde, w którym uzyskiwali prędkości rzędu czterech machów.

Jest także inna bardzo prawdopodobna możliwość. Niewykluczone, że nie było tu żadnego tunelu aerodynamicznego, a Strughold siedział w kabine symulatora niemieckiej rakiety. Symulatory zaczęto stosować do szkolenia pilotów w drugiej połowie lat

dwudziestych ubiegłego wieku, a od połowy następnego dziesięciolecia wyposażano je już w wolant, orczyk i tablicę z podstawowymi przyrządami. Nic więc nie stało na przeszkodzie, żeby Niemcy zbudowali symulator umożliwiający zapoznanie się z kabiną rakiety, która miała przynieść zagładę Nowemu Jorkowi i stolicom państw koalicji antyhitlerowskiej, a przewidzieli jedynie utrudnienia sterowania przy dużych szybkościach i chcieli przygotować na nie potencjalnych pilotów.

Doświadczenia te Niemcy mogli prowadzić w podziemiach Książa - nie znam żadnego innego zamku na Śląsku, który by się do tego nadawał. Wprawdzie nie wiemy, jakie roboty przeprowadzono pod oboma zamkami, nie znamy całości podziemi, ale to nie znaczy, że Strughold kłamał.

Musimy wyjaśnić sobie jeszcze jedno. Jeśli Hubertus Strughold przebywał na Dolnym Śląsku, to niewątpliwie nie tylko po to, by pobawić się prototypem rakiety w tunelu aerodynamicznym lub „polatać” na symulatorze. Był naukowcem w pełni oddanym swej pracy, swoim badaniom. O nich nie mógł nic powiedzieć Kąkolewskiemu, bo po części w dalszym ciągu stanowiły tajemnicę, już nie hitlerowską, lecz Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Nad czym mógł Strughold pracować na Dolnym Śląsku? Na to stosunkowo łatwo będzie odpowiedzieć i w końcu do tego dojdziemy, nasuwa się też jednak drugie pytanie. Gdzie pracował ów hitlerowski naukowiec? Wiedziałem dużo o Dolnym Śląsku, ale w tym wypadku - pustka w głowie. Pomógł, jak zwykle, przypadek. Podczas jednej z rozmów Igor Witkowski, niestrudzenie tropiący tajne bronie III Rzeszy, wspomniał o „kompleksie Strugholda”. Jaki kompleks Strugholda? Podziemne laboratoria badawcze? Gdzie? Dlaczego nikt o nich nie słyszał? Igor nie wiedział nic więcej. Ta informacja dotarła do niego przypadkiem podczas jakiejś rozmowy i nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. A jednak przypomniał sobie, że powiedziano wtedy jeszcze jedno. Padła nazwa miejscowości. Bad Salzbrunn.

---

[1](#)

Krzysztof Kąkolewski, *Co u pana słyhać?*, Iskry, Warszawa 1981, s. 259.

[2](#)

Kąkolewski, *Co u pana słyhać?*, s. 255.

# Bad Salzbrunn i adiutant Hitlera

Szczawno-Zdrój. Kiedyś tam byłem. Deszcz, pamiętam, walił z nieba strugami, zniechęcając do opuszczenia samochodu. Przez ścianę wody widziałem wtedy kolorowe uzdrowisko. Jakie tam mogą być wojenne tajemnice? Niewiele wiedziałem o tym mieście.

Trzeba więc było zasiąść do komputera i poszukać. Bad Lange-nau, Reinerz, Ziegenhals, Charlottenbrunn... no tak, Dolny Śląsk to przecież jedno wielkie uzdrowisko... dalej Bad Warmbrunn, Herms-dorf, Kudowa, Landeck, Altheide, Neudorf, Flinsberg, Langenau... uff, jest, Salzbrunn. Dlaczego to, czego się szuka, zawsze jest na końcu?

Pierwsza wyskakuje ważna informacja - w pobliżu Bad Salzbrunn zbudowano w czasie drugiej wojny obóz pracy, który nie podlegał, jak inne w okolicy, centrali Gross-Rosen. Ciekawe. Komu był potrzebny obóz pracy w pobliżu kurortu? Dalej też było ciekawie. Odnalazłem następny wpis dotyczący Szczawna-Zdroju i... znów druga wojna zapukała w szybkę komputerowego monitora. Wpis brzmiał: Hitler musiał być przekonany, że rychło otrzyma broń o gigantycznej sile rażenia, która zmieni niekorzystny dla Niemiec przebieg wojny. Świadczy o tym zagadkowy zapis we wspomnieniach jednego z jego adiutantów, pułkownika Nicolausa von Belowa, który wskutek kontuzji odniesionej 20 lipca 1944 roku podczas eksplozji bomby podłożonej w Wilczym Szańcu przez pułkownika Stauffenberga wczesną jesienią tegoż roku znalazł się na kuracji w dolnośląskim uzdrowisku Bad Salzbrunn. Odwiedził go tam major Gerhard von Szymonski, który zastępował wówczas Belowa u boku Hitlera. Zdając relację z tego, co się działo w kwaterze głównej Führera, opowiadał on o planowanej ofensywie przez Ardeny, której celem miała być Antwerpia.

Zapytałem Szymonskiego [opowiadał von Below—J.R.], co Hitler chce przez to osiągnąć. Jeżeli nawet dojdziemy do Antwerpü, to tym samym nie dokona się jeszcze wcale żadne decydujące przełamanie. Szymonski powiedział tylko tyle, że Hitler pragnie przez tę ofensywę zyskać na czasie, jaki jest potrzebny do wyprodukowania nowej broni. Zapytałem jakiej. Nie mógł mi odpowiedzieć na to pytanie.<sup>1</sup>

Czy kuracja von Belowa akurat w Bad Salzbrunn była przypadkiem, czy może działo się tam lub w okolicy coś tak ważnego, że wymagało bytności specjalnego wysłannika — zaufanego adiutanta Hitlera? Następne pytanie wymagające odpowiedzi.

Teraz jednak należało cofnąć się w czasie, bo ważny mógł być każdy szczegół. Zacząłem więc wertować przeróżne książki i archiwalia - musiałem poznać historię uzdrowiska, wczuć się w jego klimat<sup>2</sup>.

W literaturze niemieckojęzycznej jest pewnie jeszcze kilka relacji na temat Szczawna-Zdroju, do których nie sięgnąłem, gdyż ciągnęło mnie coś innego: podobóz Gross-Rosen w

Bad Salzbrunn, Nicolaus von Below na kuracji i elektryzujące słowa „kompleks Hubertusa Strugholda”. Informacji na ten temat, siedząc przed komputerem, bym nie znalazł. Trzeba było jechać. Zabrałem więc Ewę i ruszyliśmy w drogę...

---

1

Nicolaus von Below, *Byłem adiutantem Hitlera*, Bellona, Warszawa 2003, s. 374.

2

Patrz aneks 2.

# Odnalezione laboratoria

Hubertus Strughold prowadził badania, o których nie chciał i nie mógł opowiedzieć Krzysztofowi Kąkolewskiemu. Dużo jest „jeśli” w tej sprawie, myślałem, ale jeśli był on w Szczawnie-Zdroju, to znajdę tu jego ślady, choć minęło już sześćdziesiąt lat.

Zacząłem od Domu Zdrojowego, obecnie Szpitala-Sanatorium Uzdrowskiego, niegdyś Grand Hotelu, a później Hotelu Śląskiego, w którym mieszkali Winston Churchill, cesarz Wilhelm II i inni wielcy tego świata. W czasie wojny zatrzymał się tu Reichsführer SS Heinrich Himmler, a także minister informacji i propagandy Joseph Goebbels. Pewien wyższy urzędnik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego do śmierci opowiadał, jak jeden z oficerów rodzącego się pod koniec wojny Werwolfu wielokrotnie mówił na przesłuchaniach o spotkaniu szefów dolnośląskich komórek tej organizacji w Grand Hotelu i szkoleniu w położonych na pobliskim wzgórzu obiektach należących do SS. Czyżby chodziło o dzisiejsze Wzgórze Gedymina? W Archiwum Muzeum Gross-Rosen znajdują się dokumenty, z których wynika, że w czasie wojny wojsko zajęło całe wzgórze i zamknęło je dla ludności cywilnej.

W Grand Hotelu bywał też Hermann Göring, minister lotnictwa i premier Prus, współtwórca Gestapo, od 1936 roku kierujący gospodarką III Rzeszy, a w 1939 desygnowany na następcę Hitlera. Co sprowadzało go tu tak często, że cały budynek zaczęto nazywać Sanatorium Göringów? Sprawy gospodarcze związane z Dolnym Śląskiem i tajnymi budowlami w Wałbrzychu i Górach Sowich czy może skryte leczenie z nałogu narkotykowego, któremu ulegał?

A może trafię w Grand Hotelu, myślałem, na trop, na którym zależało mi najbardziej - Hubertusa Strugholda? Trop byłby bardzo stary, sześćdziesięcioletni, ale kto wie...?

Znałem Grand Hotel z przedwojennych zdjęć. Nic się nie zmienił. W letnim słońcu wyglądał jeszcze piękniej niż na czarno-białych fotografiach. Może tylko zieleń w sanatoryjnym parku była jakby mniej zadbana. Cóż, takie czasy - ogrodnicy kosztują, a kamienne wazy z kwiatami, które niegdyś tu stały, ozdobiły pewno ogrody willi powojennych radzieckich i polskich „gospodarzy miasta”.

Na skwerku przed głównym wejściem wywęszyłem coś, czego się spodziewałem, a właściwie byłem pewien. Pod niewysokim ziemnym pagórkiem drzemał potężny schron przeciwlotniczy. Prowadzące do niego podwójne betonowe schody zostały zasypane, tak jak wyjście awaryjne u szczytu bunkra. Na pewno nie zasypano całości, bo przez kamionkowe rury wentylacyjne widać podłogę. Z zewnątrz schron jest w bardzo dobrym stanie, zapewne nie inaczej jest w środku.



Położony tuż przy Grand Hotelu stanowił schronienie dla jego mieszkańców, najpewniej tylko tych bardziej prominentnych, bo wielki nie jest, chyba że ma więcej niż jedną kondygnację, co należałoby kiedyś sprawdzić... I nie tylko to. Przecież jeśli miał służyć hotelowi, to byłoby dziwne, gdyby nie został połączony tunelem z jego piwnicami. A może pod „Sanatorium Göringa” jest jeszcze jeden, większy schron? Znow należałoby powęszyć.

Niestety była sobota. W budynku został tylko podstawowy personel i choć życzliwy, to zagadki historyczne były mu obce. Pytać mogłem dopiero w poniedziałek i już nie mogłem się doczekać, bo coś w podświadomości mówiło mi, że jestem na dobrym tropie, że idę za cieniem Hubertusa Strugholda.

Pozwolenie na jakiegokolwiek penetracje wydać mógł mi jedynie najgłośniejszy Szef. Pan Jerzy Więcek, wówczas prezes Uzdrowiska Szczawno-Jedlina S.A., przyjął mnie praktycznie z marszu. Na twarzy malował mu się miły uśmiech, który wcale z niej nie zszedł, gdy powiedziałem, że chciałbym spenetrować podziemia Szczawna--Zdroju. Obaj uważaliśmy po prostu, że zwiększyłyby to popularność uzdrowiska, bo ludzie lubią tajemnice.

Dostałem więc zielone światło. Kilka szybkich telefonów i zostałem umówiony z przewodnikami znającymi uzdrowisko i jego dzieje jak własną kieszeń.

Zaczęliśmy od schronu przed sanatorium. Na odkopywanie nie było teraz czasu, ale zgodziliśmy się, że taka konstrukcja musi być połączona z głównym budynkiem, chyba że ma on własny schron. Skoro nie mogliśmy kopać od zewnątrz, to należało zbadać sprawę od strony piwnic budynku. Zaczęliśmy sprawdzać miejsca, w których mogłoby być jakieś przejście. Pomieszczenia w piwnicach były wykorzystywane jako zaplecze techniczne sanatorium. Magazyny, kuchnie, sterylność czystość - na ścianach kafelki... Gdzie mógłby tu być korytarz z okresu drugiej wojny, nie używany, bo prowadzący jedynie do schronu?

Moich przewodników dopadło zwątpienie. Przecież znali tu wszystko, każdą półkę na ścianie i każdy wbity w nią gwóźdź. Pracowali tu od bardzo dawna. Wszystko, co oglądaliśmy, było tu zawsze, nikt nie zmieniał niczego, ale... Gdy tak chodziliśmy po piwnicach, ciągle miałem wrażenie, że nasza trasa wiedzie jakimś wielkim półkolem, jakbyśmy coś omijali. W końcu powiedziałem o tym dziwnym odczuciu. Miałem rację! Okazało się, że krążyliśmy wokół wielkiego, od dawna nie używanego zbiornika wody dla sanatorium. Nie miał on żadnych otworów, którymi można by do niego wejść. No dobrze, nie ma otworów, ale my cały czas chodziliśmy półkolem wokół niego, a gdzie jest jego tylna ściana? Czy można obejść go dookoła?

Moi towarzysze byli zaskoczeni. No jasne, powiedzieli po chwili, tam jest taki korytarz techniczny, nigdy nie używany, bo ślepy. Teraz już było oczywiste, że nie zobaczyliśmy wszystkiego. Do korytarza technicznego prowadziły drzwi, zamknięte na klucz, który był Bóg wie gdzie. Gorączkowe poszukiwania skończyły się jednak sukcesem.

Nie zawiódł mój nos i determinacja pracowników uzdrowiska. Weszliśmy do korytarza, w którym nagi beton ścian i sufitu oraz wszechobecne pajęczyny świadczyły, że od dziesiątków lat nie było tu żadnego człowieka. Omijaliśmy stare skrzynki – niestety puste – jakąś równie starą beczkę z nieznaną zawartością. Z trudem przedzieraliśmy się przez sterty nikomu niepotrzebnych przedmiotów.

Nagle koniec drogi. Całą szerokość zajmowało rumowisko połamanych desek, podestów i cienkich belek. A za nimi... Nie wierzyłem własnym oczom. Korytarz został poprzecznie zabetonowany. Wyraźnie było widać, że użyto tutaj innego betonu, o zupełnie innej strukturze niż na ścianach i suficie. Inny był także szalunek, a beton sprawiał wrażenie położonego później niż ściany i sufit korytarza.

Wielokrotnie już widywałem takie „inne” ściany w podziemiach Książa, Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego i w innych korytarzach czekających, aż ktoś je spenetruje i opisze. Kilkakrotnie sprawdzaliśmy położenie i głębokość, na jakiej znajdował się ten obetonowany chodnik. Wiódł wzdłuż bocznej ściany budynku w kierunku parkowego schronu. Zgodnie uznaliśmy, że schron i przejście mogą się stać atrakcją turystyczną Szczawna-Zdroju, a biorąc pod uwagę wielkość budynku, obliczonego na około trzystu gości, niewykluczone, że się okaże, iż na tym nie koniec, że to nie jedyna taka konstrukcja w Grand Hotelu.

Nie wiedziałem wtedy, że okaże się to całkiem szybko. Niezawodny Andrzej Nowicki, przewodnik z Wałbrzycha pasjonujący się historią tego regionu, już dwa miesiące po moim pobycie w Szczawnie-Zdroju odnalazł świadka, który po wojnie pracował przy zasypywaniu potężnego schronu na wewnętrznym skwerze Grand Hotelu od strony dzisiejszej ulicy Ratuszowej. Do tego schronu prowadził wedle niego dość szeroki korytarz ewakuacyjny z budynku sanatorium.

Jakże oprzeć się refleksji, że niewiele wiemy o tym, co pod ziemią, po której stąpamy. Podziemia to moja obsesja. Gdzie zatem miałbym szukać „kompleksu Strugholda”, jeśli nie pod ziemią? Mamy w Górach Sowich kompleksy „Rzeczka”, „Soboń”, „Osówka”, „Włodarz” i inne. Kompleksy podziemne. Zatem hajda pod ziemię w poszukiwaniu szczawieńskiego tropu hitlerowskiego naukowca.

Zeszliśmy do piwnic pięknej pijalni i od razu wpadłem w zachwyt, zobaczywszy ujęcie

wody Mieszko. Przepiękne zabytkowe pompy z mnóstwem mosiężnych rurek i miedziane wzierniki z wielkimi szklami, przez które niegdyś kuracjusze mogli sami sprawdzić czystość wody w źródle. Dalej istny labirynt... Wielkie, ukryte pod Szczawnem pomieszczenia magazynowe i kilometry korytarzy -większych, mniejszych, z torami i bez torów. Skrzyżowania podziemnych dróg odgałęziających się w różnych kierunkach i znów magazyny, schody w górę i w dół. Jak tu nie zablądzić? Okazało się, że wyjaśnienie istnienia tego podziemnego labiryntu jest nad podziw proste. Niemal od powstania uzdrowiska Salzbrunn różne gatunki wód, leczących różnorakie schorzenia, rozwożono między sanatoriami pod z i e m i ą, co bardzo usprawniało transport. Cóż za proza. Widziałem, jak mój przewodnik uśmiecha się pod nosem. Duch Hubertusa Strugholda, którego widziałem przemykającego w ciemnościach skrytych pod ziemią laboratoriów, rozpuszcza się powoli w... wodzie mineralnej.

Podziemia pod Szczawnem są bardzo ciekawe i stanowić mogą wielką atrakcję turystyczną, bo ludzie kochają się włóczyć po ciemnych, niesamowitych korytarzach, czego sam jestem przykładem. Ale gdzie w tej plątaninie tuneli laboratoria niemieckiego profesora pracującego dla lotnictwa III Rzeszy?

Wyszliśmy na powierzchnię w Sanatorium Przyrodoleczniczym. Mój cicerone zniknął na chwilę, a ja usiadłem na ławeczce. Tu też było ładnie, ale jakoś przestały mnie bawić te krystalicznie czyste wnętrza starych sanatoriów. Z zamyślenia wyrwało mnie czyjeś pytanie, czy szukam śladów drugiej wojny w Szczawnie-Zdroju. Trochę zbaraniałem na taką przenikliwość, ale potwierdziłem. Para miłych lekarzy, która do mnie podeszła, dowiedziała się o moich poszukiwaniach od towarzyszącego mi pracownika dyrekcji uzdrowiska.

Tę część narracji złożyłem z dwóch uzupełniających się opowieści, które mają, jak się zdaje, to samo źródło. Drugą opowieść usłyszałem od pani, która tuż po wojnie pracowała w Szczawnie-Zdroju, przybywszy tu z robót w Niemczech. Nie były to łatwe wyznania, bo jak mówiła, „mózg i myśli chciały same uciekać od wszystkiego, co jest związane z wojną i nieraz tragicznymi wspomnieniami”. Kobieta ta prosiła o absolutną anonimowość, co jej solennie obiecałem.

Moi rozmówcy pracowali tu od dość dawna i zdążyli poznać wiele opowieści z okresu powojennego. Pierwsze wysiedlenia Niemców nastąpiły już 14 lipca 1945 roku i przeprowadzono je dość brutalnie. Nie wszystkich można było natychmiast usunąć, bo w całym uzdrowisku brakowało jeszcze polskiego personelu technicznego i medycznego, który powoli ściągano tu z całego kraju. Sytuacja ta zmuszała, jak w wałbrzyskich kopalniach, do zatrudniania Niemców. Najdłużej, bo do drugiej połowy lat pięćdziesiątych,

pozostało w Szczawnie niemieckie małżeństwo masażystów, pracujące właśnie w Sanatorium Przyrodoleczniczym. Ludzie ci świetnie znali ten ośrodek i jego urządzenia, toteż najczęściej oni właśnie zapoznawali polskich fachowców z miejscowymi warunkami.

Z czasem, gdy zacieśniły się więzi koleżeńskie i nawiązały przyjaźnie, Niemcy zaczęli opowiadać o pracy uzdrowiska w czasie wojny. W tym okresie stało się ono miejscem wypoczynku co bardziej prominentnych osobistości III Rzeszy, leczyli się tu też i odbywali rehabilitację najbardziej zasłużeni dla państwa i Führera żołnierze

poszkodowani podczas działań bojowych. Bywali tu najdostojniejsi i najbardziej zasłużeni, a więc także najbardziej zaufani, mogło więc Bad Salzbrunn pełnić dodatkowe funkcje, kto wie, czy nie ważniejsze od podstawowych. Para niemieckich masażystów zapamiętała, że często i coraz częściej zjeżdżała tu grupa profesorów medycyny z Berlina. Nie leczyli oni nikogo i zaczęły się rozchodzić pogłoski, że w Bad Salzbrunn będą kontynuować rozpoczęte w stolicy prace badawcze. Nikt z personelu nie znał nazwisk tych naukowców, ale plotki sprawdziły się bardzo szybko. Profesorowie przybyli ze swoim personelem pomocniczym, zajęli Sanatorium Przyrodolecznicze i po niedługim okresie współpracy cały miejscowy personel przeniesiono do innych budynków, a w sanatorium rozpoczęto podobno jakieś ważne i tajne prace dla Luftwaffe.

To była informacja najwyższej wagi, ale cóż ja mogłem z nią zrobić? Nie miałem żadnego dokumentu, jedynie tę ustną relację z drugiej ręki. Sam zawsze bardzo nieufnie podchodziłem do takich opowieści. Układało się co prawda wszystko: czas, miejsce, rodzaj badań, należało jeszcze znaleźć podziemny kompleks - wtedy byłby dowód materialny. Łatwo powiedzieć, ale jak tego dokonać, gdzie szukać, u licha? W tej podziemnej płątanie korytarzy i magazynów? Przecież tam wszystko dawno już zapewne zostało usunięte albo zamurowane i nie znajdę najmniejszego śladu. Podzieliłem się z moimi rozmówcami wszystkimi wątpliwościami. — Coś panu pokazemy — usłyszałem w odpowiedzi. Otwarto przede mną jedne z wielu drzwi w korytarzu, w którym siedzieliśmy podczas tej pogawędki. Wszedłem... i ugięły się pode mną nogi.

Odniosłem nieprzeparte wrażenie, że już tu kiedyś byłem, dawno temu, a przecież nie mogłem być. Znałem jednak to pomieszczenie, te ciężkie drzwi z małym judaszem i dużym, przypominającym kierownicę kołem. Gdzieś to wszystko widziałem. Pancerną szybę w ściennej wnęcie pozwalającą zajrzeć do sąsiedniego pokoju, stalowe, nabijane nitami ramiaki okien z grubymi pancernymi szybami, nawet stojące w środku fotele wydawały się znajome.

— Podobno między innymi tu właśnie wykonywano te tajne prace dla lotnictwa w czasie

wojny - usłyszałem z tyłu. I nagle wiedziałem już wszystko. Ze też, idiota, szukałem podziemnego kompleksu Hubertusa Strugholda! Właśnie miałem go przed oczami. Te wnętrza, które wydały mi się tak uderzająco znajome, widziałem na filmie dokumentalnym jednej z zachodnich telewizji. Film był o Instytucie Badawczym Medycyny Lotniczej mającym siedzibę na oddziale Wojskowej Akademii Medycznej Ministerstwa Lotnictwa w Berlinie. Nie wspomniano o tym wtedy, lecz wiedziałem, że szefem tego instytutu był Flubertus Strughold.

W Szczawnie-Zdroju znalazł on niemal identyczne warunki do badań. Nie myliłem się. Pracownicy twierdzili, że od wojny nic tu nie zmieniono, nawet fotele były te same, starannie je tylko pomalowano i wymieniono tapicerkę, a wszystkie urządzenia wciąż działały. W pomieszczeniach tych leczono choroby układu oddechowego, obniżając ciśnienie powietrza. Powiedziano mi, że zapewne teraz nie można by go tak znacznie obniżyć jak sześćdziesiąt lat temu, ale parametry komór są całkowicie wystarczające dla celów leczniczych...

Miałem go. Dopadłem Hubertusa Strugholda. To dlatego był na Dolnym Śląsku. Nie kłamał Krzysztofowi Kąkolewskiemu. Po prostu nie powiedział wszystkiego.

Nie powiedział, że przeniósł swój instytut z bombardowanego Berlina do spokojnego Bad Salzbrunn, by w zaciszu uzdrowiska kontynuować badania. Znalazł tu doskonale działające komory hipobaryczne i wanny, w których można było obniżać temperaturę żywego, ludzkiego ciała. „Kompleks” Strugholda, którego tak usilnie szukałem, mieścił się w Kurmittelhaus - dzisiejszym Sanatorium Przyrodoleczniczym.

Pomieszczenia te powinny się stać muzeum porównywalnym – uwzględniając skalę zbrodni popełnionych tu i tam przez nazistów – z oświęcimskim. Muzeum KL Auschwitz chroni świadectwa zbrodni innego nazistowskiego lekarza, Josefa Mengelego. Hubertus Strughold też był „aniołem śmierci”. Różnica między nimi polegała na tym, że pierwszego do końca życia tropiło Centrum Szymona Wiesenthala, a drugiemu nasi amerykańscy sojusznicy nadali miano ojca medycyny kosmicznej. A przecież wiedzieli, i to niemal wszystko, nie tylko od własnego wywiadu, lecz także z zeznań Hermanna Beckera-Freysenga, jednego z konsultantów tych zbrodniczych doświadczeń<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup>

Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy...*, str. 244.

# Dlaczego nic nie wiemy o podziemiach Dolnego Śląska?

Wiele aspektów pobytu Strugholda na Dolnym Śląsku wymaga jeszcze wyjaśnienia. Jakie badania tu prowadził? Na kim? Czy nie pozostały gdzieś ich wyniki? I w końcu należy wyjaśnić, dlaczego dzięki amerykańskiej pomocy nie stanął przed trybunałem norymberskim, gdzie niewątpliwie powinien się znaleźć. Byłby tam jedynym oskarżonym, który osobiście mordował ludzi.

19 kwietnia 1945 roku padły jakże znaczące słowa:

Walkę zakończymy dopiero wtedy, gdy ostatni wśród winnych stanie przed sędziami narodów. Naszym hasłem jest zniszczenie nazizmu wraz z jego korzeniami! Naszym celem jest zbudowanie nowego świata pokoju i wolności! Jesteśmy to winni naszym zamordowanym kolegom, ich rodzinom.

Te słowa to przysięga ocalałych więźniów Buchenwaldu. I choć większości z tych, którzy ją składali, nie ma już na świecie, ich walka się nie zakończyła, między innymi dlatego, że Hubertus Strughold nigdy nie stanął przed sądem.

Po wojnie nic na to nie wskazywało. Strughold, który świetnie znał wszystkie zbrodnicze nazistowskie programy naukowe, niewątpliwie był na alianckiej liście poszukiwanych zbrodniarzy wojennych, choć wcale mu to nie przeszkodziło spokojnie objąć kierownictwa Instytutu fizjologii Uniwersytetu w Heidelbergu, a nawet pracować w amerykańskim ośrodku medycyny lotniczej w tym mieście.

Jak to było możliwe? Cóż, Stany Zjednoczone szykowały się do konfrontacji z wczorajszym radzieckim sojusznikiem, który „wyzwolone” kraje wschodniej i południowej Europy zaczynał traktować jak podbite i postępował tak, jakby miał ochotę na więcej. Amerykański wywiad meldował, że przemysł zbrojeniowy ZSRR osiąga ogromne zdolności produkcyjne pozwalające na zwycięstwo przy użyciu konwencjonalnych środków bojowych. Postępujące za amerykańską armią oddziały specjalne, które poszukiwały niemieckich naukowców oraz wyników ich badań, słały raporty wskazujące na ogromne zaniedbania w dziedzinie amerykańskiej techniki wojskowej i nauk ścisłych związanych ze zbrojeniami. Szokiem dla strategów były udokumentowane informacje, że niemiecka nauka w wielu dziedzinach wyprzedza amerykańską o dziesiątki lat. Bomba atomowa i bombowiec B-29 wbrew powszechnej opinii nie gwarantowały przewagi w ewentualnej konfrontacji ze Związkiem Radzieckim, który jeśli chodzi na przykład o broń pancerną i artylerię, nie miał sobie równych na świecie. Amerykanie stanęli przed bardzo trudnym problemem, który koniecznie należało rozwiązać. Wymagała tego racja stanu i bezpieczeństwo narodowe Stanów Zjednoczonych.



Rozwiązanie było jednak na wyciągnięcie ręki. Stanowili je niemieccy i japońscy naukowcy, którzy prowadzili badania i eksperymenty w potrzebnych USA dziedzinach. Łatwo było im złożyć propozycję nie do odrzucenia – wystarczyło zagrozić stryczkiem lub wieloletnim więzieniem i poza obietnicą bezkarności zanęcić odpowiednią posadą oraz wysokimi zarobkami... A że większość z nich wykonywała zbrodnicze eksperymenty? Cóż, trudno - zdobyta w ten sposób wiedza mogła też ratować życie. Życie Amerykanów. Należało tylko nagiąć lub zmienić prawo zabraniające wjazdu do USA zbrodniarzom wojennym i członkom organizacji uznanych za zbrodnicze, jak NSDAP, Gestapo i SS, których zawarte przez aliantów układy i porozumienia nakazywały stawiać przed międzynarodowym trybunałem.

Nad aktami niezbędnych USA fachowców, wyróżnionymi przez wywiad wojskowy zwykłym biurowym spinaczem, usiadły najtęższe mózgi. Planowana manipulacja musiała mieć znamiona legalności, by zapobiec protestom Amerykanów i pragnących odwetu Europejczyków. Nie mogło więc obejść się bez fałszerstwa. Najcenniejszy z potencjalnych nabytków Wernher von Braun miał stopień SS-SturmbannFührera, a i pozostali nie osiągnęliby swojej pozycji w hitlerowskich Niemczech, gdyby nie należeli do NSDAP. Hubertus Strughold jeszcze w 1952 roku zapytany przez dziennikarza, czy należał do partii nazistowskiej, stwierdził krótko: „Nie w mojej opinii”.

Naukowców „odławiano” w ramach dwóch niezależnych operacji: „Alsos” i „Overcoat”. Podczas pierwszej poszukiwano rezultatów badań atomowych i prowadzących je niemieckich fizyków, w czasie drugiej – specjalistów w dziedzinie broni chemicznej, bakteriologicznej i raketowej. Gdy liczba odszukanych i „poprawionych” akt oznaczonych spinaczem przekroczyła 1500, prezydent Harry Truman jednym podpisem złożonym 13 marca 1946 roku przekształcił operację „Overcoat” w program „Paperclip”, czyli „Spinacz”. Dzięki temu programowi setki nazistowskich zbrodniarzy znalazło dostatni azyl w USA. Wymienię tylko kilku z nich:

Wernher von Braun - odpowiedzialny za pracę 60 tysięcy więźniów obozu koncentracyjnego „Dora” przy podziemnej fabryce rakiet w Górach Harzu. Połowa więźniów nie przeżyła. Amerykańscy żołnierze wyzwalamy obóz nie mogli powstrzymać płaczu, widząc ogromne stosy ciał i ludzkie szkielety zdradzające jeszcze objawy życia. SS-SturmbannFührerowi Wernherowi von Braunowi takie widoki nie przeszkadzały podczas licznych wizytacji w fabryce.

Arthur Rudolph - fizyk, członek zespołu von Brauna, twórca silników do V-2. Wydał rozkaz publicznego wieszania więźniów i robotników przymusowych podejrzanych o

sabotaż lub niemających sił do pracy.

WAR DEPARTMENT  
Bureau of Public Relations  
PRESS BRANCH  
Tel. - RE 6700  
Brs. 3425 and 4860

October 1, 1945

I M M E D I A T E

R E L E A S E

OUTSTANDING GERMAN SCIENTISTS  
BEING BROUGHT TO U.S.

The Secretary of War has approved a project whereby certain outstanding German scientists and technicians are being brought to this country to ensure that we take full advantage of those significant developments which are deemed vital to our national security.

Interrogation and examination of documents, equipment and facilities in the aggregate are but one means of exploiting German progress in science and technology. In order that this country may benefit fully from this resource a number of carefully selected scientists and technologists are being brought to the United States on a voluntary basis. These individuals have been chosen from those fields where German progress is of significant importance to us and in which these specialists have played a dominant role.

Throughout their temporary stay in the United States these German scientists and technical experts will be under the supervision of the War Department but will be utilized for appropriate military projects of the Army and Navy.

END

DISTRIBUTION: As, Af, B, Da, Dd, Dm, N,

4:30 P.M.

Podstawy programu „Spinacz”

Walter Schreiber - mikrobiolog, twórca wielu odmian broni biologicznej testowanej na więźniach obozów koncentracyjnych.

Shiró Ishü - mikrobiolog, szef japońskiej jednostki 731 testującej broń biologiczną na chińskich więźniach w Mandżurii.

Hubertus Strughold - jego już znamy. Dzięki niemu w USA znalazło się około dwustu lekarzy, którzy prowadzili zbrodnicze badania dla nazistowskich Niemiec.

Rezultaty badań owych naukowców, prowadzonych zarówno dla III Rzeszy, jak i USA, ich amerykańscy pracodawcy objęli ścisłą tajemnicą. Czego zatem nie powiedział Kąkolewskiemu - bo nie mógł powiedzieć, a pewnie też nie chciał - Strughold? Dlaczego przebywał na Książu tak długo, do ostatniej chwili - przecież nadchodzący Sowieci byli dla niego śmiertelnym zagrożeniem?

Marzącym o lotach kosmicznych Amerykanom niewątpliwie był potrzebny wybitny fachowiec z tej dziedziny, ale może było coś jeszcze, może sprawa pobytu Strugholda w USA miała drugie dno?

Internet to wielki śmietnik, na którym czasem można się jednak natknąć na cenne znalezisko. Tak właśnie wpadła mi w ręce książka o dziwnym tytule - *Acid Dreams* autorstwa Martina A. Lee i Brucea Shlaina. Tytuł ów można by przetłumaczyć literalnie jako „Kwaśne sny”, gdyby nie to, że książka traktuje o LSD, czyli „kwasie”, chodzi tu więc o „Narkotyczne sny”. Odnalazłem w niej wątek odnoszący się do pobytu Strugholda w Ameryce:

Po wojnie CIA, a wcześniej wojskowi zgrupowani wokół Biura Służb Strategicznych, zaczęli w tajemnicy poszukiwać środka pozwalającego kontrolować ludzkie myśli. Przodowała w tym Marynarka Wojenna, wprowadzając w 1947 roku program „Paplanina”. Tegoż roku utworzono CIA. Opisana jako program „ofensywny”, „Paplanina” przypuszczalnie miała umożliwić wydobywanie informacji od ludzi o silnej woli bez stosowania przymusu fizycznego. Na koniec w Instytucie Badawczym Marynarki Wojennej w Bethesda w Maryland dr Charles Savage przeprowadził eksperyment z meskaliną - ekstraktem z pejot-lu wywołującym podobne objawy jak LSD. Badania te, prowadzone na zwierzętach, nie mogły dorównać doświadczeniom na ludziach, nie doprowadziły więc do odkrycia serum prawdy i w 1953 roku program „Paplanina” został zamknięty.

Marynarka Wojenna zainteresowała się meskaliną jako środkiem pomocnym przy przesłuchaniach, kiedy badacze zapoznali się z doświadczeniami nad kontrolą psychiki prowadzonymi na więźniach przez nazistowskich lekarzy podczas II wojny światowej w obozie Dachau [podkr. J.R.]. Po zaaplikowaniu halucynogenów trzydziestu więźniom naziści stwierdzili, że stało się niemożliwe wpływanie na badanego tak jak w hipnozie. Nie skutkowały nawet najsilniejsze dawki. Narkotyki dostarczano jednak w dalszym ciągu śledczym z SS, którzy za ich pomocą potrafili wydobyć z przesłuchiwanym najbardziej

intymne sekrety, jeśli z ręcznie zadawali pytania. Nie było niespodzianką, że „w każdym przypadku najsilniej ujawniała się nienawiść i pragnienie zemsty .

Eksperymenty z meskaliną prowadzone w Dachau opisano w długim raporcie Misji Technicznej Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych (USNTM) po tym, jak przemierzyła ona Europę w poszukiwaniu materiałów przemysłowych i danych naukowych, które mogły powstać w pobitej Rzeszy. Misja ta umożliwiła sprowadzenie około 600 najlepszych nazistowskich naukowców w ramach programu „Spinacz”, który nadzorowała CIA podczas pierwszych lat zimnej wojny. Pośród tych, którzy wyemigrowali w ten sposób do Stanów Zjednoczonych, był dr Hubertus Strughold, niemiecki naukowiec, którego najważniejsi podwładni (dr Sig-mund [Siegfried - J.R.] Ruff i dr Sigmund Rascher) bezpośrednio wykonywali w Dachau eksperymenty z dziedziny „medycyny lotniczej”, w tym badania meskalinę. Pomimo powtarzających się twierdzeń, że sankcjonował nieludzkie doświadczenia medyczne w czasie wojny, Strughold osiadł w Teksasie i stał się ważną postacią w amerykańskim programie kosmicznym [podkr. J.R.]. Po Wernherze von Braunie był najważniejszym nazistowskim uczonym zaangażowanym do pracy przez rząd amerykański, a NASA nazwała go później ojcem medycyny kosmicznej.

CIA rozpoczęła tymczasem intensywne prace badawcze w dziedzinie „specjalnych” technik przesłuchań [podkr. J. R.] <sup>1</sup>

Sprawa zatem się trochę wyjaśniła. Połączmy teraz zgromadzone informacje:

- Strughold i jego liczni współpracownicy wykonywali najróżniejsze doświadczenia na więźniach obozów koncentracyjnych;
- prowadzili je w Berlinie oraz obozach koncentracyjnych Dachau i Ravensbrück;
- po zbombardowaniu instytutu w Berlinie (a może wcześniej, w przewidywaniu tego bombardowania) badania zostały przeniesione do Szczawna-Zdroju;
- Hubertus Strughold przebywał na zamku Książ do ostatnich chwil przed wkroczeniem Rosjan.

Tyle fakty. Zaznaczam, że to, co teraz napiszę, jest wyłącznie hipotezą, częściowo opartą na przywołanych już relacjach.

W podziemiach zamku Książ, a może także fabryki amunicji chemicznej i jej laboratoriów w Wałbrzychu, Niemcy wykonywali szczególnie niebezpieczne prace i doświadczenia, a lochy wykorzystywali także jako składy cennych depozytów. Nie chcieli rzecz jasna, by Armia Czerwona przejęła wyniki badań, stanowiące świetną kartę

przetargową, za którą mogliby sobie kupić wolność u aliantów zachodnich. Wyniki prac ukryli więc w podziemiach zamku, a może również w chodnikach wałbrzyskich kopalń. Wejścia do książkich podziemi, w których prowadzono badania i złożono najważniejsze depozyty, zamaskowało tuż przed wkroczeniem Rosjan dwunastu zaufanych esesmanów przebranych w więzienne pasiaki, którzy dla pewności zostali zabici po wykonaniu zadania. Dysponenci wyników badań zawarli następnie porozumienie z Amerykanami, którzy chcieli je kontynuować. Skrzynie z dokumentacją wydobyła komórka Werwolu strzegąca zamurowanych pomieszczeń i przekazała papiery zainteresowanym. Werwolf wysadził istniejące jeszcze wejścia, staczając jednak bój z oddziałem NKWD. Naukowcy prowadzący badania zostali w ramach programu „Spinacz” przewiezieni do USA. Nad częścią podziemnych laboratoriów i magazynów rozmieszczonych na całym pobliskim terenie, z których nie zdążono usunąć wszystkich wyników badań i części depozytów, roztoczono dyskretną opiekę i zaczęto prowadzić działania dezinformacyjne, by zatrzeć ich ślady, zniechęcić potencjalnych poszukiwaczy i w miarę możliwości zablokować jakiegokolwiek inwestycje, które mogłyby doprowadzić do wykrycia tych pomieszczeń.

Tu kończy się hipoteza. A jak wygląda prawda? Gdy piszę ten tekst, mamy początek 2010 roku. Wojna zakończyła się 65 lat temu, a dokumentaliści, wśród nich i ja, ciągle tropią, badają, szukają i napotykają wciąż nowe zagadki i tajemnice. Mam podać więcej przykładów, niż wymieniłem? Bardzo proszę. Niektóre z nich są na wyciągnięcie ręki, na przykład w Szczawnie-Zdroju. Drugowojenne tajemnice tego uzdrowiska nie kończą się na Wzgórzu Gedymina i schronie Domu Zdrojowego...

Po powrocie z dolnośląskiej wyprawy usiadłem przed komputerem i zacząłem uważnie przeglądać źródła, które zgromadziłem na twardym dysku, przygotowując materiał do tej książki. Czasem bywa przy takich okazjach, że jak diabełek z pudełka wyskakuje jakiś zapomniany dokument. Mnie wyskoczyło tak kilka artykułów i starych planów.

Pierwszy był egzemplarz ze wszech miar wartego polecenia magazynu „Wiedzy i Życia” „Inne Oblicza historii”. W numerze 04 -01/2005 znalazł się tam artykuł doskonale obrazujący naszą znajomość terenów opisywanych w tej książce. Ma on tytuł **Wałbrzych ul. Pocztowa**. Zacytuję go w całości, ze względu na pasjonującą zawartość:

Wałbrzych pozostaje na uboczu tras wielu eksploratorów podążających przeważnie w kierunku Walimia czy Kłodzka. Niektórzy wiedzą, że jest to miasto leżące obok zamku Książ. A jednak miasto to, z pozoru szare i niepozorne, skrywa w sobie wiele tajemnic i ciekawostek, które powoli wyłaniają się z przeszłości. Gromadzące się w miarę upływu czasu luźne informacje skłaniają ku temu, aby spróbować odsłonić tajemnice Wałbrzycha z czasów ostatniej wojny. Miasta może niezbyt wielkiego, ale ważnego dla przemysłu

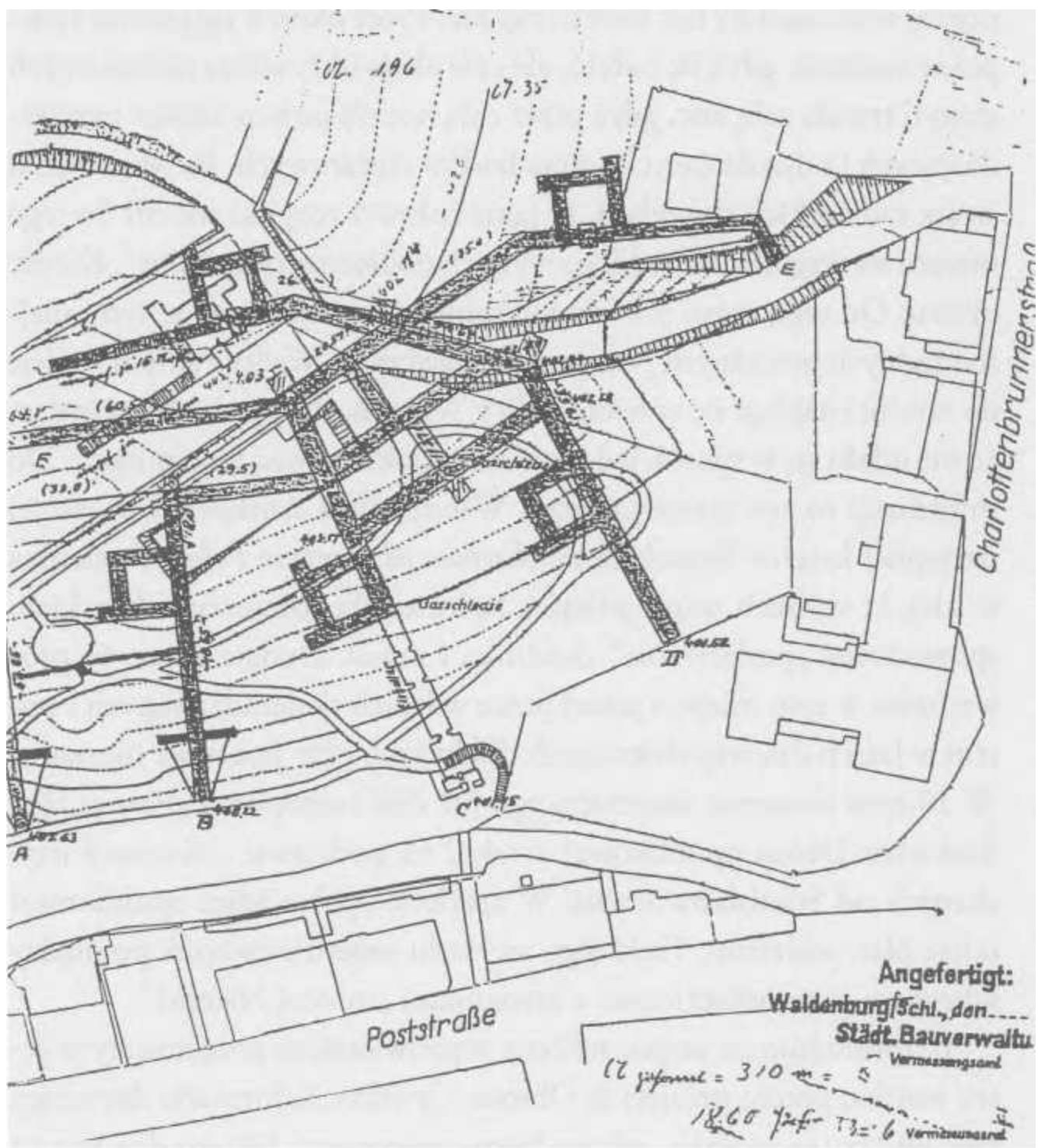
wojennego III Rzeszy ze względu na rozwinięte wydobywanie węgla kamiennego, zakłady przemysłowe i posiadające wielką jak na owe czasy zaletę – praktycznie do końca wojny nie było bombardowane. Dlatego przeniesiono tutaj np. firmę „Ziehl-Abegg” z Berlina, która dla potrzeb Luftwaffe produkowała między innymi odbiorniki sygnału radarowego „Flensburg” i „Na-xos”. A jednak Niemcy zbudowali na terenie miasta wiele schronów przeciwlotniczych. Z jednym z nich wiążą się pewne podejrzenia. Zaczniemy jednak od początku.

W swojej książce *Nieodkryte skarby* Włodzimierz Antkowiak przytacza za Wacławem Dominikiem zeznania niemieckiej dziewczyny z RDM<sup>2</sup>: „W kwietniu 1945 roku zostałam umieszczona wraz z pewnym chłopcem z Hitlerjugend w budynku znajdującym się obok obecnej mleczarni. Miałam pilnować, by mieszkańcy tego budynku nie wyglądali przez okna. W każdym pokoju tego budynku z oknami wychodzącymi na sąsiednie wzgórze był ktoś, kto pilnował mieszkańców tak jak my. Kiedy mój kolega i lokatorzy zasnęli, wyjrzałam ukradkiem przez okno i zobaczyłam dużą kolumnę samochodów wojskowych. Zdejmowano z nich duże skrzynie i wnoszono do otworu wydrążonego we wzgórzu. Nosili te skrzynie mężczyźni z Waffen-SS. Jestem tego pewna, bo mieli na sobie mundury. Każdą skrzynię niosło czterech mężczyzn, więc musiały być bardzo ciężkie. Przez okno wyglądałam tylko przez moment, gdyż się bałam, ale cała akcja ukrywania tajemniczych skrzyń trwała całą noc, gdyż przez całą noc słyszałam warkot przyjeżdżających i odjeżdżających samochodów ciężarowych. Po wkroczeniu wojsk radzieckich słyszałam, że jakiś żołnierz rosyjski wszedł do tego otworu na wzgórzu, ale zabił go wybuch podłożonej tam miny”. Koniec cytatu. Od tego czasu prawdopodobnie nie prowadzono w tym miejscu żadnych poważnych prac poszukiwawczych. Według autora wejście do sztolni znajduje się w rejonie ulicy Wrocławskiej, jednak stwierdza, że nie udało się w sposób jednoznaczny zlokalizować tego miejsca. Do informacji na ten temat powraca Włodzimierz Antkowiak w swojej następnej książce *Poszukiwanie skarbów ukrytych w Polsce*. Stwierdza w niej, że wybuch miny pułapki, która zabiła żołnierzy radzieckich, spowodował „poderwanie” chodnika i zawał. Dodaje także, że prowadzono w tym miejscu jakieś prace w latach siedemdziesiątych i potem w latach dziewięćdziesiątych. Efekt tych prac pozostaje nieznany. W 10-tym numerze nieistniejącego już dziś czasopisma „Poznaniak” Radosław Dukat opublikował artykuł na podstawie informacji uzyskanych od Stanisława Siorka. W artykule oprócz zdjęć opublikował także plan podziemi. Treść tego artykułu sugeruje związek pomiędzy schronem przeciwlotniczym a zeznaniami „młodej Niemki”.

Bezpośrednio po wojnie schrony przeciwlotnicze pozostawały w gestii wojska, potem



przejęła je Obrona Cywilna. Informacje dotycząca tego obiektu są związane: „schron bierny murowany, 130 m od mostu na rzece Pełcznicy, powierzchnia ogólna – 381 m kw., powierzchnia użytkowa - 346 m kw., są trzy zawaliska” (stan na 28.02.1970 r.). Z planu wynika, że to typowy schron przeciwlotniczy. Usytuowany przy ulicy Pocztovej nad brzegiem Pełcznicy. Posiadał sześć wejść oznaczonych kolejno literami od A do F. Wejścia A, B i C usytuowane są nad brzegiem Pełcznicy, a wejście D obok miejsca, gdzie w czasie wojny stała hala gimnastyczna. Wejście E znajdowało się przy drodze obok cmentarza. Wejście F znajdowało się na zboczu i prowadziło do klatki schodowej, która prowadziła w dół do schronu. Na współczesnych mapach są zaznaczone tylko wejścia C i D (opisane jako „piwnice”). W każdej sztolni za wejściem znajdowała się śluza gazowa. Poziom obiektu to ok. 403 m n.p.m. Wejścia do schronu są usytuowane na następujących wysokościach: A—407, 63 m n.p.m., B — 408,22 m n.p.m., C —401,45 m n.p.m., D - 401,58 m n.p.m., E - ok. 408 m n.p.m., F - ok. 420 m n.p.m.



Niemieckie plany schronów przy ulicy Pocztowej

Chodniki od wejść A, B, E i F schodzą w dół do poziomemu obiektowi, natomiast od wejść C i D wznoszą się do góry. Na początkowy odcinek sztolni od wejścia C wykorzystano istniejącą piwnicę (Eiskeller). Brak lewej strony planu nie pozwala na stuprocentowe określenie kształtu i ilości wejść do obiektu. Jednak jest to dokument pokazujący stan bieżącej pracy i uwzględniający dokonane zmiany. Poziom rzeki Pelcznicy w tym miejscu wynosił w ostatnich latach 399,7 m n.p.m. W czasie wojny na terenie, pod którym znajduje się schron, był park (Irrgarten). Jest to zgodne z niemiecką praktyką polegającą na lokalizacji schronów przeciwlotniczych, o ile było to możliwe, pod parkami, w pobliżu

cmentarzy, budowli. Wałbrzych to stare górnicze miasto. Można więc spodziewać się w tym rejonie śladów prac górniczych. Mapa górnicza tego rejonu datowana na 1905 rok ujawnia położenie wyrobisk złoże nr 7, położonego na głębokości 398 m n.p.m. należącego do kopalni Segen Gottes i ciągnącego się od Feld Schtacht do Pełcznicy. Na północ od schronu, znacznie bliżej mleczarni, tuż przy brzegu Pełcznicy znajduje się wlot starej sztolni, która dochodzi do złoże nr 7. Na mapie górniczej z 1876 roku opisana jest jako Mundloch des alten Segen Gottes Stolln. Wlot sztolni w tym miejscu może oznaczać, że była to sztolnia odwadniająca. Usytuowanie planu sztolni do mapy jest na pewno obarczone pewnym błędem i nie musi oznaczać, że obiekt miał połączenie z wyrobiskami kopalnianymi, jednak nie musi wykluczać takiej możliwości. Z planu i mapy wynika, że w poziomie była to różnica wynosząca około 5 m.

Z opowiadania „młodej Niemki” można wysnuć pewne wnioski. Nie mieszkała w budynku, w którym przebywała, nie znała więc za dobrze otoczenia. W tym, że budynek znajduje się obok mleczarni, mogła zorientować się w jakiś czas po akcji ukrywania skrzyń, może już po zakończeniu wojny. Duża kolumna samochodów musiała zajmować pewien odcinek drogi lub ulicy i widziała ją pod pewnym kątem. Prawdopodobnie wyglądała przez okno tylko przez krótką chwilę, uchylając nieco zasłonę. Okna na pewno były zasłonięte, chociażby ze względu na obowiązujący nakaz zaciemnienia. Sztolnia znajdowała się na tyle blisko, że w nocy mogła rozróżnić szczegóły. Potwierdza to także fakt dobrej słyszalności pracy silników przy zamkniętych oknach. Wizja lokalna w terenie pozwoliła ustalić, że wejść do schronu nie widać z budynku obok byłej mleczarni. Można więc spokojnie wykluczyć hipotezę o ukryciu skrzyń w schronie przeciwlotniczym. Tym bardziej że lokalizacja schronu była znana. Zgodnie z wojenną praktyką mieszkańcy pobliskich domów mieli przydział do schronu, a nawet poszczególnych wejść.<sup>3</sup>

Artykuł ten rozwił wizję skrzyń ze złotem, ale czy nie tak właśnie mogły być ukrywane skrzynie z cenną dokumentacją? Mam plany schronów przy Pocztovej, a także ów „brakujący” fragment dokumentacji. Dotyczy on pierwszego z czterech, podobnego do pozostałych systemu korytarzy. Duży ten schron. Istotne jest także, że tych schronów nigdy dokładnie nie spenetrowano przy zastosowaniu współczesnych technik.

Przekładam kartki. Znów potężny system podziemny przy dawnym niemieckim mauzoleum w pobliżu ulicy Psie Pole. Biegały tam niegdyś chyba wszystkie wałbrzyskie dzieciaki. Dobrze, że żadnemu nie udało się zejść na niższe, niedostępne poziomy tej budowli, bo liczne pogłoski tam właśnie umieszczają tajną podziemną fabrykę koncernu IG Farben. Pięknie opisuje to miejsce w swych wspomnieniach pan Dariusz Olejniczak:

Najbardziej niezwykłym miejscem było Mauzoleum. Żeby do niego trafić, wystarczyło skręcić z ulicy Psie Pole, ostatniej wtedy miejskiej drogi w tej okolicy, i pokonać strome wzniesienie. Po kilku minutach wspinaczki wychodziło się na rozległą pagórkowatą łąkę. Najpierw widać było szczyt, po chwili widziało się już cały budynek. Otoczona lasem kamienna bryła ukryta była w środku lasu. W pierwszych miesiącach po zasiedleniu miasta przez repatriantów wieść o budowli rozeszła się po okolicy błyskawicznie. Wszyscy szli tłumnie obejrzeć tę ni to świątynię, ni to grobowiec. Do wnętrza kamiennego budynku prowadził ich rząd potężnych krzyży wbitych równo w ziemię. Obok stały znicze, w których od dawna nie tlił się płomień. Mauzoleum otoczone było kamiennymi lwami i hitlerowskimi gapami wyrzeźbionymi z granitu. Granitowe swastyki strzegące zachodniego i wschodniego skrzydła budowli przybysze szybko rozbili w gruzy. Wewnątrz, pośrodku małego dziedzińca, wyrastał z ziemi jeszcze jeden nieczynny znicz. Podwórze otaczały ze wszystkich stron rzędy kolumn. Podobnie jak cały jednopiętrowy budynek wzniesiono je z mieszaniny nie ociosanych głazów i betonu. Sufity i ściany pokrywały wielobarwne mozaiki z antycznymi motywami. Mieszanina mitologii i nazistowskiej megalomanii. Wystarczyło wdrapać się na dach, żeby zobaczyć panoramę miasta aż po Książ.

Mauzoleum wzniesiono w latach trzydziestych dla upamiętnienia poległych w pierwszej wojnie niemieckich oficerów, ale tak naprawdę hitlerowcy chcieli stworzyć miejsce kultu dla swoich pogańskich bożków, którym sprzyjał sam Führer. Nowa wiara wynosiła na piedestał germańskie bóstwa i sławiła cesarską potęgę Niemiec. Równie niezwykle jak sam budynek było to, że kilkadziesiąt metrów dalej z leśnego zbocza wyrastał miniaturowy, niby-antyczny amfiteatr. Trwał tak opustoszały i nikt nie widział, czy kiedykolwiek jakaś publiczność zasiadła na kamiennych ławach wokół sceny i czy kiedykolwiek jakiś aktor stanął na tej scenie, by wygłosić swoją kwestię.

Całe to miejsce, okolica, budziło respekt i grozę. Niesamowita, niemal współczesna, ale już prehistoryczna ruina kusiała tajemnicą i odmiennością.

Mauzoleum przez lata ulegało ruinie, choć o dziwo, polskie władze nie zdecydowały się na zrównanie tego miejsca z ziemią. Z czasem odkryto okoliczne szyby prowadzące do wnętrza lochów i podziemnych komnat. Przez dziury wydłubane mozolnie w betonowej posadzce ludzie dotarli do podziemnej kondygnacji budynku, ze zdumieniem odkrywając w korytarzach rząd pisuarów, zlewów i małe cele bez okien, jakby to miała być łaźnia w nietypowym schronie — dla kogo? Nie wiadomo. Krążyły legendy, że lochy Mauzoleum to tylko przystanek na trasie podziemnej kolei wiodącej z Książa na południe. I chyba tak

było rzeczywiście. Kilka dekad później kamienna budowla stała się ulubionym miejscem zbiórek narkomanów, wagarowiczów, uciekinierów z domu i złodziei testujących skradzione samochody. Powojenna historia tego miejsca to opowieść o zapomnieniu, zaniedbaniu i zniszczeniu. Przyglądałem się tej destrukcji przez lata niemal każdego dnia. [...] Czasem upijaliśmy się tanim winem. Ulubione wtedy zabawy to obrzucanie się kamieniami i łażenie po dachu albo podziemiach budynku. Byli tacy, co zamroczeni winem robili zakłady, że skoczą z tego dachu w zamian za kolejną butelkę. Cały więc był w tym, z której strony odważyli się skakać. Od frontu ściana budowli była dość niska, mniej więcej jakieś trzy metry. Ale po drugiej stronie konstrukcja wznosiła się na opadającej stromo skarpie i była wyższa o kolejne trzy, cztery metry. Odważni jednak skakali właśnie stamtąd. Kiedyś jeden taki złamał sobie nogę przy skoku. [...]

Podchodzili nas też tajniacy po cywilnemu i takie wizyty kończyły się pałowaniem albo w najlepszym razie wpisem do kapownika. Traktowaliśmy te zdarzenia jak zło konieczne, normalny element leśnego krajobrazu. Wtedy nikt z nas nie doceniał niezwykłości miejsca, w którym spędzaliśmy całe dni. Po prostu żyliśmy w nim i to było naturalne. Teraz porasta je mech, a my już nigdy się tam nie spotkamy.<sup>4</sup>

Troszkę myli się pan Dariusz, ale opis tak wiernie oddaje koloryt minionych lat, że musiałem go pozostawić.

Mauzoleum, otwarte w 1938 roku, miało upamiętniać śmierć 23 pionierów narodowego socjalizmu oraz Ślązaków poległych w czasie I wojny światowej. Surowy czworoboczny budynek nosi wyraźne cechy starorzemych inspiracji nazistowskiego architekta. Mnie jednak bardziej interesowało rzeczywiste przeznaczenie tej budowli.

Podejrzewam, że podobnie jak wiele innych, stała się „przykrywką” maskującą wejście do podziemi. Dowodem na to może być wysadzenie przez Niemców fragmentu południowo-wschodniej części budynku na dzień przed wkroczeniem Rosjan do miasta. Mojemu niestrudzonemu pomocnikowi Tomkowi Jurkowi udało się ustalić okoliczności tego zdarzenia. Oto tekst niemieckiej informacji na ten temat:

W tym zamieszaniu przestraszyło nas kilka potężnych detonacji. Nieodpowiedzialni ludzie wysadzili szyny na wiadukcie i tunel [kolejowy], na szczęście nie udało im się zburzyć filarów mostowych. Nierozsądni w swym uporze myśleli, że mogą zatrzymać Rosjan. Nie myśleli przy tym, że wstrzymają zaopatrzenie ludności i na długo narażą ją na niebezpieczeństwo, więc tylko własny lud skrzywdzą. Pomnik chwały [mauzoleum] w Waldenburgu także został wysadzony.\*[\* Czasopismo „Waldenburger Heimatbote”, nr 761, maj 1987; wiadomości z maja 1945 r.]

W wyniku potężnej eksplozji powstał lej, który częściowo zasypano ziemią i gruzem, ale

dzięki temu wiadomo, że pod mauzoleum jest sieć podziemnych korytarzy, choć główne wejście do nich nie zostało odnalezione.

Nie ma żadnych schodów ani wind, jest jedynie kilka zamaskowanych włazów. Uważny poszukiwacz odnajdzie w zniszczonej części niewielki otwór, w którym wyraźnie można wyczuć ruch powietrza. Wiadomo już, że od korytarza znajdującego się tu pod powierzchnią zbudowano mały tunelik do kolumny na środku dziedzińca. Zapewne doprowadzano nim gaz, który podsyczał „wieczny” ogień płonący na szczycie kolumny. Jedną z wielu ciekawostek mauzoleum są owalne ślady przed frontonem, po trzy z każdej strony. Nie wiadomo, co tu umieszczono, bo na starych zdjęciach niczego w tym miejscu nie widać.

Szkoda, że odchodzą w zapomnienie te wszystkie miejsca świadczące o przeszłości miasta. Podziemia jednak zostały. Są i czekają na odkrywcę. Dokąd prowadzą? Nie wiem. Brakuje mi części planów. Czyżby rzeczywiście był tu przystanek kolejki wspomnianej w licznych przekazach ustnych?

Dokumenty przenoszą nas natomiast do wałbrzyskiej dzielnicy Nowe Miasto, prawie dokładnie na zachód od podziemi mauzoleum. Gdy Wałbrzych nazywał się jeszcze Waldenburg, biegła tędy Hermannstralße, czyli dzisiejsza ulica Piłsudskiego.

Wzdłuż niemal całej jej południowej części, zaczynającej się od Sonnen Platz, czyli dzisiejszego placu Tuwima, ciągnęły się tereny kopalni „Hermann”. Plany opatrzone stemplem „Angefertigt: Waldenburg/Schl., den. 14 Aug. 1944 Stadt. Bauverwaltung” nie mogą kłamać. Sztolnie kopalni przebudowano, by wykorzystać je w celach militarnych. Wzdłuż Hermannstralße na planach widać wyjście przy wejściu. Czy tu też były schrony? Jeśli tak, to chyba dla całej dzielnicy Neustadt. Tylko po co, skoro tego rejonu w ogóle nie bombardowano? Najwidoczniej przygotowywano je na coś zupełnie innego.

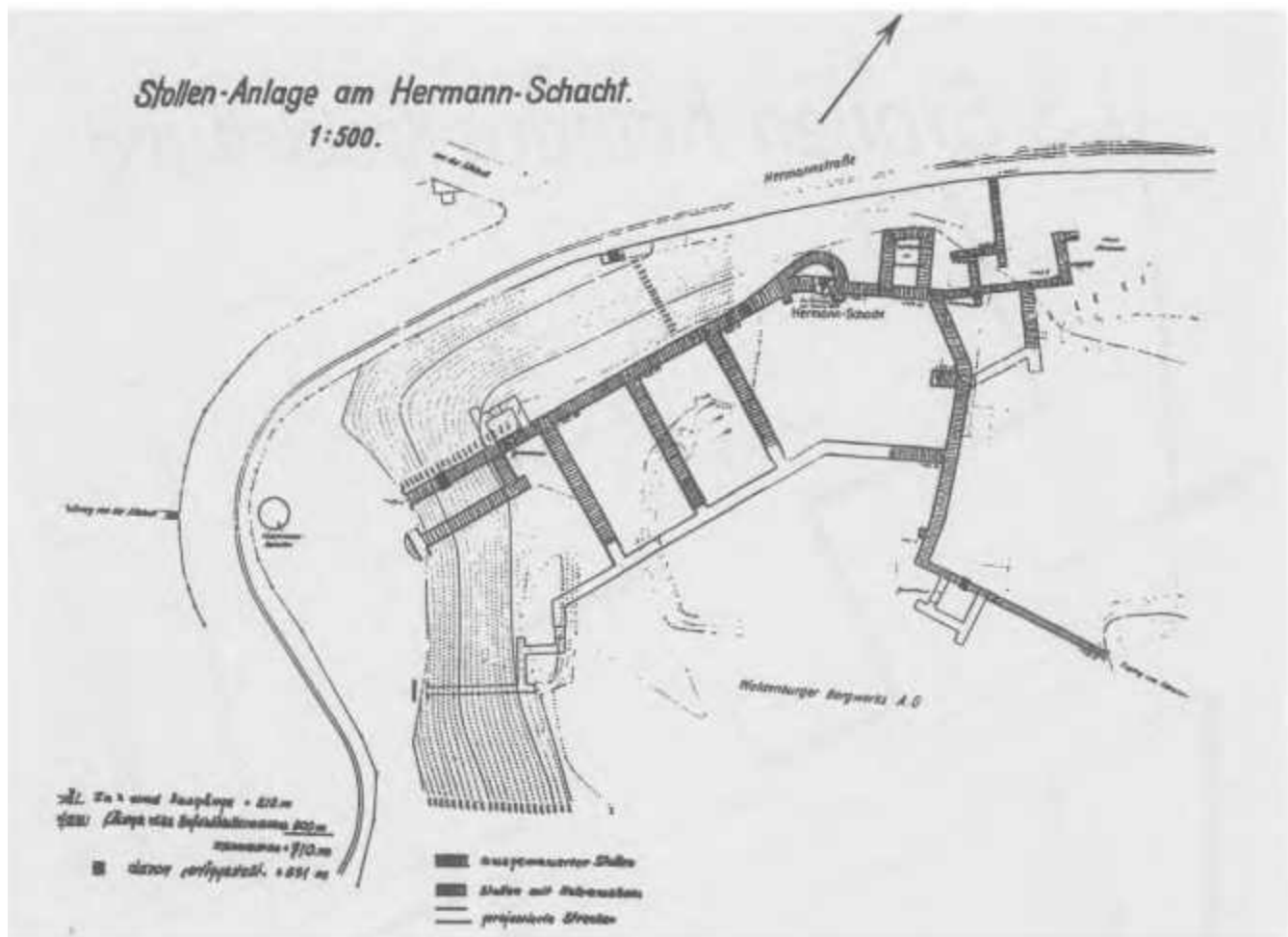
Znów prawie jak przy linijce przesunemy się na zachód. To w linii prostej bardzo blisko. Rathaus Platz, dzisiejszy plac Magistracki. Z niemieckich dokumentów wynika, że wejścia do podziemi znajdowały się w obu skrzydłach ratusza. Jedno w prawym, bezpośrednio przy zbiorniku wody, drugie w lewym. Oba łączyły się z korytarzem okrążającym ratusz i rozdzielającym się na jego tyłach. Nie daje mi spokoju ta linia prosta łącząca wszystkie wspomniane punkty, przecież także w linii prostej na zachód znajdowała się fabryka porcelany z bardzo głębokimi, jak głoszą opowieści, piwnicami oraz sztolnie kopalni „Hans Heinrich und Marie Schacht”. Zbieg okoliczności?

Starczy o tych podziemiach, bo wymieniać można prawie w nieskończoność. Nie mogę zrozumieć, dlaczego w Wałbrzychu i innych miejscach Dolnego Śląska nie robi się tego, co

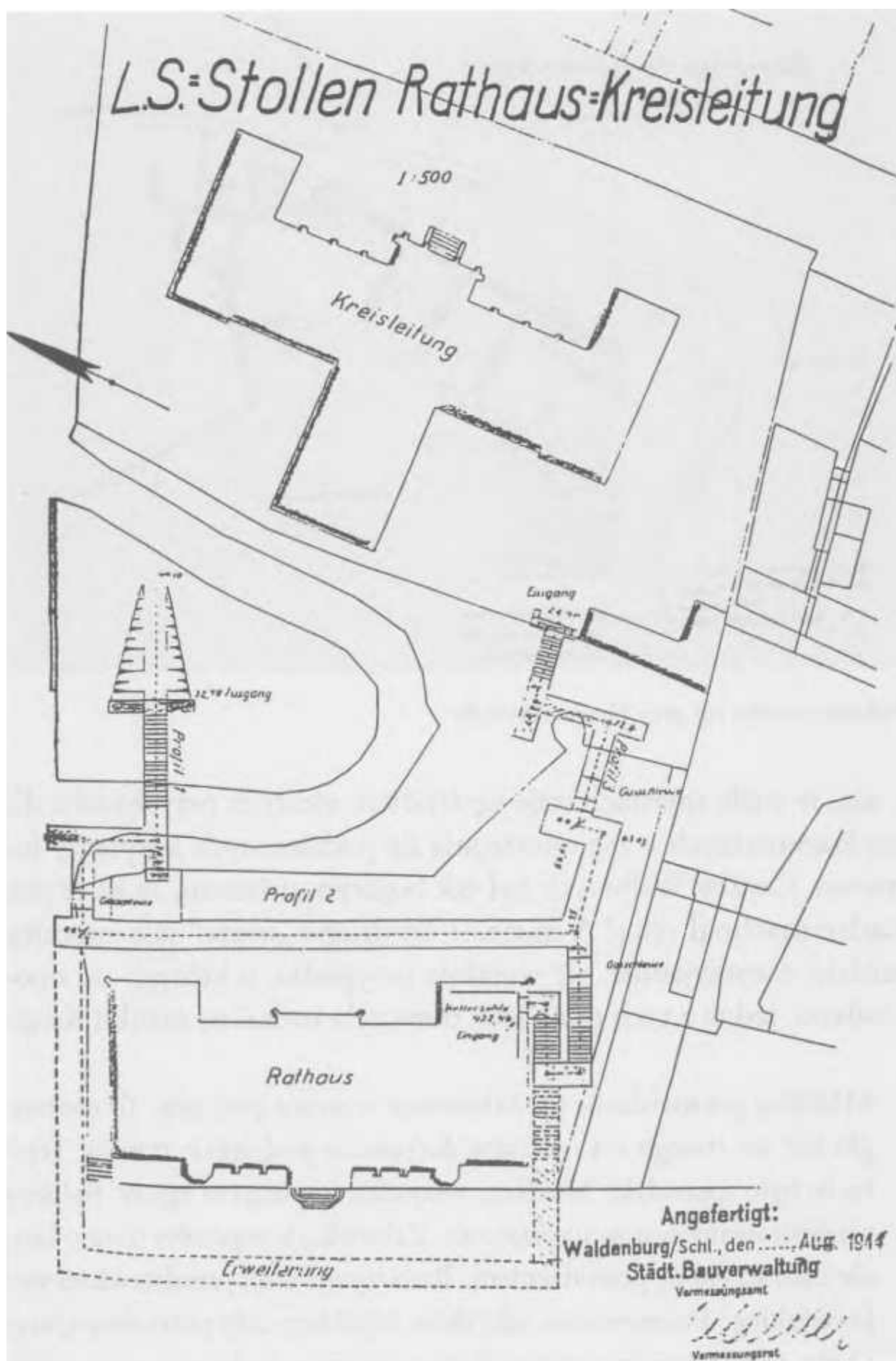


na świecie, a także u nas, w wielu miastach staje się źródłem niezłych przychodów dla kas komunalnych - nie udostępnia się podziemnych korytarzy turystom. Czyżby Wałbrzych był tak bogatym miastem, że na te pieniądze machnął ręką? A może...? To drugie „może” jest znacznie bardziej nieprzyjemne, ale wyjaśnia przypadki, o których mi opowiadano. Jedna z tych opowieści dotyczyła badań na zamku Książ:

Mieliśmy potwierdzone już informacje o pustce pod salą. To nie mogło być nic innego niż nieznanie dotychczas podziemia zamku. Trzeba to było sprawdzić. Mieliśmy wszystkie wymagane zgody. Byliśmy zarejestrowanym stowarzyszeniem. Załatwianie papierów trwało lata, ale zakończyło się powodzeniem. Towarzyszył nam przedstawiciel wojewódzkiego konserwatora zabytków. Mieliśmy cały potrzebny sprzęt i był z nami specjalnie sprowadzony z Niemiec fachowiec z superczułymi urządzeniami elektronicznymi. Wiertło, które miało pokonać cienką w tym miejscu, jak wykazywał georadar, skałę, miało 30 milimetrów średnicy. Prawie bezinwazyjna metoda. W otwór wprowadzimy kamerę i wtedy się dowiemy, czy legendy są prawdziwe.



Podziemny labirynt przy Hermannstraße



Korytarze pod placem Magistrackim

Włączyliśmy sprzęt. Nawet głośno nie warczało. Sprawdzala się niemiecka technika i diamentowe wiertła. Minuta wiercenia, druga i nagle krzyk: „Stop! Zatrzymać!” Zapadła cisza. W rękach nieznanomych mężczyzn, którzy nadeszli z obu stron korytarza, błysnęły Bardzo Ważne Legitymacje. Polecenie było jasne: „Proszę zacementować ten otwór i opuścić to pomieszczenie”. Na nic zdały się tłumaczenia o posiadanych zezwoleniach i poniesionych kosztach. Ich polecenia były ważniejsze i nie podlegały dyskusji. Łatwo sobie wyobrazić naszą wściekłość i... zdziwienie. Byli dwie minuty po rozpoczęciu wiercenia. Czy zawsze są tacy szybcy?

Drodzy moi czytelnicy! Możecie w to opowiadanie wierzyć lub nie. Usłyszałem je od uczestnika tych prac, człowieka o nieposzlakowanej uczciwości, który nie jest żadnym fantastą. Wierzę w tę opowieść tym bardziej, że wskazał mi miejsce i ów otwór. Cóż, być może są w naszym kraju ludzie, którzy dobrze wiedzą, co i w jakim stanie ukryte jest w dolnośląskich podziemiach. Wiedzą i czekają? Na co? Nie wiem. Może na pomoc zagranicznych przyjaciół, może na możliwość usunięcia cichcem owych „fantów”, może na pieniądze, które mają to umożliwić...

Dawno temu, gdy jeszcze nie myślałem o pisaniu książek, wpadły mi w ręce - niestety przejściowo - zdjęcia z badań prowadzonych przez Hubertusa Strugholda. Pochodziły chyba z berlińskiego Instytutu Badawczego Medycyny Lotniczej. Pamiętam z tych fotografii trzy rzeczy. Dwoma pierwszymi były solidne drewniane krzesła i wzmocnione okna komory hipobarycznej, takie same, jakie zobaczyłem w szczawieńskim „kompleksie Strugholda”. Na zdjęciach widniały też szklane owalne pojemniki. Bełtała się w nich jakaś ciecz, a czarna „gapa” przy swastyce wskazywała producenta. Trupia czaszka i skrzyżowane piszczele obok ostrzegawczego napisu nie budziły wątpliwości co do zawartości wielkich szklanych ampuł. Co zawierały? Nie wiem. Może materiał, który zamierzano umieścić w głowicach rakiet przeznaczonych do ataku na Nowy Jork? Musiałby on być nadzwyczaj zabójczy, inaczej wszak nie opłacałoby się wydawać milionów marek na *Amerika Rakete*.

Wiem jedno - zabójcze ampułki istniały i do ich produkcji przykładał ręki zespół Strugholda. Co my, współcześni, byśmy zrobili, gdybyśmy w jakichś podziemiach odnaleźli trochę... nie powiem wagon kolejowy, ale trochę takich ampułek? Ano przede wszystkim trzeba by było poddać ich zawartość różnym analizom. I mógłby być z tego spory problem. Cóż zrobiliby biedni badacze, gdyby się nagle okazało, że ten sam produkt nieco później wytwarzały laboratoria CIA? Duży kłopot, przecieki do mediów, skandal. A do tego może gdzieś jeszcze Stany Zjednoczone trzymają tę śmiercionośną broń, choćby na wszelki wypadek.

Znamienne, że do dziś USA - w przeciwieństwie na przykład do Rosji i Chin - nie podpisały konwencji zakazującej użycia w rejonach walk, w których przebywa ludność cywilna, fosforu i napalmu, oraz umowy zobowiązującej do niestosowania min przeciwpiechotnych. Stany Zjednoczone nie uznają też jurysdykcji Międzynarodowego Trybunału Karnego, który ściga zbrodniarzy wojennych, i do dziś za wybitne osiągnięcia w dziedzinie medycyny kosmicznej nadaje się w tym kraju Nagrodę imienia Hubertusa Strugholda.

---

1

Martin A. Lee i Bruce Shlain, *Acid Dreams: The Complete Social History of LSD: The CIA, the Sixties, and Beyond*, Grove Press, New York 1992, s. 5-6.

2

Bund Deutscher Madei — Związek Dziewcząt Niemieckich, jedna z sekcji Hitlerjugend grupująca dziewczęta w wieku 13—17 lat (przyp. red.).

3

Jerzy Delekta, „Inne Oblicza historii”, nr 04 - 01/2005.

4

<http://www.parnas.pl/index.php?co=talenty&id=29>

# Geofizycy w Szczawnie-Zdroju

Nie znoszę rozgrzebanej, nie dokończonej roboty. Na miarę moich skromnych możliwości zawsze staram się postawić kropkę nad „i”. Nie zawsze mi się to udawało. Na przeszkodzie stawały przepisy, niezyczliwi ludzie, prozaiczny brak pieniędzy... Pomocą służyli przyjaciele. Na nich zawsze mogłem liczyć, oni nigdy nie wyciągali ręki i nie mówili „Zapłać”, wiedząc, jakich nakładów wymagają badania pozwalające rzetelnie opisać sprawę, które mnie i moich czytelników pasjonują.

Ze Szczawnem-Zdrojem było podobnie. Z pomocy jednych musiałem zrezygnować, nie mogąc sprostać ich wymaganiom finansowym, inni dołożyli wszelkich starań, bym mógł podjąć prace badawcze. Wielką wdzięczność noszę w sercu dla wspaniałych ludzi z Zakładu Geofizyki Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Dzięki nim mógł powstać ten rozdział, unoszący nieco zasłonę tajemnicy znad wojennej historii Szczawnia-Zdroju. A było tak:

Dobrze znałem profesora Janusza Madeja z AGH, nie tylko świetnego geofizyka, lecz także pasjonata historii. Zapoznałem go ze szczawieńską faktografią i poprosiłem o pomoc. Nic nie obiecywał, powiedział tylko: Zobaczymy, co da się zrobić. Moje prośby nie były małe. Wiedziałem, że profesor korzysta w badaniach z georadaru<sup>1</sup> i grawimetru<sup>2</sup>, zależało mi też na tym, by wyniki badań tymi przyrządami opracowali naukowcy z jego zespołu - specjaliści o najwyższych kwalifikacjach i ogromnym doświadczeniu. To dawało niepowtarzalną możliwość przeprowadzenia dokładnej analizy porównawczej i uzyskania bardzo precyzyjnych wyników. Czy się uda?

Nie minęło wiele czasu i zapaliło się zielone światło. Pojechałem do Krakowa na rozmowę z kierownikiem Zakładu Geofizyki Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska AGH, panią profesor Jadwigą Jarzyną, która okazała mi zrozumienie i wielką życzliwość. Teraz było już prawie z górki. Podpisaliśmy stosowne umowy, wyznaczony został zespół badawczy: profesor Madej, szef zespołu, doktor Sylwia Tomecka-Suchoń, magister Monika Łój i doktor Tomisław Gołębiowski. Prace w Szczawnie zbliżyły nas do siebie. To wspaniali ludzie i doskonali fachowcy, dla których nie liczyły się długie godziny pracy i noce zarwane na analizę materiałów. Dzięki nim można dziś odrzucić część hipotez i skupić uwagę na innych miejscach uzdrowiska, które być może kryją inne tajemnice.

Oczywiście całe przedsięwzięcie nie mogłoby się powieść bez pomocy innych życzliwych ludzi. Do mnie należało załatwienie wszystkich wymaganych prawem zezwoleń oraz zakwaterowanie i wyżywienie ekipy naukowców z AGH. Sam, biedny pismak, nie podołałbym jednak trudom utrzymania przez kilka dni — i pracowitych nocy -

czterooosobowej ekipy geofizyków. Na szczęście przyszli mi w sukurs burmistrz Szczawna-Zdroju pan Tadeusz Właźlak (dzięki któremu również wszystkie drzwi w Szczawnie były przede mną otwarte) i miejscy urzędnicy, władze Uzdrowiska Szczawno--Jedlina oraz kierownictwo firmy „Rivendell”, a także wiele innych firm i osób prywatnych, w tym przyjaciele z Wałbrzyskiej Grupy Sztolniowej. Bez nich nie byłoby tych badań i tego rozdziału.

Nie będę tu opisywać wszystkich kursów z sankami georadaru i setek dziur po statywie grawimetru. Wspomnę jednak, że nasza ekipa wzbudzała wielkie zaciekawienie mieszkańców uzdrowiska, a symptomatyczne, że nie wszyscy wierzyli, że to my, Polacy, wykonujemy te prace. Niektórzy, wzbudzając naszą wesołość, sugerowali, że to Niemcy naszymi rękami szukają pozostawionych skarbów.

Szczawieńskie legendy mówiły o podziemnym schronie na skwerze między Sanatorium numer 1 — czyli Domem Zdrojowym — a pijalnią wód mineralnych. Spodziewaliśmy się także jakiegoś tunelu między sanatorium a wspomnianym już innym schronem, od frontu Domu Zdrojowego. Nie tylko mieszkańcy Szczawna, ale i wałbrzyskanie twierdzili, że ów najokazalszy w mieście budynek łączy z okolicznymi domami korytarze ewakuacyjne. Miałem też informacje o pomieszczeniach nazywanych Wentylatorownią bis. Miały tam stać urządzenia zapewniające dopływ powietrza do wszystkich podziemnych instalacji służących w czasie wojny tak zwanej Jedyńce. Nieznana dziś podziemna „Wentylatorownia bis” podobno była gdzieś w okolicach południowo-wschodniego skrzydła Domu Zdrojowego. To wszystko należało sprawdzić.

Niech teraz przemówią wyniki badań przekazanych władzom miasta i uzdrowiska:

Większą część badań geofizycznych wykonano na tarasowo obniżającym się terenie po południowo-wschodniej stronie Domu Zdrojowego. Badaniami geofizycznymi objęto również rejon odcinka ulicy Wojska Polskiego od jej skrzyżowania z ulicą Kolejową po istniejący bunkier na skwerze przed frontem Domu Zdrojowego. [...] W rejonie Domu Zdrojowego w Szczawnie-Zdroju zaprojektowano układ georadarowych profili pomiarowych, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu oraz dostępne informacje o przypuszczalnym położeniu obiektów podziemnych (tzn. bunkrów, korytarzy itp.). Badania przeprowadzono w czterech seriach pomiarowych. [...] Analizując echogramy, można przypuszczać, że jeśli w rejonie badań faktycznie w czasie II wojny światowej istniał bunkier, to jest on prawdopodobnie częściowo lub całkowicie zasypany (lub zniszczony). Jedynie taka interpretacja możliwa jest do przyjęcia na podstawie uzyskanych wyników pomiarowych, ponieważ nie rejestrują się na echogramach ani silne



odbicia od stropu i spągu bunkra, ani wzrost energii sygnału w jego środku. Poza tym bunkier jako struktura antropogeniczna powinna dawać „geometryczne i symetryczne” refleksy ze względu na geometrię budowli – najczęściej sześcian. Analizując echogramy, nie zauważa się takiej „idealizacji” zapisu, co może potwierdzać założenie o zniszczeniu i zagruzowaniu przestrzeni bunkra.

Tyle, oprócz umieszczonych w pracy odnośników do poszczególnych echogramów, mówią wyniki badań. Potwierdza to część zgromadzonych przeze mnie relacji, w których mowa o nawożeniu gruzu i ziemi do schronu. Prace te wykonali podobno Rosjanie po wywiezieniu całej mechanicznej infrastruktury podziemnych pomieszczeń w pobliżu tak zwanej Jedynki. I dalej z opracowania AGH:

Podsumowując, wyniki badań georadarowych na terenie ogrodu nie dają jednoznacznej interpretacji pozwalającej wnioskować o istnieniu bunkra, jak również wyniki badań przed Domem Zdrojowym nie potwierdziły założenia o istnieniu korytarza łączącego ten budynek z istniejącym bunkrem i nie istniejącą obecnie kaplicą. Nie można również potwierdzić na podstawie wyników badań georadarowych założenia o istnieniu korytarza pomiędzy Domem Zdrojowym a pijalnią. Jak już opisano wcześniej, większość zarejestrowanych efektów jest pochodzenia geologicznego lub antropogenicznego – kable, kanalizacja itp.

Grawimetr naukowców AGH bardzo się nawędrował w poszukiwaniu wspomnianej „Wentylatorowni bis”. I tu robi się ciekawie. W opracowaniu czytamy:

Wyniki badań - rozkłady mikroanomalii siły ciężkości – przedstawiono na rys. 22 i rys. 23. Pierwszy z nich przedstawia rozkład mikroanomalii siły ciężkości bez wprowadzonej poprawki siły ciężkości na grawitacyjne oddziaływanie znanych podziemnych obiektów występujących w obrębie zdjęcia grawimetrycznego. Jednym z nich jest pomieszczenie tzw. „wentylatorowni”, położone przy południowo-wschodnim skrzydle Domu Zdrojowego. Jego grawitacyjny efekt został wyraźnie zarejestrowany w pomiarach mikrograwimetrycznych. Odpowiada mu mikroanomalia oznaczona na rys. 22 symbolem A. W dalszym etapie prac interpretacyjnych wyznaczone zostały, w punktach pomiarowych, wartości grawitacyjnego wpływu pomieszczenia wentylatorowni i uwzględnione w ostatecznym rozkładzie mikroanomalii siły ciężkości w redukcji Bouguera – rys. 23.

A więc podziemna wentylatorownia istnieje! To niech mi ktoś powie, na co komu wentylatorownia do wietrzenia podziemnych pomieszczeń, gdyby ich samych miało nie być? Właśnie na tym polega sukces badań wykonanych przez przyjaciół z AGH w Szczawnie-Zdroju.

---

## 1

Georadar jest urządzeniem generującym fale elektromagnetyczne o częstotliwości 10-2,5 GHz oraz rejestrującym i analizującym ich odbicia, co pozwala -bezinwazyjnie - poznać strukturę badanego ośrodka. Wykorzystuje się go m.in. w geofizyce, archeologii, drogownictwie.

## 2

Grawimetr, przyrząd do pomiaru zmian przyspieszenia ziemskiego, umożliwia powierzchniowe zobrazowanie przestrzennego rozkładu gęstości w podłożu. Na wyniki badań grawimetrycznych nie mają wpływu inne pola fizyczne.

# Nazistowska bomba atomowa

Opiszę teraz swój największy błąd w całej mojej „karierze” historycznego detektywa. Okazałem się głupcem, że nie potraktowałem poważnie rozmowy z pewnym radzieckim naukowcem. Osłem byłem i myślałem wtedy tak: „Niemcy i bomba atomowa, niemieckie reaktory - to przecież bzdura”. Nie próbowałem doprowadzić do ponownego spotkania z tym naukowcem, dowiedzieć się więcej, utrzymać tego obiecującego kontaktu. A było tak:

Z Gieorgijem Nikołajewiczem Florowem<sup>1</sup> skontaktował mnie chyba pod koniec 1983 roku profesor Zdzisław Szymański z Instytutu Badań Jądrowych w Świerku, z którym wcześniej rozmawiałem na temat niemieckiej atomistyki. Spotkaliśmy się po jakiejś naradzie czy konferencji odbywającej się w Pałacu Kultury w Warszawie. Przekazywano wtedy bodaj reaktor „Maria” innej placówce badawczej. Po konferencji profesor Szymański wprowadził mnie do środka i jak mi obiecał, przedstawił Florowowi, bo jak stwierdził: „nikt nie wie tak dużo o niemieckich badaniach atomowych jak on”. Rozmowy tej nigdzie nie opublikowałem, obawiałem się bowiem, że profesor Szymański, wiedząc, jak bardzo się interesuję niemieckimi badaniami naukowymi z okresu drugiej wojny światowej, zrobił mi kawał i namówił swego radzieckiego kolegę po fachu, by naopowiadał mi niestworzonych rzeczy. Po lekturze książki Rainera Karlscha *Atomowa bomba Hitlera*, w której autor potwierdził część znanych mi dzięki Florowowi informacji, odnalazłem notatki i odtworzyłem tamtą rozmowę. Żałuję teraz ogromnie, że nie zrobiłem sobie żadnego zdjęcia z Florowem, które mogłoby potwierdzić, że się spotkaliśmy. Po części usprawiedliwia mnie jednak to, że w 1983 roku nie myślałem wcale o pisaniu książek, a niemiecką techniką i badaniami naukowymi zajmowałem się jedynie hobbystycznie.

Głos ma profesor Florow:

*Gieorgij Nikołajewicz Florow:* Dlaczego interesujecie się niemieckimi badaniami atomowymi?

*Jerzy Rostkowski:* Bywam na południu Polski, w Górach Sowich, w okolicach Wałbrzycha, gdzie są podziemne sztolnie z okresu wojny i krążą legendy o tym, że Niemcy zaczęli tam jakieś badania atomowe, a ja przecież wiem, że nie mieli bomby atomowej. Pogłoski te jednak słychać tak często, że temat mnie zainteresował, a pan Szymański mówił, że wy, Grigoriju Nikołajewiczu, wiecie na ten temat wszystko.

*GNF:* [śmiech] Nikt nie wie wszystkiego, bo Niemcy poniszczyli dużo dokumentów i materiałów doświadczalnych, a dużo też zabrali sojusznicy - Amerykanie. A gdzie byliście w tych górach koło Wal-denburga?

*JR:* Chyba wszędzie, w Głuszycy, Walimiu...

*GNF:* Chwila, chwila, używajcie niemieckich nazw. Ja tak pamiętam. Polskich nie znam.

*JR:* To muszę sobie przypominać: Wüstegiersdorf, Ludwigsdorf, Wüstewaltersdorf, Dornhau<sup>2</sup>...

*GNF:* A w miejscowości Rudolfswaldau<sup>3</sup> byliście?

*JR:* Rudolfswaldau... To chyba dziś Sierpnica. Oczywiście, byłem.

*GNF:* Sierpnica? No nie wiem. W dokumentach ja później chyba inną, polską nazwę widziałem, coś od drzewa — Modrzew chyba. Powiedźcie, co tam było<sup>4511</sup>.

*JR:* Na południowy wschód od wsi, niedaleko, jakieś półtora kilometra, takie sztolnie wykute w skale więźniowie budowali.

*GNF:* To się zgadza. W 1945 tam nasze wojsko było. Ciekawe rzeczy stamtąd przywieźli.

*JR:* Jakie wojsko, przecież armia poszła dalej?

*GNF:* Armia tak, ale mieliśmy takie oddziały specjalne [waha się].

*JR:* Smiersz?

*GNF:* Nie, nie Smiersz<sup>5</sup> — sporo wicie [uśmiecha się] — Szymański dobrze o was mówił. W Rudolfswaldau i gdzie indziej był wywiad naukowy — no, naukowcy w mundurach, ale nie podlegali NKWD. W Sierpnicy wszystkim kierował Arcymowicz.

*JR:* Współpracowaliście z nimi, Grigoriju Nikołajewiczu?

*GNF:* Nie, z nimi nie. Dopiero w Moskwie ich raporty czytałem.

*JR:* Jak to dopiero w Moskwie — to byliście na Dolnym Śląsku po wojnie?

*GNF:* Na Dolnym Śląsku nie, nie byłem... [wyraźnie znów się waha] ja byłem tylko w Waldenburgu.

*JR:* Czy możecie opowiedzieć, co żeście tam robili - wy, najlepszy radziecki fizyk atomowy?

*GNF:* [śmieje się] Takich komplementów mi nie mówcie, ja nie dziewczyna. Wielu lepszych ode mnie było. I u nas, choćby Kurcza-tow<sup>6</sup>, a i u Niemców, jak się okazało.

*JR:* Jak to u Niemców? Więc to prawda z tą niemiecką bombą atomową?

*GNF:* Prawda i nieprawda — to zawsze się ze sobą miesza, [milczy dłuższą chwilę] Ile to lat minęło, trzydzieści osiem chyba... no dobrze, opowiem wam, pytajcie.

*JR:* Powiem szczerze: nie wiem, o co mam pytać. Wiem za mało. Jak było w Rudolfswaldau, co tam były za ciekawe rzeczy, o których mówiliście?

*GNF:* Rudolfswaldau to inna historia. Tam wojsko badało i o tym mówić nie mogę.

*JR:* Ale w Wałbrzychu byliście?

*GNF:* W Waldenburgu byłem, ale już przed powrotem z Niemiec do Moskwy.

*JR:* Po co jechaliście do Niemiec? Czy możecie opowiedzieć?

*GNF:* Mnie tam Stalin i Kurczatow wysłali. Meldunki były, że Niemcy badania atomowe prowadzą. Pojechałem tam jako przedstawiciel Ministerstwa Maszyn Lekkich. Okazało się na miejscu, że Niemcy byli w tych badaniach bardziej [zaawansowani - J.R.], niż żeśmy myśleli. Niektórzy z nich chcieli pracować u nas dalej.

*JR:* Pracować u was, zwycięzców?

*GNF:* Takie czasy były. Nimi rządziły wtedy dwie rzeczy, strach i głód, pewno dlatego chcieli.

*JR:* Przekazywali wam informacje?

*GNF:* Informacje i wyniki badań, różne miejsca pokazywali i dlatego w Waldenburgu się znalazłem.

*JR:* Pokazywali coś w Wałbrzychu?

*GNF:* Nie, w Waldenburgu nie, ale dowiedziałem się, że w Dreźnie wywiad trzymał człowieka, niemieckiego naukowca, fizyka. Miałem papier z podpisem Stalina, to musieli mi go wydać.

*JR:* Ale to w Dreźnie, a nie w Wałbrzychu.

*GNF:* W Dreźnie, tylko on mi o Waldenburgu opowiadał, to go wziąłem i pojechaliśmy, ale wiedział za mało.

*JR:* Jak to za mało?

*GNF:* Widzicie, Niemcy mieli dużo grup badawczych. Mój Niemiec pracował w instytucie drezdeńskim podległym ich Ministerstwu Poczty, tylko raz był w Waldenburgu instalować urządzenia, bo tamten ośrodek podlegał SS.

*JR:* Zaraz, zaraz, pogubiłem się. SS mogło prowadzić badania, ale Ministerstwo Poczty? Co poczta ma wspólnego z badaniami naukowymi? [Wtedy jeszcze nie miałem dokumentów niemieckiego Ministerstwa Poczty dotyczących badań atomowych i nic nie wiedziałem na ten temat - J.R.]

*GNF:* [śmieje się] Takie czasy były, przecież mówiłem. Nikt by się przecież nie spodziewał atomu w Ministerstwie Poczty i [śmiech] w Ministerstwie Maszyn Lekkich, jak u nas, chyba tak samo.

*JR:* Ale wasz Niemiec, ten fizyk, pracował w Wałbrzychu.

*GNF:* Jego instytut przekazywał część urządzeń SS i on tylko pomagał w instalacji. Koniecznie chciałem zobaczyć to laboratorium SS, ale niczego nie widziałem.

*JR:* Niemcy wysadzili?

*GNF:* Wysadzić chyba nie wysadzili, bo to pod samym miastem było, tylko on trafić nie mógł.

*JR:* ?

*GNF:* Był tam raz. Samochód, który go wiozł z dworca kolejowego, długo jeździł po mieście i Niemcowi droga się pogubiła. Później wjechali na teren kopalni i zwieźli go pod ziemię. Dwa dni siedział, pracowali, jedli i spali pod ziemią - tam wszystko było odpowiednio przygotowane. Jak skończyli, to znów samochód powoził go po mieście, zanim na stację dojechał, i ze mną Niemiec niczego znaleźć nie mógł.

*JR:* Ale przecież kopalni w Wałbrzychu nie jest tak bardzo dużo — nie mógł poznać otoczenia, budynków?

*GNF:* Jeździłem z nim długo, namawiałem, straszyłem też — nic nie dało. On mówił, że wtedy, jak był pierwszy raz, również się trochę bał. Mówił, że wszędzie pilnowali ludzie z SS, określił ich jako „ostrych”, mówił, że mieli takie dziwne znaczki przy mundurach, jakich wcześniej nie widział.

*JR:* Jakie znaczki? Po nich można by zidentyfikować, jakie SS, jakie oddziały tam były.

*GNF:* Ja już dokładnie nie pamiętam, on je wtedy nawet rysował i opisywał jako „swastykę na nogach”. Dziwnie trochę.

*JR:* Opisywał też tę kopalnię?

*GNF:* Tak, opisywał, ale to, co pod ziemią było. On z kolegami zawiózł tam cyklotron, ale okazało się, że to drugi, bo jeden już tam był. Oni montowali drugi. Opowiadał, że kopalnię specjalnie dostosowano. Były wózki, stoły, wszystkie konieczne urządzenia, a na wejściach śluzy i wartownicy. On wyjść nie mógł, bo miejscowi mieli specjalne przepustki, które wkładali do zegarów przy wyjściu, on takiej nie miał.

*JR:* Czyli opowiadał o podziemnym laboratorium atomowym. Uwierzyliście mu, Grigoriju Nikołajewiczu?

*GNF:* Uwierzyłem. Mówił drobiazgi, które znał nasz wywiad. Jak pytałem następnego dnia, mówił dokładnie to samo. Oni tam mieli, w tej kopalni, łączność telefoniczną z innymi fabrykami pod ziemią tam na miejscu i z całymi Niemcami. Była podobno też telewizja - tak, ja mu uwierzyłem, tym bardziej uwierzyłem, że jak pracował u nas, część się potwierdziła. On by nie ryzykował kłamać. Za to była wtedy kula.

*JR:* Nie szukaliście dalej tej kopalni?

*GNF:* [śmiech] Jak to nie szukaliśmy? Jak można było nie szukać? Ja już nie, ale nasi długo szukali. Mieli niemieckie plany kopalni, chodzili z polskimi górnikami. Na nic to było. Nie znaleźli, a kilku zginęło.

*JR:* Zawał jakiś był w kopalni?

*GNF:* Nie zawał, tylko Niemcy byli w kopalniach, oni razem z Polakami pracowali i



pewno miny podkładali. Jednego dnia nic nie było, a drugiego człowiek ginął. To i wreszcie przestali szukać. A przypominam sobie - tam nazwa była - to się Rüdiger nazywało. Tak ten Niemiec nazywał kopalnię. Albo on, albo ktoś później, może w papierach przeczytałem, nie pamiętam, ale na pewno to była ta kopalnia w Waldenburgu.

*JR:* I Niemcy mieli bombę atomową?

*GNF:* Ja wam na to pytanie nie odpowiem, ale historia może odpowie. Oni mieli znacznie więcej, niż mogliśmy się spodziewać.

Tyle było mojej rozmowy z radzieckim naukowcem. Sprawdziłem. Był w Dreźnie. Był w Wałbrzychu. A ja nie podtrzymałem tego kontaktu...

Postanowiłem poznać opinię profesora Jacka Wilczura<sup>7</sup> na temat niemieckich badań atomowych i mojej rozmowy z Florowem. Prawdopodobnie to pierwszy ze strony polskiej szukał śladów nazistowskich „dokonań” w Górach Sowich. Jego książka *Ojczyzna nie udziela urlopów* stała się literaturą obowiązkową dla tych, którzy zajmują się tajemnicami Dolnego Śląska. Wszyscy, którzy znają temat, pamiętają *Księstwo SS*, pierwszą broszurę dotyczącą tego terenu napisaną właśnie przez profesora Wilczura. Miała ona charakter paradokumentalny i dopiero upływ lat pokazał, że opierała się na faktach. Cóż, tak było „za komuny”.

Zadałem profesorowi kilka pytań:

Czy wie pan coś o tym, co Gieorgij Nikołajewicz Florow robił po wojnie na terenie Niemiec i Dolnego Śląska?

Czy powiedział on całą prawdę o radzieckich poszukiwaniach niemieckich prac prowadzonych na Dolnym Śląsku?

Czy to możliwe, żeby Florow wykonywał w Niemczech i na Dolnym Śląsku bezpośrednie polecenia Stalina?

Czy radziecki uczoney mógł wpaść na trop atomowych tajemnic III Rzeszy?

Czy można domniemywać, że część niemieckich badań atomowych prowadzono na Dolnym Śląsku i czy mogło tu funkcjonować podziemne laboratorium atomowe?

Czy Główna Komisja Badania Zbrodni Flitlerowskich wpadła na trop niemieckich badań atomowych?

Oto odpowiedź, jaką nadesłał mi profesor Wilczur:

Informacje na temat Grigorija Nikołajewicza Florowa - przyjmując stan rzeczy w drugiej połowie 1983 r.

Według rozpoznania polskiej służby kontrwywiadu wojskowego, a również opinii kilku pracowników Instytutu Badań Jądrowych w Świerku, fizyk Florow pozostawał w ścisłym kontakcie z sowiecką służbą wywiadu i kontrwywiadu wojskowego GRU. Temu należy

przypisać, że interesował się stanem naszej – polskiej – wiedzy na temat niemieckich badań atomowych w okresie II wojny światowej.

Florow powiedział tylko część prawdy o zniszczeniu przez Niemców dokumentów i materiałów doświadczalnych. W rzeczywistości sporą część niemieckich naukowców specjalistów od fizyki atomowej przechwyciły jeszcze w czasie trwania działań wojennych oraz w ciągu kilku miesięcy po kapitulacji III Rzeszy wojskowe służby wywiadu USA, Rosji, Wielkiej Brytanii i Francji.

Florow udawał w rozmowie z Rostkowskim, że nie pamięta różnych detali z terenu Gór Sowich. W rzeczywistości bardzo dobrze orientował się w detalach dotyczących tego rejonu. Dysponował dokładnymi mapami całego obszaru Dolnego Śląska. Mapy te wykonano w pracowniach GRU na przełomie roku 1942 i 1943.

Florow miał pełnię informacji na temat stanu osiągnięć niemieckich fizyków atomowych. Część tej wiedzy Rosjanie zawdzięczali swojej siatce wywiadowczej funkcjonującej w Niemczech i Austrii w latach II wojny światowej. Współdziałał z GRU na terenie Rudolfswaldau. Należy odrzucić wypowiedź Florowa, jakoby Stalin osobiście wysłał go do Niemiec w sprawie ustalenia, czy prowadzone tam były badania atomowe. Wysłało go kierownictwo GRU.

W Waldenburgu Florow dokonał bardzo ważnych ustaleń. Przekazał je do centrali w Moskwie. Szczegółów nie znamy. Wiele wskazuje na to, że w samym Wałbrzychu lub bardzo blisko tego miasta znajdują się do dziś nie wykryte pomieszczenia pod ziemią i urządzenia, dzięki którym prowadzono prace na drodze uzyskania atomu w formie przydatnej do stworzenia broni niekonwencjonalnej. Głupota i paraliż naszych powojennych władz uniemożliwiły do dziś odnalezienie tych pomieszczeń. Florow zgodnie z prawdą mówił o podziemnym laboratorium atomowym. Sądzę, że Amerykanie już od bardzo wielu lat wiedzą sporo na ten temat, lecz z przyczyn nam znanych nie ujawniają swojej wiedzy [podkr. J.R].

Moje informacje na temat Florowa pochodzą z bardzo dobrego źródła, którego jednak nie mogę ujawnić, gdyż obowiązuje mnie lojalność wobec partnerów i informatorów.

GKBZH w Polsce nie zajmowała się badaniami atomowymi na Dolnym Śląsku.

Czas na wyjaśnienia dotyczące mojej rozmowy z rosyjskim fizykiem.

Badania naukowe prowadzone przez Ministerstwo Poczty. Ależ oczywiście były, i to znacznie poważniejsze, niż się do dziś powszechnie sądzi. W moim archiwum znajdują się kopie dwóch dokumentów dotyczących badań nad bronią „A”, gdzie stroną jest właśnie to ministerstwo. Szefem tego resortu był Wilhelm Ohnesorge, „stary” członek NSDAP -

numer legitymacji 42 - i dobry znajomy Adolfa Hitlera, a przede wszystkim wyznawca teorii, że badania jądrowe są najszybszą drogą Rzeszy do zwycięstwa. Z wykształcenia był on fizykiem, a nie mniej niż atomem interesował się telewizją. Florow zaś wspomina o telewizji w wałbrzyskiej kopalni. Używana podczas berlińskiej olimpiady kamera telewizyjna przekazująca dobrej jakości obraz miała 7,5 metra, najmniejsza, „ręczna” około metra długości, natomiast instalowana w 1945 roku w głowicach niemieckich rakiet 7,5... centymetra. Jeśli więc owemu ministrowi poczty badania atomowe szły tak samo jak nad telewizją... wnioski pozostawiam czytającemu te słowa.

Najbliższym współpracownikiem Ohnesorgego zarówno w dziedzinie atomu, jak i telewizji, był genialny samouk Manfred von Ar-denne. Ten młody człowiek po czterech semestrach przerwał studia, aby pracować we własnym laboratorium fizyki elektronowej, które szybko zaczęło współpracować z Ministerstwem Poczty i w pełni rozwinęło skrzydła po przeniesieniu do budynku Centrali Poczty Rzeszy w Berlinie i przekształceniu w prywatny instytut Ardennego oraz ośrodek doświadczalny tego ministerstwa. Czymże zajmował się ów instytut na mocy umów z Ministerstwem Poczty? Otóż prowadził zleczone studia nad systemem rozdzielania izotopów i budową cyklotronu.

Jestem przeświadczony, że to właśnie Manfred von Ardenne montował cyklotrony w Wałbrzychu. Zbyt wiele faktów z życia tego naukowca jest stycznych z opowiadaniem Florowa i historią atomistyki Rzeszy oraz Związku Radzieckiego. Wymienię je krótko. Musiał mieć ogromne osiągnięcia, skoro w styczniu 1945 roku został powołany do Rady Nauki Rzeszy. Jeszcze w 1945 roku nieznanym sposobem (może przywieziony przez Florowa) znalazł się w ZSRR, gdzie początkowo był więźniem o „specjalnym” statusie, ale szybko otrzymał stanowisko kierownika instytutu badawczego w Suchumi. W tym samym czasie do ZSRR przyjechało również 130 ton tlenków uranu przywiezionych z Berlina (a może z Kowar) przez Florowa (czyżby dzięki „pomocy” von Ardennego?). Manfred von Ardenne pracował dla nowych chlebodawców bardzo ciężko i kierowany przez niego niemiecki zespół już w 1947 roku uruchomił dla nich przy pomocy radzieckich kolegów pierwszy reaktor atomowy. Za to osiągnięcie były współpracownik ministra poczty III Rzeszy otrzymał w 1953 roku Nagrodę Stalinowską.

Niesłychanie interesujący jest także ciąg dalszy żywota Manfreda von Ardenne. Wiadomo, jak podchodzono do prywatnej przedsiębiorczości w całej, dążącej do świetlanego komunizmu radzieckiej strefie wpływów. A cóż działo się z hitlerowskim naukowcem odznaczonym przez Stalina? Ano w 1955 roku wrócił do ukochanego Drezna i otworzył prywatny instytut badawczy. Przecież musiał gdzieś pracować. Teraz być może nad elementami bomby wodorowej lub neutronowej. Interesy wyraźnie kwitły, bo od 1991

roku praktycznie do śmierci w roku 1997 był dyrektorem zarządzającym Instytutu Stosowanych Badań Medycznych Spółka z o. o. w Dreźnie. Cóż za „bombowe” życie...

I następna tajemnica - krótka wzmianka Florowa. Radziecki atomista powiedział mi, że wożony po Wałbrzychu Niemiec opowiadał o dziwnych znaczkach — ze „swastyką na nogach” — które nosili esesmani w tajnej części kopalni. Długo myślałem o tym znaczkach. Przejrzałem chyba wszystkie niemieckie odznaczenia, odznaki, insygnia okresu wojny. I w końcu znalazłem „swastykę na nogach”. Znałem wcześniej ten symbol i tajemniczą organizację, która go przyjęła za swe godło, ale to było przecież nieprawdopodobne. A jednak... Forschungs- und Lehrgemeinschaft das Ahnenerbe, czyli Stowarzyszenie Badawczo-Dydaktyczne Dziedzictwo Przodków, założyli Heinrich Himmler, Hermann Wirth i Richard Walter

Darre. Powstało w 1935 jako „fundacja badawcza”, a w 1940 roku zostało włączone do SS. Jego główna siedziba znajdowała się w zamku Wewelsburg pod Paderborn. Co jednak miała wspólnego najtajniejsza organizacja III Rzeszy z badaniami atomowymi, bo jeśli ten związek istniał, to słowa profesora Florowa o „swastyce na nogach” są dowodem na to, że prowadziła badania nad bronią „A” w wałbrzyskiej kopalni.



*Znaczek mundurowy Ahnenerbe — „swastyka na nogach profesora Florowa*

Ahnenerbe prowadziło badania atomowe! Pierwszym kluczem do wyjaśnienia tej tajemnicy była Rada Nauki Rzeszy, o której wspominałem, pisząc o Manfredzie von

Ardenne. Drugim kluczem byli naukowcy żydowskiego pochodzenia mogący pomóc w badaniach atomowych, którzy znaleźli się w obozach koncentracyjnych będących przecież we władaniu SS. Ten temat, jedna z wciąż nie poznanych tajemnic czasu drugiej wojny światowej, ma wielkie znaczenie w kontekście ewentualnych badań w Wałbrzychu. Jestem też przekonany, że ściśle wiąże się ona z pobliskim gigantycznym obozem śmierci – Gross-Rosen.

Wałbrzych - Ahnenerbe – Gross-Rosen... Poznanie związku między tym miastem, tajną organizacją Himmlera i nazistowskim obozem koncentracyjnym pozwoliłoby wyjaśnić, dlaczego Sowieci poszukiwali na Dolnym Śląsku atomowego ośrodka badawczego Rzeszy.

*Wałbrzych.* Jak już wiemy, alianci nie bombardowali tego miasta, a właściwie Gór Wałbrzyskich i Sowich. Bardzo to interesujące, bo tereny te były w zasięgu alianckiego lotnictwa. Czyżby sprzymierzeni wiedzieli o tym „zagłębiu” naukowym, badawczym i produkcyjnym, o największej podziemnej budowie w historii Rzeszy? Pamiętajmy, że wciąż mieszkała tu Daisy von Pless. Dlaczego osamotniona została w Wałbrzychu, którego bynajmniej nie kochała? Była przecież Angielką, jej synowie służyli w alianckich armiach, dobrze знаła Winstona Churchilla...

Owszem, musiała być pod ścisłą kontrolą hitlerowskiego kontrwywiadu, ale wciąż miała szerokie kontakty towarzyskie, w tym z licznymi niemieckimi arystokratami i środowiskiem wałbrzyskich przemysłowców. Arystokraci nigdy nie byli przychylnie nastawieni do nazistów, ale przemysłowcy, bez których Hitler nigdy nie doszedłby do władzy...? Otóż przenoszenie fabryk pod ziemię wiązało się z utratą nad nimi władzy, jaką przez dziesiątki lat, często dziedzicznie, mieli nad nimi ich właściciele. Pod ziemią panowali hitlerowcy. Wałbrzyskim przemysłowcom musiało się to bardzo nie podobać. Najbardziej znana na Dolnym Śląsku arystokratka mogła więc zbierać i przekazywać aliantom informacje o wielkim znaczeniu, pozwalające podejmować wręcz strategiczne decyzje wojskowe i polityczne. Tak, uważam, że Daisy von Pless była najlepszym i dysponującym największą ilością wartościowych źródeł brytyjskim szpiegiem na tym terenie. Jestem przekonany, że potwierdzają to angielskie archiwa z okresu drugiej wojny światowej, które do dziś nie zostały do końca odtajnione.

*Ahnenerbe*, a ściślej Ahnenerbe i atom, bo pozostałe, liczne i różnorodne, badania prowadzone przez tę organizację nas w tym miejscu nie interesują. Heinrich Himmler, agronom z zawodu, miał ambicję objęcia patronatem SS prowadzonych w Niemczech badań naukowych. Stanowisko Reichsführera SS pozwoliło mu wprowadzić do Rady Nauki Rzeszy zaufanych członków tej formacji, której elita należała do Ahnenerbe. I tak zasiedli w niej: Obergruppenführer Hans Juttner, Brigadeführer Otto Schwab (szef

należącego do SS „Urzędu T”, w którym opracowywano i badano nowe bronie; jeden z jego oddziałów zajmował się badaniami atomowymi), BrigadeFührer Rudolf Mentzel, StandartenFührer Wolfram Sievers (formalnie zastępca Mentzla, lecz także jeden z szefów Ahnenerbe i szef Instytutu Wojskowych Badań Naukowych w Waischenfeld). Tak więc zainteresowanie SS i jej „pionu badawczego” - Ahnenerbe - bronią atomową nie ulega wątpliwości.

*Gross-Rosen* — gigantyczny obóz koncentracyjny w Rogoźnicy. Miał on 106 podobozów - 81 na obecnym terenie Polski, 15 w Czechach, 10 w Niemczech. Przeszło przez niego 125 tysięcy więźniów ze wszystkich krajów Europy, zginęło około 40 tysięcy. Dlaczego to, że obóz ten leżał o 30 kilometrów od Wałbrzycha, ma takie znaczenie? Otóż Himmler i szefowie badań naukowych prowadzonych pod patronatem SS chcieli szybkich wyników. Siła atomu miała zapewnić Rzeszy zwycięstwo i panowanie nad światem. Jak jednak przyspieszyć badania? Sięgnięto w tym celu po więźniów. Było wśród nich wielu o dużych kwalifikacjach naukowych. Mogli wykonywać praco- i czasochłonne obliczenia oraz badania cząstkowe, budować skomplikowane urządzenia. Projekt ten powierzono wspomnianemu już, podległemu Ahnenerbe Instytutowi Wojskowych Badań Naukowych. Szefa tego przedsięwzięcia mianował sam Himmler -został nim Helmut Fischer, referent do spraw nauk przyrodniczych przy Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Niezwykle interesujący, szczególnie w kontekście późniejszych wydarzeń w obozie Gross-Rosen i Wałbrzychu, jest dotyczący przyszłych prac cytaty z planu Himmlera: po uregulowaniu spraw związanych z zakwaterowaniem i po zgłoszeniu będących do dyspozycji specjalistów SS Ahnenerbe w porozumieniu z Radą Nauki Rzeszy przydzielili zadania. Należy przede wszystkim uwzględnić dziedziny reprezentowane przez pełnomocników ds. techniki wysokich częstotliwości, fizyki jądrowej i rozprzestrzeniania się promieniowania, a także specjalistów reprezentowanych przez prof. Süssa z Fryburga

Do wysokich częstotliwości wrócimy za chwilę. Najpierw znajdziemy odpowiedź na pytanie, czy w obozie Gross-Rosen wyselekcjonowano więźniów naukowców.

Przed laty przeprowadziłem wywiad z Mieczysławem Mołdawą, więźniem obozu Gross-Rosen, który ze względu na wykształcenie i doskonałą znajomość języka niemieckiego pełnił funkcję pisarza obozowego. Cały ten wywiad na szczęście został zarejestrowany na taśmie filmowej. Pan Mieczysław dokładnie opowiadał o stojących na terenie obozu Gross-Rosen wydzielonych i ogrodzonych dodatkowymi drutami barakach komanda specjalistów „Wetterstelle”<sup>8 9</sup>. Komando to pracowało na potrzeby - jak to nazywano w ewidencji obozowej — „Hochfrequenzforschung”<sup>10</sup>.



Więźniów było tam kilkudziesięciu i na miejscu, w laboratoriach prowadzonych przez cywilów, inżynierów i naukowców, badali oni zaawansowane technicznie części samolotów alianckich. Podlegali oni sporej rotacji – część z nich wywożono i czasami wracali tego samego dnia, czasami nie wracali już nigdy. Muszę w tym miejscu pozwolić sobie na komentarz do wypowiedzi pana Mołdawy. Po pierwsze, w Gross-Rosen prowadzono selekcję więźniów i wyławiano fachowców. Po drugie, więźniowie badali zaawansowane technicznie części - pod tą nazwą mogło się kryć dosłownie wszystko (na przykład części te wcale nie musiały pochodzić z alianckich samolotów). Po trzecie, wywożeni więźniowie bądź wracali tego samego dnia, a więc jechali niedaleko, bądź też nigdy - cóż, kopalnia, w której według niemieckiego naukowca montowano urządzenia do badań nad bronią „A”, była oddalona o pół godziny od obozu Gross-Rosen. W rozmowie ze mną pan Mołdawa podał jeszcze jedną bardzo ważną informację: doskonale pamiętał on częste wizyty w obozie Ober-gruppenFührera Hansa Kammlera, członka kierownictwa SS Ahne-nerbe, dowódcy wszystkich tajnych projektów Rzeszy. Wiadomo, że Kammler na polecenie Himmlera nadzorował także badania nuklearne prowadzone przez Ministerstwo Poczty Rzeszy. Miał wgląd w pracę zespołów Georga Stettera, znanego nam już Manfreda von Ardenne (gdy pracował on w Miersdorfie koło Zeutchen) oraz Georga Otterbeina, doktora Seufferta (podczas ich badań w Turyngü). Badania te dotyczyły generatorów wysokich częstotliwości, cyklotronu 13 MV oraz pilotażowego zakładu rozdzielania izotopów i prób wzbogacania uranu. Ponadto dokonywano testów z substancjami promieniotwórczymi. 4 marca 1945 roku na poligonie w Ohrdruf przeprowadzono tak zwaną małą próbę atomową ze 100 gramami plutonu, a 16 marca zapoczątkowano testy prototypu nieznanego ładunku uranowego.

Hitler zatem nie był aż tak wielkim szaleńcem, za jakiego się go uważa. Marzenie o Wunderwaffe wcale nie było majakami osobnika, którego równowagą psychiczną zachwiały długoletni stres i postępująca choroba. Europie i Ameryce się poszczęściło, bo jeszcze krok i **Führer** miałby broń masowej zagłady. Nieco więcej czasu wymagało dopracowanie strategicznych środków jej przenoszenia.

Tak dopasowały się elementy układanki niesłychanie ważne dla tej książki – Wałbrzych, Ahnenerbe i Gross-Rosen.

Żeby zweryfikować swoje poglądy na temat wypowiedzi profesora Florowa i rozwoju niemieckiej atomistyki, zadałem kilka związanych z tym pytań koledze po piórze, Igorowi Witkowskiemu. Od wielu lat bada on zagadki najtajniejszych broni III Rzeszy, jest autorem wielu książek mocno osadzonych w tym pasjonującym temacie. Igor w swych

pracach opublikował mnóstwo dokumentów, które udało mu się odnaleźć w archiwach rozsianych po całym świecie. Bardzo byłem ciekaw jego opinii, liczyłem też na to, że podsunie mi jeszcze jakieś informacje. Nie zawiodłem się - odpowiedział bardzo szybko. Oto jego list:

Nazwisko Florowa nie jest mi niestety znane, jednak ogólnie wątek jądrowy w kontekście „Riese” i okolic uważam za pewny. Nawiasem mówiąc, pozwolę sobie napomknąć, że udało mi się odnaleźć w niemieckim Bundesarchiv dokument, z którego wynika, że „Riese” było tylko częścią większego przedsięwzięcia SS, „Sonder-bauvorhaben S-3”, a z tego można wyciągnąć wniosek, że w jego pobliżu znajduje się wiele innych placówek, które łączy z Górami Sowimi pewien wspólny mianownik [podkr. J.R.]. Ciekawy wątek dotyczący związku tego rejonu z awangardową wówczas fizyką podsunąłeś mi kiedyś sam, było to ok. dziesięciu lat temu. Pamiętam nasze spotkanie, na którym stwierdziłeś na podstawie jakiś materiałów z grubej teczki, że udało się ustalić, iż radzieckie rozpoznanie wywiadowcze tego rejonu było koordynowane od strony naukowej przez fizyka i był nim wybitny akademik Lew Andriejewicz Arcymowicz [akademik to w ZSRR tytuł naukowy wyższy od profesora — J.R.]. Ty nie bardzo wiedziałeś wtedy, dlaczego został on wybrany (tzn. konkretnie na podstawie jakich przesłanek), a ja tym bardziej - wtedy. Dobrze jednak jego nazwisko zapamiętałem, bo po prostu odniosłem wrażenie, że nie jest to informacja, jaką można wyczytać w prasie. Wtedy miałem już jakieś podstawowe dane na temat tzw. Dzwonu, ale nie rozumiałem, czym on mógł być. Dopiero po paru latach udało się ustalić, że był to rodzaj akceleratora plazmy, przyspieszającego ciężkie jony do bardzo dużych energii (nawiasem mówiąc: ostatnio udało się dotrzeć do akt niejakiego Richtera, który miał z tym do czynienia i jest tam czarno na białym potwierdzenie dziwnych efektów obserwowanych podczas działania dzwonu, w tym związek z grawitacją i wiele innych rzeczy, nawet takich, o których nie wiedziałem...). Po paru latach od naszej rozmowy przypomniałem sobie o tym Arcymowiczu, okazało się, że jego historia, jeśli można tak powiedzieć, doskonale pasuje do szczegółów związanych z dzwonem — a to przecież też fizyka jądrowa, wbrew pozorom. W 1945 r. Arcymo-wicz był pracownikiem Instytutu energii Atomowej im. Kurczatowa i jednym z najwybitniejszych fizyków tego kraju w ogóle. Głównym obszarem jego działalności była jednak fizyka plazmy wysokich energii. Był współodkrywcą promieniowania neutronowego emitowanego przez plazmę poruszającą się z bardzo dużymi prędkościami (w wyniku zderzeń z przeciwnie skierowanym strumieniem lub z czymś innym). Wydaje mi się, że jasno wskazuje to, że Rosjanie byli bardzo dobrze zorientowani w tym, co działo się na interesującym nas terenie - zaskakująco dobrze.

Nawiasem mówiąc, po analizie dosyć dużej ilości analogicznych akt alianckich dotyczących techniki niemieckiej doszedłem do wniosku, że Rosjanie byli jednak w tym znacznie lepsi! Kiedyś zresztą rozmawiałem, w kontekście dzwonu, z dr. Scholzem z Instytutu Fizyki Plazmy i Laserowej Mikrosyntezy w Warszawie i zupełnie nieoczekiwanie dr Scholz wspomniał w tym kontekście o powojennych pracach Arcymowicza właśnie. Nie są to jednoznaczne dowody, że Rosjan interesowała fizyka jądrowa w Górach Sowich i okolicach, ale moim zdaniem wyraźnie sugeruje to, że właśnie tak było i że sprawa była priorytetowa, „załatwiana” na szczeblu państwowym. Oczywiście nie mówi to o samej bombie jądrowej, tu jedynym śladem jest relacja dr. Wilczura dotycząca znalezienia jakiejś rudy radioaktywnej w „Riese”, ale tego nie można już sprawdzić. Być może, gdybyśmy dotarli do niedostępnego sektora „Riese”, to udałoby się rzucić na to jakieś światło. Jest jeszcze kwestia radioaktywnego amalgamatu rtęciowego, podobno znajdowanego na tym terenie [podkr. J.R.], Osobiście nie widziałem tej substancji, jednak mógłbym podać nazwiska kilku osób, które zmarły w ostatnich latach z powodu raka krwi i podobnych schorzeń, a u których obserwowano wcześniej klasyczne objawy choroby popromiennej, przy czym rozwój choroby był bardzo szybki. W sumie obraz jest więc dosyć spójny, chociaż dziwny, ale to tylko przypomina nam, jak wielu rzeczy, jeśli chodzi o niemiecką fizykę jądrową, wciąż nie wiemy lub nie rozumiemy. Zapewne właśnie w Rosji leży klucz do rozwikłania tych zagadek - konkretnie w Archiwum Ministerstwa Obrony w Podolsku pod Moskwą (na moje pismo w sprawie udostępnienia akt w ogóle nie odpowiedzieli).

No tak, skleroza. Arcymowicz! Zupełnie zapomniałem. To było tylko jedno zdanie Florowa, chociaż dodałem później do niego sporo informacji o Arcymowiczu, które udało mi się zebrać. Nie miałem wówczas dyktafonu, a po rozmowie z Florowem zanotowałem tylko: „W Sierpniczy wszystkim kierował Arcymowicz”. Nie wiem, czy tam był, czy tylko nadzorował z Moskwy pracę zespołu. Nie wiem i nigdy chyba się nie dowiem, ale gdy Igor Witkowski wspomniał o Arcymowiczu, przypomniała mi się dziwna opowieść sprzed lat — pewnego starego człowieka, który zaraz po wojnie przybył ze wschodu w Góry Sowie. Udało mi się tę jego opowieść zarejestrować kamerą VFIS i na szczęście zachowałem nagranie. Ów starszy pan mówił o podziemnym kompleksie w pobliżu Sierpniczy, nazywanym dziś Osówką.

Opowiadał bardzo ciekawe rzeczy, tak ciekawe, że wymagają jeszcze wielokrotnego potwierdzenia, o kilku jednak bezwzględnie muszę tu wspomnieć. Starszy pan dość często podglądał zza drzew ekipę w radzieckich mundurach przez wiele dni robiącą coś w kompleksie „Osówka”. Pewnego dnia zobaczył, jak dwóch krzepkich radzieckich żołnierzy

nieśie długi drąg wsparty na ramionach. Pośrodku tego drąga lekko bujał się niewielki pojemnik. Drewno, a także nogi owych Sowietów, uginały się pod jego ciężarem.

Arcymowicz, „dzwon” opisywany w książkach Igora Witkowskiego, ciężar, pod którym uginali się silni młodzi ludzie, i długi drąg. Czyżby zbliżenie się do tego pojemnika czymś groziło? A ten ciężar? Ołów, rtęć? Co tak naprawdę mogli znaleźć Sowietci w kompleksie „Osówka”? Interesowali się Górą Sowimi bardzo długo. Nawet w 1964 roku podczas prac kierowanej przez Jacka Wilczura ekipy Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich widać było ich obecność. Polakom towarzyszyli obserwatorzy z radzieckiej prasy J. Ponomarienko i N. Nowikow. Nic mi nie wiadomo, by kiedykolwiek i gdziekolwiek opublikowali później relacje z tej wizyty...

Pozostaje teraz tylko kwestia lokalizacji kopalni, która stanowić miała najtajniejsze miejsce pracy naukowców z Ahnenerbe. Ślady wiodą w kierunku Chełmca, sporego wzgórza widocznego z prawie każdego miejsca w Wałbrzychu. Tam, a także w centrum Wałbrzycha mam takie, ze wszech miar „podejrzane” miejsca i za chwilę o nich opowiem. Opisałem je także Igorowi Witkowskiemu. Oto, co odpowiedział mi w lutym 2010 roku:

Konkretnie o wspomnianych sztolniach nie wiem, ale sprawa łączy się z tzw. „Glückhilfsgrube”. Wiele lat temu pytałem pewnego znajomego zorientowanego w sprawach niemieckich, czy wie coś o wojennej działalności byłej kopalni w Ludwikowicach. Odpowiedział, że nie wie nic, ale ma za to informacje na temat innej kopalni przejętej w czasie wojny na cele zbrojeniowe, właśnie o tej, o której wspomniałem. Odesłał mnie do IPN-u w Warszawie, gdzie miały znajdować się akta niemieckiego urzędu górniczego „Waldenburg Nord”. Udałem się więc do IPN-u, wtedy czytelnia akt znajdowała się na ul. Bonifraterskiej (piszę, bo nie wiem, może ta część ich akt nadal jest właśnie tam). Wiele tam nie było, to tylko dokumenty dotyczące przepływu siły roboczej, jednak między wierszami można było wyczuć, że działo się tam coś szczególnego. Przede wszystkim dlatego, że zatrudniano jak najwięcej ludzi, dosłownie aż do ostatnich dni wojny. Przysyłano tam jeńców radzieckich, chociaż w pierwszych miesiącach 1945 r. nie było już ich wielu, trafiali się raczej przypadkowo. Pomimo to ci, którzy byli, byli wysyłani właśnie do tej kopalni. Stworzono tam dla nich 9 obozów pracy, a maksimum zatrudnienia tych jeńców przypadło właśnie na 1 kwietnia 1945 roku (!) i było to 2945 osób - to bardzo dużo jak na fabrykę podziemną. Charakteru działalności w tych dokumentach nie podano, jednak była wzmianka o znajdującym się na terenie laboratorium oraz o intensywnej rozbudowie elektrowni [podkr. J.R.] W sumie sugerowało to typowy podziemny kompleks produkcyjny. Później dowiedziałem się od zastępcy komendanta miejscowej straży pożarnej (p. Marzędy) o problemach z chemią.

Podczas powodzi w 2001 r. przez kanalizację w tej części miasta (ul. Świętego Józefa i pobliska szkoła) zaczęły wydobywać się duże ilości trujących gazów [podkr. J.R.] Jak się okazało, kanalizacja była spękana w wyniku osiadania gruntu po szkodach górniczych i miała jakieś połączenie z podziemiami. Po zalaniu wodą znajdujące się tam gazy były przez wodę wypierane na powierzchnię, pod ciśnieniem. Wskazuje to na chemiczny profil produkcji. Obiekt jest więc groźny, ale nie można wykluczyć, że był to jeden z większych i jeden z najważniejszych obiektów podziemnych w rejonie Wałbrzycha, którego główna część jest wciąż niedostępna.

Stało się więc jasne, że trzeba dokładniej zbadać Wałbrzych, pomacać historię, jak to nazywam. Tylko jak to zrobić samemu? Bez zaplecza, oparcia na miejscu? Ale zaraz, zaraz... Na miejscu był człowiek, którego uważam za jednego z najlepszych znawców dolnośląskich tajemnic. Na internetowych forach ma nick Ridiger. Nomen omen. Przecież to właśnie o obiekcie „Rikliger” w nawiązaniu do wałbrzyskich badań atomowych von Ardenne mówił Florowowi. Przypadek? Jeśli tak, to zadziwiający...

---

1

Gieorgij Nikołajewicz Florow (1913–1990) - fizyk rosyjski, ukończył Państwowy Uniwersytet Politechniczny w Sankt Petersburgu, początkowo prowadził prace w dziedzinie fizyki jądrowej. W 1940 r. odniósł poważny sukces, gdy z K. A. Pietrzakiem zaobserwował samorzutne rozczepianie się jąder uranu. To on stwierdził ze zdumieniem, że z amerykańskich czasopism fizycznych od 1940 roku znikły artykuły i nazwiska czołowych atomistów: Fermiego, Szilarda, Tellera, Andersena i Wignera, z czego wyciągnął wniosek, że pracują oni nad rozszczepianiem atomu. Napisał o tym do Stalina, ten zaś mu uwierzył i polecił Igorowi Kurczatowowi, by wznowił pracę swego instytutu, zawieszoną na czas wojny. Nakazał mu też przyjąć do pracy Florowa. W 1943 r. Florow został członkiem grupy fizyków pracujących nad bronią atomową i specjalistą wywiadu w tej dziedzinie. Był pracownikiem Instytutu energii Atomowej im. I. Kurczatowa, dyrektorem Zjednoczonych Instytutów Badań Jądrowych w Dubnej. Jego prace obejmowały również zagadnienia z dziedziny energetyki jądrowej, promieniowania kosmicznego, syntezy pierwiastków ciężkich.

---

2

Głuszyca, Ludwikowice Kłodzkie, Walim, Kolce.

3

Sierpnica.

[4](#)

W 1945 roku wieś tę nazwano Modrzewki.

[5](#)

Smiersz (akronim od *smiert-szpienam*) - Główny Zarząd Kontrwywiadowczy „Smiersz” przy Ludowym Komisariacie Obrony ZSRR - służba kontrwywiadowcza działająca w latach 1943–1946 w siłach zbrojnych i wojskach NKWD.

[6](#)

Igor Wasiljewicz Kurczatow (1903-1960) - fizyk radziecki, członek AN ZSRR i dyrektor Instytutu energii Atomowej AN ZSRR, autor prac z dziedziny fizyki jądrowej i fizyki plazmy. Kierował radzieckim programem produkcji broni jądrowej. Uruchomił pierwszy w ZSRR reaktor atomowy. Pod koniec życia prowadził prace nad kontrolowaną syntezą jądrową. Dwa razy przechodził ostrą chorobę popromienną.

[7](#)

Jacek Wilczur — urodzony we Lwowie historyk niemcoznawca, ukrainista i lituanista. Żołnierz Jana Piwnika „Ponurego”, dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Pracował w Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Opublikował 23 książki na temat II wojny światowej i hitlerowskiego ludobójstwa oraz setki artykułów poświęconych więźniom i jeńcom niemieckich obozów.

[8](#)

Rainer Karlsch, *Atomowa bomba Hitlera*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2006, str. 176.

[9](#)

„Placówka meteorologiczna”.

[10](#)

„Badania wysokiej częstotliwości”.



# „Rüdiger” i podziemne korytarze

Ta nazwa elektryzuje w południowo-zachodniej Polsce każdego, kto choćby się tylko otarł o tematy związane z eksploracją i rozwiązywaniem tajemnic drugowojennej historii tego regionu. „Rüdiger” to na Dolnym Śląsku tajemnica tak wielka i niemal równie sławna jak piramidy egipskie. Niby wszyscy wiedzą o tym niesłychanie tajnym obiekcie noszącym tę nazwę, ale nikt nie potrafi podać jego dokładnej lokalizacji i przeznaczenia.

Co o nim wiemy?

*Obiekt.* Generalkommissar für die Sofortmassnahmen beim Reichsminister für Rüstung und Kriegsproduktion, czyli generalny komisarz do spraw natychmiastowych przedsięwzięć przy ministrze do spraw zbrojeń i produkcji wojennej Edmund Geilenberg realizował, jak już wiemy, gigantyczny plan przeniesienia pod ziemię przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy, by uchronić go przed alianckimi bombardowaniami. Powstała lista podziemnych obiektów nazwana niedługo później listą Geilenberga. Budową podziemnych zakładów zajęło się SS Sonderstab Bauburo kierowane przez znanego nam już Hansa Kammlera. Obiekty, którymi się ono zajmowało, podzielono według ważności na grupy A i B, a najważniejsze przydzielono komisjom specjalnym „Sonderinspektion” oraz oznaczono literą „S” z numerami od 1 do 4.

Na liście tej łatwo odnaleźć najważniejszy dla nas. Lakoniczna to informacja - S3 Rüdiger Waldenburg/Schlesien. Wiadomo, że obiekt o najwyższym stopniu utajnienia i nazwie „Rüdiger” znajduje się w Wałbrzychu. I to w zasadzie jedyny pewny fakt z listy Geilenberga.

*Tunel kolejowy.* W jednym z dużych i skądinąd wartościowych opracowań<sup>1</sup> nazwę tę nosi tunel kolejowy na trasie z Wałbrzycha Głównego do Jedliny Górnej na odcinku przebiegającym pod górą Wołowiec. Autorzy książki wspominają też dość enigmatycznie o materiałach odnalezionych w londyńskim archiwum dotyczących kwater głównych Hitlera oraz o znajdującej się tam informacji na temat tajnego obiektu „Rüdiger Unterbringung Bhf. Charlottenbrunn und Ochsenkopf Tunnel”. Tę informację połączyli oni z krótką wzmianką o tunelu pochodzącą z książki Hansa Waltera Wicherta o niemieckich tajnych obiektach, gdzie także napomknięto o obiekcie pod Wołowcem. Informacje o tajnym obiekcie-tunelu autorzy opracowania zestawili z innymi, dotyczącymi centrali łączności, i uznali, że tajemnica została rozwiązana. Czy aby na pewno? A gdzie dane z listy Geilenberga umiejscawiające obiekt „Rüdiger” w Wałbrzychu? Lata zajmowania się tematyką niemiecką nauczyły mnie szacunku dla przysłowiowego niemieckiego

zamiłowania do porządku. „Waldenburg” musiało znaczyć „w Wałbrzychu”, a nie „obok” lub „pod”, bo wtedy niewątpliwie zapisano by „u. [unter] Waldenburg” – pod Wałbrzychem.

*Centrala łączności.* Jako centrala łączności „Rüdiger” zdaniem niektórych miał być gigantyczny. Niektórzy widzą ten obiekt jako ogromny system telekomunikacyjny, którego część znajdowała się w niezbyt odległych od Wałbrzycha Górach Sowich<sup>2</sup>. Najsolidniejsze chyba dotychczas informacje na temat obiektu „Rüdiger” odnaleźć można w internecie na stronie Romana Owidzkiego<sup>3</sup>. Autor tej ciekawej i dość bogatej witryny przytacza różne publikacje, na przykład *Wolfsschanze. HitlersMachtzentrale im ü. Weltkrieg* J. Neumarkera, R. Conrada i C. Woywodta czy *Kwatery główne Führera* F. W. Seidlera i D. Zeigerta, oraz zawarte w nich informacje i dokumenty. Z całości materiału wynika jednak, że nie można jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie zasadnicze. Czy wyposażenie dla centrali telefonicznej to urządzenia dla centrali „Rtidiger”, czy może, co wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, wyposażenie dla centrali łączności w supertajnym, nieznanym dotychczas obiekcie odnotowanym na liście Geilenberga jako S3 Rüdiger Waldenburg/Schlesien?

"Küstungstab"  
D 1 - C 1/Usa/Kp/Tr.

18.2.1945  
96076

- 2 -

einmündige ebenfalls mit einem entsprechenden Antrag an die  
Beratungen.

Die Mitteilung des Veranlasseten wäre ich besonders dankbar.

Bekannt Durchführung von Massnahmen für die unterirdische  
Verlagerung von Rüstungsfertigungen und des General-  
kommissars für die Sofortmassnahmen, Herr Geilenberg.

Heil Hitler!  
Ihr

An den  
Reichsminister für Rüstung  
und Kriegsproduktion  
Herrn Reichsminister Speer

Berlin W 3  
Pariser Platz 3

Sehr geehrter Herr Reichsminister!

Nach Mitteilung des letzten Bau-OT sind diejenigen Bauvorhaben,  
die der Unterbringung von Fertigungen des Führernotprogrammes  
dienen, diesen gleichgestellt worden. Die termingerechte Durch-  
führung dieser Bauvorhaben ist jedoch wesentlich davon abhängig,  
dass die noch fehlenden vorgeschriebenen Bauteile und Maschinen ange-  
liefert werden.

Um daher mit der Untertageverlagerung von 4-achtigen Fertigungen  
des Führernotprogrammes und der Massnahmen des Generalkommissars  
für die Sofortmassnahmen noch zum Erfolg zu kommen, bitte ich darum,  
die Fertigungen folgender Geräte und Maschinen in das Führernot-  
programm aufzunehmen:

- 1) Die gesamte Fertigung von Kompressoren mit Gestellen und Gefässen
- 2) Die gesamte Fertigung von Legierstoffern
- 3) 30 Mäpkel monatlich auf die Basis von 6 Monaten
- 4) 1.500 Bohrhammer 18 und 14 kg
- 5) 1.500 Abbohrhammer 9 und 11 kg.

Es besteht Einverständnis mit Ihrer Planungsmass. Dem General-  
kommissar für die Sofortmassnahmen und dem Hauptmassnahme  
Kommissar, dass die Einreihung der o.g. Fertigung in das Führernot-  
programm von entscheidender Bedeutung für das Gelingen dieser Mass-  
nahmen ist. Der Generalkommissar für die Sofortmassnahmen wird

W-Gruppenführer und Generalleutnant  
der Luftwaffe

Pismo Hansa Kammlera, odpowiedzialnego za prace nad najtajniejszymi broniami Rzeszy, do Alberta Speera, ministra uzbrojenia. Kammler domaga się w nim dostawy na potrzeby programu Geilenberga całej produkcji zgarniarek górniczych, 30 kołowrotów wyciągowych miesięcznie, całej produkcji ładowarek, 1500 wiertarek pneumatycznych, 1500 młotów pneumatycznych – jako uzupełnienie poprzednich dostaw. Co Kammler starał się tak szybko ukryć pod ziemią w lutym 1945 roku?

W obfitej literaturze przedmiotu znaleźć można jeszcze kilka mniej lub bardziej fantastycznych lokalizacji tajnego obiektu o nazwie „Rüdiger”, co również może świadczyć o jego nadzwyczajnym znaczeniu i przeznaczeniu. Wiele z tych (dezinformacji niewątpliwie wprowadzili sami Niemcy – dla zmylenia tropów. Skutek wydaje się oczywisty: nikt nic nie wie. Czy aby na pewno? - ponownie zapytam.

W moim komputerze siedzi ponad 800 gigabajtów danych dotyczących Dolnego Śląska. Stare, nowe, różne. Precyzyjny system przeszukiwania znalazł na twardym dysku zadziwiająca notatkę pochodzącą z diabelskich czeluści internetu. Zaskakiwała ona zbieżnością z moimi dotychczasowymi ustaleniami i informacjami, które przekazał mi wałbrzyski pasjonat drugowojennych tajemnic Tomasz Jurek. Oto ona:

Powstały trzy główne podziemne obiekty: Fürstenstein (Książ), Riese (Bad Charlottenbrunn, Walim), Rüdiger (Waldenburg/Schlesien – Wałbrzych). Właśnie Rüdiger, położony w odległych podziemnych wyrobiskach pokopalnianych, miał stać się podziemnym laboratorium jądrowym. Do obiektu, który był samowystarczalny, wyposażony we własne agregaty prądotwórcze, ogrzewanie olejowe, własne ujęcie wody, doprowadzono pod ziemią kilkanaście kilometrów sieci energetycznej dużej mocy z elektrowni w Wałbrzychu. Obiekt również posiadał podziemną kolej łączącą go z Wałbrzychem. Poszczególne pomieszczenia oddzielały stalowe śluzy, otwierane za pomocą specjalnych kodowanych przepustek. Rüdiger posiadał bezpośrednią łączność telewizyjną z wszystkimi instytucjami III Rzeszy oraz tzw. Führerhauptquartieren (FHQ), realizowaną poprzez centralę znajdującą się w podziemiach obiektu Fürstenstein (w ramach programu „Jonastal”, nadzorowanego przez Niemiecki Urząd Pocztowy). Ponadto obiekt ten posiadał podziemne połączenia komunikacyjne i wewnętrzną łączność telefoniczną z „Riese” i niektórymi zakładami przemysłowymi Dolnego Śląska. W rejonie kompleksu istniało też kilkanaście innych podziemnych zakładów, niektóre z nich wykonywały zlecenia na rzecz programu jądrowego. Do atutów skłaniających do tej lokalizacji wskazać trzeba też: bogate złoża uranu i niektórych rud metali występujących na tym terenie, wysokie uprzemysłowienie, zakłady uzdatniania ciężkiej wody i dobrą infrastrukturę komunikacyjną.

Stand der Anlagen FHQu. V. 4.7.4

I Wolffschanze (Anlage mit Zerstörung)

A Fernsprechanlage 1 Telefon mit 420 Az + Nebenamt 600 Vorabnehmer  
 B Fernleitungsanlage 1 MT D 12 fah + 1 Fernleitungsanlage T40 mit 45 Az

II Berchtesgaden (Anlage im aktiven Zustand)

- 11 Borsaf
- 11 Fernsprechanlage
- 11 Fernleitungsanlage
- 11 Fernleitungsanlage

A Fernsprechanlage zu 11 Fernsprechanlagen mit 340 Az + Nebenamt mit 340 Az  
 zu 21 Fernleitungsanlagen mit 340 Az  
 zu 11 Fernleitungsanlagen mit 340 Az + 11 Fernleitungsanlagen mit 340 Az  
 zu 11 Fernleitungsanlagen mit 340 Az

B Fernleitungsanlage zu 11 Fernleitungsanlagen T41 mit 30 Az

Zustellung 1943 in der Planung



III WO (Anlage im Zustand)

- 11 WO
- 21 fah

A Fernsprechanlage zu 11 Fernsprechanlagen mit 340 Az + Nebenamt mit 340 Az  
 Fernleitungsanlage mit 340 Az  
 zu 21 Fernleitungsanlagen mit 340 Az

B Fernleitungsanlage zu 11 Fernleitungsanlagen T41 mit 30 Az

IV Brunhilde (Anlage im aktiven Zustand)

A Fernsprechanlage Stationen mit 400 Az + Nebenamt mit 120 Az  
 Nebenamt mit 600 Vorabnehmer  
 111-Verbindung MEX + 111-Verbindung MG 15

B Fernleitungsanlage 2 MT D 12 fah + 1 MT R 12 fah  
 1 Fernleitungsanlage T40 mit 45 Az

V Rüdiger (im aktiven Zustand)

- 1 Hauptamt + Fernsprechanlage (111-Verbindung) zum 15.10.1944
- 2 Fernleitungsanlagen zum 15.10.1944

A Fernsprechanlage zu 11 Fernsprechanlagen mit 340 Az + Nebenamt mit 340 Az  
 zu 21 Fernleitungsanlagen mit 340 Az  
 zu 11 Fernleitungsanlagen mit 340 Az + 11 Fernleitungsanlagen mit 340 Az

B Fernleitungsanlage zu 11 Fernleitungsanlagen T41 mit 45 Az  
 zu 11 Fernleitungsanlagen T41 mit 30 Az

Zustellung Veranlassung bei Oberleitungs- und Oberleitungs-Tour  
 im aktiven Zustand im aktiven Zustand zum 15.10.1944

VI Siegfried (für aktiven Zustand)

A Fernsprechanlage Stationen mit 400 Az + Nebenamt mit 120 Az

B Fernleitungsanlage 2 MT D 12 fah + 1 MT R 12 fah  
 1 Fernleitungsanlage T41 mit 45 Az

VII Amt 600

Anlage für 600 Az (aktiver Zustand) + 1000 Az (aktiver Zustand) (nicht vorhanden)

Zustellung:

- \_\_\_\_\_ 1000 Az
- \_\_\_\_\_ 1000 Az
- \_\_\_\_\_ 1000 Az

Wykaz wyposażenia telekomunikacyjnego kwater Führera z 1944 roku. „Rüdiger” miały być li tylko centralą łączności? Wątpliwe

Pod koniec lipca 1944 uruchomiono wielki akcelerator w podziemiach kopalni, niebawem ewakuowano tu i inne pracownie atomistów z ich wyposażeniem. W owym czasie nadzór nad całością programu jądrowego powierzono Walterowi Gerlachowi, usuwając Heisenberga na drugi plan. Z dokumentów RSHA wynika, że jeszcze ktoś stał ponad Gerlachem, któremu on podlegał. Głównym zadaniem akceleratora tam pracującego była produkcja wzbogaconego uranu, metoda ta była znacznie wydajniejsza niż próby Amerykanów wzbogacania rudy za pomocą ich cyklotronu. Jesienią 1944 w podziemiach tych zbudowano też kolejny reaktor, według koncepcji Paula Hartecka, gdzie Niemcy po raz pierwszy paliwo reaktora umieścili w kasetach paliwowych wykonanych w osłonie z toru, jako moderator zastosowali beryl, a chłodzenie realizowano za pomocą skroplonego azotu i tlenu.

W listopadzie 1944 przystąpiono do realizacji kolejnego fantastycznego pomysłu. W celu zwiększenia produkcji plutonu połączono te dwa urządzenia. Wykorzystując prace małżeństwa Joliot-Curie z 1934 nad rozpadem 8+, zbudowany tu reaktor miał wykorzystywać rozpad 8+, w wyniku rozpadu 8+ następowała przemiana protonów w neutrony (procesowi temu towarzyszy emisja pozytonu (e+) i neutrina). Proces ten można zainicjować, bombardując materiał rozszczepialny cząstkami promieniowania

gamma. Źródłem promieniowania był tu wspomniany akcelerator. Strumień cząstek z akceleratora wprowadzano do reaktora poprzez tzw. komin. Komin istniał już w poprzednich reaktorach i służył do wprowadzania do reaktora źródła neutronów. Uzyskano w ten sposób dużą ilość plutonu. Niemcy mimo wypadków przy pracy cyklotronu i innych trudności byli bardzo zadowoleni. Hitler na początku marca 1945 osobiście gratulował fizykom: Gerlachowi, Harteckowi, Wirtzowi, Hahnowi i Steenbeckowi.

Niestety pod koniec tego miesiąca prace wstrzymano i z początkiem kwietnia 1945 przystąpiono do likwidacji ośrodka. Ośrodek opuszczono w pierwszych dniach maja 1945 r.

Ile Niemcy mieli kilogramów plutonu, trudno powiedzieć, ale na pewno było go dość, by mogli zbudować jedną bombę atomową - o ile rozsądnie ustaliliby masę krytyczną reakcji łańcuchowej. Czy na pewno Niemcy jej nie znali? Pod koniec wojny Amerykanom udało się pozyskać część materiałów wyprodukowanych przez Niemców na potrzeby własnej atomistyki, na przykład metaliczny uran, ciężką wodę i kostki grafitowe ukryte przez grupę Heisenberga. Natomiast w ręce Sowietów dostał się dolnośląski kompleks. Niestety obiekt „Rüdiger” został odcięty od systemu prowadzących do niego korytarzy, a część materiałów i dokumentacji z laboratorium wywieźli Niemcy. Pozostała Sowietom część infrastruktury zakładów produkujących na rzecz ośrodka wałbrzyskiego. Udało im się też pojmać grupę niemieckich naukowców pracujących przy programie. Ludzie ci zostali wywiezieni w głąb ZSRR, gdzie w dwóch zespołach, pod kierownictwem Manfreda von Ardenne i Gustawa Hertza, pracowali nad radzieckim programem jądrowym.

Zastanawiająca zbieżność ustaleń. Nie było wyjścia — zbyt wiele faktów pokrywało się z tymi, które podał Florow, zbyt wiele było tożsamyh z informacjami, które posiadałem, układając puzzle wałbrzyskiej tajemnicy. Odnalazłem autora tej notatki na początku 2010 roku. Napisał ten tekst pan Zbigniew Daleczko, wałbrzyski pasjonat matematyki i fizyki, badacz historii mechaniki kwantowej i prac niemieckich atomistów, między innymi profesora Paula Hartecka z Hamburga. Profesor Harteck w 1939 roku napisał list do niemieckiego ministerstwa wojny zawierający znamienne zdanie: „Pozwalam sobie zwrócić uwagę na najnowsze osiągnięcie w fizyce jądrowej, które naszym zdaniem umożliwi produkcję materiału wybuchowego wielokrotnie potężniejszego niż środki konwencjonalne”. Niedługo potem w Urzędzie Uzbrojenia armii utworzono referat badań atomowych.

Pracowałem dalej. Jak znaleźć ślad obiektu „Rudiger”? Rozsądek nakazywał



domniemywać, że niemieckie laboratorium atomowe powinno znajdować się niedaleko jakiejś fabryki dostarczającej niezbędne materiały, półprodukty, urządzenia. Niewątpliwie taka fabryka, umieszczona pod ziemią i maksymalnie utajniona, w Wałbrzychu była. To wspomniana już w tej książce fabryka amunicji chemicznej na obszarze zajmowanym przez „Glückhilfsgrube”. Należało jednak dokładniej zlokalizować ten zakład oznaczony przez Niemców jako „Genau Geheim”. Tu pojawiły się jednak nowe znaki zapytania. Nie ma przecież najmniejszej możliwości przeszukania wałbrzyskich kopalń, które już dawno zostały zasypane i zalane. Niewątpliwie takiej możliwości nie było także tuż po wojnie, bo Niemcy zadali sobie wiele trudu, maskując obiekt zarówno przed rozpoczęciem produkcji, jak i po jej zakończeniu, bezpośrednio przed wkroczeniem Rosjan.

Na pewno usłyszę pytanie: Jak to, maskowano przed rozpoczęciem produkcji? Przecież to były niemieckie kopalnie? Dlaczego maskowano? Pozornie dziwne, lecz zarazem oczywiste. Zapomnijmy na chwilę, że mówimy o obiekcie podziemnym. Wyobraźmy sobie, że na powierzchni, obok istniejącego zakładu przemysłowego, chcemy postawić inny, tajny, zajmujący się produkcją na potrzeby armii, produkcją tak nowatorską, że nie może o niej wiedzieć nikt oprócz wąskiego grona pracowników, kadry kierowniczej i decydentów. Co wtedy zrobimy? Otóż kolejno:

1. Postawimy wysokie ogrodzenie, którego w żadnym razie nie będzie można sforsować.
2. Zbudujemy ukryte ciągi komunikacyjne i wejścia na teren zakładu, aby nie zwracała niczyjej uwagi bardzo liczna załoga zdążająca na stanowiska pracy oraz transporty materiałów niezbędnych do produkcji.
3. Wprowadzimy ścisły system kontroli załogi, najlepiej całkowicie izolując ją od otoczenia, aby nie zdradziła ona naszej tajemnicy.
4. Cały zakład zamaskujemy tak, żeby był niewidoczny z powietrza.
5. Zastosujemy także dodatkowe zabezpieczenie w postaci jakiegoś systemu wywołującego u potencjalnego intruza poczucie zagrożenia. Musi on wiedzieć, że wkracza na teren dla niego niebezpieczny, ale w żadnym razie nie może uznać, że prowadzona jest na nim jakaś tajna działalność. Ma jedynie poczuć się zagrożony.

Ścisłe przestrzeganie tych wszystkich zasad to stała gwarancja tajności prowadzonych prac.

Zejdźmy zatem teraz pod ziemię, do działającej, prowadzącej wydobywanie kopalni i przeanalizujmy w tym nowym środowisku powyższe punkty, co pozwoli nam, jak sądzę, zlokalizować najtajniejszy podczas drugiej wojny światowej zakład produkcyjny w

Wałbrzychu:

*Ad 1.* Oczywiście żadne ogrodzenie nie będzie potrzebne, bo tajny zakład ma być pod ziemią. Jest oczywiście problem, i to niebagatelny, jak go ukryć przed pracującymi w kopalni górnikami cywilami. W tym wypadku mamy do czynienia z niebagatelną liczbą: 1 kwietnia 1945 roku pracowało ich tam 2945. Ten problem bardzo długo wydawał mi się niemożliwy do rozwiązania, a jednak nie odrzucałem możliwości, że w podziemiach „Glückhilfsgrube” działała wielka fabryka. Pozostawało pytanie jak?

Zaowocowały lata zajmowania się ukrytymi w podziemiach niemieckimi obiektami militarnymi oraz dziesiątki, jeśli nie setki rozmów z polskimi i niemieckimi fachowcami górniczymi. Zauważyłem, że w dolnośląskich kopalniach, szczególnie często przed wojną, dochodziło do dziwnych wydarzeń. Wybuchów, pożarów, ginęli ludzie. Niby zwykłe ryzyko górniczego trudu. Niby. Czy wszystkie te tragiczne wypadki musiały być prawdziwe? Przecież w ludwikowickiej kopalni „Wenceslaus” był tragiczny wybuch, a w 1940 roku zaczęto ją przygotowywać do produkcji wojskowej. Czy nie mogło być tak samo w innych kopalniach? Jakie były zasady postępowania w razie wybuchu i pożaru w kopalni? Należało to wyjaśnić. Pierwsza odpowiedź znalazła się szybko. Na sobięcińskim cmentarzu stoi pomnik upamiętniający tę tragedię. Z napisu wynika, że 29 lipca 1929 roku nastąpił wybuch, w wyniku którego zginęło 33 górników, a dwóch zostało rannych. W 1931 roku zaprzestano wydobywania na szybach Schwesterschacht I i II - Waldenburg, Nieder Hermsdorf.

Dziś wałbrzyski Sobiecin i znane wałbrzyszanom Szyby Siostrzane wpisane są do rejestru zabytków pod numerem 1056/Wł. Część ich urządzeń wówczas, w 1931 roku, zdemontowano. W jednym i drugim szybie wystąpił zadziwiający splot tragicznych wydarzeń.

Doszło do wypadku, po którym je zamknięto. Ludwikowice i Wałbrzych. Zbieg okoliczności? Wydało mi się to podejrzane. Przecież Szyby Siostrzane leżą na terenie wzmiankowanej w dokumentach IPN „Glückhilfsgrube”, czyli fabryki amunicji chemicznej. Dalej pomogły wspomniane rozmowy ze specjalistami od górnictwa. Musiałem się dowiedzieć, jakie były niemieckie procedury po wybuchu w kopalni. Czy mogły wpłynąć na odcięcie i utajnienie kopalnianych chodników? Okazało się, że procedury przedwojenne w zasadzie niczym się nie różniły od współczesnych. Pokłady zagrożone ponownymi wybuchami lub tłącym się gdzieś pożarem odcina się specjalnie oznakowanymi tamami.

I tu dotykamy prawdziwej zagadki. Schwesterschachte dotknął jedynie wybuch. Pożaru nie było, toteż nie stawiano żadnej tamy. Prawie bezpośrednio po tragedii wznowiono

eksploatację. Zagrożenie kolejnymi wybuchami nie było większe niż w innych pobliskich kopalniach. Jakość wydobywanego węgla była znakomita, co potwierdzali polscy górnicy pracujący w Szybach Siostrzanych do 1960 roku<sup>5</sup>. Jak w takim razie wytłumaczyć zamknięcie i częściowy demontaż urządzeń tej kopalni w roku 1931<sup>6</sup>? Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć niż tym, że w 1931 roku Niemcy rozpoczęli przygotowania do posadowienia pod Wałbrzychem gigantycznego kompleksu zbrojeniowego. Jego przeznaczenie i sposób wykorzystania z biegiem lat i rozwoju techniki zapewne się zmieniały, lecz prace wszczęto właśnie wtedy. Ulokowanie kompleksu pod ziemią pozwalało ukryć najtajniejsze badania i produkcję przed komisjami sprawdzającymi realizację postanowień traktatu wersalskiego. A że znajdował się on na terenie Niemiec, najnowsze wynalazki chronione były przed okiem Związku Radzieckiego, ówczesnego sprzymierzeńca Rzeszy, w którym Niemcy umieścili część produkcji zbrojeniowej.

*Ad2.* Opracowanie systemu komunikacyjnego. Gdybyśmy byli szefem owego hipotetycznego zakładu, z pewnością spędzałby nam sen z oczu transport na miejsce pracy siły roboczej i materiałów potrzebnych do badań i produkcji. Musiałby on powodować spore zainteresowanie okolicznych mieszkańców i mógłby zwrócić uwagę wrogiego wywiadu. Jak wyglądałby ten problem, gdybyśmy umieścili naszą tajną fabrykę w pokopalnianych korytarzach pośrodku dużego miasta? Paradoksalnie rozwiązałyby to wiele problemów.

Ruch wokół kopalni nie budzi niczyjego zdziwienia, zwłaszcza gdy położona jest w centrum dużej miejscowości, gdzie zawsze trwa miejska krzątanina, a nawet jeśli kopalnia nie wydobywa węgla, muszą działać służby dbające o bezpieczeństwo. Jednak gdyby fabryka była nadzwyczaj ważna i utajniona, musiałaby mieć dodatkowe podziemne połączenia z podległymi jej zakładami i — co jeszcze ważniejsze — współpracującymi laboratoriami. Pamiętajmy przecież, że nasz obiekt to fabryka amunicji chemicznej. Po cytatach z wypowiedzi Florowa i informacjach z dokumentów Instytutu Pamięci Narodowej wiemy także, że poszukiwana przez nas fabryka związana była z niemieckim programem atomowym. Nazistowscy naukowcy dobrze, bo na własnej skórze, poznali niebezpieczeństwa takich badań. Mieli za sobą napromieniowania i wybuchy. Wiedzieli, jakie jest ryzyko umiejscowienia laboratoriów niedaleko zakładów produkcyjnych, bo znali ogromną siłę energii atomowej. Jestem przekonany, że użyte w dokumentacji stwierdzenie, że na tym terenie było podziemne laboratorium, nie wskazuje na to, by działało ono w kopalni, w istocie podziemnej fabryce, ale świadczy, że to i inne laboratoria pracowały w tym samym rejonie.

Lokalizacja laboratoriów w pewnym oddaleniu od zakładu produkcyjnego gwarantowała bezpieczeństwo, lecz wymagała połączenia ich z nim podziemnymi ciągami komunikacyjnymi. Takie korytarze potrzebne były także instytucjom gwarantującym bezpieczeństwo i zapewniającym siłę roboczą. Kluczowy dla sprawy bezpieczeństwa niemieckich podziemnych instalacji militarnych w Wałbrzychu wydawał się budynek, a właściwie dwa budynki zajmowane w czasie wojny przez Gestapo. Pierwszy z nich do dziś otacza bariera poufności, bo zajmuje go wałbrzyska policja. W drugim, również pogestapowskim, po wojnie rozlokował się miejscowy oddział NKWD, a później „naszego” Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Należało koniecznie zbadać, czy owe budynki nie są połączone z domniemanymi tajnymi zakładami.

Taki system komunikacyjny integrujący podziemne fabryki, magazyny, wytwórnie podzespołów i laboratoria mógłby stanowić solidną poszlakę prowadzącą do potwierdzenia ich lokalizacji, która bardzo by także uprawdopodobniła tezę, że w Wałbrzychu istniał gigantyczny podziemny kompleks zbrojeniowy. Na stołach porozkładałem wielkie rulony map. Turystyczne, wojskowe i te najcenniejsze – górnicze. Doszły do tego stare i nowe, polskie i niemieckie przewodniki, foldery turystyczne, czasopisma dla wycieczkowiczów i eksploratorów. Dużo tego było. Za dużo i stwierdziłem, że muszę jakoś zorganizować te kartograficzne poszukiwania, bo mnie te sterty papierów przygniotą. W końcu szukam czegoś pod ziemią, stwierdziłem i pozbyłem się wszystkiego poza mapami górniczymi. Wciąż jednak było za dużo - tym razem wyeliminowałem to, co dotyczyło rejonów nie związanych z obiektem poszukiwań. Pozostała tylko jedna płachta. Stara, przepiękna górnicza Waldenburger Flózkarte - mapa pokładów Wałbrzycha - która opuściła berlińską drukarnię w 1935 roku. Czas wydawał się właściwy. Jeśli Niemcy już przed wojną zaczęli tworzyć podziemne zakłady o profilu wojskowym, to wręcz musieli się oprzeć na istniejącej sieci chodników, wyrobisk i przekopów górniczych.

Jednak rzuciwszy okiem na tę starą mapę, przeraziłem się. Odnalazłem ulice i budynki na powierzchni - znałem je z planów i map turystycznych - ale teraz miałem przed oczami prawdziwą gmatwaninę kolorowych linii, prostych i skręcających pod dziwnymi kątami, setki numerków, napisów i nazw, których znaczenia nie znałem.

Wziąwszy głęboki oddech, odszukałem dwa budynki, o których wspomniałem. Tuż obok nich zwróciła moją uwagę długa prosta linia biegnąca w interesującym mnie kierunku - na południowy zachód. Umieszczony obok napis nie pozostawiał wątpliwości: była to Fuchs Stollen, Lisia Sztolnia, sławny zabytek Wałbrzycha - wspaniałe świadectwo rozwoju europejskiego górnictwa<sup>7</sup>. Wiedziałem, że z tą sztolnią dzieją się cuda. Cuda, bo potrafi

ona zmieniać długość w zależności od źródła, z którego czerpiemy informacje. Różnice są znaczne, gdyż przypisuje się jej od 1300 do 2100 metrów długości, a niektórzy niemieccy turyści wspominają czasem, że ma ona ponad dwa i pół kilometra i zapewniają, że w czasie wojny można było nią przejść od Fürstensteinerstrafie daleko pod Hochwald. Pada czasem przy tym kąśliwe pytanie: Jak to? Wy, Polacy, nie znacie „swojego” Wałbrzycha, tylko musicie pytać nas, Niemców?

Oby mapy górnicze pozwoliły mi dojść prawdy, myślałem, brakowało mi jednak umiejętności ich czytania, nie miałem dość wiedzy. Musiałem prosić o pomoc. Wiedziałem, że w Poznaniu mieszka człowiek, który potrzebującemu pomocy nie odmówi. Dla niego wałbrzyskie górnictwo nie ma tajemnic, a zna też wiele sekretów całego Dolnego Śląska. Jurek Delekta. Amator, hobbysta, lecz doskonały analityk, z którego rad korzystało wielu zawodowych eksploratorów i poszukiwaczy. Musiałem mu szczegółowo wyłuszczyć moje teorie o podziemnych trasach komunikacyjnych, których istnienie powinno potwierdzić, że w kopalniach Wałbrzycha pracowały fabryki i laboratoria. „Dobrze kombinujesz - usłyszałem od niego -siadamy do nauki”.

Stosownie poinstruowany przez Jurka ruszyłem więc Lisią Sztolnię, o której i on słyszał, że podczas ostatniej wojny wykorzystywana była na całej długości. „Szedłem” po mapie prawie tak jak pod ziemią, od budynku przy ulicy Chrobrego, niegdyś Fürstensteinerstrafie, nazywanego do dziś Separatorem, pod zabudowaniami nieczynnej już kopalni „Julia” („Julius Schacht”) i jeszcze kawałeczek na południowy zachód, by pod torami kolejowymi, a właściwie kilka metrów za nimi, wejść w biegnący na zachód lekko pozałamany chodnik wyrobiska, który tu dochodził. Dowiedziałem się później, że ta część nie będzie już nigdy dostępna, bo się naturalnie „zacisnęła”, gdyż po wojnie złomiarze zdjęli zachowane w doskonałym stanie obudowy górnicze. Ja jednak, wędrując wojennym szlakiem po mapie, nie musiałem się niczego obawiać. Chodnik przechodził pod Hauptstrafie, dziś ulicą Władysława Andersa, i skręcał na południowy zachód. Tak oto dotarłem do biegnącego prosto jak strzelił korytarza oznaczonego na mapie jako Fuchs Stollen Sohle - spąg Lisiej Sztolni. Byłem już blisko Chełmca w przedwojennym Nieder Hermsdorf- powojennym wałbrzyskim Sobięcinie.

Bardzo mnie zaskoczyła spora liczba chodników krzyżujących się w różnych miejscach z tym, który wybrałem na moją kartograficzną podróż. Podobnie było i tutaj, w pobliżu linii kolejowej u stóp Chełmca i Glückauf Schacht - opisywanego już szybu „Szczęść Boże”. To do niego w ostatnich dniach wojny docierały wagony materiałów budowlanych służących do zamaskowania tego, czego nadciągający bolszewicy nie powinni zobaczyć. Tuż przed szybem „Szczęść Boże” korytarz Lisiej Sztolni znów skręcał na zachód i zaraz za zakrętem

robił się dwukrotnie szerszy. Zakończenie podziemnej trasy biegnącej ze Starego Zdroju na krańce Sobiecinia pod Chełmcem wypadło około 250 metrów od znanych, owianych legendami korytarzy o dziwnej nazwie Goldner Ochsen Stollen - Sztolni Złotych Wołów – których dawni właściciele ze spółki Prophet, czyli Prorok, zamierzali tu zdaje się wydobywać rudy metali szlachetnych. Na najnowszą, pochodzącą z okresu drugiej wojny światowej, tajemnicę Goldner Ochsen Stollen trafiłem podczas ostatniego przed zakończeniem tej książki pobytu w Wałbrzychu i także o niej opowiem.



Przebieg Lisiej Sztolni (oznaczony czarną linią)

Wróćmy jednak do drugiego punktu tego rozdziału - dociekań związanych z tajnym układem komunikacyjnym łączącym wszystkie części podziemnych instalacji militarnych w Wałbrzychu. Stało się to głównym tematem mojego obszernego wywiadu z bardzo znaną w tym mieście osobą, która zapisała się w jego powojennej historii. Człowiek ten został w latach sześćdziesiątych skierowany do pracy w kierownictwie wałbrzyskich kopalń. Miał ogromne uprawnienia w dziedzinie, która bezpośrednio mnie interesuje, bo dotyczyły badania i zabezpieczania pozostałości po niemieckich podziemnych budowach na terenie Wałbrzycha. Nadzorował między innymi zasypywanie wielkiego szybu przed zamkiem Książ. Bardzo długo był inspektorem kopalń Dolnośląskiego Gwarectwa Węglowego. Sam zaproponował nagranie rozmowy, poprosił natomiast o zachowanie w tajemnicy swoich danych personalnych. Ogromnie ucieszyło mnie, że zgodził się na



rozmowę, bo wiedziałem, że bezskutecznie ubiegało się o to wielu bardzo znanych i sławnych dokumentalistów. Dlaczego wybrał mnie? Nie wiem. Dlaczego sam chciał, żebym nagrał ten wywiad, choć żywi niechęć do wszelkich urzędzeń rejestrujących, o czym powszechnie wiadomo? Nie mam pojęcia. Nieświadomość nie umniejsza jednak mojej wdzięczności dla starszego pana. Przedstawiam tutaj zapis tekstowy tego nagrania, które mam w swoich zbiorach. Ponieważ mojego interlokutora wiele osób nazywa Wybuchowym, wypowiedzi jego poprzedzam literą „W”.

*W:* Od 1955 roku jestem związany z Wałbrzychem. Czterdzieści dwa lata odpracowałem w państwie polskim. Trzydzieści pięć lat w kopalnictwie. Dwadzieścia pięć lat jako inżynier wentylacji tego zagłębia. Troszkę się nzbierało wiedzy. O regionie, o ludziach, o tym, co było, a nie jest.

*JR:* To właśnie interesuje mnie najbardziej. Pamięć o rzeczach i ludziach, których już nie ma.

*W:* Zacząłem w Wałbrzychu jako młody inżynier górnictwa w 1955 roku na kopalni „Chrobry”. Później osiem lat na „Victorü”. Potem skierowano mnie do Zjednoczenia.

*JR:* Miał pan styczność z tą historią, której nie znamy. Pamięta pan na pewno tę wielką „dziurę” przed zamkiem Książ.

*W:* To jest osobna historia. Od studiów pracowałem jednocześnie dla wojska, które zainteresowało się mną, gdy tylko ukończyłem studium wojskowe. Służby wojskowe mnie „prowadziły” cały czas. Byłem trzy miesiące na szkole oficerskiej we Wrocławiu [Inżynierijno-Saperska do 1953 r., Wojsk Inżynierijnych od 1953 r. - J.R.]. W 1966 roku byłem już głównym inżynierem wentylacji na „Victorü” i jednocześnie przydzielono mi zadanie zabezpieczenia podziemi zamku Książ w ramach batalionu Obrony Terytorialnej Kraju. Jako dowódca plutonu specjalnego miałem żołnierzy górników. Rozpoznałem wówczas te podziemia. Drugi raz w życiu bym tego nie zrobił.

*JR:* Dlaczego?



Sieć podziemnych korytarzy według inżyniera „W”, byłego inspektora kopalń Dolnośląskiego Gwarectwa Węglowego. W centrum – Szyby Siostrzane

*W:* Człowiek był za odważny, młody - tam było bardzo duże zagrożenie. Tam, gdzie ja byłem, nikt z Polaków wcześniej nie był. W Wałbrzychu było dziwnie. Gdy szedłem na dziesiąty poziom, to wiedziałem, że pierwsze trzy poziomy przez Niemców są pilnowane. Byłem bezradny.

*JR:* Dlaczego te pierwsze trzy poziomy były pilnowane?

*W:* O, to właśnie jest pytanie. Musiałem sobie sam na nie odpowiedzieć. Dlaczego poziom +300 pod „Harcówką” i pod „Hermanem” był niedostępny dla nas? Dlaczego nie pozwolili tam chodzić, dlaczego zginął inspektor Urzędu Górniczego, którego wrzucono do szybu „Maria”? Musiałem tego pilnować, bo miałem na wlocie i na wylocie pomiary powietrza. Doszedłem do tego, że na wylocie trzydzieści procent więcej powietrza wychodziło, niż wchodziło. To było groźne. Mógł być samozapłon, zatrucie powietrza, mogła pójść woda, mogło się wydarzyć wszystko. Powinienem wiedzieć, co się dzieje na wyższych poziomach, a jak chciałem się dowiedzieć, to zawsze dostawałem po uszach.

*JR:* Kto blokował informacje dotyczące górnych poziomów?

*W:* Oni mieli ludzi we wszystkich środowiskach, mieli ludzi w Wyższym Urzędzie Górniczym, mieli ludzi w ministerstwie.

*JR:* Czyli Niemcy to blokowali?

*W:* Tak, mieli ludzi w Urzędzie Górniczym u nas, inspektorów, którzy tym się interesowali, zresztą nie bezinteresownie, mieli ludzi na kopalni, szczególnie w działach mierniczych i geologicznych. Na przykład u nas na „Victorii” był taki człowiek do pomiaru szybów także z przeszłością w Wehrmachcie. On bardzo dużo wiedział. Ja sam, jako inżynier wentylacji, na 214 ludzi miałem 26 Niemców. Ci Niemcy pracowali u mnie przede wszystkim na rozpoznaniu, na przykład jako metaniarze, próbobiorcy i tak dalej. Ja ich bardzo dobrze traktowałem i oni mieli duże do mnie zaufanie, ale nigdy Niemiec przy Niemcu niczego nie powiedział. Dlatego przesłuchiwałem ich w cztery oczy i dowiadywałem się ciekawych rzeczy. My żeśmy prowadzili eksploatację do dziesiątego poziomu. Nigdy jednak nie spenetrowaliśmy pierwszych trzech. Najważniejszy jest poziom +411 - to poziom strategiczny, wojskowy w czasie wojny. Ten poziom łączył wszystkie kopalnie. Miał swój szyb tutaj za torami, o nazwie „Glückauf”. Lisia Sztolnia miała bezpośrednie połączenie przy szybie „Sobótka” w kierunku szybu „Hochwald”, czyli „Wiesław”. Przez Lisią Sztolnię Gestapo miało połączenie z „Glückauf”. To był poziom tajny nawet dla Niemców. Tu był duży ruch. Kilka tysięcy więźniów pod ziemię trzeba było wprowadzić.

*JR:* Dlaczego kilka tysięcy? Czyżby przyczyną była fabryka amunicji chemicznej?

*W:* Oni mieli tutaj filię fabryki w Kamiennej Górze, za Antonówką. Mieli produkcję paliwa do rakiet V-1 i V-2 i tej fabryki Ruscy nie osiągnęli. Na „Victoriü” na poziomie +432 w połączeniu z szybem „Irena” i parkiem Jordana jest taki szyb zamurowany. Tam jest fabryka chemiczna, która wytwarzała trzydzieści sześć [rodzajów produktów - J.R.] węglpochodnych i zatrudniała trzy tysiące ludzi. Między innymi produkowała materiały wybuchowe. Na powierzchni była tylko koksownia i nic więcej. Jak Ruscy weszli, to tę fabrykę Niemcy elegancko zamknęli. Dojście do niej jest od szybu „Irena” i taką sztolnią w kierunku na Palestynę<sup>8</sup>. Poziom +432 jest suchy. Jego szybami wentylacyjnymi były „Irena” i „Wrangel”, czyli „Wojciech”. Te szyby są nie zasypane, pilnowane, zagospodarowane, są tam psy i pan nie wejdzie. I ta fabryka jest cały czas pilnowana i dobrze zagospodarowana. Nie pozwolono nam pod tą fabryką wybierać na niższych poziomach, bo byśmy ją zrujnowali uszkodzeniami górniczymi. Nawet samo to dawało do myślenia. Miała połączenia bezpośrednie z „Glückauf”, miała połączenie z szybem „Chrobry” i upadową z Szybami Siostrzanymi. Tą upadową wydawano materiały, które produkowano. Szyby Siostrzane są także nie zasypane i zagospodarowane. To może w każdej chwili runąć, moim zdaniem, bo stoją na warstwach karbońskich, to wszystko może puchnąć i może pójść w dół. Na +411 z Szybów Siostrzanych była upadowa na

powierzchnię zakończona takimi pomieszczeniami - później tam pieczarki trzymali. Mnie to Niemiec zdradził z Sobięcina prawie przed śmiercią. Lubił mnie. On mi powiedział: W., to jest wielka wartość ta fabryka. Ona ma zasilanie, ona ma wszystko, ona tak stała, jak szła. I ona jest sucha — nigdy nie będzie mokra, bo woda może maksymalnie dojść do +411.

A to jest wszystko pod Sobięcinem, pod tym parkiem Jordana. Widzi pan, w tym parku nic nie budują. Tam nic nie pozwolą budować. Jak przyjechałem do Wałbrzycha, mieszkałem na 131 — tam, gdzie teraz szkoła, był taki dom kultury — mieszkałem tam jako student jeszcze. I był barak, taka stołówka — ona też miała upadłą na +432. To blisko jest - z +470 na +432. To jest miejsce, którego w tej chwili najbardziej Niemcy w Wałbrzychu pilnują. Tym wszystkim zarządzał niemiecki koncern z Berlina, Kokswerke und Chemische Fabriken AG. Koncern się przekształcił. Ich filie w tej chwili produkują między innymi plastikowe ramy do okien, otworzyli fabrykę we Wrocławiu i tu mają wejść. Odbudowują [kopalnię - J.R.] „Thorez” jako zabytek - dają 132 miliony i nie krępują się. Budują tam potężny ośrodek handlowy niedaleko fabryki, a fabrykę można w każdej chwili otworzyć. Wystarczy odmurować. Uratowali koksownię cudem. Jest prywatna, nikomu nie podlega. Na koks mają zbyt w Chinach. Wychodzi tysiąc złotych za tonę koks. 300 pracowników. 4600 złotych średnia zarobków. I utrzymują tę koksownię, bo jest potrzebna jak cukier do herbaty do węglopochodnych. Logicznie się wszystko układa.

Tu jeszcze był drugi koncern, który wszedł dopiero w 1938 roku. Zbudował [przed wojną-J.R.] bardzo duże osiedle na Podgórzu. Produkcję [w czasie wojny-J.R.] prowadził na terenie kopalni „Chrobry”. To był IG Farben. Przede wszystkim wybudował podziemną fabrykę paliwa. Dziś niedostępna. Ona jest pod ziemią za „Matyldą”. Później ten koncern rozbudował fabrykę cyklonu B - ona jest pod Mauzoleum, też zamurowana.

Jest jeszcze jedna ciekawostka. Pod „Jadwigą” pomiędzy Kuźnicami i Sobięcinem w południowej apofizie<sup>9</sup> Chełmca, gdzie porfir się wylał w rów tektoniczny, Niemcy mieli kopalnię uranu. Ta kopalnia jest idealnie zamknięta dwoma tamami na dwóch przekopach i nie można było otworzyć tych przekopów, chociaż byłem ich gospodarzem. Tu mnie trzymali na dystans. Jak jechałem w tym kierunku, to dostawałem dziwną jakąś obstawę. Tę kopalnię Niemcy uratowali przed Ruskimi, mimo że ci mieli doskonałe rozpracowanie większych i mniejszych kopalni uranu.

*JR:* No to przeszliśmy z Gestapo pod Chełmiec i nie tylko. Spróbujmy teraz w drugą stronę. Z Gestapo na Górę Parkową.

*W:* Góra Parkowa — [Dom Wycieczkowy PTTK — J.R.] „Harcówka”. Zamurowana stoi i czeka. Tu są dwa wyrobiska. Jedno jest zrobione z kamieniołomu na ulicy Lotników.

Niemcy tu wykorzystywali więźniów. Było wejście od strony Okręgowej Stacji Ratowniczej [przed wojną w tym budynku był urząd pracy, w czasie wojny zajmowało go SS; dokumentów brak - J.R.]. Tam był sztab. Właśnie od ulicy Lotników Niemcy wgryźli się w Górę Parkową. Tam jest dużo rzeczy schowane. Myśleć można o sporym depozycie z innych miast Dolnego Śląska. Od ulicy Wyzwolenia był kiedyś kawałek przekopu, później go zawalili i od Liceum numer 2 - tam jest fantastyczny schron. Widziałem mapę tego schronu. Tam sprytnie wyrobiska są zrobione. Jedno do penetracji, a drugie rzeczywiście do schronu.

*JR:* Czy wie pan coś o budynku nazywanym obecnie Separatorem — podobno także był używany przez Gestapo?

*W:* Tak i dlatego zaraz po wojnie NKWD go zajęło. Tam dla nich było najbezpieczniej.

*JR:* Czy ten budynek może mieć pana zdaniem połączenia z Lisią Sztolnią?

*W:* Na pewno. Widzi pan, tam była jeszcze jedna sztolnia, teraz woda nią odpływa, Sztolnia Wilhelma, za politechniką. Niemcy ją świetnie utrzymywali i ona była aż do szybu, do którego się nigdy nie dostałem, który jest równoległy do szybu „Sobótka”. Ten szyb Niemcy ogolili ze wszystkich urządzeń. Był on kluczem do tej fabryki pod Sobiecinem. Wyłącznie dla przemysłu chemicznego. Koksownia na terenie miała bezpośrednie połączenie z fabryką chemiczną, bo „Thorez” też nie miał żadnych instalacji do węgl pochodnych, tylko koksownię, nic więcej.

*JR:* Czy w tych wszystkich tajnych szybach mogli Niemcy pozostawić pułapki minerskie?

*W:* Pewnie. Niemcy bardzo sprytnie minowali. Ja wiedziałem, gdzie są miny, a gdzie nie ma. Ale największą miną to zawsze byli ludzie. Ludzie, którzy tego pilnowali, i ludzie, którzy chcieli się do tego dostać. Obserwując tych drugich, widziałem, że co nieco wiedzą, tylko nie mają sił i środków - to jest raz - nie mają umocowań prawnych — to jest dwa. Wszystko tam chronił Urząd Górniczy. Chcąc rozwalić tamę, musiałem mieć wniosek, dokumentację i zabezpieczenia. To cały projekt musiał powstać, o którym od razu wiadano w Warszawie. I szła informacja, że tam jakiś W. chce do pociągu pod ziemią wejść. To nie było takie proste ukryć penetrację. Raz mi się tylko udało. Strzeliłem tamę. Nie po to, żeby skarbów szukać, tylko było zagrożenie, bo wychodnia się zapaliła i zadymienie było. Musiałem tę tamę strzelić i nikomu się do dzisiaj do tego nie przyznałem. Wiedziałem, do czego się można dotknąć, a do czego nie.

*JR:* Czeka nas Parkowa. Czego się spodziewać?

*W:* Pytacie o strażników. Spotkacie ich. Pilnują tamy przy Liceum numer 2. Tam jest

taki garaż, który zbudowano, żeby coś zasłonić. Jak został zdjęty garaż, to tam można się dostać do właściwej tamy. A obok jest tama i może pan tam wejść i to jest maskowanie - tam na końcu nic nie ma. Tak właśnie Niemcy budowali podziemne zakłady, że one z góry przygotowane były do zamaskowania. Istotna jest „Harcówka”. Ona jest z tych wyrobisk szybem wentylacyjnym. Przecież one musiały być przewietrzane. Nie ma rzeczy na dole, które nie muszą być przewietrzane. Jak pan pójdzie na górę koło „Harcówki”, to tam jest altanka. I jedną nogą ta altanka stoi na płycie. Ta płyta jest przykryciem szybu wentylacyjnego. Za ulicą Lotników jest boisko. Na końcu boiska jest garaż. Obok garażu jest po prostu wejście. Tam można się dostać do tej sztolni. Ta sztolnia jest cholernie ciekawa, bo ona jest zbudowana w taki sposób, że tam są dwie równoległe sztolnie i pomiędzy nimi są takie przejścia porobione. Jakby komory. Tylko pamiętać trzeba o niemieckiej sztuczce. Bili przekop, a ostatni odstrzał zostawiali. Następnie albo w spąg, albo w ocios bije się przekopik i za tym nie odstrzelonym miejscem wchodzi we właściwy korytarz. Przy ewentualnym wycofywaniu muruje się i maskuje ten boczny przekopik, a wtedy odnaleźć go bardzo ciężko. Często robiono przekop w spąg, żeby woda zamaskowała dokładnie. Parkowa to absolutnie moim zdaniem magazyn.

Wejście z podwórza liceum jest tam gdzie garaż — przejście obok jest dla zmylenia przeciwnika.

*JR:* Czyli gdyby pan otwierał, to z podwórza liceum wejście za garażem?

*W:* Nie wiem, co bym zrobił. Ja bym musiał być tam na miejscu i obwąchać wszystko. Tam zaminowane może być. Tam przecież musi bardzo cenne coś być. Wpadł na to nasz kontrwywiad i trzymał w archiwach, żeby Ruskim nie oddać.

Muszę wam teraz powiedzieć o Szpitalu numer 2, bo to się może łączyć. W Szpitalu numer 2 był w czasie wojny podziemny szpital wojskowy. Tam była składnica „ludzkich części zamiennych”. Ten szpital mający żywych ludzi przygotowanych do operacji wykonywał transplantację organów natychmiast, gdy były potrzebne. Ten Szpital numer 2 miał połączenie z Gestapo - tam jest taka budka na powierzchni przy samej ulicy, która była wentylacją dla przekopu łączącego szpital z Gestapo. Ten podziemny szpital jest zamurowany. W głównym szpitalu miał szyb służący do transportu. Ja w tym szpitalu w latach sześćdziesiątych leżałem i nadziwić się nie mogłem, skąd takie karaluchy ciągle się biorą, skąd dwutlenek węgla w laboratoriach się pojawia. Różne takie dziwne rzeczy się działy. Kotłownia szpitala miała dwukrotną nadwyżkę mocy, bo ogrzewała dół.

No i teraz o innych wałbrzyskich sprawach. Na poziomie +300 od szybu „Maria” sztolnia do szybu „Chwalibóg”. Na poziomie +300 na szybie „Chwalibóg” była podziemna fabryka prochu. Produkcją uboczną był ten lofiks<sup>10</sup>, co jeszcze po wojnie produkowali. To



było wszystko niedostępne. Nie mogłem ich sforsować nawet jako inżynier wentylacji – „Chwalibóg” był przecież szybem wentylacyjnym. Ale obok tego szybu „Chwalibóg” jest drugi szyb – równoległy do +300 – i on jest zasypany właśnie lofiksem. Tam też jest ta podziemna fabryka prochu. Ona sięga pod szpital, pod tę górkę, i wychodzi na placu Grunwaldzkim w kierunku na szyb „Maria”. Nie lekceważyłbym strażników.

I wszystko się wyjaśnia. W Wałbrzychu mamy do czynienia nie z jedną fabryką zbrojeniową w wyrobiskach kopalni, lecz z całym podziemnym kompleksem fabryk zbrojeniowych połączonych skomplikowanym, lecz wydajnym systemem komunikacyjnym zapewniającym rotację siły roboczej, dostawy materiałów i wysyłkę wyrobów gotowych. Wróćmy w takim razie do naszej analizy, która powinna już ostatecznie potwierdzić, że w podziemiach Wałbrzycha istniały fabryki produkujące dla wojska, i wskazać zalety tej lokalizacji. Na razie omówiłem, nawet dość obszernie, dwa punkty. Zabierzmy się teraz do następnych:

*Ad 3.* System kontroli załogi i jej izolacji od otoczenia był w podziemnym zakładzie doprowadzony do perfekcji. Gwarantowały to podziemne korytarze łączące go z budynkami Gestapo oraz użycie jako siły roboczej więźniów obozów koncentracyjnych i jeńców. Do pilnowanych kolumn więźniów nikt oprócz strażników nie podchodził, a dodatkowo jakikolwiek kontakt bardzo często utrudniała bariera językowa. Nikogo nie mogły również dziwić ciężarówki wiozące więźniów i niewielkie podobozy robocze w pobliżu kopalń. Wszyscy Niemcy wiedzieli, że „podludzie” w pasiakach wydobywają węgiel na potrzeby walczącej Rzeszy.

*Ad 4.* W latach czterdziestych dwudziestego wieku dla ochrony kontrwywiadowczej podziemnego zakładu rozpoznanie powietrzne przeciwnika rzecz jasna nie było żadnym problemem. Aparaty fotograficzne nie mogłyby zarejestrować nic więcej oprócz zwykłego w tym miejscu skupiska górniczych szybów. Nie mogłyby tym bardziej, że samoloty zwiadowcze nigdy nie zapuszczały się nad ten teren. Ogromny ośrodek przemysłowy tuż obok, w Górach Sowich, największa budowa podziemnych obiektów w Rzeszy, a aliancki wywiad „zapomina” o całym tym regionie. Przypadek? Wolne żarty.

*Ad 5.* Poczucie zagrożenia ewentualnego intruza. Ktoś pragnący rozejrzeć się po tajnej fabryce musiałby się zagłębić w ściśle strzeżone podziemia kopalni. Samo to już może wzbudzić obawę. W takich zakładach pracowano na zmiany przez okrągłą dobę. Wszędzie straż, przepustki, ciągły ruch. Możliwości ucieczki w razie dekonspiracji praktycznie żadne. Intruz w podziemnej fabryce - to wykluczone.

Rozmowy ze świadkami i analizy dotyczące podziemnej infrastruktury Wałbrzycha

wybudowanej przez Niemców przed i w czasie drugiej wojny światowej pozwalają zadać dwa zasadnicze pytania:

Czy Niemcy przystosowali część chodników kopalnianych w Kotlinie Wałbrzyskiej do przeniesienia tam fabryk zbrojeniowych i czy rozpoczęli tam produkcję?

Tak.

Czy w części zaadaptowanych podziemi niemieccy naukowcy prowadzili badania nad najnowocześniejszymi technologiami wojskowymi?

Tak.

Pora więc ostatecznie, najdokładniej jak to możliwe, odpowiedzieć na najważniejsze pytanie:

Czy Niemcy prowadzili w podziemiach Wałbrzycha badania nad bronią atomową, a jeśli tak, to czy można ustalić, gdzie to robili?

Nie pozostaje mi nic innego, jak starać się na to pytanie odpowiedzieć.

---

1

Kowalski, Kudelski, Rekuć, *Tajemnica Riese...*, s. 190.

2

Mariusz Aniszewski, Piotr Zagórski (foto), *Podziemny świat Gór Sowich*, Wydawnictwo Technol, Kraków 2006, s. 249-258.

3

<http://orie.se.webpark.pl/rudiger.htm>

4

Komentarz Zbigniewa Daleczki do artykułu Stanisława Michalika *Legenda o kwaterze Hitlera w Górach Sowich*, cz. 2 – <http://www.twoje-sudety.pl/index.php?action=show&type=news&id=6869>, 16 stycznia 2008.

5

Wywiad autora z dr. Jerzym Kosmatym, b. dyrektorem kopalni „Thorez” („Julia”) w Wałbrzychu.

6

<http://wroclaw.hydral.com.pl/test.php?obiekt=4517>

7

Lisią Sztolnię w Wałbrzychu wybudowano w latach 1791-1974 w celu grawitacyjnego odwodnienia złoża węgla oraz wodnego transportu urobku na powierzchnię. Wylot jej wybito na wysokości 410 m n.p.m. od wschodniej strony Lisiego Wzgórza. Długa na 1600 m, prowadziła do 17 pokładów węgla. W połowie XIX wieku uznano jednak, że transport wodny jest mało wydajny, i w 1854 r. spuszczone wodę ze sztolni, a na spągu ułożono tory dla trakcji konnej. W 1867 r. przestano używać sztolni do przewożenia węgla. W 1961 r. ta pierwsza w europejskim górnictwie węglowym spławna sztolnia wpisana została do rejestru zabytków. W latach 2000—2002 została udroźniona i odbudowana, ale do dziś nie

udało się jej udostępnić turystom.

8

Popularna nazwa jednej z dzielnic Wałbrzycha.

9

Odgązienie żyły lub ciała magmowego (intruzji magmowej).

10

Podpałka do palenisk węglowych produkowana z miazgi lub pyłu węglowego z dodatkiem naftalenu.

# „Rüdiger” i Ridiger

Jakoś nic mi się nie zgadzało z tym tajemniczym obiektem o kryptonimie „Rüdiger”. Atomowe laboratorium doświadczalne w środku podmiejskich fabryk zbrojeniowych? Tylko idiota mógłby zdecydować się na takie rozwiązanie. Niemieckich fizyków i budowniczych trudno podejrzewać o brak fachowości, a tym bardziej rozsądku. Ewolucję nazistowskich budowli przeznaczonych dla instalacji atomowych łatwo prześledzić, odwiedzając je wedle czasu ich powstania.

Południowo-wschodnie przedmieścia Berlina. W 1938 roku pomiędzy miejscowością, która dziś nosi nazwę Zeuthen, a inną, Wildau, leżał malutki Miersdorf. Na terenach należących do dawnej gospody turystycznej powstał tu Urząd do spraw Specjalnych Problemów Fizyki Zakładu Badawczego Niemieckiej Poczty Rzeszy —Amt für Physikalische Sonderfragen der Forschungsanstalt der Deutschen Reichspost, w skrócie APS. Tu mieściły się laboratoria, biura, hala cyklotronu i budynek wysokich napięć. Badania i doświadczenia prowadzono aż do wkroczenia Sowietów, którzy wywieźli dokumentację i urządzenia.

Bad Saarów. Małe uzdrowisko położone trzydzieści kilometrów na zachód od Frankfurtu nad Odrą. Tutaj po raz pierwszy pomyślano o kamuflażu. Ośrodek atomowy umieszczono na terenie szpitala Luftwaffe i przed nalotami chroniły go wielkie znaki Czerwonego Krzyża. Prace budowlane zaczęły się tu prawdopodobnie w 1943 roku, kiedy decyzją Heinricha Himmlera skierowano do Bad Saarów 700 więźniów obozu koncentracyjnego z przeznaczeniem do prac budowlanych<sup>1</sup>. Po wojnie cały teren był utajniony i zagospodarowany przez wojska radzieckie, toteż trudno dziś znaleźć ślady po niemieckich urządzeniach atomowych, lecz potężne konstrukcje z żelbetu są niezwykle podobne do projektu separatora elektromagnetycznego Manfreda von Ardenne. O tym, że w schronach Bad Saarów przeprowadzano próby atomowe, świadczą również częste wizyty dyrektora Urzędu Planowania Rady Nauki Rzeszy Wenera Osenberga, pięć hal zdemontowanych przez Rosjan w 1948 roku, ślady wzbogaconego uranu odkryte w wewnętrznych ścianach schronów i tablice ostrzegające przed promieniotwórczością<sup>2</sup>.

Prawdopodobnie w początkach 1944 roku zaczęto budować podziemne laboratoria atomowe w Badenii-Wirtembergii. Wykorzystano stare wyrobiska we wsi Haigerloch, leżącej na południowy zachód od Stuttgartu. Zaadaptować je było stosunkowo łatwo, bo od dawna były wykorzystywane jako dojrzewalnia win. Wybudowano tam kilka nowych budynków, linię kolejki i nowe wysoko-wydajne linie energetyczne do tajnego teraz obiektu. Ciekawe, że -w przeciwieństwie do Dolnego Śląska — alianckie wywiady wpadły

na trop owej instalacji już rok później i na wiosnę 1945 roku wykonano pierwsze zdjęcia lotnicze całej okolicy.

W 1944 roku ruszyły laboratoria w S t a d t i l m niedaleko Erfürtu. Ulokowano je w piwnicach browaru i dużym budynku szkoły średniej - w którym znalazł także miejsce Fizyczno-Techniczny Ośrodek Naukowy Rzeszy - po czym przeniesiono tam zespół badawczy z Gottow. W pobliskiej górze wznoszącej się na południowy zachód od Crawinkel urządzono podziemną fabrykę. Według radzieckich raportów miała ona dziewięć sztolni i około 200 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni.

Wyraźnie widać stałą tendencję do przenoszenia pod ziemię prób z bronią atomową. Nic dziwnego — niemieccy uczeni coraz lepiej poznawali zagrożenia, jakie niesły ze sobą badania nad nową, niszczycielską siłą. W połowie 1944 roku pękł niewłaściwie chłodzony zbiornik reaktora w Gottow oraz wybuchł reaktor w Stadtilm. No i ten plan Geilenberga - wszystko pod ziemię.

Musiałem rozpocząć poszukiwania mitycznego „Rüdigera” — jeszcze nie pod ziemią.

Zacząłem od Tomka Jurka. Nasze rozmowy telefoniczne zaczynały się zwykle od wybuchu śmiechu, gdy odzywałem się: „Cześć Tomek, Jurek mówi”. Doskonały facet. Elektronik, informatyk, który — co dla mnie najważniejsze — od wielu, wielu lat interesuje się drugowojennymi tajemnicami Wałbrzycha i okolic. Zbiera dokumenty, relacje, mapy, rozmawia z ludźmi, dociera do świadków wojennych i powojennych wydarzeń. Chodząca encyklopedia miasta z okresu, kiedy nosiło nazwę Waldenburg. Członek najstarszych, nie istniejących już stowarzyszeń eksploracyjnych badających ponemieckie tajemnice. Wystarczy, idąc z nim ulicą, zapytać: „Tomek, co tu było?”, żeby usłyszeć wykład dogłębnie wyczerpujący temat. Ridiger. Zapytałem o ten jego internetowy pseudonim zastanawiająco zbieżny z kryptonimem tak poszukiwanego przeze mnie obiektu. Zastanawiał się jak zwykle tylko przez moment — no dobrze, pora już, żeby „Rüdiger” wyszedł z cienia. No i zaczęły się pytania. Sprawdzał moje wiadomości.

Musiałem opowiedzieć o moich wątpliwościach związanych z posadowieniem badawczego centrum atomowego w bezpośrednim sąsiedztwie fabryk zbrojeniowych w podziemiach wałbrzyskich kopalń. Musiałem dodać szczegóły wywiadu z Florowem i wiele innych drobiazgów. Przyznał uczciwie, że nie znał detali, o których wspominał radziecki akademik, ale lakonicznie stwierdził, że wszystko zaczyna się zazębiać, i zapytał, gdzie moim zdaniem należało utworzyć takie atomowe centrum badawcze, jeśli miałyby działać w Wałbrzychu. Co za idiotyczne pytanie. Przecież zadawałem je sobie od dłuższego już czasu. Pytałem, pytałem i nic. Zmusił mnie jednak do wyciągnięcia wniosków z

dotychczasowych przemyśleń. Podsumowałem:

1. Laboratoria powinny być pod ziemią w bezpiecznej odległości od fabryk produkujących dla wojska.
2. Ponieważ szybko zbudowano ich pomieszczenia, z pewnością są to zaadaptowane korytarze dawnej kopalni, których w Wałbrzychu nie brakuje.
3. Taki ośrodek badawczy powinien być połączony z budynkami służb bezpieczeństwa.
4. Ośrodek ten musiał mieć porządną sieć komunikacyjną umożliwiającą dostawy materiałów i urządzeń oraz swobodne przemieszczanie się naukowców, techników i obsługi uprawnionej do kwaterowania poza laboratoriami.
5. Centrum badawcze musiało mieć dostęp do gigantycznych jak na owe czasy zasobów energii elektrycznej.
6. Z wielu względów powinno było mieć doskonały system łączności.
7. Naukowcy w białych fartuchach na pewno nie chcieliby pracować w stałej dla takich podziemi temperaturze około ośmiu stopni Celsjusza, laboratoria musiałyby zatem być wyposażone w system ogrzewania stosowny do wielkości pomieszczeń.
8. Czasami do tajnego ośrodka muszą przybyć goście, którzy nie powinni znać jego położenia, należało więc tak urządzić dojazd, by gwarantowało to zachowanie tajemnicy.
9. I rzecz pozornie nieistotna, lecz mająca wielkie znaczenie dla wydajności naukowców i techników, od których wymaga się maksymalnego wysiłku. Mózg nie może pracować okrągłą dobę przez cały tydzień. Jego właściciel musi czasem odsapnąć, pójść do restauracji, popatrzeć na przechodniów, porozmawiać z ludźmi nie związanymi z jego pracą, a jeśli jest Niemcem, to koniecznie musi usiąść w piwiarni i z innymi piwoszami chóralnie zaśpiewać nad pełnym kuflem. Wniosek jest jeden: supertajny badawczy ośrodek atomowy III Rzeszy powinien się znajdować w centrum miasta. Abstrakcja, czyste szaleństwo.

To właśnie powiedziałem Tomkowi. Patrzył na mnie z dziwnym uśmiechem. Rozłożył plan Wałbrzycha. Odpowiedź na pytanie, gdzie jest miejsce spełniające wszystkie te wymagania, była już oczywista. Ze śmiechem dźgnąłem palcem w środek miasta, no i...

No i się zaczęło. Trafiłem w wałbrzyski Park Miejski imienia Jana III Sobieskiego. To było trafienie bez pudła. Potwierdził je nieco później cytowany już inżynier „Wybuchowy”, przez wiele lat zajmujący kierownicze stanowiska w wałbrzyskich kopalniach. Park ten przez dziesiątki lat był ozdobą Waldenburga i ulubionym miejscem wypoczynku jego



mieszkańców. Odwiedzany był do ostatnich dni wojny i żadna z wypoczywających tam osób nie wiedziała, że pod jej stopami prowadzone są prace budowlane, że powstają najtajniejsze laboratoria III Rzeszy i rozpoczynają pracę najbardziej doświadczeni naukowcy Niemiec.

Czy jestem pewien, że to prawda? Nie, obecnie - piszę te słowa na początku kwietnia 2010 roku — nie jestem pewien. Upewnić się co do tego mógłbym jedynie po dokładnych badaniach tego terenu i penetracji parkowych podziemi. Czy takie podziemne obiekty, wręcz systemy, o przeznaczeniu wojskowym są w samym centrum Wałbrzycha, pod Górą Parkową? Na to pytanie zdecydowanie mogę odpowiedzieć twierdząco. Tak, są i już można to udowodnić. Po wojnie w polskich archiwach znalazły się dokładne plany jednego z systemów korytarzy pod Górą Parkową. Niewątpliwie mamy do czynienia z podziemnym kompleksem w tej właśnie lokalizacji, a wskazują na to zarówno nazwy, przeznaczenie, jak i usytuowanie poszczególnych budynków. Łatwo rozpoznać szereg starych kamienic, które tak jak przed wojną mieszczą wałbrzyskie urzędy oraz instytucje użyteczności publicznej, i budynek szkolny, dziś Liceum numer 2.



Góra Parkowa na starym planie Wałbrzycha

Należy jeszcze zadać pytanie o autentyczność tych planów i przeznaczenie pokazanych na nich podziemnych korytarzy. Moim zdaniem niewątpliwie cała ta dokumentacja została wykonana przez Niemców w czasie wskazywanym na dokumentach, a więc w 1944 roku. Trudniej powiedzieć, czy ukazują one rzeczywisty stan wykonanych już korytarzy pod Górą Parkową, czy jedynie planowaną, częściowo wykończoną instalację o przeznaczeniu wojskowym. Zastanawia również to, że Niemcy pozostawili owe tajne plany na terenach zajmowanych przez nieprzyjaciół. Ten temat rozwinę za chwilę, teraz natomiast muszę zadać pytanie zasadnicze dla dalszych poszukiwań: Czy korytarze

ukazane na niemieckich planach, znanych już przecież od lat, to jest wszystko, co kryje Góra Parkowa?



Niemiecki plan kompleksu schronów w Górze Parkowej

Pamiętałem niedawną wyprawę do Lisiej Sztolni. Dostałem się do niej wejściem znajdującym się niedaleko skrzyżowania ulic Bolesława Chrobrego i Mikołaja Reja obok budynku Separatora. Rzucił się tam w oczy zamurowany korytarz prowadzący pod ulicą w kierunku budynku szpitala. Podobnie zresztą jak drugi, wiodący w stronę komendy policji. Cóż, nie wszystko musi być jawne, choć jest już kilkadziesiąt lat po wojnie. Z utajnieniem dokumentów i miejsc stykam się w swojej pracy bardzo często. Nie inaczej jest w Wałbrzychu, na styku interesów państwowych i prywatnych, polskich i obcych.

Nie dziwi mnie specjalnie zamknięcie korytarzy prowadzących w kierunku komendy. Niemcy zapewne doskonale przygotowali podziemia swego Gestapo i trudno się dziwić, że są one wykorzystywane przez wałbrzyskich policjantów. Natomiast zaskakuje zamknięcie korytarza w kierunku szpitala. Ten kierunek też jest tajny? Jeśli tak, to z jakiej przyczyny? Wprawdzie żadna z map górniczych nie pokazuje żadnego korytarza łączącego Lisią Sztolnię i sztolnię „Johannes”, ale zakres prac, które Niemcy prowadzili w „podziemnym” Wałbrzychu, znamy jedynie w niewielkiej części. Jak widać na przedwojennej mapie górniczej, sztolnia „Johannes” przechodzi **precyzyjnie pod środkiem budynku, po czym jeszcze na jego terenie** skręca zdecydowanie na południe i kieruje się na obrzeża dzisiejszego Parku Sobieskiego. Pierwszych polskich „cywilnych” penetracji Lisiej Sztolni dokonano na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Nikt

jednak ani wtedy, ani później nie dotarł i nie otworzył korytarzy prowadzących pod Górę Parkową od strony szpitala.



Przebieg sztolni „Johannes” i obiekty na Górze Parkowej

Powiem szczerze: być może nie przywiązywałbym wielkiej wagi do przebiegu tej sztolni, może umknęłaby ona mojej uwagi, gdyby nie Jurek o pseudonimie Ridiger. Dał mi starą mapę sztolni, na którą pracownicy nałożył stojące do dziś budynki.

No i się zaczęło. Nie będę teraz opowiadał, kto i kiedy przez cały okres mojego zainteresowania Wałbrzychem, a było to wiele lat, przynosił mi wieści o nie zbadanych do

dziś piwnicach wałbrzyskiego pogotowia - podobno po wojnie widziano tam wyraźne ślady zamuroowań.

Dużo się można spodziewać po budynku szpitala. Wiele osób, byłych jego powojennych pacjentów, opowiadało mi o niesłychanie trudnej do zwalczenia pladze przeróżnego robactwa pojawiającego się tam nie wiadomo skąd. Gdy kolejne dezynsekcje nie przynosiły żadnych rezultatów, przypominano sobie o tym, co opowiadali Niemcy pracujących tu przez pewien czas po wojnie. Mówili oni o jeszcze jednej, podziemnej kondygnacji szpitala, do którego nie ma dostępu, bo została zamurowana przed wkroczeniem Rosjan. Cała ta kondygnacja była niedostępna dla zwykłego personelu. Co tam się znajdowało, owi Niemcy nie wiedzieli, bo nie dostali obowiązujących tam przepustek. Podczas wojny powszechna była plotka o połączeniu tej najniższej, tajnej kondygnacji z budynkiem Gestapo, bo w szpitalu pojawiali się gestapowcy, a nie widziano, aby wchodzili na jego teren. Podobne pogłoski o tajnych wejściach do podziemi dotyczyły piwnic budynku do niedawna użytkowanego przez laboratoria wałbrzyskiego Sanepidu oraz kortów tenisowych.

W Wałbrzychu wiele się też mówi o podziemiach budynku zwanego od wieloletniego użytkownika Harcówką. Wałbrzyskanie interesujący się wojenną historią swego miasta powtarzali zasłyszane opowieści o tajemniczym szybie pod tym budynkiem, który podobno był elementem systemu wentylacyjnego podziemi Góry Parkowej. Ślady owego szybu zostały ponoć dobrze zamaskowane. Starłem się sprawdzić tę informację – rozmawiałem z dziesiątkami świadków. I nic. Żadnego potwierdzenia. Interesująca okazać się natomiast może stojąca tuż obok „Harcówki” altana.

I następne miejsce, obok którego na planie przebiega sztolnia „Johannes”: Zespół Szkół numer 2 przy ulicy Wyzwolenia. „Johannes” zbliża się tu praktycznie aż do styku z podziemnymi korytarzami znanymi z niemieckich planów. Czy oba systemy się tu łączą?

Można to sprawdzić tylko w jeden sposób. Należy dokładnie spenetrować zespół chodników określony na rysunkach jako L.S. = Stollen Capitol = Auenschule. Pierwsze próby zostały już dokonane i w części korytarza dyrekcja szkoły zamierza uruchomić izbę pamięci. Głęboka penetracja nie była możliwa ze względu na wielki zawał uniemożliwiający przejście. Zawał ten świadczy, że Niemcy chcieli ukryć kompleks pod Parkiem Sobieskiego. Nie maskuje się czegoś, co nie istnieje. Wielkie kamienie posypały się w dół, przegradzając chodnik w wyniku zaplanowanego odstrzału, a na zdjęciu widać wyraźnie otwory wywiercone pod ładunki wybuchowe.

Dokładne badania podziemnego systemu za Zespołem Szkół numer 2 poprzedzone

bezinwazyjnymi badaniami georadarowymi dadzą odpowiedź na wiele pytań. Pozwolą nie tylko poznać przeznaczenie podziemnego obiektu Capitol Auenschule, ale być może potwierdzą hipotezę świadka zwanego Wybuchowym o utworzeniu przez Niemców w latach wojny podziemnego systemu komunikacyjnego w Wałbrzychu. Zbadać trzeba również wszystkie inne „podejrzane” miejsca w Parku Sobieskiego, bo jeśli tam właśnie jest poszukiwany od lat obiekt „Rüdiger”, to muszą być także inne, zamaskowane obecnie wejścia, które służyły do transportu materiałów i personelu. Jedno z nich znajduje się również bardzo blisko budynku szkoły i właśnie tam zostaną wykonane najbliższe badania.



Od Lisiej Sztolni pod szpitalem sztolnia „Johannes” prowadzi pod Górę Parkową

Sztolnię „Johannes” należało przebadać wzdłuż całego jej przebiegu, i to za pomocą doskonałej techniki XXI wieku. Zrobiliśmy dokładną inspekcję terenu, by przygotować trasy, po których mieliśmy poprowadzić georadar, grawimetr i inne urządzenia pomiarowe, mogące wskazać przebieg podziemnych chodników na przykład po układzie wylotów wentylacyjnych. Porównywaliśmy zarazem aktualne warunki z tymi z okresu drugiej wojny światowej. W ruch szły stare mapy, zdjęcia, spisane i nagrane relacje



świadków. Wnioski okazały się bardzo interesujące. Potwierdziłszy niektóre informacje, udało nam się też odrzucić relacje będące wynikiem konfabulacji lub niezamierzonych pomyłek.

Już wiadomo, że zbędziemy musieli zbadać zbrocze aż do terenu dawnego browaru, który w czasie wojny, pomimo sporego w tym miejscu ruchu, nie uwarzył ani jednej butelki piwa. Celem jest odkrycie i przekazanie władzom Wałbrzycha dużego kompleksu podziemnego wzdłuż sztolni Johannes aż do kopalni „Hermann”. Celem drugim jest potwierdzenie, że właśnie tu radziecki uczone i tropiciel niemieckich badaczy atomowych Gieorgij Nikołajewicz Florow przywiózł z Drezna Manfreda Freiherra von Ardenne, by odnaleźć tajne laboratoria atomowe organizacji SS Ahnenerbe.

---

1

Leszek Adamczewski, *Pierwszy błysk*, Replika, Poznań 2009, s. 59.

2

Karlsch, *Atomowa bomba Hitlera...*

# Ostatnia tajemnica - zamek Książ i depozyt z Monte Cassino

Pora teraz napisać o największym, najcenniejszym i najbardziej skrywanym sekrecie zamku Książ. Wydawać by się mogło, że to, o czym za chwilę opowiem, nie mogło się wydarzyć, że związek z Polską jednego z największych depozytów w dziejach pogrążonej w mrokach wojny Europy musi być bzdurą. I jeszcze tytułowy zamek Książ wskazywany jako działający do dziś tajny magazyn dzieł sztuki -wielu zapewne uzna to za kompletny absurd. A jednak...

Aby zachować chronologię wypadków, musimy się przenieść aż na Półwysep Apeniński tuż przed tym, jak został zroszony polską krwią, w miejsce, gdzie nawet maki są do dziś najbardziej czerwone.

Jednymi z najbardziej zapobiegliwych ludzi na świecie są muzealnicy. Gdy tylko zaczyna dziać się coś, co może zagrozić ich ukochanym eksponatom, natychmiast zaczynają szukać bezpiecznych kryjówek dla starych obrazów, rzeźb, kosztowności — wszystkiego, co stanowi treść życia muzealnika. Szukają klasztorów o grubych murach, zamków, piwnic w starych, solidnych domach. Bezpieczeństwo zbiorów często jest dla nich ważniejsze niż życie własne i najbliższej rodziny.

Tak było w Polsce w 1939 roku ze skarbami Wawelu. Nie inaczej działo się we Włoszech w początkach drugiej wojny światowej. Dyrektorzy placówek muzealnych szukali odpowiednich skrytek zwanych tam *ricoveri*. Stare południowe Włochy obfitowały w miejsca wydawałoby się gwarantujące bezcennym skarbom muzealnym spokojne przetrwanie do końca wojny. Muzea z Neapolu znalazły kryjówkę w klasztorze Montevergine oraz innych miejscach w okolicach Salerno i Noli.

Powinniśmy zdać sobie sprawę, o jakich ilościach bezcennych skarbów mówimy. Przeniesiono do tajnych magazynów ponad 60 tysięcy przedmiotów, w tym około 37 tysięcy dzieł sztuki z pałacu królewskiego, muzeów i prywatnych kolekcji, a najstarsze dokumenty z Archiwów Neapolitańskich zajęły dziewięćdziesiąt potężnych skrzyń. Miejsca ukrycia wybierano bardzo dobrze, ale nie sposób przewidzieć wszystkiego, bo diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach. Cóż, skarby ukrywali muzealnicy, a nie wojskowi potrafiący przewidzieć, gdzie może dojść do najostrzejszych walk mogących zagrozić zbiorom. Ponadto uczący się dopiero nowoczesnej sztuki wojennej alianci w trudnym dla atakujących, z natury obronnym terenie wdawali się w długotrwałe walki i każde przejście do natarcia poprzedzali nawałą artyleryjską często nie pozostawiającą kamienia na

kamieniu, tym bardziej że Niemcy nie zamierzali zrezygnować z oporu.

Tak intensywne walki zagrozić mogły nawet najlepiej ukrytym zbiorom. Skarby należało przewieźć i jeszcze lepiej, dużo lepiej schować. Może w Watykanie? Przecież nawet największy barbarzyńca nie zdecyduje się zaatakować Stolicy Apostolskiej. Pomysł był świetny, ale brakowało czasu. Oddziały Kesselringa, stawiając zdecydowany opór, zaczęły się wycofywać na północ kraju i stolica Kampanii mogła zostać zajęta w każdej chwili. Wypadki na froncie toczyły się zbyt szybko i bezcennym zabytkom kultury groziło zniszczenie w wyniku bombardowania, ostrzału czy choćby pożaru lub złupie-**nie przez aliantów.**

I wtedy rozwiązanie nasunęło się samo. Klasztor Benedyktynów na Monte Cassino. Był niedaleko, około osiemdziesięciu kilometrów od Neapolu. Wielki, z ogromnymi piwnicami i ukrytymi, tajnymi pomieszczeniami. Szybko podjęto decyzję. Najważniejsze, najcenniejsze eksponaty zapakowano do 187 potężnych skrzyń i przewieziono do nowej kryjówki, kryjąc się przed alianckimi samolotami. W klasztorze ukryto między innymi bezcenne archiwalia, dzieła sztuki ewakuowane z Neapolu - potężna kolekcja malarstwa, około 70 tysięcy starych ksiąg i zbiorów monet z muzeum w Syrakuzach. Mogłoby się wydawać, że podziemiach benedyktynów skarby będą bezpieczne.

Nad klasztorem zaczęły się jednak zbierać czarne chmury. Alianci, czego należało się spodziewać, podjęli decyzję o ataku w kierunku Rzymu. Dowódca amerykańskiej 5. armii, generał Mark W. Clark, został zatrzymany na pasie niemieckiej obrony, tak zwanej linii Gustawa, ciągnącym się od Ortony nad Adriatykiem przez Monte Cassino do Minturno nad morzem Tyrreńskim. W tym miejscu Półwysep Apeniński jest najwęższy, a sieć dróg wiodących z południa na północ — bardzo skąpa. Apeniny zajmują tu znaczną część szerokości półwyspu, równinne są tylko wąskie, łatwe do zamknięcia przejścia wzdłuż wybrzeży morskich. Jedyne dolina rzeki Liri, leżąca między dwoma kompleksami górskimi - na południu Monti Aurunci i na północy Monte Cassino - miała warunki komunikacyjne i terenowe pozwalające na użycie broni pancernej i artylerii.

Klasztor na Monte Cassino wydawał się jednak całkowicie bezpieczny - z trzech powodów. Jeszcze w czerwcu 1943 roku generał Dwight Eisenhower rozkazał, żeby bezwzględnie oszczędzać włoskie zabytki. Klasztor zamierzali chronić także dwaj Niemcy na najwyższych stanowiskach dowódczych. Pierwszym był generał Ferdinand von Senger, dowódca XIV Korpusu Pancernego trzymającego masyw Monte Cassino. Blisko związany z benedyktynami Senger, żarliwy katolik, wiedział, że być może będzie musiał podjąć decyzje, które doprowadzą do zniszczenia klasztoru, czemu za wszelką cenę starał się zapobiec. Drugim był dowódca obejmującego Włochy obszaru „SudWest”, feldmarszałek

Albert Kesselring. Ten katolik z Bawarii również chciał uchronić wspaniałą budowlę przed zniszczeniem i zabronił obsadzić ją wojskiem.

A oto kalendarium kolejnych wydarzeń:

*Wrzesień 1943.* Miejscowość Cassino przeszła pierwsze bombardowania, które spowodowały śmierć wielu cywilów i ruinę domostw.

*3 października 1943 roku.* Lekarz 1. Dywizji Pancerno-Spadochronowej *Hermann Göring*, doktor Max Becker, z własnej inicjatywy wybrał się drogą z Neapolu do Rzymu, aby ocalić skarby zgromadzone w klasztorze na Monte Cassino. Doktor Becker, znając położenie wojsk na froncie i taktykę aliantów, zdawał sobie sprawę, jaka groźba zawisła nad klasztorem. Alianckie wojska zajęły już Neapol i kierowały się ku Rzymowi. Mogły przejść tylko jedną drogą — przez góry środkowej Italii, starożytną Via Casilina. Kluczem do jej opanowania był potężny masyw górski, na którym stał klasztor Benedyktynów. Jego siedemdziesięcioletni opat Gregorio IV Diamare, zarządzający tu już od 24 lipca 1909 roku, początkowo nie zgodził się na wywiezienie skarbów z uwagi na brak decyzji ich właściciela - rządu włoskiego — i środków transportu.

*14–16 października 1943 roku.* Doktor Max Becker wrócił na Monte Cassino i opat zmienił zdanie — zgodził się na wywiezienie skarbów z klasztoru. Uchodźcy z okolicznych terenów, którzy się w nim schronili, pomogli zbijać skrzynie i pakować zbiory. Beckerowi towarzyszył podpułkownik Julius Schlegel z dywizji *Hermann Göring*, dzięki któremu przydzielono im trzy ciężarówki do przewożenia zbiorów z Monte Cassino.

*18 października-6 listopada 1943 roku.* Archiwum i dzieła sztuki wywieziono do Villa Colle-Ferreto pod Spoleto, do magazynów 1. Dywizji Pancerno-Spadochronowej *Hermann Göring*. Łącznie przetransportowano zawartość 127 ciężarówek.

*25 października 1943 roku.* Sztab Clarka otrzymał pierwszy rozkaz, by chronić klasztor, jeśli to tylko będzie możliwe.

*4 listopada 1943 roku.* Generał Eisenhower przekazał identyczny rozkaz generałowi Alexandrowi, przełożonemu Clarka.

*Koniec listopada 1943 roku.* Archiwum z Monte Cassino zostało rozdzielone. Niewielką część zbiorów przeznaczono do zwrotu. Większość, łącznie ze zbiorami z muzeów Neapolu i Syrakuz, została przesłana koleją do magazynów kwatery głównej dywizji *Hermann Göring* w Reineckersdorfie pod Berlinem. Tu zbiory zostały przekazane Göringowi, który przewiózł je do swojej rezydencji Carin-hall. Był to prezent na przypadające 12 stycznia urodziny marszałka. W tym czasie we Włoszech opat Diamare podjął różne działania, by ratować klasztor, w wyniku których papież Pius Xii poprosił Niemców, żeby nie obsadzali

klasztoru, a alianców o zaniechanie bombardowań i ostrzału artyleryjskiego. Obie strony w pełni przychyliły się do jego prośby. Niemcy co prawda nieśmiało próbowali założyć w klasztorze stanowiska obserwacyjne, ale Diamare temu zapobiegł.

*8 grudnia 1943 roku.* Do Watykanu przekazano część — 14 ciężarówek - archiwum klasztoru (bez najcenniejszych starodruków i okazów muzealnych). Niemcy zorganizowali z tej okazji akcję propagandową. Zdjęcia transportu wykonano pod Koloseum i Zamkiem Świętego Anioła. Rozładowano około 400 skrzynek zawierających nie tylko zbiory z Monte Cassino, lecz także inne dzieła sztuki.

*11 grudnia 1943 roku.* Kesselring zakomunikował Sengerowi, że przyrzeczono Kościołowi katolickiemu, iż wojska niemieckie nie zajmą klasztoru, a sam budynek będzie oszczędzony.

*5 stycznia 1944 roku.* Niemieckie dowództwo poinformowało opata Diamare, że likwiduje utrzymywaną dotychczas trzystumetrową „strefę zdemilitaryzowaną” wokół klasztoru, ale niemieccy żołnierze nie przekroczą klasztornych murów.

*11 stycznia 1944 roku.* W klasztor trafił pierwszy aliancki pocisk artyleryjski.

*15 lutego 1944 roku.* 144 bombowców B-17 („latających fortec”) i 86 średnich bombowców z 2. Grupy Bombowej dokonało nalotu na klasztor Monte Cassino. Podczas drugiej wojny światowej nigdy wcześniej, ani nigdy później, nie przeprowadzono równie intensywnego nalotu na tak mały obiekt. Bombowce nadlatywały nad Monte Cassino w ośmiu falach, a po ich ataku w dzienniku bojowym Sztabu Wsparcia Lotniczego Wojsk Lądowych zapisano: „Ta średniowieczna budowla została wypalona i obrócona w ruinę”.



*Klasztor na polskiej mapie czasu wojny*

*Lipiec 1944 roku.* Z ukrycia na zamku Książ wywożone są do Krzeszowa zbiory Pruskiej Biblioteki Państwowej.

*Styczeń/luty 1945 roku.* Goring postanowił, że skarby otrzymane z Włoch ukryje na Dolnym Śląsku. Większość depozytu z Monte Cassino, w tym zbiory watykańskie i eksponaty z Syrakuz, przewieziono pociągiem specjalnym do Wałbrzycha i złożono w dawnej kryjówce Biblioteki Śląskiej na zamku Książ. W czasie ewakuacji eksponatów na osobistą prośbę Göringa podejść do Carinhall ostro broniło przed Sowietami zgrupowanie pod dowództwem ObersturmbannFührera SS Ottona Skorzenego.

*Luty/marzec 1945 roku.* Goring przesłał część zbiorów z Monte Cassino do kopalni Alt Aussee w okręgu Salzkammergut. Kopalnia zapewniła eksponatom doskonale warunki przechowywania. Transport przez dwa tygodnie stał w wiosce St. Aghata, czekając na przerwę w opadach śniegu. Plany wysadzenia kopalni nie zostały zrealizowane i zbiory odnaleźli później Amerykanie.

*20 kwietnia 1945 roku.* Opróżniona z dzieł sztuki rezydencja Carinhall została wysadzona przez Niemców.

*Okolo 25 kwietnia 1945 roku.* Niemcy wzmacniali część murów zamku Książ. Według relacji świadka<sup>1</sup> prawdopodobnie dobrze wtedy zamaskowali kryjówkę.



8 maja 1945 roku. Rosjanie zajęli zamek Książ i stacjonowali tu ponad rok. Dużo stąd wywieźli, na przykład w archiwach Federacji Rosyjskiej jest cytowana już notatka generała Andrieja Okorokowa, szefa Zarządu Politycznego Północnej Grupy Wojsk, skierowana do Georgija Aleksandrowa, który kierował aparatem propagandy i agitacji. Notatka ta brzmiała: „Na terenie, na którym stacjonowała 65- Armia, w zamku Fürstenstein koło Waldenburga, została odkryta biblioteka licząca około 65 tysięcy tomów, w tym znaleziono wiele książek z XVI i XVII wieku, które uchodzą za bardzo rzadkie i cenne. Poza tym biblioteka zawiera wyjątkowy zbiór rękopisów. Proszę was o wskazówki, co zrobić z tym zbiorem”. Aleksandrów nakazał ewakuację (czytaj: wywiezienie do ZSRR) całej biblioteki. O archiwum Monte Cassino i zbiorach z Neapolu i Syrakuz nie ma żadnej informacji (skrzynie były oznakowane), należy więc domniemywać, że Sowieci nie odnaleźli skrytki Göringa. Domniemania te graniczą z pewnością, bo Rosjanie nie wywieźli wszystkiego, a więc nie przeszukali dokładnie zamku. Wiadomo, że część zbiorów z Biblioteki Hochbergów po wojnie była jeszcze na miejscu. W raporcie do Ministerstwa Kultury i Sztuki w Warszawie Stefan Styczyński, delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki, pisał: „pewna ilość muzyka-liów XVIII i XIX w. (pojemność 1/2 m<sup>3</sup>), jaką odnalazłem, i nieliczne wyroby artystyczne pozostały na miejscu pod opieką posterunku”. Roman Aftanazy zanotował: „Wiadomość od JM Rektora dnia 29 sierpnia 1946 r. o godz. 2.30 po poł. Zamek Fürstenstein k/Wałbrzycha, część biblioteki spalona, część szabrują”.

O tym, co pozostało z biblioteki po wojnie, pisał doktor Jan Ter-laga w raporcie z 12 października 1946 roku dla profesora doktora Antoniego Knota: „zabraliśmy trochę resztek z wywiezionej biblioteki w Fürstenstein i wróciliśmy do Wrocławia”. Zbiór nut wraz z resztkami świeczników odwiózł do województwa pan Styczyński, a reszta przeszła do biblioteki uniwersyteckiej, w tym siódmy tom *DenkmaLer aus Agypten und Athiopien* Lepsius do instytutu orientalistycznego.

Magister Renata Starkowa i magister Jerzy Łanowski, którzy również byli 10 października 1946 roku w Książu, pisali: zabraliśmy ze szczątków wywiezionej biblioteki trzy skrzynie książek i broszur przeważnie XVII i XVIII wiecznych druków śląskich. Towarzyszący nam urzędnik z delegatury Ministerstwa Kultury i Sztuki Styczyński - zabrał stamtąd trzy skrzynie nut i rękopisów muzycznych, kilka książek i wydawnictw z dziedziny sztuki (sztychy), trzy świeczniki (pajaki) brązowe i 2 świeczniki hinduskie. Skrzynie zabrane przez nas odstawiliśmy do Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, przedmioty zabrane przez p. Styczyńskiego złożono w gmachu województwa we Wrocławiu. Jednocześnie donosimy, że na zamku Fürstenstein znajduje się jeszcze

archiwum gospodarcze zamku i rodzinne ksiąŜąt — zagroŜone zniszczeniem przez rozrzucenie i brak konserwacji. Na przeniesienie tych archiwów trzeba by 5–6 samochodów cięŜarowych.

Stefan Styczyński podaje w protokole, Ŝe:

11 paŝdziernika 1946 r. z zamku Fürstenstein powiatu Wałbrzyskiego przekazane zostały do dyspozycji Ministerstwa Kultury i Sztuki następujące przedmioty:

1. 2 skrzynie nut
2. 1 skrzynia z ksiąŜkami i fragmentami sztychów
3. 3 pająki branzowe<sup>2</sup> (Ŝwieczniki) zdekompletowane
4. 2 Ŝwieczniki hinduskie kute w blasze branzowej<sup>3</sup>

Rzeczy powyŝsze przewiezione zostały do składnicy w Gmachu Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu (Wydział Kultury i Sztuki).

Przyjął: Stefan Styczyński Przekazał: Forba Wawrzyniec

A co pisze Stefan Styczyński o innych zbiorach? W załączniku do raportu z 20 sierpnia 1946 roku podaje, Ŝe Sowieci podczas swojego trzynasto miesięcznego pobytu w zamku wywozili meble, obrazy, dywany, rzeźby itp.

W styczniu 1946 r. były tam jeszcze gobeliny, dywany, obrazy, a po wyjeździe komisji, złożonej z wyŝszych oficerów radzieckich, z kwatery marsz. Rokossowskiego rozpoczął się zorganizowany wywóz na wielką skalę, który w lutym objął bibliotekę, w marcu i kwietniu resztę ruchomości. W maju w barbarzyński sposób zniszczono resztę pozostałych ruchomości: dokładnie połamano wszelkie meble, powyrąbowa-no drzwi, okna, powyrywano tu i ówdzie parkiety, wszystkie boazerie, zniszczono malowidła Ŝienne, tak Ŝe wewnątrz kompletnie spustoszone przedstawiają obraz całkowitej ruiny.

Wniosek: Sowieci nie przeszukali dokładnie zamku - depozyt z Monte Cassino ocalał.

*Marzec 1947 roku.* Na ślad archiwum wpadł delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki Stefan Styczyński. Warunki pogodowe uniemoŝliwiły wydobywanie archiwum, o czym mówią dokumenty z 1947 roku<sup>4</sup>.

Czy my, Polacy, zaczniemy szukać depozytu z Monte Cassino, czy teŝ będziemy czekać, aŝ stopniowo wywozą go osoby nieuprawnione, tak jak wiele innych skarbów ukrywanych podczas drugiej wojny Ŝwiatowej na dzisiejszym terytorium Polski? Wydobywanie tych zbiorów i bezwarunkowe oddanie ich prawowitym właścicielom bardzo wzmocniłoby prawną, polityczną i moralną pozycję międzynarodową Polski w trwających od lat negocjacjach, w których bezskutecznie domagamy się zwrotu zagrabionych przez

Niemców i Sowieców dóbr kulturalnych stanowiących nasze dziedzictwo narodowe. Warto przypomnieć, że na przykład Rosja, jako prawnomiędzynarodowy sukcesor Związku Radzieckiego, do tej pory nie wywiązała się w pełni z postanowień traktatu ryskiego z 1921 roku, zobowiązujących ją do zwrotu polskich dóbr kulturalnych, a ujmując rzecz precyzyjniej – wywiązała się w niewielkiej mierze.

Na zakończenie tego rozdziału powinniśmy wrócić do klasztoru, który stał się w historii polskiego oręża symbolem waleczności i gotowości do najwyższych poświęceń. Cofnijmy zatem maszynę czasu, by znaleźć się na Monte Cassino przed 15 lutego 1944 roku, kiedy „ta średniowieczna budowla została wypalona i obrócona w ruinę”.

W styczniu 1944 roku amerykańska 5. Armia atakowała nieskutecznie Linie Gustawa, ponosząc wielkie straty. 25 stycznia jej dowódca, generał Mark Wayne Clark, zdecydował się na coś, czego dotychczas unikał – frontalny atak na masyw Monte Cassino. Amerykanie mieli naprzeciw siebie doskonale wyszkolony i uzbrojony XIV Korpus Pancerny generała porucznika Fridolina von Senger und Etterlin. Oprócz doborowych jednostek niemieckich wielką przeszkodą był górzysty teren najeżony zasiekami, zabezpieczony polami minowymi na łatwiejszych podejściach oraz świetnie usytuowanymi żelbetowymi bunkrami o wzajemnie się ubezpieczających, szerokich polach ostrzału. Trudne zadanie ataku Clark powierzył 34. Dywizji Piechoty generała majora Charlesa Rydera. Dywizja ta była wprawdzie najbardziej wypoczęta z całej armii, lecz nie miała doświadczenia bojowego. Aby ją nieco odciążyć, na prawym skrzydle zaatakować miał Francuski Korpus Ekspedycyjny dowodzony przez generała Alphonsea Juina. Od tej chwili walka przerodziła się w koszmar stawiający przed żołnierzami zadania przekraczające ludzkie możliwości. Nie mogła tu pomóc niezwykle waleczna postawa Francuzów. Wojsko nie wytrzymało bezustannego taplania się w błocie, przejmującego nocnego chłodu i nieprzerwanej nawały ogniowej. Do 11 lutego praktycznie nie osiągnięto żadnych znaczących sukcesów.

L. dz. 51/47

S P R A W O Z D A N I E

copy 5

z akcji zabezpieczenia zabytków ruchomych za miesiąc marzec  
1947 r.

Złe warunki klimatyczne całkowicie uniemożliwiły prace w terenie w miesiącu lutym. Dopiero dnia 6 marca korzystając z polepszenia warunków terenowych miałem możność dokonania wyjazdu na teren powiatu Wałbrzyskiego.

W związku ze sprawą karna Dr. Karola Orlicza rozpocząłem przejmowanie z Obwodowego Urzędu Likwidacyjnego na powiat Wałbrzych w Wałbrzychu rzeczy, złożonych tam od 1 stycznia 1946 r. jako depozyt sprawy. Spis przedmiotów, stanowiących zainteresowanie dla Ministerstwa Kultury i Sztuki, przesyłałem do Naczelnej Dyrekcji Muzeów wraz z pismem moim L. dz. 40/47 z dnia 15. III. 1947 r.

Przegląd rzeczy z głównej sprawy Dr. Orlicza wykazał wielką prasę głosów prasy miejscowej i krajowej, która szeregiem miesięcy wybrzmiała materialną wartość zbiorów, zawierających rzekomo "bezczesne ikony, wysadzone brylantami". Analiza i opinia biegłego jubilerstwa nie potwierdziła tych zmyślonych wywodów prasowych, wartość artystyczna natomiast, przytłoczona wieloma okazami dość banalnymi, może w pełni wystąpić po naukowym opracowaniu i zestawieniu.

Czynność formalnego przejęcia, jak już to donosiłem, została przeprowadzona na życzenie Prokuratury w Jeleniej Górze, dokąd zbiory przewieziono, a skąd zapewne ostatecznie zostaną przekazane do <sup>innych</sup> rąk. Jeśli termin przejęcia ich nie będzie zbyt opóźniony, kolekcja ta włączona zostanie do transportu kolejowego, który jest w przygotowaniu dla Muzeum Narodowego w Warszawie.

Również w Wałbrzychu, kierując się informacjami pracowników miejscowego muzeum, dokonałem zabezpieczenia i spisu kolekcji. po zbieraczu niemieckim, znajdująca się w mieszkaniu prywatnym Ob. Jankowskich przy ul. Armii Czerwonej 66/6. Spis objął 76 pozycji mebli i obrazów, oraz ceramiki, stanowiącej zresztą przeszło połowę liczby okazów. Rzeczy te w znacznej części mają charakter lokalny i dlatego nie ma potrzeby przewożenia ich do składnicy w Paulinim. Poleciłem je, jako depozyt Naczelnej Dyrekcji Muzeów przejąć do Muzeum w Wałbrzychu, co Muzeum dokonać ma własnymi środkami transportowymi.

Przy sposobności pobytu w Muzeum Wałbrzyskim zainteresowałem się spoczywającymi tu od roku skrzyniami, które, jak się okazało, zawierały 42 rany od obrazów pochodzących ze zbiorów państwowych z Wałbrzycha. Sprawy te przesyłałem do wiadomości Naczelnej Dyrekcji Muzeów pismem L. dz. 36/47 z dnia 12. III 1947 r.

Według poufnych wiadomości, zaczerpniętych od Niemca Krieckiego, zamie-  
kalego obecnie w Bożej Gorze, a przed laty sprawującego obowiązki archi-  
wariusza na zamku Fürstenstein kło Swiebodzie, do zamku tego w r.1943  
Niemcy przywiezli archiwum z Monte Casino. Podobna informacja z niezna-  
nego mi bliżej źródła posiada również i Administracja Apostolska, oraz  
Dyrekcja Archiwum Państwowego we Wrocławiu. Zgodność tych poglądów, o-  
daje prawdopodobieństwo, poparte twierdzeniami naukowca i specjalisty  
którym jest informujący mnie Niemiec Kriecke, nakazuje poważnie wzięci  
tego zagadnienia pod uwagę. Szerokie innych szczegółów orientacyjnych,  
oraz uwagi, jakie wypowiedziałem na temat sytuacji zamku Fürstenstein  
w sprawozdaniu swym z daty 20 sierpnia 46r., pozwalają przyjąć hipotezę  
tajnym przechowaniu archiwum Monte Cassino w Fürstensteinie.

Dla konfrontacji szczegółów i zebranych wiadomości w dniu 8 marca  
przybyłem do Fürstensteinu z udziałem Niemca informatora, ref. Kult.  
i Sztuki w Wałbrzychu, oraz kilku gorników, których zadaniem miało być  
otworzenie muru we wskazanym miejscu.

Olbrzymie zaspy śnieżne -- wjejsu całkowicie uniemożliwiły jak-  
kolwiek poczynania. Sprawa nie została rozwikłana, autopsja umocniła  
mnie jedynie w poważnym traktowaniu zagadnienia na przyszłość, gdy nie  
będzie przeszkód naturalnych dla wszczęcia ponownych poszukiwań.

Nakoniec podkreślam, że fantastyczne nieraz w swej treści inform-  
acje o ukrytych rzeczach wszelkiego pochodzenia, zwłaszcza z zakresu  
bytków ruchomych, przyjmuje ostrożnie do wiadomości, ale jednocześnie  
nie lekceważę ich prawdopodobieństwa. W tej dziedzinie muszę się liczyć  
z niespodziewanymi możliwościami.

14  
STEFAN STYCZYŃSKI

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Sprawozdanie Stefana Styczyńskiego

Ta niezwykle trudna sytuacja zmusiła zwierzchnika Clarka, generała Harolda Alexandra, głównodowodzącego sił sojuszniczych we Włoszech, do złuzowania Amerykanów i wprowadzenia na ich miejsce brytyjskiej rezerwowej grupy armijnej, której trzonem był nowozelandzki korpus generała porucznika Bernarda Freyberga.

Składał się on z 2. Dywizji nowozelandzkiej, 4. hinduskiej i 78. brytyjskiej. Od tego momentu rozpoczynają się wydarzenia stanowiące wielką, a stosunkowo mało znaną tajemnicę ostatniej wojny. Wielką, bo jej rezultatem jest śmierć tysięcy ludzi, w tym 924 poległych, 2930 rannych i 345 zaginionych żołnierzy polskich. Tą tajemnicą jest bombardowanie klasztoru Monre Cassino, a bohaterem Nowozelandczyk generał porucznik Bernard Freyberg. Historia i historycy mówią o nim różnie. Jedni uważają go za zdolnego, pełnego inwencji oficera, inni winią go za śmierć tysięcy podwładnych i odmawiają talentu dowódcy i odwagi. U źródła sporu leży to, że właśnie Freyberg podobno domagał się zbombardowania klasztoru przed atakiem, jakoby niesłusznie przypuszczając, że w jego wyniosłych murach kryją się niemieccy obserwatorzy artyleryjscy.

Efekt żądań nowozelandzkiego generała jest znany — klasztor zamienił się w stertę gruzów. Czy jednak taki właśnie był cel Nowozelandczyka? Niektóre źródła mówią, że generał prosił jedynie o wsparcie trzydziestu sześciu samolotów myśliwsko-bombowych. Taka prośba świadczyć może o zamiarze punktowego niszczenia pozycji obronnych nieprzyjaciela — schronów bojowych, ukrytych pozycji obserwacyjnych i stanowisk artyleryjskich. Takie działanie byłoby w pełni zgodne ze sztuką wojenną i sytuacją w dolinie Li-ri. Jak wiemy, 15 lutego klasztor zaatakowały 144 „latające fortece” i 86 bombowców średnich.

Kto wydał taki rozkaz? Kto doprowadził do furii generała Sengera, który widząc bombardowanie, wykrzyczał do swego adiutanta: „Idioci! Mimo wszystko zrobili to! Wszystkie nasze wysiłki poszły na marne!”? Jaki był cel nalotu na klasztor, jeśli jedynym jego wynikiem był meldunek o zbombardowaniu go, który dotarł do sztabu Kesselringa? Jaki był powód, skoro dowódca niemieckiej 10. armii na telefoniczne zapytanie z tego sztabu, „Czy z militarne punktu widzenia jakoś nam to zaszkodziło?”, odpowiedział: „Nie, bo nas tam nie było”. Niedługo później watykański sekretarz stanu kardynał Luigi Maglione miał powiedzieć w rozmowie z amerykańskim charge d'affaires Haroldem Tittmannem, że Niemców nie było ani w klasztorze, ani w jego najbliższym sąsiedztwie. Bombardowanie nazwał „kolosalną pomyłką” i „przejawem wielkiej głupoty”. I słusznie, bo naturalną kolejną rzeczą 20 lutego 1944 roku niemieccy spadochroniarze zajęli ruiny klasztoru. Niemcy zamienili ruiny w twierdzę, z której przez trzy następne miesiące odpierali alianckie ataki.

Wiele osób wie, że generał Władysław Anders, dowódca polskiego II Korpusu, podjął się zdobycia Monte Cassino na skutek nalegań, praktycznie ultimatum, generała Oliyera Leesea, dowódcy brytyjskiej 8. armii. Dał on Andersowi dwanaście minut na udzielenie



odpowiedzi i Anders się zgodził. Decyzja ta była politycznie słuszna, ponieważ Polacy musieli wnieść swój wkład w walkę z Niemcami na każdym ważnym froncie drugiej wojny światowej. W krwawych walkach polskie dywizje poniosły ogromne straty, nie wszyscy jednak wiedzą, że gdy ostatecznie 18 maja pierwsze polskie patrole wkroczyły do klasztoru, jedynymi żołnierzami niemieckimi, których tam zastały, byli ranni komandosi w szpitalu polowym... Wszyscy zdolni do walki Niemcy wycofali się poprzedniej nocy ze wzgórza, groziło im bowiem oskrzydlenie przez jednostki alianckie posuwające się doliną Liri.

Polski wódz naczelny, generał Kazimierz Sosnkowski, już w marcu bardzo ostro skrytykował w bezpośredniej rozmowie militarny aspekt decyzji generała Andersa. Mało kto wie, że po konsultacjach z włoskim generałem Umberto Utilim, doskonałym znawcą masywu Abruzzów, którego częścią jest Monte Cassino, Sosnkowski spotkał się z francuskim generałem Juinem i zaproponował mu dokonanie podwójnego manewru oskrzydającego Monte Cassino, który zmusiłby Niemców do opuszczenia klasztoru bez walki i obustronnych strat w ludziach. Pisał o tym w swoich wspomnieniach kapitan Jacques Mordal, oficer sztabowy Juina. Następnie Sosnkowski zaproponował to generałowi Clarkowi, na piśmie, które rozkazał Andersowi przekazać Amerykaninowi. Nie wiadomo, czy Anders wykonał rozkaz... Jeden z manewrów zaproponowanych przez Sosnkowskiego odnosił się do doliny Liri...

A wojenne tajemnice Monte Cassino? Do dziś czekają na wyjaśnienie zarówno w amerykańskich archiwach, jak i w podziemiach Dolnego Śląska.

---

[1](#)

Relacja złożona w połowie 1975 roku Andrzejowi Nowickiemu przez uczestnika niemieckiej wycieczki na zamek Książ. W zbiorach autora.

[2](#)

Pisownia oryginału. Kopia protokołu w zbiorach autora.

[3](#)

Jak wyżej.

[4](#)

Kopia w zbiorach autora.

# „Strażnicy” - byli, są i będą

Gromadząc materiał do tej książki, rozmawiałem z setkami osób, w tym Polakami niemieckiego pochodzenia, którzy z różnych względów pozostali po wschodniej stronie Odry i Nysy Łużyckiej. Do wszystkich musiałem docierać przez znaną im osobę, zapowiedziany, przedstawiony jako godny zaufania. Mimo to z niektórymi nie mogłem wcale nawiązać kontaktu, bo poznawszy tematykę moich zainteresowań, natychmiast odmawiali odpowiedzi na pytania. Inni prosili, żebym nie zdradzał ich nazwisk, i z wyraźnym trudem opowiadali o zdarzeniach, których byli świadkami. Jedni i drudzy pytani, skąd te opory i obawy, odpowiadali tak samo: chcę żyć w spokoju, tu mieszkam i tu jest moje miejsce. Opowiem panu - mówili - pan napisze, a ja będę żyć w strachu, że przyjdą w nocy, a nawet za dnia, w najlepszym razie pobiją, a w gorszym... Wypadki się zdarzają... Pod samochód można wpaść... Jakiś bandyta nóż może pod zebro wsadzić... A wnuczka do szkoły sama chodzi... Nie chcę, żeby stało się jej coś złego. Nie chcę żyć w ciągłym strachu.

Gdybym takie tłumaczenie usłyszał raz czy dwa, na pewno do dziś bym uważał, że to psychoza strachu, histeria. Zetknąłem się z tym jednak może nawet ze dwadzieścia razy i zacząłem myśleć, że coś w tym jest, że zagrożenie musi być realne i namacalne, a przypadki zastraszania są zapewne częste i groźne dla wielu osób. Zacząłem wtedy pytać moich rozmówców, kim są ludzie, których trzeba się obawiać. W odpowiedzi nigdy nie usłyszałem słowa „strażnicy”.

Zawsze mówiono „oni”, „obcy” ...

Postanowiłem temat owych „obcych” poznać nieco dokładniej. Moje zainteresowanie pogłębiło to, że gdy zbierałem materiały do tej książki i zacząłem rozpytywać o wojenną historię jednej z wałbrzyskich kopalń, odebrałem kilka dziwnych telefonów. Rozmówca ostrzegał i straszył. Znał fakty z mojego życia osobistego, wiedział o wielu poczynaniach zawodowych. Niektóre jego napomknienia świadczyć mogły, że zna moją korespondencję. Długie ręce „strażników” - roześmiałem się w duchu. Rozsądek nakazywał jednak nie bagatelizować tematu. Wiedziałem, że Jerzy Cera, były wojskowy, autor książek o tajemnicach Gór Sowich, otrzymywał anonimy z pogrózkami. Wójta Głuszycy, który zamyślał otworzyć tamtejsze kompleksy podziemne dla turystów, straszono zatruciem wody pitnej w tej miejscowości. Wielu kolegów eksploratorów otrzymywało pogróżki, dochodziły mnie także wieści o pobiciach, a nawet o zabójstwach ciekawskich.

Musiałem zacząć od podstawowych pytań: Czego cennego można pilnować na terenach niegdyś należących do Niemiec, przede wszystkim na Dolnym Śląsku? Kto miałby tych

cennych rzeczy pilnować? Kto, jak i dlaczego mógłby finansować owych strażników?

Wyliczanka okazała się nad podziw długa, już gdy odpowiedziałem sobie na pierwsze pytanie:

### ***Czego cennego można tam pilnować?***

1. *Kosztowności średniozamożnych rodzin niemieckich.* Schowków z takimi domowymi skarbami musiało być po wojnie bardzo dużo. Część rdzennej ludności uciekała przed nadchodzącymi wojskami radzieckimi w głąb Niemiec, a kłopoty transportowe i obawa przed rabunkiem uniemożliwiały zabranie niejednokrotnie cennych dla rodziny przedmiotów. Zakopywane na terenie gospodarstw, w ogrodach, na cmentarzach, w miejscach specjalnie oznaczonych stanowiły tajemnicę przekazywaną z ojca na syna. Rodzinne skarby ukrywała również ludność niemiecka objęta po 1945 roku wielkim programem wysiedleń. Jeszcze w styczniu 1946 roku, mimo że wysiedlenia trwały już od sześciu miesięcy, jedynie w miastach powiatu wałbrzyskiego mieszkało 117 155 Niemców. Wysiedlanym pozwalano zabrać ze sobą jedynie dwadzieścia kilogramów bagażu bez użycia żadnych środków transportu (patrz reprodukowany plakat). Konieczność pozostawienia dorobku niejednokrotnie wielu pokoleń stwarzała nieodzowność ukrycia większości co cenniejszego majątku. Te rodzinne kosztowności zostały już w znacznej części odnalezione i wywiezione przez niemieckich właścicieli. Część jednak pozostała, bo ich dysponenci nie zdołali przekazać nikomu informacji o skrytkach. Niebezpieczeństwa ewakuacji oraz trudy wysiedlenia zwielokrotnione przez głód i epidemie na zawsze okryły tajemnicą miejsca ich ukrycia. W opowieściach właścicieli pensjonatów przyjmujących gości z zachodniej granicy przewija się jednak bardzo często obraz starszych już Niemców wychodzących z pustymi plecakami na całodzienne wycieczki w nieznanym kierunku. Gdy wracali, plecaki bywały pełne...

2. *Skarbów starych i bogatych rodów magnackich* - na przykład Zeidlitzów, Nositzów, Bruhlów, Hochbergów. W ukryciu spoczywają przedmioty o ogromnej wartości, stanowiące często wyposażenie zamków i pałaców. Co najmniej w jednym wypadku z wymienionych rezydencja przez kilka pokoleń pełniła funkcję rodzinnego muzeum, a zewidencjonowane wyposażenie nie zostało odnalezione do dziś i ani jeden z jego elementów nie pojawił się w muzeach, zbiorach prywatnych oraz aukcjach dzieł sztuki. Miejsca ukrycia są dobrze znane właścicielom ciągle mającym nadzieję na odzyskanie swej własności w wyniku luk w stale zmieniającym się polskim prawie i przemian zachodzących w zjednoczonej Europie. W większości wypadków o zwrocie ukrytych rodzinnych skarbów powinny stanowić względy moralne, szczególnie gdy chodzi o rody

stojące w opozycji wobec nazizmu, a często zasłużone dla Polski.

3. *Zbiorów muzealnych.* Niemcy ukrywali je w licznych, specjalnie przygotowanych i profesjonalnie wykonanych skrytkach. Należy sądzić, że dotychczas odnaleziono jedynie około połowy z nich. W środowisku konserwatorskim i eksploratorskim znana jest powszechnie tak zwana lista Grundmanna. Kiedy niemieckim miastom zagroziły alianckie naloty, a do granic państwa zaczęły się zbliżać radzieckie wojska, władze III Rzeszy zaczęły ukrywać zbiory muzeów, uczelni i kościołów. Kierował tym Gunther Grundmann, wspomniany już w tej książce konserwator prowincji dolnośląskiej. Otrzymał odpowiednie środki finansowe, transport i ludzi. Na jego potrzeby działała pracownia stolarska przygotowująca specjalnie zabezpieczone skrzynie przeznaczone do długotrwałego przechowywania cennych zbiorów w niejednokrotnie ciężkich warunkach. Liczba skrytek musiała być ogromna, Grundmann bowiem ukrywał nie tylko zbiory państwowe, lecz także prywatnych kolekcjonerów i wywożone z Generalnej Guberni, gdzie rabowaniem muzeów kierował specjalny pełnomocnik do spraw zabezpieczania skarbów sztuki i dóbr kultury Wilhelm Ernst Palezieux<sup>1</sup>. Również gubernator GG Hans Frank przy pomocy Grundmanna ukrywał na Dolnym Śląsku „swoje” zbiory zagrabione na podległych mu terenach. Konserwator wykorzystywał początkowo podziemia istniejących pałaców, a w późniejszym okresie również korytarze opuszczanych kopalń i jaskinie na terenie Niemiec, zewidencjonowane już w 1936 roku. Charakterystyczne, że odnaleziono prawie całą ową „jaskiniową” ewidencję. Prawie całą, bo usunięto z niej obszerny dział dotyczący Dolnego Śląska. W części „listy Grundmanna”, którą dysponujemy, odnotowano osiemdziesiąt skrytek. Spis jest niepełny, bo kończy się na czerwcu 1944 roku, a wiadomo, że akcja trwała dłużej.



# Sonderbefehl

für die deutsche Bevölkerung der Stadt Bad Salzbrunn  
einschliesslich Ortsteil Sandberg.

Paul Befehl der Polnischen Regierung wird befohlen:

1. Am 14. Juli 1945 ab 6 bis 9 Uhr wird eine Umsiedlung der deutschen Bevölkerung stattfinden.
2. Die deutsche Bevölkerung wird in das Gebiet westlich des Flusses Neiße umgesiedelt.
3. Jeder Deutsche darf höchstens 20 kg Reisegepäck mitnehmen.
4. Kein Transport (Wagen, Ochsen, Pferde, Räder usw.) wird erlaubt.
5. Das ganze lebendige und tote Inventar in unbeschädigtem Zustande bleibt als Eigentum der Polnischen Regierung.
6. Die letzte Umsiedlungsfrist läuft am 14. Juli 10 Uhr ab.
7. Nichtanführung des Befehls wird mit schärfsten Strafen verfolgt, einschliesslich Waffengebrauch.
8. Auch mit Waffengebrauch wird verhindert Sabotage u. Vandalismus.
9. Sammelplatz an der Straße Hbf. Bad Salzbrunn/Westbacher Weg in einer Marschkolonne zu 4 Personen. Spitze der Kolonne 20 Meter vor der Ortschaft Adelsbach.
10. Diejenigen Deutschen, die im Besitz der Nichtevakuierungsbeschränkungen sind, dürfen die Wohnung mit ihren Angehörigen in der Zeit von 5 bis 14 Uhr nicht verlassen.
11. Alle Wohnungen in der Stadt müssen offen bleiben, die Wohnungs- und Hauschlüssel müssen nach außen gestellt werden.

Bad Salzbrunn, 14. Juli 1945, 6 Uhr.

**Abschnittskommandant**

(-) Zinkowski

Obersturmführer



# Rozkaz specjalny

dla ludności niemieckiej miasta  
Bad Salzbrunn razem z dzielnicą Sandberg

Na podstawie rozkazu Rządu Polskiego rozkazuje:

1. 14 lipca 1945 od godz. 6 do 9 dokona się przesiedlenia ludności niemieckiej.
2. Ludność niemiecka zostanie przesiedlona na tereny na zachód od rzeki Nysy.
3. Każdemu Niemcowi wolno zabrać z sobą najwyżej 20 kg bagażu na drogę.
4. Środki transportowe (wóz, wół, koń, krowa itd.) nie są dozwolone.
5. Cały żywy i martwy inwentarz w nieuszkodzonym stanie zostaje własnością Rządu Polskiego.
6. Ostatni termin przesiedlenia dobiega końca 14 lipca o godz. 10.
7. Niedostosowanie się do tego rozkazu będzie karane najostrzejszymi karami, włącznie z zastosowaniem broni.
8. Także poprzez użycie broni będzie zapobiegane sabotażom czy plodrowaniu.
9. Placem zbiórki jest dworzec Bad Salzbrunn ul. Adelsbacher Weg, marsz w kolumnie po 4 osoby w szeregu. Początek tej kolumny marszowej 20 m przed miejscowością Adelsbach.
10. Niemcom, którzy posiadają zaświadczenia o nieewakuacji i ich rodzinom nie wolno opuszczać ich miejsca zamieszkania w czasie od godz. 5 do 14.
11. Wszystkie mieszkania w mieście muszą być otwarte, klucze do mieszkań i do domów muszą zostać włożone do zamków na zewnątrz.

Bad Salzbrunn, 14 Lipca 1945, godz. 6

**Komendant Odcinka**

(-) Zinkowski  
Podporucznik

Trafiłem na ślady dolnośląskiego konserwatora zabytków w odległym miasteczku garnizonowym Gross Born (dzisiejsze Borne Sulinowo), a Joanna Lamparska, autorka licznych książek o Dolnym Śląsku, wspomina o jego obecności w Srebrnej Górze<sup>2</sup>. Takich, dotychczas nieznanymi, miejsc, w których ukryto pod ziemią dzieła sztuki o wartości muzealnej, jest niewątpliwie jeszcze bardzo wiele. Na tym terenie zajmował się tym nie tylko Grundmann. Skrytki, niejednokrotnie bardzo wyszukane, wykonywane były również przez specjalnie wydzielone oddziały wycofujących się pod naporem Sowietów jednostek niemieckich. Często w relacjach pojawiają się żołnierze Grupy armii „Środek” Ferdinanda Schórnera ukrywający zrabowane muzealia w wysadzanych później podziemnych grotach i chodnikach starych kopalni.

4. *Depozytów bankowych i papierów wartościowych.* Pod koniec wojny banki Rzeszy oprócz swych naturalnych zasobów przyjmowały w celu zabezpieczenia kosztowności, akcje i walory pieniężne okolicznych mieszkańców, którzy otrzymywali zawsze stosowne zaświadczenie. Dwukrotnie pokazano mi takie pisma, jedno wydane przez bank wrocławski, drugie pochodziło z Jeleniej Góry. Później zasoby bankowe spakowano, wywieziono w nieznanym kierunku i ukryto. W obu wypadkach miejsce ukrycia wciąż jest nieznane.

Ile jest takich nie odnalezionych do dziś skrytek z zawartością bankowych skarbców

Rzeszy, wiedzą tylko ci, którzy kierowali ich ukrywaniem lub ich potomkowie. Trzeba też wiedzieć, że ówczesnie wydane akcje istniejących do dziś niemieckich przedsiębiorstw wciąż są ważne i niejednokrotnie mają wielką wartość. Wyobraźmy sobie niepozornego człowieka przychodzącego na zebranie rady nadzorczej znanej firmy z pękatą walizką, który oznajmia: Panie i panowie, od dziś jestem waszym szefem, mam bowiem większościowy pakiet akcji.

5. *Dokumentacji i wytworów zaawansowanych technologii wojskowych*. Długo niezmiernie interesowały one wywiady wielu państw i polskie służby specjalne. Dolny Śląsk, a szczególnie Sudety, stał się prawdziwym polem bitwy wywiadów radzieckiego, francuskiego, angielskiego, a z czasem również amerykańskiego oraz niemieckiego, walczących o nazistowskie wynalazki i wyniki badań. Pracujące na potrzeby wojska ośrodki badawcze wielu państw na całym świecie czerpały pełnymi garściami z naukowego rogu obfitości III Rzeszy.

Po latach z uwagi na naturalny postęp technologiczny spadła jednak wartość tego rodzaju skarbów. Mimo to dla niektórych wciąż mogą być cenne owoce niemieckich prac nad środkami masowego rażenia, w tym najbardziej materialne — gotowa broń. Do dziś nie znamy pełnego zakresu tych badań i produkcji ani wszystkich miejsc, w których ją prowadzono. Możliwość zlokalizowania skrytek z tego rodzaju bronią może być interesująca dla silnych organizacji terrorystycznych oraz służb państwowych prowadzących działania antyterrorystyczne. Przejawy takich działań można obecnie obserwować na kilku obszarach Dolnego Śląska.

6. *„Złota nazistów”*. Chodzi tu o wielkie środki finansowe ukryte przez jednostki wojskowe i organizacje na potrzeby członków SS i prominentów III Rzeszy, naukowców oraz badaczy, którzy mieli doprowadzić do odrodzenia się Niemiec po przegranej wojnie. Pamiętajmy, że na terenach zajmowanych przez Sowieców pozostało bardzo wielu Niemców zasłużonych dla III Rzeszy, których należało przerzucić w bezpieczne miejsca, miał tam również działać ruch oporu wykonujący wiele zadań, do których potrzebna była nie tylko broń, też zresztą składowana w tajnych schowkach. Zadania te wymagały stałego i niebagatelnego źródła finansowania.

Wieloletni bagaż doświadczeń, które zgromadziłem, świadczy o niewątpliwej obecności takich, bardzo bogatych, schowków na terenie Dolnego Śląska. Wiedzą o nich wszyscy liczący się eksploratorzy działający na tym terenie, a powody ich milczenia czy nawet podważania informacji dotyczących tych depozytów, są bardzo różne, poczynając od zwykłego, lecz przekonującego zastraszenia, skończywszy na oczekiwaniu lepszego prawa dotyczącego znalezisk, które tak jak na przykład w Wielkiej Brytanii, pozwoliłoby uzyskać



korzyści z długoletniej pracy badawczej.

Wiele lat temu zadzwonił do mnie Władysław P., osoba znana w środowisku eksploratorskim, i zadał pytanie, które wówczas nieco mnie zafrapowało: „Czy jest pan zainteresowany odnalezieniem dwóch ton hitlerowskiego złota?” Pytanie było interesujące, choć -jak uznałem - nieco zwariowane. Rozmówca nic więcej nie chciał powiedzieć przez telefon, więc umówiliśmy się w kawiarni przy ulicy Grójeckiej w Warszawie. Spotkanie miało dość dziwny przebieg. Dowiedziałem się, że pan Władysław prowadzi ze swą ekipą szeroko zakrojone badania podziemnej fabryki w górze Sobiesz w Piechowicach. Dowiedział się o tym złocie od pewnego Niemca i udało mu się potwierdzić istnienie zarówno fabryki, jak i owego skarbu. Pokazał mi wiele rysunków i planów oraz własnych notatek dotyczących niemieckiej relacji, a także kopie pism, które słał do urzędów i instytucji. Wszyscy, jak mówił, go oszukali, a na dokładkę teraz go śledzą. Na pytanie, kto go śledzi, stwierdził zirytowany: „No jak to kto? UOP oczywiście”. Rozglądał się przy tym podejrzliwie, a raz nawet wyszedł na ulicę, „żeby się rozejrzeć”, jak to określił.

Nie potraktowałem tego poważnie, zwłaszcza że pan Władysław zaproponował mi trzyprocentowy udział w zyskach za zorganizowanie potężnej wiertnicy i ochrony terenu poszukiwań. Wiem, że dalej prowadził swe prace i że ich terenem interesowała się nawet niemiecka armia. Dziś mam mieszane uczucia, bo wiele wskazuje na to, że w opowieściach pana Władysława mogło tkwić źdźbło prawdy. Jest faktem, że w 1945 roku zniknęły i nie zostały do dziś odnalezione rezerwy Banku Rzeszy szacowane mniej więcej na 6 miliardów dzisiejszych dolarów, a liczni świadkowie wspominają najścia oddziałów SS na oddziały banków w celu przejęcia zawartości skarbców.

Czy dochodziło do tego także na Dolnym Śląsku? Niewątpliwie tak, szczególnie w końcowym okresie wojny. Zarekwirowane walory niewątpliwie zostałyby ukryte na miejscu, bo przewiezienie ich do Berlina było co najmniej trudne, jeśli nie niemożliwe. Pośrednim na to dowodem stało się dla mnie odkrycie śladów doskonale zabezpieczonego „pancernego pokoju” w radomierzyckim pałacu. Jest więc jasne, że „złoto nazistów” może być jednym z wielu skarbów ukrytych przez Niemców na Dolnym Śląsku.

Pora odpowiedzieć teraz na drugie z pytań, które sobie zadałem:

### ***Kto miałby tych cennych rzeczy pilnować?***

W świetle wszystkich moich dotychczasowych doświadczeń na Dolnym Śląsku odpowiedź wydaje się prosta, lecz musi być wielowątkowa z racji różnego rodzaju schowków.

*Ad 1. Kosztowności średniozamożnych rodzin niemieckich. Pozostały nieliczne,*

wielkogabarytowe. Jeśli są dozorowane, to najczęściej raz na rok przez potomków właścicieli podczas urlopu połączonego z odwiedzaniem rodzinnych stron. Wiedzą i opowiadają o takich odwiedzinach właściciele pensjonatów przyjmujący corocznie tych samych turystów z Niemiec, najczęściej z nostalgią wspominających rodziców lub dziadków mieszkających niegdyś na terenach należących obecnie do Polski.

*Ad 2. Skarby starych i bogatych rodów magnackich* są ściśle chronione. Bogaci właściciele wnoszą stałe opłaty na konta niemieckich agencji ochroniarskich zajmujących się dozorem określonych miejsc w Polsce, co szczególnie obecnie, z uwagi na otwarte na oścież granice, nie jest wielkim problemem. Częstym zjawiskiem jest wynajmowanie zaufanych autochtonów lub ich potomków, wynagradzanych drobnymi prezentami, niewielkimi kwotami pieniędzy lub pracą w Niemczech dla kogoś z rodziny. Tacy „strażnicy” dobrze wiedzą, co się dzieje na obserwowanym terenie, i potrafią przeciwdziałać ewentualnym pracom eksploracyjnym przez zastraszenie lub nawet powiadomienie władz o nielegalnie (bo tak zwykle działają eksploratorzy) prowadzonych badaniach terenowych. Ostatnią metodę stosują najczęściej wtedy, gdy grupa eksploracyjna rozpoczyna badania metodą odkrywkową, czyli kopie w pilnowanym przez nich miejscu. Polskie prawo umożliwia natychmiastową reakcję właściciela terenu i miejscowego urzędu konserwatorskiego, co zwykle skutkuje przerwaniem badań i nałożeniem sankcji finansowych na eksploratorów i jest skutecznym ostrzeżeniem na przyszłość.

*Ad3. Zbiory muzealne.* Miejsca ich ukrycia znane są bardzo wąskiej grupie zainteresowanych. Utrudnienia w wydobyciu i późniejszym spieniężeniu zawartości doskonale zabezpieczonych skrytek powodują, że „strażnicy” sprawują nad nimi jedynie pobieżną kontrolę, tym bardziej że jeśli chodzi o dzieła sztuki ukryte w zabytkowych budowlach, z natury rzeczy „wyřeczają” ich w tym miejscowe służby konserwatorskie, policja i polskie agencje ochrony. W jakiegokolwiek z wymienionych służb lokalnych osadza się zwykle rezydenta pobierającego niewielkie wynagrodzenie, który wyjątkowo gorliwie wykonuje swoje obowiązki służbowe.

*Ad 5. Dokumentacja i wytwory zaawansowanych technologii wojskowych.* Zdobycie bezpośrednich dowodów na działanie osób pilnujących miejsc ukrycia broni masowego rażenia, jej elementów lub dokumentacji praktycznie nie jest możliwe, bo wiązałoby się z koniecznością ujawnienia miejsc ich ukrycia. Jeśli takowe istnieją, mogą ich pilnować przeróżni zainteresowani, od czekających na okazję grup przestępczych po służby bezpieczeństwa państwa zabezpieczające śmiertelne materiały. Być może również przedstawiciele wywiadów obcych państw zainteresowanych zarówno wydobyciem takiego

depozytu, jak i jego skrzętnym ukrywaniem, choćby dlatego, by nie wyszła na jaw ich powojenna współpraca z naukowcami spod znaku trupiej główki. Niby to wszystko trąci fantazją i teoriami spiskowymi o zasięgu światowym, ale przypomnę, że po ataku terrorystycznym dokonanym w 1995 roku za pomocą sarinu w tokijskim metrze (zmarło 12 osób, a ponad 3 tysiące zostały poważnie poszkodowane) pojawiły się w Polsce pogłoski, że ów gaz bojowy pochodził z podziemi ponemieckich zakładów w Brzegu Dolnym. Pogłoski te również wyglądają na fantastyczne, ale samo to, że powstały, daje do myślenia...

*Ad 4, 6. Depozyty bankowe, papiery wartościowe i „złoto nazistów”* chronione są w podobny, restrykcyjny i brutalny sposób. Przez lata zmieniał się jedynie skład osobowy „strażników”, co niewątpliwie wiąże się z przeznaczeniem ukrytych zasobów oraz ich ewentualnym wykorzystywaniem. Bezpośrednio po wojnie byli to specjalnie pozostawieni rezydenci, doskonale przygotowani do pełnienia swej funkcji, żyjący w Polsce na świetnie podrobionych dokumentach umożliwiających zawieranie związków małżeńskich, obejmowanie stanowisk w administracji państwowej i najważniejszych przedsiębiorstwach. Takich ludzi było wielu, zwłaszcza w pobliżu wielkich inwestycji militarnych III Rzeszy i innych miejsc w różny sposób związanych z pobytam wojsk niemieckich, szczególnie oddziałów SS. O jednej z tych osób napisała niedawno na internetowych stronach Onetu Lidia Kawecka:

Siedzimy w małym hoteliku w Górach Sowich. Naprzeciwko mnie Łukasz Kazek, kustosz zamku Grodno i badacz tajemnic. W okolicy zna każdy kamień. Zaczyna swoją opowieść:

-W 1989 roku zmarł jeden z mieszkańców Walimia, niejaki Wojtczak. Mieszkał tutaj od wojny, nie miał rodziny i z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. Jak ognia unikał wizyty u lekarza. Nawet gdy chorował, brał urlop i leczył się sam w domu. Pochówkiem miały zająć się władze gminy, ale ponieważ zmarły nie posiadał żadnych bliskich krewnych, jego zwłoki miały posłużyć do celów dydaktycznych dla studentów. Ciało zostało przesłane do Akademii Medycznej we Wrocławiu. Podczas oględzin okazało się, że na wewnętrznej stronie ramienia, tuż pod pachą, mężczyzna miał charakterystyczny tatuaż. Ten tatuaż nie pozostawiał wątpliwości. Wojtczak musiał być w SS. Sprawą zainteresował się polski kontrwywiad. Zarządzono przeszukanie mieszkania zmarłego. Tam funkcjonariusze odkryli zamaskowane szafą drzwi, które prowadziły do kolejnego pomieszczenia. To, co tam znaleźli, zaskoczyło wszystkich. W skrytce leżały niemieckie dokumenty z czasów wojny, mapy, zdjęcia i kompletny mundur członka SS — opowiada

Łukasz. Dopiero kilka tygodni po śmierci Wojtczaka jedna ze starszych mieszkanek Walimia przyznała się, że wiedziała, kim naprawdę był. W czasie wojny została przymusowo zatrudniona w zakładach włókienniczych w Walimiu. Opowiedziała, że służyła w miejscowej jednostce SS i już po wojnie groził jej śmiercią, gdyby przyszło jej do głowy zdradzić jego prawdziwą tożsamość.

Może bym uznał tę ciekawą historię za mało wiarygodną, gdyby nie to, że wiele lat temu poznałem pana Łukasza Kazka i mnie również ją opowiedział. Potwierdzałem wtedy w Walimiu zasłyszane informacje. Wszystko się zgadzało. Wojtczak, jego śmierć i tatuaż SS pod pachą...

W literaturze przedmiotu i na stronach internetowych bardzo bogato opisano postać Antona Dalmusa, niemieckiego inżyniera, głównego energetyka podczas budowy podziemnego kompleksu w Górach Sowich. Pozostał po wojnie na tym terenie, oddał się w ręce polskich władz i współpracował z nimi. Co naprawdę wiedział, tego nigdy się nie dowiedziano, a wiele wskazuje na to, że również pełnił funkcję „strażnika”.

Bardzo podobna opowieść wiąże się z klasztorem w Lubiążu, jednym z tajemniczych miejsc Dolnego Śląska, którą opowiada niekwestionowany specjalista Tadeusz Kaletyn, historyk w latach 1950–1990 związany zawodowo ze służbami konserwatorskimi. Tak wspomina osobę nazywaną Gertrudą D., o której mówiono, że jest niemiecką „strażniczką” tajemnicy klasztoru:

Pani Gertruda była zaprzyjaźniona z wieloma mieszkańcami Lubiąża. Z Ozimka, miasteczka na Opolszczyźnie, przyjeżdżała autobusem lub swym starym mercedesem na osiedle Lubiąż. Tam go zostawiała. Dozorca J.W. ze składnicy Domu Książki podwoził ją do klasztoru swą starą syrenką. Dzięki temu mogła dostać się na strzeżony teren. W 1982 r. dowiedziała się, że wojsko poszukuje fabryki zbrojeniowej. Przyjechała wówczas i chciała ze mną rozmawiać, jako dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno-Konserwatorskiego (WOAK), który jej zdaniem koordynował prace. Przedstawiła się jako pielęgniarka zatrudniona w skrzydle opata podczas wojny. Powiedziała, że biura i laboratoria były na parterze budynku klasztornego, zakłady produkcyjne na parterze i w piwnicach klasztoru, a także pod północnym skrzydłem opackim. Jedno wejście do fabryki natomiast znajdowało się na dziedzińcu opackim, naprzeciwko bunkra z rampą i wartownią. Magazyny gotowych wyrobów podobno mieściły się w kościołach: klasztornym i św. Jakuba. Wspomniała też o magazynach w budynkach browaru, starej rzeźni i innych budynkach gospodarczych. Nie знаła natomiast szczegółów produkcyjnych fabryki zbrojeniowej. Nie wolno było jej bowiem chodzić po klasztorze. Nie widziała jeńców zatrudnionych przy produkcji. Sugerowała jednak, że ich liczba nie przekroczyła 1,5 tys.

„Słyszała Pani o fabryce podziemnej na polach przylegających do klasztoru w okolicy Wzgórza Trzech Krzyży?” - zapytałem. Odpowiedziała wymijająco, że dookoła klasztoru były rozmieszczone bunkry z reflektorami i radarami. Nie знаła też szczegółów ewakuacji zakładów zbrojeniowych. Słyszała tylko, że w nocy wyjeżdżały kolumny aut i że jakieś skrzynie ustawiano na zamarzniętych barkach. Grupa niemieckich żołnierzy przenosiła je przez zamarzniętą Odrę, a następnie wiozła saniami w nieznanym kierunku. Podobno na południowy zachód. Przypuszczam, że tam mogła znajdować się dokumentacja fabryki.<sup>4</sup>

Gertruda D. obserwowała prace polskich poszukiwaczy, a na pytania odpowiadała wymijająco...

Takie historie można mnożyć. To jednak tylko „historie”. Co powiedziałby ekspert? Zdecydowałem się na rozmowę z fachowcem „od tajemnic”.

Joanna Lamparska — dziennikarka, pisarka, autorka wielu pasjonujących publikacji o sekretach Dolnego Śląska - zna wszystkich ludzi związanych z tajemnicami dolnośląskich podziemi i wszystkie ciekawe miejsca. Wie kilkadziesiąt razy więcej, niż pisze i mówi. Czy mnie coś powie? Trzeba próbować. Mam szczęście, po drugiej stronie linii telefonicznej słyszę znany mi głos, jak zwykle miły:

*JR:* Joanno, niejednokrotnie w swoich pracach pisałaś o „strażnikach” pilnujących depozytów ukrytych pod ziemią na terenie Dolnego Śląska — zawsze jednak poruszałaś ten temat w nawiązaniu do konkretnego obiektu. Czy możesz powiedzieć mi coś więcej? Czy temat „strażnicy” można jakoś podsumować?

*JL:* Postaram się — pewno znów piszesz [w głosie Joanny słyhać śmiech, ale szybko poważnie]. Byli kiedyś „strażnicy”, o których mówią poszukiwacze. Wiem, że byli kiedyś na terenie Gór Sowich ludzie, którzy mieli pośredni kontakt z różnymi osobami na Zachodzie. Ci ludzie otrzymywali z Zachodu pieniądze, prezenty, mieli załatwianą pracę. Każdy z tych ludzi miał to, czego potrzebował. Zdarzały się na przykład całkiem niezłe samochody. Z dokumentów, do których dotarłam, wynika również, że „strażnicy” często byli w różny sposób powiązani ze służbami bezpieczeństwa, bo te służby właśnie miały w pierwszej kolejności dostęp do niemieckich dokumentów i niemieckich świadków, czyli osób, które miały najwięcej do powiedzenia. Z dokumentów wynika również, że przedstawiciele służb bezpieczeństwa, oczywiście Polacy, mieli na podstawie donosów lub różnych informacji pozostawionych przez Niemców możliwość przeszukiwania mieszkań osób narodowości niemieckiej, które pozostały na Dolnym Śląsku i wchodziły w związki z Polakami. Podczas tych rewizji odnajdywana była broń i duże sumy pieniędzy. Zadziwiające, że te naprawdę spore, zarekwirowane kwoty figurują w dokumentach

przeszukań, ale niedługo potem ślad po nich ginie, jakby przestawały istnieć. Jednocześnie właściciele przeszukiwanych mieszkań nie przychodzą do pracy następnego dnia, dzieci nie pojawiają się w szkole. Rodziny po prostu znikają [podkr. J.R.]. Staje się jasne, że służby mają na sumieniu zarówno wiele ludzkich istnień, jak i przejęcie ogromnych sum pieniędzy, a jak wiesz, na porządku dziennym były również rabunki, kradzieże wyposażenia pałaców i inne „drobniejsze” sprawy obciążające służby bezpieczeństwa.

*JR:* Wspomniałaś, że oglądałaś dokumenty przesłuchań. Bardzo ich swego czasu szukałem, powinny zostać przekazane do archiwów Komendy Głównej Policji. Powiedziano mi jednak, że zostały zniszczone w Wałbrzychu i podano nawet nazwisko odpowiedzialnego za to oficera milicji. Musiał mieć spory interes w ukrywaniu dowodów powojennych służb bezpieczeństwa.

*JL:* Ta dokumentacja rzeczywiście została zniszczona — miałam kiedyś dostęp do niewielkich jej wycinków z prywatnego źródła.

*JR:* Jakiego walorami finansowymi dysponowali „strażnicy”. Czy określono to w dokumentach, które widziałaś?



Podziemne korytarze wałbrzyskiego mauzoleum





*Burmistrz Szczawna-Zdroju Tadeusz Właźlak podpisuje „przepustkę” dla autora*



Badania georadarowe w Szczawnie-Zdroju

*Po prawej: Florow w 1941 roku*

Georgij Nikołajewicz Florow



Zdjęcie z 1949 roku – od pięciu lat Florow był prawą ręką Berii i Stalina w sprawach badań atomowych



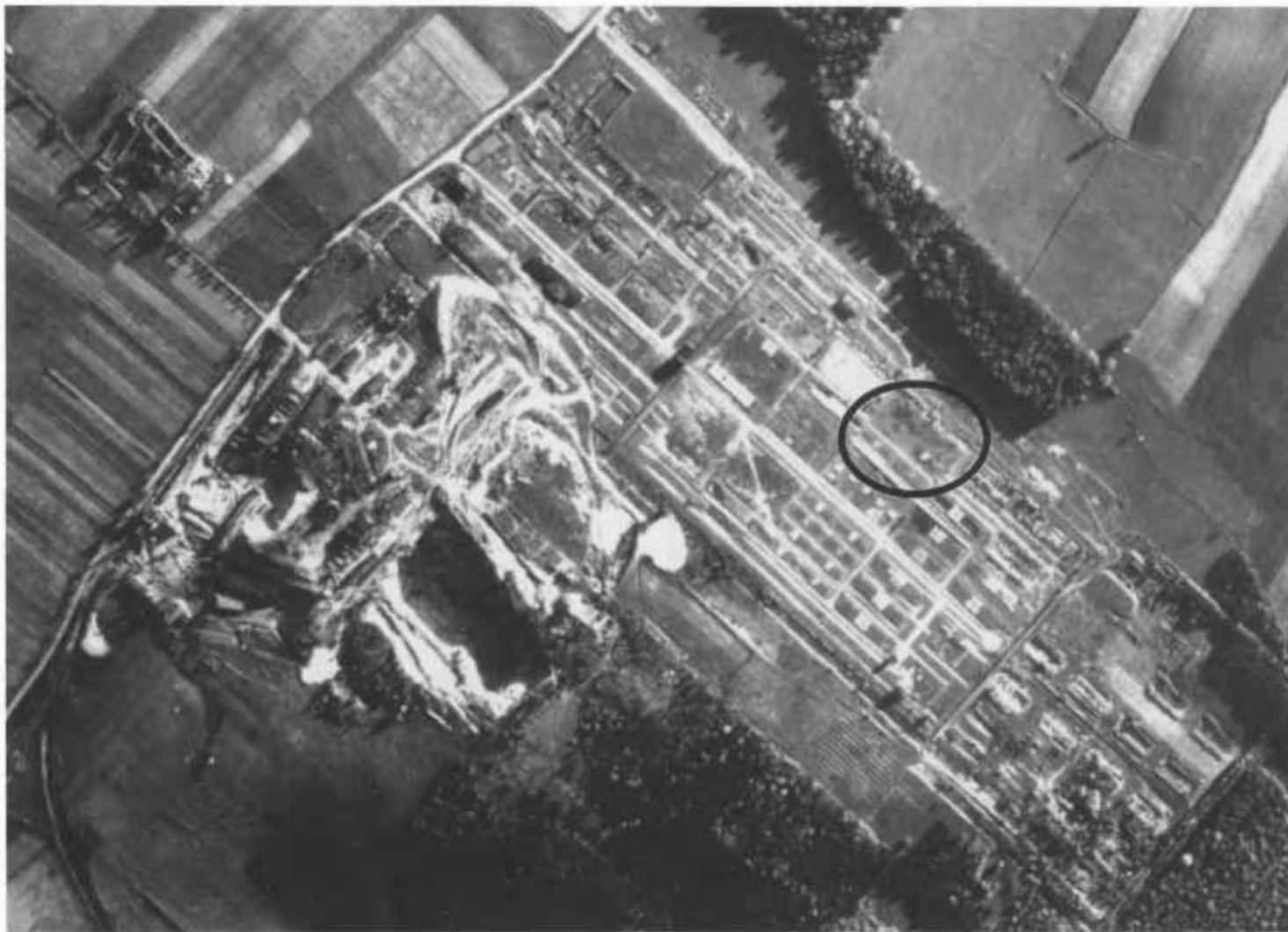
Wilhelm Ohnesorge, minister poczty



Manfred Freiherr von Ardenne, fizyk



Von Ardenne przy pracy



Powojenne zdjęcie obozu Gross-Rosen, w owalu komando „Wetterstelle”



Obergruppenführer Hans Kammler, członek kierownictwa SS Ahnenerbe





Prace Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Górach Sowich. W środku radzieccy „obserwatorzy” N. Nowikow i J. Ponomarienko



Tunele pod Wołowcem nie należą do obiektu „Rüdiger”



Walther Gerlach

Paul Harteck

Karl Wirtz

Otto Hahn

Max Steenbeck



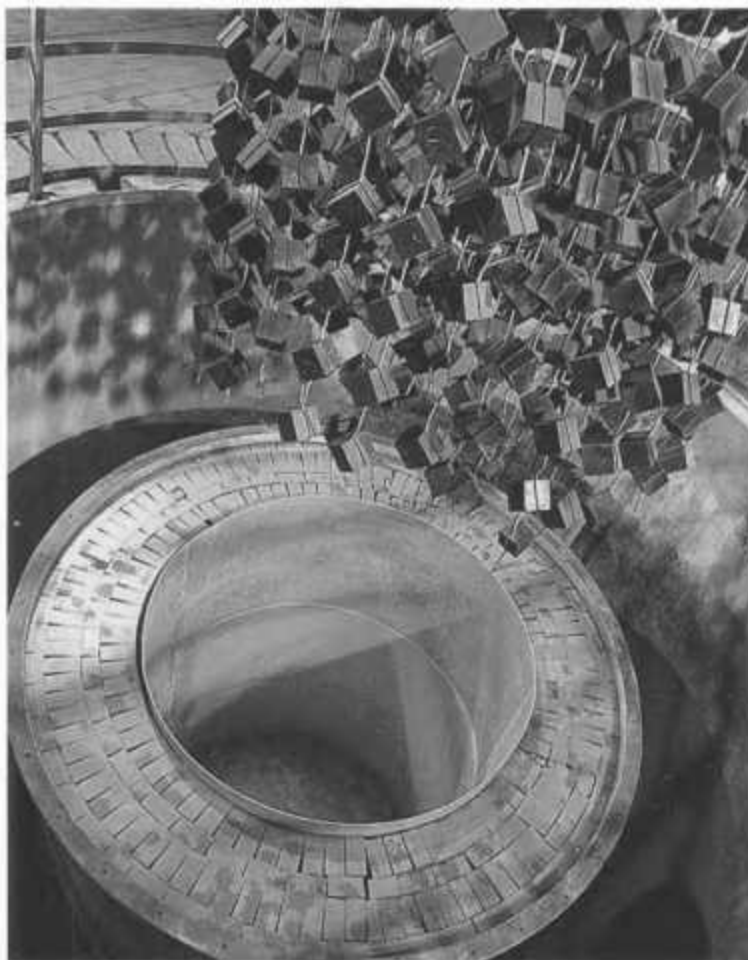
Przedwojenne zdjęcie prezydium policji, późniejszej komendy wałbrzyskiego Gestapo

Świadek „Wybuchowy” – ekspert górniczy



Budynek należący po wojnie do firmy „Separator”, wcześniej administrowany przez Gestapo i NKWD





Niemiecki reaktor w Haigerloch



Stare zdjęcie lotnicze zamku Książ. Jeszcze nie zasypano wielkiego szybu przed wejściem



Nieocenieni pomocnicy autora, Tomek Jurk i Witek Jarosz, przy murze Szybów Sióstrzanych



Korytarze prowadzące od Lisiej Sztolni do komendy policji i szpitala im. Sokołowskiego zostały zamurowane





„Harcówka” i altana na Górze Parkowej



*Dziedziniec Zespołu Szkół numer 2 powoli odsłania swoje tajemnice*



W podziemnych korytarzach pod Górą Parkową – tu miała być śluza



Góra Parkowa na przedwojennym zdjęciu. Czy tu ukryto pod ziemią obiekt „Rüdiger”?



Feldmarszałek Albert Kesselring – dowódca obszaru „Sud-West”



Julius Schlegel z dywizji Hermann Göring wywoził skarby klasztoru Monte Cassino





Przekazywanie Watykanowi dzieł sztuki „uratowanych” z Monte Cassino

Otto Skorzeny – jego zgrupowanie  
bronilo Caringhall, gdy Göring  
ukrywał skarby



Wałbrzych, Aleja Wyzwolenia.  
Na wprost mur militarnej budowli.  
W owalu schron ukryty w ceglanej  
ścianie



Georadar na wałbrzyskiej  
Górze Parkowej





Kto zawałem zamknął wejście do głębiej położonych chodników? W skałach otwory na ładunki wybuchowe



Pomiary elektrooporowe potwierdzają wyniki badań georadarem



Wstępna analiza rodzi nadzieję







Zespół Szkół numer 2. Gazoszczelne drzwi wstawione podczas wojny prowadzą do sekretów budynku

*JL:* Były to potężne kwoty w funtach angielskich, dolarach amerykańskich lub złote monety, które strażnicy mogli spieniężać na czarnym rynku.

*JR:* To nie musiało być wynagrodzenie przesyłane z Zachodu. Niektórzy z nich mogli mieć prawo stopniowego wykorzystywania depozytów na przykład do opłacania siatek dywersyjnych i wywiadowczych, czyli w celach nazwijmy to organizacyjnych.

*JL:* Tak, to możliwe.

*JR:* I jeśli w ręce polskich służb bezpieczeństwa wpadał „strażnik” z rodziną, to wyduszali z niego miejsce ukrycia depozytu, czyli go przejmowali, a później rodzina znikła [podkr. J.R.]?

*JL:* W taki sposób strażnikami depozytów, po strażnikach niemieckich, stawali się ich oprawcy, te właśnie osoby, które dokonywały prze-szukań, przejmowały mienie — nie tylko broń, pieniądze mapy, dokumenty, lecz dosłownie cały majątek. Zdarzało się, że partyjni oficjele zaczęli nagle jeździć bardzo dobrymi samochodami, bo i takie zabierano Niemcom podczas rewizji, a w urzędach i domach przedstawiciele władzy pojawiały się nowe, piękne meble. A depozyty, szczególnie te większe, pozostawały w ukryciu.

*JR:* I twoim zdaniem wciąż pozostają ukryte?

*JL:* Jurek, nie oszukujmy się. Każdy z nas, każda z osób interesujących się kwestiami depozytów ze względów zawodowych lub eksploratorów profesjonalistów ma pewien zasób informacji, który nigdy i nigdzie nie zostanie „sprzedany”. Wiemy, że istnieją skrytki, ale dostać się do nich nie możemy. Nie potrafią do nich dotrzeć także osoby mające, w cudzysłowie, większą władzę i większe możliwości.

*JR:* Czyli „strażnicy” mają czego pilnować?

*JL:* Mam podstawy sądzić, że potomkowie ludzi, którzy posiadali niegdyś informacje na temat położenia skrytek depozytowych, zaczynają wchodzić w jakieś relacje z nowymi właścicielami lub dzierżawcami starych posiadłości - zamków, pałaców, dworów - i tak powstaje nowy typ „strażników”.

Tyle powiedziała mi Joanna, potwierdzając wszystkie moje dolnośląskie doświadczenia. No i te wszechobecne służby stare i nowe...

Można zadać pytanie, dlaczego niemieccy lub polscy (wywodzący się z dawnych służb) strażnicy dotychczas nie wydobyli ze schowków ukrytych tam dóbr. Odpowiedź wydaje się prosta. Wszystko, co zostało niegdyś zabezpieczone pod ziemią, obecnie jest własnością Skarbu Państwa. Ukrycie bywało nieraz proste. Należało wjechać do podziemnych korytarzy i ewentualnie zabezpieczyć minersko kryjówkę. Później jeden wybuch przy wejściu, zawał i po robocie. Natomiast wydobywanie to wielki problem. Potrzebny sprzęt, niezbędny jest często saper, należy mieć środki transportu, a przecież cała akcja nie może zwrócić uwagi osób postronnych. Zadanie staje się prawie niewykonalne, a mimo to niektóre skrytki są powoli, ale systematycznie opróżniane. A o strażnikach wiedzą wszyscy... Ponoć obecnie średnie wynagrodzenie wynosi tysiąc euro. Niezła fucha.

---

[1](#)

[www.poszukiwania.pl](http://www.poszukiwania.pl)

[2](#)

„Wprost”, numer 25/2006 (1228).

[3](#)

Lidia Kawecka, *Strażnicy przeszłości*, Onet.pl.

[4](#)

Miesięcznik „Odkrywca”, 1/2003, dodatek *Z dziejów klasztoru w Lubiążu*.

# Ja tu jeszcze wrócę...

Nie sposób dwoma lub nawet trzema książkami zamknąć wszystkich kwestii związanych z tajemnicami Dolnego Śląska. Wiele z nich długo będzie czekać na wyjaśnienie, choć na końcu tego „tunelu” widać jakieś światelko. Czy nie należałoby wrócić do tajemnic Kamiennej Góry, Mieroszowa, Gontowej, Ludwikowie Kłodzkich i samego Kłodzka lub tajemniczej Wilczej Góry?

A to światelko w tunelu? Właśnie. Zostałem niedawno zaproszony do Walimia na organizowany przez Sowiogórską Grupę Poszukiwawczą II Ogólnopolski Zjazd Eksploratorów. To było bardzo miłe, że ktoś pamiętał o moim dolnośląskim pisaniu. Spotkałem tam wielu dawnych przyjaciół i poznałem wielu nowych. Było dla mnie ogromnym zaskoczeniem, jak bardzo zmienia się środowisko eksploracyjne w Polsce i co najważniejsze, że te zmiany idą w bardzo dobrym kierunku, rokującym doskonałe wyniki w prowadzonych badaniach.

Miło, że te zmiany zapoczątkowało już przed laty środowisko ludzi, którzy parają się pisaniem o Dolnym Śląsku. Niegdyś było tak, że każdy z autorów zaklepywał temat i siedział na nim jak kura na jajach, uważając, że to jego własność, jego działka, którą on tylko

może uprawiać. (Znamy taką postawę również w związku z innymi tematami, zaniechanymi przez historyków zniechęconych trudnościami w dotarciu do archiwów, które podjęły osoby pragnące ich wyręczyć...) Na dokładkę często wokół takiej kury biegał nastroszony kogut — wydawca — który uważał za lisa każde stworzenie zbliżające się do kurnika.

Nic bardziej błędnego. Po latach większość z nas zorientowała się, że nikt nie ma patentu na wszechwiedzę. Drugowojenna historia Dolnego Śląska to temat gigantyczny, wielowarstwowy, wymagający wielokierunkowych, zespołowych działań. Każdy z nas przez lata kontynuowanej do dziś pracy mógł osiąść tylko część informacji, a ktoś inny — jedynie drobny fragment, ale ten najważniejszy, pozwalający w pełni wyjaśnić sprawę. I cóż z tego, że odnaleźliśmy imponujący mur, a nawet bramę? Nigdy nie zobaczymy, co za nimi jest, bo w czyjejs kieszeni spoczywa niewielki, choć bardzo stary klucz, którego właściciel prawie o nim zapomniał, nie wiedząc, do jakiego zamka może on pasować. Zrozumieliśmy, że w jedności siła. Joasia Lamparska, Jurek Cera, Igor Witkowski, Tomek Jurek, którego z niedostatku zdrowia zabrakło na zlocie... Często korzystam z ich wsparcia, a i oni czasami zwracają się do mnie o pomoc.

Bardzo podobnie było kiedyś z całym, wielkim przecież, środowiskiem polskich

eksploratorów. Poszczególne grupy pracownicy zbierały materiały, ślęczały w archiwach i „przesłuchiwały” świadków. Później szły w miejsce, gdzie eksploracyjny sukces wydawał się pewny i... nic, pudło, klęska. Przyczyny były różne, poczynając od luk w poszarpanych zębem czasu źródłach, niedokładności prac przygotowawczych, po wbrew pozorom często występującą „minę informacyjną”, czyli błąd lub serię błędów celowo wprowadzonych do dziś już archiwalnych materiałów przez osoby, które chciały ukryć depozyty, wyniki badań lub całe obiekty o znaczeniu militarnym albo przemysłowym. Często winne było zwykłe, ludzkie przecież, niedopatrzenie, na przykład brak aktualnych map geodezyjnych terenu pokazujących przebieg wszelkich przewodów gazowych, wodociągowych, elektrycznych lub telefonicznych. Bywało, że koparka wchodziła na kabel energetyczny, o którym nie wiedzieli poszukiwacze. W najlepszym razie wykonywali oni niepotrzebną pracę, bo miejsce poszukiwań okazywało się „puste”, a potem harowali, doprowadzając teren do poprzedniego stanu, ze świadomością, że ponieśli klęskę i - co ważniejsze — stracili całe lata pracy. Oczywiście o porażce nie mówiło się nikomu, bo nie było się czym chwalić, a niekiedy chichotało w kułak, gdy za rok, dwa inna grupa „siedziała” na tym samym „dołku”, pracownicy wywijając łopatami.

Tak było, lecz się zmieniło. Teraz z radością widuję, jak różne grupy pomagają sobie nawzajem nie tylko przy „wykopkach”, lecz także merytorycznie, wymieniając się informacjami, w tym danymi lokalizacyjnymi. Wielu decyduje się na stałą współpracę i to właśnie stanowić może o sile i dobrych wynikach ruchu eksploracyjnego w Polsce. Łatwiej wspólnie zadbać o zachowanie właściwych uwarunkowań prawnych i osłonę prawną, bo nie wszystkie polskie służby państwowe chcą ze sobą współpracować, nie wszyscy ich przedstawiciele życzliwie patrzą na działalność eksploracyjną. Często poszukiwacz doskonale przygotowany merytorycznie, wyposażony we wszystkie stosowne zezwolenia, współpracujący nawet z lokalną placówką muzealną, może się spotkać z „panami wywijającymi bardzo ważnymi legitymacjami” i musi być na to przygotowany pod względem prawnym, by móc takich panoszących się osobników zwyczajnie pogonić.

Na zlocie tym spotkałem także niewielką grupę tych, którzy szukają dla samego szukania. Nie jest dla nich ważne, by „złapać króliczka”, radość sprawia im to, że można go gonić, podchodzić w maskujących ubrankach, posiedzieć przy ognisku i czasami popisać się nowym wykrywaczem, który podobno widzi wszystko do głębokości dwudziestu metrów. To też fajne. Mój kolega wędkarz ma świetny sprzęt i często jeździ „na rybki” o piątej rano. Bardzo to lubi. Tyle że na żyłce ma tylko malutki ciężarek, bez haczyka. A to dlatego, że... nie umiałby zabić ryby, gdyby ją złapał. Kocha leśne jeziorka, śpiew

budzących się ptaków, wschód słońca nad wodą. Robi świetne zdjęcia, a ryby kupuje od kolegów wędkarzy, żeby żona zgodziła się na następny wyjazd. A najważniejsze, że nie zakłada haczyka, nie rani więc ryb. Tak samo poszukiwacz — niech szuka, pobiega w eksploratorskich ciuszkach, zapali ognisko, ale nie przygotowany do pracy niech nie rani ziemi, niech nie zostawia za sobą nie zasypanych dziur. Eksploracja to nie tylko kopanie w ziemi. To także, a właściwie przede wszystkim, miesiące, a często lata siedzenia w archiwach, słuchania świadków i bezinwazyjnych badań terenowych.

Właśnie - bezinwazyjne badania terenu. Pamiętać trzeba, że na część z nich także musimy mieć zgody i pozwolenia, które jednak łatwo uzyskać.

Chciałem teraz o czymś innym... O technice. Technice, która daje eksploratorom narzędzia, jakich za moich czasów nie było. Wiadomo, najnowsza technika kosztuje. Ale od czego grupy, koła eksploracyjne - w jedności siła, przecież nie u każdego poszukiwacza musi stać w szafie przedoskonały wykrywacz. Można taki kupić w pięciu, dziesięciu, zwłaszcza że w teren i tak jeździmy razem, bo co to za uciecha samemu po polach i lasach ganiać. W Jedlinie podczas zlotu zobaczyłem wykrywacze. I to jakie! Jednak człowiek z firmy, która jest ich dystrybutorem, nie opowiadał bajek. Nie mówił, że ten sprzęt wykryje podziemny korytarz albo pustkę na głębokości piętnastu metrów. Mówił rzeczowo o możliwościach sprzętu i o tym, że jego używania trzeba się po prostu nauczyć, a on wtedy pokaże, co naprawdę potrafi. Chyba kupię jeden z tych wykrywaczy do spółki z kolegą i wybierzemy się na kurs dla początkujących.

Kiedyś, dawno temu, chodziło mi po głowie wykonanie z powietrza badań terenu Gór Sowich kamerą termowizyjną. Tyle że wówczas najbliższa taka kamera była w Niemczech. Samo jej ubezpieczenie w celu użycia na terenie Polski przekraczało nasze możliwości finansowe. No i potrzebny był człowiek do obsługi, któremu także trzeba zapłacić. Koniec świata i planów. Minęły lata i na zlocie w Walimiu opowiedziałem o dawnym pomysle, żeby któregoś bardzo upalnego lata przelecieć nad górami, na przykład motolotnią, z kamerą termowizyjną. Chodziłem trochę po tych górach. Co najmniej siedemdziesiąt procent otworów wentylacyjnych, które udało mi się odnaleźć, było drożnych. Cug, czy to do środka, czy na zewnątrz, był jak licho. Dla nas ważne byłyby te dmuchające. Na zewnątrz trzydzieści stopni, a z wentylacji wychodzi osiem, bo taka temperatura zawsze panuje w podziemiach. No to kręcimy film w podczerwieni. Po powrocie do bazy analiza. Jestem przekonany, że wentylacja wyraźnie zaznaczona na zdjęciach innym kolorem niż otoczenie powinna pokazać logiczne ciągi korytarzy i sal. Taką samą metodę zastosować można podczas największych mrozów. Sprzedałem ten pomysł na zlocie w Walimiu. Jakże ucieszył mnie telefon od przyjaciół z SGP: Jurek, zabieramy się do termowizji, mamy już



sponsora i dojście do kamery.

Mówiłem — zmieniają się ludzie, a to oni kształtują oblicze Gór Sowich. Następny przykład? Proszę bardzo.

W moich sowiogórskich początkach okolice były piękne, ale ludzie... Niektórzy patrzyli spode łba, zamknięci, nieufni. Powoli następowała odwilż, ale kiedy człowiek zjechał tam poza sezonem turystycznym, to zawsze czuł się jakoś obco. Miejscowi się za nim oglądali, milkli, gdy wchodził do sklepu, a i z jedzeniem i noclegiem bywało różnie. Dziś tam wielki świat. Europa. Ludzie życzliwi, przyjaźni, spotkać można największe sławy sztuk wszelakich, od znanego poety i malarza poczynając, po równie znaną aktorkę, z którą mineliśmy się w gospodarstwie agroturystycznym o nadzwyczaj przyjaznej atmosferze i standardzie, którego mogłoby pozazdrościć wiele renomowanych pensjonatów w takiej na przykład Austrii czy Szwajcarii.

No i Grupa Badawcza JR — powstaje, a już ostro wzięła się do pracy. Będą osiągnięcia, artykuły, może nowa książka. Wspaniali ludzie i cudowne miejsca.

Ja tam jeszcze wrócę... A wy przyjeźdźcie na wakacje, urlopy, wczasy. Po wypoczynek i dolnośląskie tajemnice. Starczy dla nas wszystkich.

# Podziękowania

Książka ta nie mogłaby powstać bez pomocy i bezinteresownej życzliwości wielu osób, zarówno reprezentujących urzędy, instytucje, firmy, jak i zupełnie prywatnych, które udostępniały mi materiały oraz pomagały dotrzeć do ważnych świadków. Wszystkie one pozostają w mojej wdzięcznej pamięci i jeśli kogoś w tym miejscu nie wymienię, to jedynie ze względu na szczupłość miejsca, bo podziękowania te przybrałyby rozmiary kilku rozdziałów.

Dziękuję szczególnie dyrekcji i pracownikom wałbrzyskiego Archiwum Muzeum Gross-Rosen za niezrównaną cierpliwość, z jaką traktowali moją tam obecność i pomagali w poszukiwaniach. Podobną tolerancję wobec mej osoby i pomoc wykazał krakowski oddział Instytutu Pamięci Narodowej z dyrektorem doktorem Markiem Lasotą na czele oraz dyrekcja Centralnego Archiwum Wojskowego i Archiwum Dokumentacji Mechanicznej (obecnie Narodowe Archiwum Cyfrowe) w Warszawie. Aktywnie wspierały moje prace władze Wałbrzycha i Szczawna-Zdroju w osobach kierownika Biura Promocji Miasta Wałbrzycha pana Artura Wylandowskiego, a także burmistrza Szczawna-Zdroju pana Tadeusza Właźlaka oraz pracownika tamtejszego Wydziału Inicjatyw i Rozwoju pana Lesława Janiszewskiego.

Podziękowania składam wszystkim członkom Grupy Badawczej JR za ich rady, wsparcie i udostępnione materiały - tu w kolejności alfabetycznej wymienię najbardziej zasłużonych: Mariusza Bojdę, Jacka Bombolewskiego, Zbigniewa Daleczkę, Tomasza Jurka i Michała Szurę. Pragnę wyrazić wdzięczność panu Kazimierzowi Zabagłę za udostępnienie materiałów na temat Szczawna-Zdroju i wsparcie merytoryczne. Dziękuję również panu profesorowi Jackowi Wilczurowi za wspomnienie o badaniach w Górach Sowich i opinię o działaniach sowieckich atomistów na tym terenie, a także koleżance i kolegom po piórze: Joannie Lamparskiej, Jerzemu Delekcie i Igorowi Witkowskiemu, za pomoc przy opracowywaniu materiałów. Miłym obowiązkiem jest dla mnie podziękowanie panu doktorowi Jerzemu Kosmatemu za wycieczkę po znanych mu podziemiach Wałbrzycha, przewodnikowi sudeckiemu Andrzejowi Nowickiemu, przyjacielowi niezapomnianego piewcy Sudetów Tadeusza Stecia, a także złożenie ukłonu panu Krzysztofowi Mikee, który wspierał powstawanie mej pracy.

*Jerzy Rostkowski*

# Notatki z Księża

Tygodnik „Dziennik Literacki” wydawany był we Lwowie w latach 1852-1854 i 1856-1865, redagowali go między innymi Karol Szajnocha i Władysław Łoziński. Publikowało tam wielu pisarzy wyznających postępowe wówczas poglądy, na przykład Kornel Ujejski, Michał Bałucki, Mieczysław Pawlikowski, Józef Szujski. Czasopismo postulowało literaturę zaangażowaną w problemy narodowe oraz społeczne, w demokrację oraz działalność niepodległościową.

Rok 1864, nr 24

## *Notatki z Księża*

Zazwyczaj Niemcy stawiają jakiś rodzaj ruin, niby to z czasów feudalnych, dla zwabienia podróżnych na wafle i niemiecką kawę. Lecz okolice zamku Fürstenstein, leżącego opodal Salzbrunn, muszą wszystkim się podobać: piękność majestatyczna przyrody w całym swoim blasku tu panuje.

Wśród spadzistych dwóch gór, wierzchołkiem nieba prawie się gających, zarosłych ciemnym lasem, wznoszą się ruiny zamku z XIII stulecia dawnych hrabiów śląskich Hochberg, dziś przeszłych na protestantyzm książąt pruskich Pless. [...]

Ścieżki i schody wijące się wpośród gór na pozór niedostępnych dają łatwy przystęp, lecz trzysta kilkadziesiąt schodów przejść trzeba dla dojścia do zamku. Małe komnaty Starego Zamku przechowane w zadziwiającym porządku. Sala sądów feudalnych zaledwie pomieścić może ośm krzesel wysokich, obitych gobeliną jak cała sala. Stół czarny, przykryty zielonym kobiercem, zabiera środek pokoju, dziewiąte krzesło z poręczami było miejscem prezesa sądów, parę szpad, kopü zawieszono na ścianie w górze. W ciemnym zaś lochu, otoczonym wąskim korytarzem, gdzie ledwo wcisnąć się można, stoi w środku pień z przykutym długim łańcuchem; na pniu tym za czasów dawnych tajemniczych sądów obwinionych ścinano.

Galeria obrazów familijnych hrabiów Hochberg jest brzydka, ani jednej pięknej twarzy nie widziałam, wszystkie są bez malowidła jakby pędzlem murarskim wykonane. Kaplica zamkowa niczym się nie odznacza, chyba że chociaż dziś jest protestancka, jednakże w wielkim ołtarzu pozostał obraz jakiejś świętej niewiasty uczącej dzieci czytać. Obraz ten pięknej roboty, lecz najmniejszej świętości nie ma w twarzy niewiasty.

Zbrojownia zamkowa przepelniona jest rynsztunkami rycerskimi. Pełno pancerzy, przyłbic, koszulek drucianych, różnej zbroi z wojny trzydziestoletniej; pokazywano nam hełm Wallensteina. Zdumiewać się potrzeba nad siłą dawnych rycerzy mogących walczyć w takim ciężkim uzbrojeniu, szczęście, że dziś siła moralna wszystko znaczy.

W kobiecym gabinecie widzieliśmy prześliczne biurko szyldkretowe, w innym biurko wykładane starożytnym brązem i ozdobne malowidłami. W narożnym gabinecie przechowują z wielkim szacunkiem sprzęty, które służyły do ozdoby pomieszkania królowej pruskiej, przybyłej w gościnę do książąt Pless. [...]

Przed Starym Zamkiem przechowują cyrk zrobiony na przyjęcie Luizy w roku 1801, jako też galerię, z której królowa z orszakiem swoim przypatrywała się turniejom na cześć jej wyprawianym. Serdecznie zabawić się można tłumaczeniami historycznymi odzwiernej ruin zamku Fürstenstein. Na zapytanie, czy nie wie o jakim napisie, któren by wskazywał datę roku budowy Starego Zamku, odpowiedziała: napisu żadnego nie ma, ale ja wiem doskonale, że był wystawionym w XIII w. przez królów pruskich, później przeszedł w posiadanie hrabiów Hochberg, dziś przezwanym książąt Pless. Śmiech wesoły naszego towarzystwa przerwał rozprawę uczonej Niemki.

# Wspomnienia - Bad Salzbrunn i Szczawno-Zdrój

Trudno dziś o piękniejszy, Szląskiem pachnący język i bardziej wyrazisty opis niż ten, zaczerpnięty z poświęconych Szczawnu-Zdrojowi fragmentów książki *U szląskich wód* Ryszarda Kincla.

„Zbawienna woda w Salzbrunn zdaje się mieć bardzo dawny początek, bo oczywiście wieś sama już od źródła wzięła nazwisko swoje. Sposób zaś, jakim woda ta odkryta została, jest dosyć ciekawą powieścią, gdyż tu słyhać, że wynalazek ten winien się najpierwej krowom, a wieś już przeszło od 400 lat pieczętuje się studzienką w kształcie wieżyczki. Wieżyczka ta jeszcze w roku 1811 stała w tej samej formie ponad źródłem, na cembrzynie zaś znajdowały się wyryte lata 1594 i 1717, co oczywiście dowodziło, kiedy były założone” dowiadujemy się z drugiego polskiego opisu uzdrowiska pt. *Wody mineralne szląskie i hrabstwa glackiego* (1821 r.).

Aczkolwiek pierwszej medycznej oceny wód szczawieńskich dokonał Kasper Schwenckfeld na samym początku XVII wieku w dziele *Stir-pium et fossilinm Silesiae Catalogus* (1601), a potem opisywano je w kilku pracach, choćby w polskim druku *Publiczne uwiadomienie źródeł zdrowych* [...] (1777), to jednak dopiero opracowanie pochodzącego z Opola dr. Jerzego Mogalli o źródłach leczniczych na Śląsku wydane w 1802 roku — jak pisał znany pisarz, podróżnik i lekarz, uczestnik powstania listopadowego, Teodor Tripplin - zachęciło rzekomo doktora Elsnera, nadwornego lekarza Hochbergów, „[...] znakomitego z pism różnych męża, do powierzenia krynicom Salzbrunn zdrowia swej żony. Szczęśliwy skutek kuracji i wyborny opis przymiotów wody i całej okolicy, ogłoszony przez dra Elsnera, ściągnął nareszcie pewną liczbę gości do Salzbrunn”.

Z okrytego dachem źródła korzystała od dawna miejscowa ludność. Leczniczą wodę noszono też w dzbanach do pobliskich miejscowości. Jednak za pierwszy sezon uzdrowiskowy możemy uznać rok 1811 - (wspomniana przez Tripplina praca dr. Elsnera ukazać miała się w 1809 r.) — gdy do źródła z wieżyczką przybyło nads spodziewanie dużo chorych, ale po prawdzie był to jeszcze sezon „dziki”, niekontrolowany przez obsługę. Od tego czasu zalecono miejscowemu młynarzowi rozsyłanie wody mineralnej nawet w dalekie strony.

Teraz sprawa ruszyła z kopyta — zaczęła się wielka kariera Szczawna-Zdroju.

W tym czasie zaczęto rozpowszechniać opinię, że na całym Śląsku są tylko trzy zdrojowiska godne porównania z zagranicznymi wodami, a nawet je przewyższające: Kudowa jest lepsza niż Pyrmont, Stary Zdrój niż Schwalbach, Szczawno Górne niż Selters.

Przesada jest cechą dobrej propagandy. Panegiryci Szczawna opiewali szczegółowo miejscowych źródeł jakość i skutki działania bez podstawowej praktyki lekarskiej, ale ponieważ przysłowiowa wiara uczyniła cud – dzieje uzdrowiska potwierdziły walory tej wody. W 1812 roku „Zdrój Górny” - czyli dzisiejszy „Mieszko” - obudowano kamieniami, ustanowiono mistrza zdrojowego do czuwania nad źródłami, a mieszkańców wsi zachęcono do wynajmowania gościom mieszkań. Jednak nie było jeszcze lekarza, apteki, alei spacerowych, ośrodka życia towarzyskiego, sklepów itp. Początki były zatem bardzo trudne, lecz przed obcymi robiono dobre miny, aby tylko ściągnąć gości i pieniądze. Na szczere przedstawienie mizernych początków zdobyto się dopiero wtedy, kiedy to już nie mogło zaszkodzić uzdrowisku – przy okazji pierwszego jubileuszu Szczawna-Zdroju.

Jubileusz ćwierćwiecza, który obchodzony był w roku 1840, skłonił lekarza zdrojowego do sięgnięcia pamięcią wstecz aż do roku 1815, do oficjalnie pierwszego sezonu, żeby pokazać, jak w istocie raczkował kurort. Otóż Szczawno było wówczas na Śląsku prawie nieznaną wsią, położoną w takim odosobnieniu, że nawet znalazłszy się w jej pobliżu, trudno było trafić do niej. Założona wtenczas lista gości zdrojowych zanotowała tylko 22 pozycje i 33 osoby, przeważnie pacjentów i znajomych hrabiowskiego doktora. Przybyli kuracjusze znaleźli w dziesięciu domach bardzo liचे przyjęcie, z wyjątkiem młyna i szkoły, gdzie było parę znośniej urządzonych mieszkań. Lekarz zdrojowy, dochodzący przeważnie na piechotę codziennie z Wałbrzycha - jak sam wspominał - krom nieba nie miał innego dachu nad głową podczas leczenia. Eksport wody wynosił rocznie niecałe 1800 butelek wysyłanych na ogół do znajomków miejscowych lekarzy. Dziurawy domek obity sztachetami przykrywał Zdrój Górny, którego otoczenie wcale nie było zachęcające. W pobliżu stało kilka marnych domów, spośród których brudem i niechlujstwem wyróżniała się zwłaszcza tzw. Karczma Topolowa. Ta karczma, browar i „Górna Karczma”, oddalone od zdroju o kwadrans drogi, udzielały gościom nader wątpliwych usług hotelowo-gastronomicznych. Półmilowa droga od zdroju do kościoła przy złej pogodzie była prawie nieprzejezdna. Nie było ani jednej jadłodajni, a kiedy w następnym roku założono pierwszą, to umiejscowiono ją u młynarza w takim pomieszczeniu, gdzie 25 lat później nawet najbiedniejszy kuracjusz by nie chciał zasiąść do stołu. Nakrycia stołowe goście musieli przywozić ze sobą. Jedynym luksusem życia kulturalnego początkującego uzdrowiska było to, że ówczesna orkiestra zdrojowa złożona z piszcza fujarkowego i jego trzech kompanów, grających na skrzypcach i basetli, przygrywała gościom dwa razy w tygodniu.

Natomiastw roku 1840 do dyspozycji kuracjuszy stało ponad 100 domów z więcej niż



tysiącem pokoi. Połowa domów była nowo zbudowana, wiele z nich nie ustępowało standardem budynkom w renomowanych uzdrowiskach europejskich. Lista kuracjuszy liczyła 1300 osób, a liczba gości dochodziła do 2000, wśród których w minionych latach byli nawet: cesarz i cesarzowa Rosji, król i królowa Prus, liczni członkowie rodzin królewskich i książęta. Eksportowano setki tysięcy butelek wody rocznie: od Newy na wschodzie do Sekwany na zachodzie.<sup>1</sup>

Sławne było Bad Salzbrunn i jego wody, sławne w całej Europie, ale nie tylko...

W roku 1825 przyszło zamówienie z Chin! Po trzech latach medyk przyznawał, że jeszcze się nie dowiedział, w jakim stanie przesyłka dotarła na miejsce i jaka była jakość wody. W kolejnym roku wysłano przy nadarzającej się okazji dwie skrzynki wody do Kalkuty! Po dwóch latach przyszła stamtąd wiadomość, iż woda ze źródeł Górnego i Młynarskiego dojechała tam po dziewięciu miesiącach nieuszkodzona i że zachowała te same właściwości jak i we Wrocławiu, co stwierdził interesujący się naukami przyrodniczymi pewien młody człowiek. Dla sławy Szczawna-Zdroju były to atrakcyjne i ważne argumenty...<sup>2</sup>

Bad Salzbrunn to nie tylko coraz bardziej sławne na świecie całym uzdrowisko, lecz także ludzie, którzy tworzyli jego historię. Trzeba tu wspomnieć

„[...] niemieckiego pisarza złączonego licznymi więzami z uzdrowiskiem, bo tu urodzonego, wnuka inspektora uzdrowiskowego. Laureat nagrody literackiej Nobla, Gerhart Hauptmann, urodził się w 1862 roku w pierwszym zajeździe szczawieńskim «Pod Pruską Koroną», będącym (wraz ze źródłem leczniczym) własnością jego rodziców”. W młodości niekiedy usługiwał w pensjonacie polskiej szlachcie, o której zresztą później dobrze się nie wypowiadał. Przychylniejszy Polakom jego brat Karol, również literat, nauczył się w Szczawnie polskich tańców. Autor *Tkaczy* akcję znanego dramatu *Woźnica Henschel* umieścił właśnie w rodzinnym zajeździe. Można tu przypomnieć, że dopóki ważniejsze miasta dolnośląskie nie zostały połączone liniami kolejowymi, dopóty przedsiębiorstwa fürmańskie odgrywały dużą rolę. Zawód woźnicy należał wówczas do ważnych profesji, dawał on możliwość jeżdżenia do różnych krajów. Hauptmannowski fürman ze Szczawna powiada m.in.: „Jeździłem do Świebodzic, do Wrocławia, musiałem fürmanić aż do Bydgoszczy. Niejedną noc musiałem przespać w wozie”. Ponieważ ów woźnica był postacią wziętą z życia, więc może był echem młodości autora, może miał do czynienia z polskimi woźnicami w Szczawnie, a może nawet brał udział w sławetnych burdach wspomnianych przez Józefa Orkiszę w jego opisie uzdrowiskowych zabaw dla ludu: „Kobiety tamtejsze w czasie tańców opasane są ręcznikami, aby im kawalerowie rękoma spoconemi sukni nie pobrudzili. W każdy poniedziałek po niedzielnych

ansamblach urzędowanie Wójta jest najczynniejsze. Nie było dotąd niedzieli, aby polscy lokaje i fürmani niemieckich nie pobili. Do tych towarzystw zwykle należą miejscowe służebne dziewczyny i kucharki przyjezdnych osób”.

Od roku 1843 następował powolny upadek prestiżu miejscowych woźniców, bo wtedy kolej żelazna dotarła właśnie w pobliże Szczawna, do Świebodzic. Odtąd podróż z Wrocławia do uzdrowiska trwała tylko trzy godziny zamiast siedmiu. W dalekim transporcie towarów i przewozie ludzi coraz mniej ciągnęły żywe rumaki, coraz więcej mechaniczne konie. Rozwój sieci kolejowej zmniejszył też poważnie odległości z głębi Polski do podwałbrzyskich uzdrowisk. Podróż stamtąd stawała się nie tylko krótsza, ale także tańsza, a to miało duży wpływ na większy udział średnich i niższych warstw społecznych w leczeniu uzdrowiskowym. Szczególnie biedniejsi Żydzi polscy zaczęli przybywać do Szczawna. Odbiło się to zaraz w dokumentach.

Turysta zwiedzający Stary Zdrój i Szczawno w połowie XIX wieku zdumiony był, że idąc z Wałbrzycha do uzdrowiska, właściwie nie opuszczał miasta: tam i nazad pędziło więcej pojazdów niż w stolicach na najruchliwszych ulicach — dyliżanse pocztowe, eleganckie powozy, węglowe wozy, platformy z mieloną gliną porcelanową, a pomiędzy nimi górnicy, mieszczanie, kuracjusze i turyści. Szczawno tak zapamiętał: „Jest to jedno z największych uzdrowisk sudeckich, w którym odpoczywają i leczą się przede wszystkim przemęczeni miastem wrocławianie. Widzieliśmy też mnóstwo żydowskich twarzy, w tym wiele bardzo pięknych. Teren uzdrowiska jest bardzo ładny i rozległy, wspanialszy niż w kąpieliskach oglądanych przez nas do tej pory. W krajobraz dobrze wkomponowana jest kolumnada, zakład kąpielowy i szereg świetnych hoteli, budynek teatralny i wiele estetycznych willi w śląskim stylu. Wszystkie pensjonaty są w stanie przyjmować rocznie tysiące kuracjuszy. Jeszcze na początku tego wieku Szczawno było biedną tkacką wsią, teraz podobne jest do miasta. Spacerowaliśmy tu i tam, to słuchaliśmy muzyki, to stawaliśmy przed licznymi ogłoszeniami. Na jednym swój kunszt ogłaszał śpiewak z Brukseli. Potem oglądaliśmy liczne bogate sklepy położone wokół kolumnady. Jak i w drugich uzdrowiskach, były to przede wszystkim sklepy z bardzo ciekawym różnorodnym szkłem”.

Wzmianka o wielu Żydach na pewno nie była przesadzona — w Szczawnie było nawet kilka jadłodajni dla izraelitów — można ją tylko uściślić i rozszerzyć. W tej sprawie dochodziło nawet do zadrażnień, wskutek których powstała cała teczka akt pt. *Omówienie kwestii żydowskiej w uzdrowisku Szczawno. 1853*. Inspektor zdrojowy w raporcie do księcia pszczyńskiego wskazywał np. na szkodliwą rolę „biedniejszych Żydów z zagranicy

opuszczających z początkiem lata swoją ojczyznę i systematycznie jeżdżących od uzdrowiska do uzdrowiska, spotykających wszędzie zamożnych współwyznawców, pomimo że w licznych przypadkach nie jest to wcale spowodowane ich stanem zdrowia”. Następnie stwierdzał, iż wielu biednych mieszkańców Śląska naprawdę choruje, ale im nawet nie przyjdzie do głowy wyjazd do wód, bo nie mają tupetu Żydów udających, że mają specjalne przywileje w kąpieliskach, do których jadą od 70 do 80 mil. Nie może być wątpliwości, o kogo tu chodzi: przede wszystkim o polskich Żydów, bo spośród gości szczawieńskich głównie oni byli obcokrajowcami i przyjeżdżali z daleka. Szowinistyczny inspektor narzekał na fatalne zachowanie Żydów przy kotłach, gdzie się rzekomo ciągle przepychali i oblewali mlekiem i żętycą suknie dam. Dlatego proponował swoiste getto: zainstalowanie trzeciego kotła w oddzielnym pomieszczeniu, dokąd kierowałoby się uboższych, niekulturalnych Żydów. Z drugiej strony Żydzi skarżyli się na inspektora wyniosłość i pogardliwe traktowanie ubogich kuracjuszy. [...]

W drugiej połowie minionego stulecia najznakomitszym polskim gościem był Henryk Wieniawski, który dwukrotnie leczył się w Szczaw-nie-Zdroju. Po sukcesach w salach koncertowych i salonach Polski, Rosji, Niemiec, Francji i innych krajów, w roku 1855 zaledwie dwudziestoletni wirtuoz i kompozytor udał się ponownie w podróż artystyczną. 4 sierpnia zatrzymał się na półtora miesiąca w uzdrowisku szczawieńskim. Ile tu dał publicznych czy prywatnych koncertów, tego dokładnie nie wiemy, ale „Dziennik Warszawski” doniósł o dwóch: „Z powodu bytności pana Henryka Wieniawskiego w Szczawnie mieliśmy dwa razy sposobność słyszenia tego artysty na tutejszej scenie. Korespondent wasz, który pamięta nieporównaną grę Paganiniego, nie bez pewnego rodzaju nieufności poszedł na ten koncert, chociaż pisma publiczne, zwłaszcza polskie, wystawiały młodzieńca jako mistrza pierwszego rzędu. Poszedł, a znalazł więcej, daleko więcej, niż się spodziewał. Dla Wieniawskiego trudności na skrzypkach nie istnieją, a gra jego to śpiew rozrzewniający .

Dwa lata później - po czterdziestu pięciu koncertach triumfalnego tournée po Holandii - Wieniawski znowu przyjechał do Szczawna. Uprzednio oczarował publiczność muzyczną Poznania, Królewca, Krakowa i Lwowa. Tym razem przebywał tu przez dwa miesiące. Młody artysta nie prowadził diariusza, nie miał też kronikarza, więc także nie znamy jego całej działalności artystycznej w uzdrowisku. Wiemy tylko o trzech publicznych koncertach. Ale znakomity wirtuoz chyba się nie oszczędzał, o czym świadczyć mogą relacje ówczesnej prasy polskiej. „Gazeta Warszawska” pisała w sierpniu roku 1857: „Co drugi lub trzeci dzień w małym saloniku Kursalu zbiera się szczuple grono połączone ze sobą stosunkiem życzliwości i wyobrażeń osób w celu uprzyjemnienia sobie wzajemnie

muzyką jednostajnych chwil pobytu wśród śląskich gór. Na tych zebraniach czasami słuchamy potężnego pociągu smyczka Henryka Wieniawskiego, czasami pan Aleksander Zarzycki - fortepianista - urozmaica muzykalną rozrywkę”.

Po pierwszym z trzech koncertów, na który złożyły się m.in. polskie kompozycje „Souvenir de Poznań”, „Kujawiak” i dedykowany Karolowi Lipińskiemu „Polonaise brillante”, pisał krakowski „Czas”: „Sztuki piękne dziwnie licznie są tu reprezentowane. Skrzypek H. Wieniawski wystąpił już w publicznym koncercie. Ujął wszystkich skromnością tak rzadką w artystach, a która tym więcej dowodzi o jego rzeczywistej wartości jako człowieka i artysty. Mówią, że za dni parę da drugi koncert, a ostatecznie weźmie udział w koncercie amatorskim na cele kaplicy katolickiej. Część wokalną mają zapełnić hrabina M. i pani K. z Księstwa i pani O. z Królewca. Na fortepianie ma grać panna Zofia Malhomme z Warszawy i pani O. z Kujaw, niegdyś ulubiona uczennica Chopina.

Hrabina M. to była Romania Mycielska, panie K. i O. pozostają nieznane, natomiast „pani O. z Kujaw” to bardzo znana osoba. Maria Orpiszewska z domu Wodzińska jako urocza piętnastoletnia Marynia w roku 1834 towarzyszyła Juliuszowi Słowackiemu w wycieczce w Alpy. Poeta pokochał ją, ale nie zyskał wzajemności i nigdy nie wyznał miłości, jednak poświęcił Maryni poemat *W Szwajcarii*. W latach 1836-1837 kochał się w Marii Fryderyk Chopin, doszło niemal do małżeństwa, jednak głośny romans Fryderyka z George Sand zburzył wszystko. Chopin ofiarował ukochanej „Walca As-dur” op. 69 nr 1. Wśród pamiątek po Chopinie znajdowała się paczka listów związanych wstążką i opatrzona napisem „Moja bieda”. Była to korespondencja z rodziną Wodzińskich z lat 1835—1837.

W tymże czasie przebywali w uzdrowisku pianista i kompozytor Aleksander Zarzycki, występujący w koncercie dobroczynnym obok Wieniawskiego, i koncertmistrz opery warszawskiej Nikodem Biernacki. Ponieważ w jego recitalu miał również swoisty udział Wieniawski, przytoczymy z tegoż „Czasu” opis tego koncertu: „Biernacki grał pięknie. Tony płynęły spod smyczka rzewnie, wtem urwała się struna paraliżując natchnienie artysty. Szmer rozległ się po sali, każdy odczuwał, jak przykry był ten wypadek dla skrzypka. Szczęście, że na sali znajdował się tylko co do Salzbrunn przybyły Henryk Wieniawski. Ten jednym skokiem wylatuje z sali i po chwili wbiega na estradę, podając Biernackiemu swe własne skrzypce. Serdeczne oklaski bez końca były nagrodą za uprzejmość kolegi, rzadki objaw, gdy najczęściej współzawodnictwo tworzy osobistych nieprzyjaciół. Dzięki skrzypcom Wieniawskiego koncert powiódł się wybornie”.

W Szczawnie-Zdroju czci się rokrocznie Dniami Henryka Wieniawskiego młodzieńcze koncerty wirtuoza i kompozytora w latach 1855 i 1857\*

Historia Bad Salzbrunn w XX wieku opisywana jest bardzo słabo. Dziwić może to bardzo, bo uzdrowisko funkcjonowało nawet w czasie obu wojen.

Frekwencja w uzdrowisku do pierwszej wojny światowej utrzymywała się na poziomie z końca XIX wieku, dopiero powstanie państwa polskiego i utrudnienia graniczne spowodowały jej spadek. Na przykład w roku poprzedzającym wybuch wojny przyjechało do Szczawna 1884 kuracjuszy z zagranicy, wśród nich było 1308 gości spod zaboru rosyjskiego, 249 z Rosji, potem Czesi, Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Łotysze, Rumuni i przyjezdni z kilku innych krajów. Jeżeli do liczby 1308 dodamy przybyszy z Wielkopolski, Śląska, Pomorza i Galicji, to otrzymamy sumę ponad dwutysięczną. Zatem wobec około 9 tys. kuracjuszy ogółem Polacy w przededniu pierwszej wojny światowej nadal stanowili w przybliżeniu jedną czwartą pacjentów szczawieńskich. Dlatego również i w tym okresie ukazał się kolejny opis uzdrowiska w języku polskim. Autorem poradnika dla lekarzy i kuracjuszy wydanego w roku 1910 był dr Józef Górski (przez kilkanaście lat lekarz zdrojowy w Szczawnie), a tytuł jego pracy brzmiał: *Salzbrunn i jego środki lecznicze*.

Z tych lat zachowały się opisy i wrażenia Ireny Stablewskiej z uzdrowiska. Pisarka [...] trafiła tam w okresie wojennym:

„Wtorek. 21 sierpień 1917. Wyjechawszy z Zalesia o 1/2 10-tej stanęliśmy około 6-tej w Salzbrunn i podążyły do «Schlesischer Hof», gdzie znalazłyśmy dwa małe pokoiki sąsiadujące ze sobą po cenie 33 m[arek] dziennie, bez podwieczorku - zatem drogo. Ale wojna! Chcąc się jako tako odżywiać, trzeba płacić. Zresztą hotel wspaniały, olbrzymi - urządzony z wyrafinowanym komfortem.

22. Noc bezsenna - bóle głowy - to zwykły początek. Po obiedzie wstaję — idziemy odszukać dra Górskiego, aby nam przepisał kurację. Po długim, bezowocnym pukaniu dowiadujemy się, że — zaciągnięty do wojska. Cóż robić! Wracam do «Schles[ischer] Hof» i pytam o radę portiera. Ten daje mi adres do dr. Rittera. Po wypoczynku udajemy się do niego. Dobre robi wrażenie, i zewnątrz, i umysłowo.

1 wrzesień. Niedawno przybyła do «Schles[ischer] Hof» panna Karolina Niezychowska z Bzowa — miła, dobrze wychowana panna, wielka społeczniczka. Raz po raz z nią gawędzimy. Są też w pols[kiej] willi «Quo Vadis» pp. Bolesio wie Niezych[owscy] i p. Maciej Wierzbicki, lecz nie zapragnęli z nami się zapoznać. Nie bardzo to grzecznie ze strony kolegi po piórze. Mieszka tu też pani Kierska z domu Jaraczewska.

15-ty wrzesień. Nikt [...] nie powiększył grona naszych znajomych. Często smutne

bląkamy się po górach – ale w ogóle czas tak kuracją zajęty, iż liczniejsze towarzystwo mogłoby nam zawadzać - przytem z tak słabem zdrowiem jak moje najmniejsza zmiana mogłaby ujemnie wpłynąć. Dr Ritter znalazł białko w... Bardzo to przykra dla mnie nowina – chorowałam tu na gardło – teraz znów na p... Dużo dni straciłam w pokoju – ręka nieraz tak dokucza, iż patrzę ze zgrozą, co dalej z nią będzie!”

„Iry” należała do ostatnich polskich pisarek tak przesubtelniejszych, że jej pióro wzdragało się przed napisaniem słów „mocz” i „pęcherz”. Nawet w tekstach nie przeznaczonych do druku!

Tyle rzeczy i impresji ze Szczawna-Zdroju, gdzie wtenczas na cześć Henryka Sienkiewicza pewną willę nazwano „Quo Vadis”, bo już od piętnastu lat książkę opromieniała nagroda literacka Nobla. Inny pensjonat nosił polską nazwę „Pod Słońcem”. Relacja znanej Wielkopo-lanki jest ostatnim, sprzed 1945 roku, polskim pamiętnikarskim opisem Szczawna-Zdroju.\*

Następne wspomnienie przenosi nas w czasie o pół wieku. Tak opowiada o Szczawnie-Zdroju lat siedemdziesiątych mieszkaniec Wałbrzycha pan Dariusz Olejniczak, którego słowa stanowiły dla mnie pomost między śladami wojny, których szukałem, a słonecznym latem 2005 roku, gdy ponownie znalazłem się w tym uzdrowisku.

Moja babka jeździła co tydzień do Szczawna-Zdroju. Zabierała mnie ze sobą i całe godziny przesiadywała na ławce w parku zdrojowym. Ja w tym czasie ganiałem z innymi dzieciakami pod zadaszonym deptakiem przylegającym do pijalni wód leczniczych. W podróż do uzdrowiska udawaliśmy się autobusem numer pięć, który z Rusinowa, przez Nowe Miasto i Biały Kamień, docierał do Szczawna. Rusinów to był jakiś sowiecki oficer, zasłużony dla komunizmu i wojny na tyle, że jego imieniem nazwano początek miasta. Tam też był park, do którego czasem jeździłem z babką. Na drugim końcu ówczesnego świata, a właściwie tuż za jego granicami, było uzdrowisko, do którego zjeżdżali się kuracjusze z takimi czy innymi problemami. Leczyć ich miała woda zdrojowa, kilka jej odmian z poszczególnych podziemnych źródeł. Moja babka i jej liczne jeszcze wtedy przyjaciółki także korzystały z dobrodziejstw tej niezwyklej wody. Pamiętam słony smak ciepłej cieczy sączonej ze śmiesznych porcelanowych kubków z dzióbkami w kształcie zadartej trąby słoniowej. Pamiętam, że babka, jeśli nie rozmawiała z koleżankami, emerytkami, opalała się, wystawiając twarz do słońca. Nie wiem dlaczego, ale zanim przystępowała do kąpieli słonecznych, nacierała twarz truskawkami. To chyba miało dobrze wpływać na jej cerę. Wśród alejek parkowych i wokół głównego klombu przed muszlą koncertową przechadzały się Cyganki. Rozmawiając ze sobą w romskim języku, wyławiały z tłumy kuracjuszy ciekawych swojej przyszłości. Wróżyły im z rąk, z kart albo



banknotów. Zapewniały o lepszym jutrze, pomyślności, wielkiej miłości. Dodawały otuchy i zarabiały. Unikałem ich bliskości, kontaktu z nimi, ich wzroku, bo od najmłodszych lat przestrzegano mnie w domu, że Cyganie porywają dzieci. Były też łąbędzie i rododendrony. W Wałbrzychu łąbędzie nie miały gdzie mieszkać, za to tam były ich prawdziwe domy z drewna wybudowane przez ludzi na brzegu stawu, po którym pływały przez całe lato. Rododendrony, czerwone i białe, kwitły w parkowych alejach. Podziwiałem je. Były piękne już tylko z tego powodu, że to namiastka egzotyki, o której marzyłem nawet wtedy, kiedy jeszcze nie umiałem nazwać swoich pragnień, kiedy jeszcze ich nie przeczuwałem. Lubiałem te wypadki cotygodniowe do Szczawna, tym bardziej że kiedy wychodziliśmy z parku, zanim wsiedliśmy do autobusu, jedliśmy obiad w barze mlecznym. Niezmiennie zamawiałem naleśniki z twarogiem albo dżemem i cukrem, oblane śmietaną. To dopiero była znakomita uczta. Umiłowanie do barów mlecznych pozostało mi na długie lata. Z czasem przekonałem się do placków ziemniaczanych, zupy pomidorowej i innych rarytasów masowej kuchni.

I na koniec moje wspomnienie z 2005 roku. Będę się starał, często powracając do Szczawna-Zdroju, by nigdy się ono nie zatarło.

Szczawno-Zdrój witało nas zupełnie inaczej niż wtedy, gdy byłem tu po raz pierwszy, kiedy z nieba lały się strugi deszczu. Towarzysząca mi Ewa z zachwytem odwracała pyszczek w kierunku ciepłych mimo wczesnego poranka promieni letniego słońca. Godzina granicząca prawie ze świtaniem nie wywabiła z sanatoriów i pensjonatów licznych zapewne o tej porze roku kuracjuszy. Było pięknie i zupełnie pusto. Zwracała uwagę zieleń obecna wszędzie na ulicach uzdrowiska. Klomby, rabaty, gazony, wazy kwietne, skrzynki z kolorowym kwieciami na balkonach. Jakże pięknie. Zapraszają stoliki kawiarenek pod kolorowymi parasolami, a gdy usiądziesz, aż trudno nasycić oczy urodą starych kamienic.

I ta cisza bez warczących samochodów, którą przerywa jedynie świergot wszędobylskich, wiecznie ciekawych wróbli. Ewa przymyka oczy, jakby chciała zachować ten obraz na zawsze. Nie trzeba. My tu jeszcze wrócimy, bo to miejsce wabi urokiem i samo każe wracać tu częściej.

Wędrujemy dalej i znów nie wiadomo, gdzie się odwracać, by nacieszyć oczy. Narożna kamienica zachwyca wspaniałą drewnianą werandą z maleńkim kwadratowym pokoiczkiem na wierzchołku. Dalej w perspektywie króciutkiej uliczki widać wieżę z zegarem chronioną kamiennym, obronnym murem. To „Wieża Anny”, baszta widokowa zwana inaczej wieżą zegarową, zbudowana w 1818 roku. Budowla ma kształt baszty

średniowiecznego zamku, otoczona jest murem, który stanowi obramowanie tarasu widokowego. Znajduje się na skarpie „Uroczysko”, przy której odbywały się niegdyś obrzędy pogańskiego kultu. W pobliżu zostało odkryte prehistoryczne ujęcie studzienne sprzed około dwóch tysięcy lat. Fundatorem wieży był doktor August Zemplin.

Obok brama wejściowa do głównego parku w Szczawnie-Zdroju. Park Zdrojowy im. Henryka Wieniawskiego usytuowany jest na zboczach Wzgórza Gedymina. Do parku wejdziemy od drugiej strony, a nie wiedziałem wtedy, że o Wzgórzu Gedymina będę pisać w kontekście drugowojennych tajemnic Szczawna. Dalej ulica Tadeusza Kościuszki – jeden po drugim budynki stanowiące o najwspanialszej historii tego miasta. Po lewej wspaniałe kamienice, a po prawej długi budynek mogący stanowić prawdziwe muzeum. Tu pod numerem 19 znajduje się wzniesiony w 1890 roku Teatr Zdrojowy. Ma piękną, przestronną salę widowiskową z rokokowym wystrojem. Niewątpliwie jest jednym z najpiękniejszych teatrów w Polsce.

Systematycznie odbywają się tu różne spektakle teatralne, koncerty muzyczne i różnego rodzaju popisy estradowe, a także kabaretowe. Dalej w tym samym budynku znów dźwięczą echa historii. Znajduje się tu centrum usługowo-rozrywkowe uzdrowiska, dawny Kursal, czyli dom kuracyjny. Wybudowany został według projektu profesora Raabego z Wrocławia, a oddano go do użytku 12 lipca 1845 roku. I dziś jest tu klub kuracjusza, nazwany Białą Salą. Mieści się tutaj kawiarnia, w której codziennie odbywają się dancingi. W Kursalu, na pierwszym piętrze, w latach 1855 i 1857 mieszkał Henryk Wieniawski. Na sąsiednim budynku, w którym ten znakomity skrzypek brał kąpiele, wisi tablica upamiętniająca jego pobyt w Szczawnie-Zdroju.

Zbliżamy się do Pijalni Wód Mineralnych. Już z zewnątrz zapiera dech bajeczna kompozycja białej cegły, drewna i szkła. Żaden współczesny budynek nie dorówna wdziękiem, lekkością i urodą tej niepowtarzalnej historycznej architekturze. Mieści się tu pijalnia i hala spacerowa. Całość oddano do użytku w 1894 roku w miejscu, gdzie trzydzieści lat wcześniej spłonęła poprzednio stojąca pijalnia i hala spacerowa oparta na dwunastu doryckich kolumnach. Wchodzimy do wnętrza i trudno nam wypowiedzieć jakieś słowo. Wiedzieliśmy, że Pijalnia Wód Mineralnych spłonęła ponownie w 1992 roku, jednak Uzdrowisko Szczawno-Jedlina S.A. odbudowało ją w stylu sprzed pożaru. Zrobiło to perfekcyjnie, toteż bez wątpienia jest to obecnie jedna z najpiękniejszych pijalni w Polsce.

Nawet w świetle słonecznym obficie padającym przez wielkie okna dominują tu ciepłe brązy narzucane przez głęboki koloryt strzelistych kolumn, ażurowych balustrad i ciężkich, ozdobnych belek stropu. Cudnie brązowieje marmur przy miedzianych kranach

pozwalających poznać smak sławnych tutejszych wód i kunsztowna balustrada schodów wiodących na piętro, a białe ściany stają się ni to kremowe, ni wpadające w jasny beż. Prześwietlona słońcem intensywna zieleń roślin bajkowo komponuje się z ową bielą i brązem. Biała marmurowa postać kobiety z dzbanem w dłoniach stojąca w centralnym punkcie pijalni nabiera w tych brązowych półtonach zaskakującego, pełnego uroku wdzięku i zjawiskowej tajemniczości. Może właśnie ten posąg, przez ów ulotny powiew tajemnicy, stanie się dobrym znakiem naszych przyszłych odkryć w Szczawnie-Zdroju?

Gdy dziesiątkami robiłem zdjęcia, Ewa zapadła się w przepaścistym fotelu za niskim stoliczkiem i sączyła z solidnego kubka wodę o leczniczych właściwościach, a cała jej postać głośiła wszem i wobec: Ja się stąd nie ruszam. W piwnicach pijalni znajdują się ujęcia źródeł wody leczniczej „Mieszko”, ale można się tu też uraczyć wodami „Dąbrówka”, „Młynarz” oraz „Marta” i Ewa korzystała z tych możliwości „dogłębnie”.

Z ociąganiem ruszyliśmy dalej. Było jednak warto, bo za chwilę zachwyciło nas siedemdziesiąt metrów bajecznego drewnianego wystroju. To miejsce nazwano halą spacerową, lecz nie widziałem jeszcze hali, która byłaby tak przytulna, wręcz intymna. Śmieszne to doznanie, gdy mówi się o potężnej przestrzeni szerokości kilkunastu, a długości siedemdziesięciu metrów, oboje jednak czuliśmy to samo.

Może za tę niepowtarzalną atmosferę odpowiadają cudownie kształtne, bogato zdobione kolumny przechodzące śmiałym łukiem w sklepienie trójdzielnego dachu, może ciepły brąz miękko ukształtowanego drewna wygrzewającego się w letnim słońcu, może ledwie słyszalne szepty historii dobiegające z każdego zakątka, najpewniej jednak wszystkie te elementy nałożyły się na siebie i razem wywołują takie odczucia.

Hala spacerowa pełniła kiedyś najpewniej także ważne dla kuracjuszy funkcje handlowe, bo nad półkoliście zwieńczonymi witrynami, osłoniętymi teraz drewnianymi żaluzjami, widniały malowane na drewnie szwabachą nazwy dziewiętnastowiecznych firm i nazwiska kupców, którzy sprzedawali tu swoje towary.

Nie trzeba nas było ciągnąć w głąb parku, gdzie Ewa, niejednokrotnie zaskakująca mnie znajomością botaniki i zoologii, szybko odnalazła okazy, którymi poszczycić by się mógł niejeden ogród botaniczny. Dostrzegła kilka gatunków żywotników, czyli tuj i cypryśników - rodem z południowej Europy. Pokazywała mi tulipanowce amerykańskie o charakterystycznych czteroklapowych liściach, które podobno miewają duże, kielichowate, zielono-żółtawo-pomarańczowe kwiaty. Był tu platan klonolistny z dziwnie łuszczącą się, co dla niego charakterystyczne, korą, żywotnik wschodni, klony palmowe, cisy formowane na kształt kuli i daglezje zielone z Ameryki Północnej, grójecznik japoński, ambrowiec i

kilkanaście gatunków klonów. Dziękowałem Bogu, że moją żonę drugowojenne tajemnice pociągają na równi z botaniką, bo inaczej byśmy chyba tego pięknego parku nie opuścili.

Utwierdziłem się w swoim przekonaniu - ja tu jeszcze wrócę. Może na stałe?

---

1

Ryszard Kincel, *U szląskich wód. Z dziejów śląskich uzdrowisk i ich tradycji polskich*, Oficyna „Silesia” i Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Katowicach, Racibórz-Katowice 1994.

2

Ibidem.

# Z ostatniej chwili

Miałem przecucie, że gdy postawię ostatnią kropkę w tej książce, na pewno zdarzy się coś niezwykłego, co każe mi dopisać drugie zakończenie. Taki jest właśnie Dolny Śląsk. Tajemnica goni tajemnicę tak szybko, że trzeba wybierać, która z nich jest ważniejsza czy bardziej interesująca dla czytelnika. Tak było i tym razem.

Pisałem o tajemnicach Góry Parkowej w Wałbrzychu, o uzasadnionych podejrzaniach, że ulokowano w jej podziemiach najtajniejsze laboratorium atomowe III Rzeszy, w którym pracowali naukowcy organizacji SS Ahnenerbe. Ani w archiwach, ani w zeznaniach świadków nie udało mi się znaleźć więcej informacji na ten temat. Źródła wyschły. Jedyną możliwość rozwiązania zagadki stwarzały badania terenowe. Wiedziałem oczywiście, że urząd konserwatorski i władze miasta nie zgodzą się na tak drastyczne działania jak przekopanie góry i rozciągającego się na niej Parku Sobieskiego. Nic dziwnego, bo jakże by wyglądał Dolny Śląsk, gdyby każdy go dziurawił szpadlem i koparką przy pierwszej informacji o kryjącej się pod ziemią tajemnicy. Na szczęście współczesna nauka oferuje badaczom subtelniejsze metody. Bezinwazyjne badania georadaro-we, elektrooporowe i wiedza uczonych pozwalają wstępnie zweryfikować teorię, że pod ziemią bądź za sążnistym murem kryją się na przykład zamaskowane tunele i komory laboratoriów.

Nie bez przyczyny napisałem o komorach. Ich rozmiary mogły być bardzo okazałe. W 1936 roku Niemcy przeprowadzili ostatnią inwentaryzację wyrobisk kopalnianych nadających się do przekształcenia w podziemne obiekty wojskowe. Niewątpliwie w tym spisie znalazły się nieczynne już wówczas kopalnie „Johannes” i „Augusta”, których wyrobiska ciągnęły się pod Schillerhöhe, czyli wałbrzyską Górą Parkową. Widziałem wielkie płachty map, na których je ukazano, i zaskoczyło mnie zagęszczenie wykutych w skałach chodników. Ich połączenie w celu utworzenia nawet całkiem sporych hal nie byłoby najmniejszym problemem dla niemieckiej techniki przełomu lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku, którą łatwo było wesprzeć katorżniczą pracą więźniów obozów koncentracyjnych. Należało teraz odnaleźć te utajnione przestrzenie przeznaczone na równie tajną produkcję, bo w cywilne przeznaczenie schronów zlokalizowanych w centrum Wałbrzycha nigdy nie wierzyłem. Przyczyna mojej niewiary była prosta. Zestawiłem elementarne fakty:

1. Plany niemieckich „schronów” w Wałbrzychu datowane są na wrzesień 1944 roku - takie plany wykonuje się raczej przed budową, a nie, gdy ona trwa.
2. W lutym 1945 roku Hansowi Kammlerowi — który, przypomnijmy, nadzorował prace

nad tajnymi broniami Rzeszy i należał do ścisłego kierownictwa Ahnenerbe - ukrywającemu pod ziemią obiekty badawcze i przemysłowe zaczyna brakować sprzętu górniczego i zamawia go w ogromnych ilościach. Pamiętajmy, że Kammler był precyzyjnie myślącym technokrata, a nie wariatem.

3. Na przełomie 1944 i 1945 roku doskonale było już wiadomo, że na nie bombardowany dotąd Dolny Śląsk bomby już nie spadną, zatem pragmatyczni Niemcy nie budowałiby tu schronów przeciwlotniczych. Nie ma wątpliwości, że podziemne korytarze w centrum Wałbrzycha nie są schronami dla ludności cywilnej.

Przy badaniach prowadzonych w Szczawnie-Zdroju ogromnej pomocy udzieliła mi krakowska AGH i do jej drzwi zapukałem w pierwszej kolejności. Niestety, na przeszkodzie stanęła pogoda. Wywołane ulewami tragiczne dla wielu Polaków osunięcia ziemi sprawiły, że naukowcy z AGH mieli pełne ręce roboty. A jednak ponownie bardzo mi pomogli - przekazali cenne dla mnie kontakty. Znow zacząłem wydzwaniać do firm, instytucji i uczelni. Miałem szczęście. Pozytywna odpowiedź nadeszła z firmy Proton-Archeo, zajmującej się badaniami terenu na potrzeby archeologów. Podziemne korytarze, których poszukiwałem, w zakresie zainteresowania archeologów raczej się nie mieszczą, ale firma ta ma wszystko - a nawet więcej - co było potrzebne do prac, które chciałem przeprowadzić, również zdalnie sterowany helikopter z możliwością zainstalowania aparatu fotograficznego i kamer, w tym termowizyjnej.

Szybko uzgodniliśmy termin prac w Wałbrzychu. Bardzo pomocny okazał się miejscowy urząd miejski, który wydał nam stosowne zezwolenia, zapewnił zakwaterowanie i wyżywienie naukowców z Proton-Archeo. Interesowała nas przede wszystkim Góra Parkowa oraz okolice alei Wyzwolenia, w tym teren zlokalizowanego tam Zespołu Szkół numer 2. Dzięki życzliwości i zainteresowaniu dyrektora tej placówki, pana Roberta Wróbla, wykonaliśmy możliwie szczegółowe badania — zaznaczam, bezinwazyjne - na dziedzińcu szkoły oraz w obrębie budynku. Wskazania urzędów naukowców i nasze szybkie analizy nie pozostawiały wątpliwości. Mamy nieznaną pustkę! Pustka w takiej sytuacji może oznaczać jedno - odnaleźliśmy pomieszczenie, którego nie znamy.

Tak oto w tych miejscach skończył się okres badań bezinwazyjnych. Muszą być one jeszcze prowadzone na Górze Parkowej, żeby można było ostatecznie określić przebieg tuneli budowanych przez Niemców, ale w budynku Zespołu Szkół numer 2 trzeba wykonać niewielkie otwory umożliwiające wprowadzenie specjalnej kamery, która zapewne ukaże nam przestrzenie, w których od 1945 roku nie postąpiła ludzka stopa. Będziemy mogli zobaczyć wtedy Tajemnicę.



Hmm... wiercenie otworów, później ich powiększanie, żeby zmieścił się w nich człowiek i sprzęt... Tak zaczynają się problemy. Budynek szkoły jest przepięknym wałbrzyskim zabytkiem. A jak zabytek, to urząd konserwatorski. Znam prawo i je szanuję, dzwonię więc do wałbrzyskiej delegatury Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków, której szefuje znana mi z wcześniejszych badań Barbara Nowak-Obelinda. I tu dopada mnie pech. Muszę się spieszyć, a pani Barbara jest na delegacji służbowej w Warszawie.

W mózgu mi się gotuje jak w przegrzanym procesorze mojego komputera. Migają informacje i obrazy. Jest! Przecież znam również wojewódzkiego konserwatora zabytków, Andrzeja Kubika. Wspaniały człowiek. Niesłychanie kompetentny, pasjonat wszystkiego, co dotyczy historii, zabytków i starej architektury. Pomógł mi ogromnie podczas prac w Szczawnie-Zdroju, udostępniając plany Hotelu Śląskiego. Czy teraz spojrzy przychylnym okiem na nasze wałbrzyskie poczynania? Znów sięgam po telefon. Mam szczęście – ze słuchawki dobiega znajomy głos. Streszczam przebieg naszych badań oraz ich wyniki. „Jasne, u mnie zielone światło, bardzo zielone” - słyszę odpowiedź, w której pobrzmiwa nutka entuzjazmu.

Pan Kubik, którego w myślach wynoszę pod niebiosa, każe mi się skontaktować z zastępcą szefowej wałbrzyskiej delegatury WUOZ, Markiem Kowalskim. Znów telefonuję i znów mam szczęście, bo zastaję pana Kowalskiego. Początek rozmowy nie jest jednak obiecujący. Natychmiast zostaję zrugany za prowadzenie badań bez zgody Urzędu Ochrony Zabytków. W Wałbrzychu wieści roznoszą się bardzo szybko i „życzliwi” poinformowali urząd, że przekopujemy zabytkowy budynek bez żadnych zezwoleń. Przez głowę przemknęła myśl, że znów odezwali się „strażnicy” zainteresowani zachowaniem starej zasady „Badać możemy tylko my”. Znam to niepisane prawo od dawna i znam tych ludzi.

Szybko wyjaśniam, że nasze dotychczasowe prace miały charakter bezinwazyjny oraz jakie mamy dalsze zamiary. Sytuacja zupełnie się zmienia. Pan Kowalski, poznawszy prawdę, w pełni popiera nasze działania. Znów mamy zielone światło. Warto znać prawo i postępować zgodnie z jego regułami. Potrzebna jest jeszcze jedna zgoda - właściciela terenu. Władze szkoły, przy całej życzliwości jej dyrektora, są jedynie administratorem. Właścicielem jest powiat. Wybieram więc numer telefonu starosty wałbrzyskiego, pana Augustyna Skrętkowicza. Teraz to od niego zależy nasza, Grupy Badawczej JR, przyszłość i perspektywy prac w Wałbrzychu.

Jestem jednak dobrej myśli. Kto jak kto, ale starosta powinien być najbardziej zainteresowany czymś, co może zwiększyć ruch turystyczny w regionie. A oprócz tego...

Cóż, wiem, że wiele nas łączy. Pan Skrętkowicz pracował kilkanaście lat w firmie „Separator”, w budynku leżącym w strefie naszych zainteresowań. Jest także mieszkańcem Boguszowa-Gorc, których tajemnice niedługo zgłębiać będzie Grupa Badawcza JR. Czyli sprawa wygląda dobrze. Rozmowa telefoniczna potwierdza wszystkie moje optymistyczne przypuszczenia. Po miłej wymianie zdań starosta wałbrzyski zgadza się, byśmy rozpoczęli prace. Teraz trzeba podjąć działania przygotowawcze. Napisać pisma, odebrać zezwolenia, zgromadzić sprzęt i wszystkich ludzi, których wiedza, umiejętności i uprawnienia są niezbędne przy wejściu do starych korytarzy tajnej organizacji Ahnenerbe.

O tym wszystkim opowiem już na spotkaniach autorskich, bo za chwilę ten ostatni materiał prześlę człowiekowi pracowicie naprawiającemu wszystkie moje byki - redaktorowi Grzegorzowi Dziamskie-mu. Zawsze mówiłem, że to on powinien pisać książki.

# Fotografie



Zamek Książ na starej pocztówce



Dawne wnętrza zamkowe zniszczone przez Niemców





© Marek Skrzynski/FOPIIM

Podczas pierwszej wojny światowej Daisy von Pless pracowała jako siostra Czerwonego Krzyża, w czasie drugiej pomagała więźniom Gross-Rosen. Zapewne była też agentką brytyjskiego wywiadu



Kopalnia „Wacław” i Miłków na zdjęciu lotniczym tuż po wojnie



Do dziś niegdysiejszej kopalni „Wenzeslaus” strzegą potężne bunkry strażnicze





Kolejka wąskotorowa na zamku książkim

Crass aus Schlesiens Bergen.

Alte Burg Fürstenstein,  
395 m ü. M.



Stary Książ





Dawna lodownia, w czasie wojny przebudowana na obiekt o niewiadomym dotąd przeznaczeniu



Tajemnicze wejście na prawym brzegu rzeki





Portal prowadzący na dziedzi-  
niec Starego Zamku

Krzeszów. Klasztor,  
w którym Wilhelm  
Poewe ukrył 505  
skrzyń z bezcennymi  
zbiorami

*Grüssau mit Bahnhof u. Klosterkirche, 170 m. ü. M.*





Pomieszczenia nad Pełcznicą  
obok śladów zagadkowego obo-  
zu roboczego



Strughold podczas wykładu

Przypięty pasami więzień obozu koncentracyjnego przed doświadczeniem



Koniec doświadczenia...



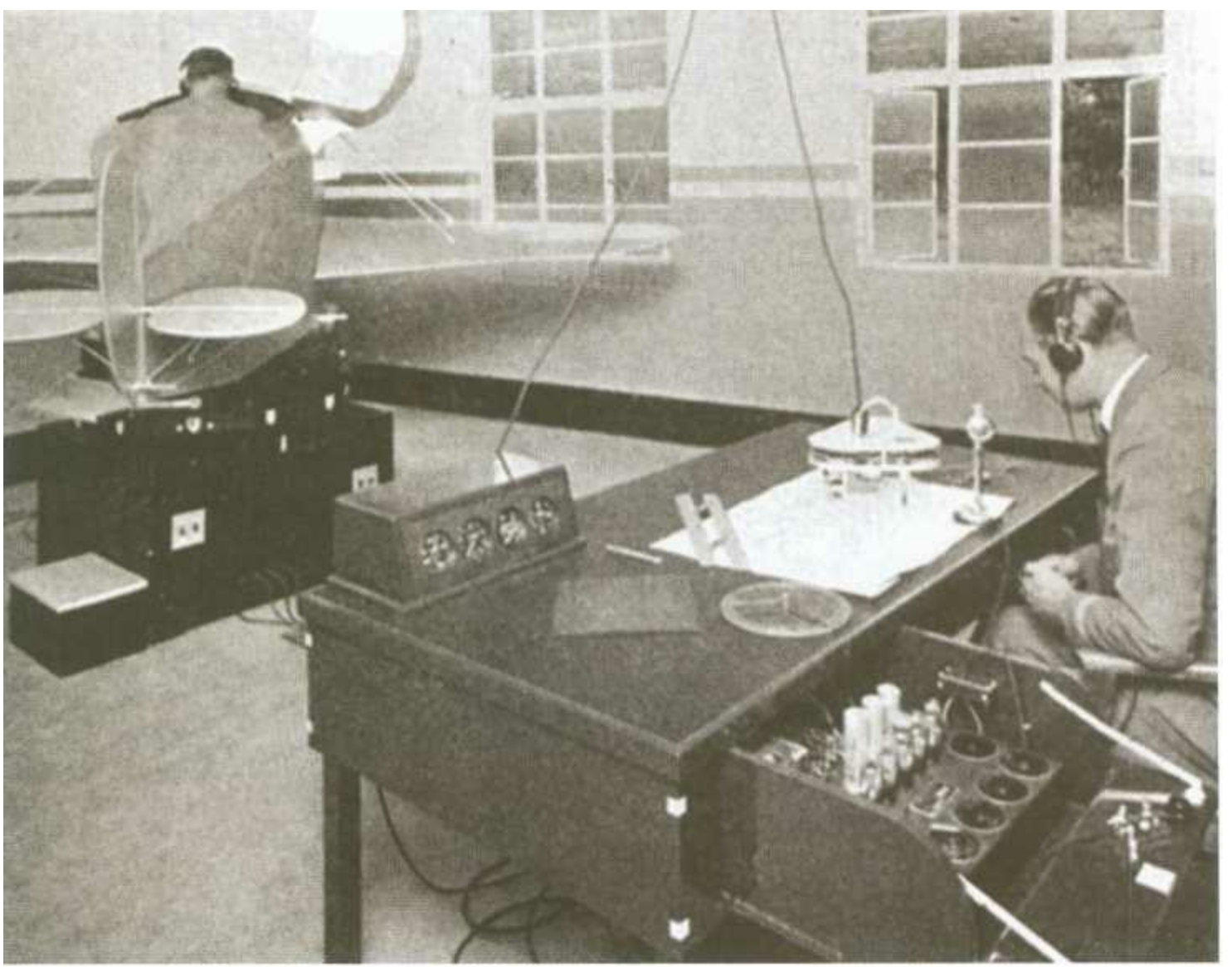




Testy kombinezonu, więzień w wannie z lodem



Przewoźna komora niskociśnieniowa według projektu Strugholda



Przedwojenny amerykański symulator lotniczy



*Bad Salzbrunn. -schlesischer Hof- u. Kurort- Kurort*

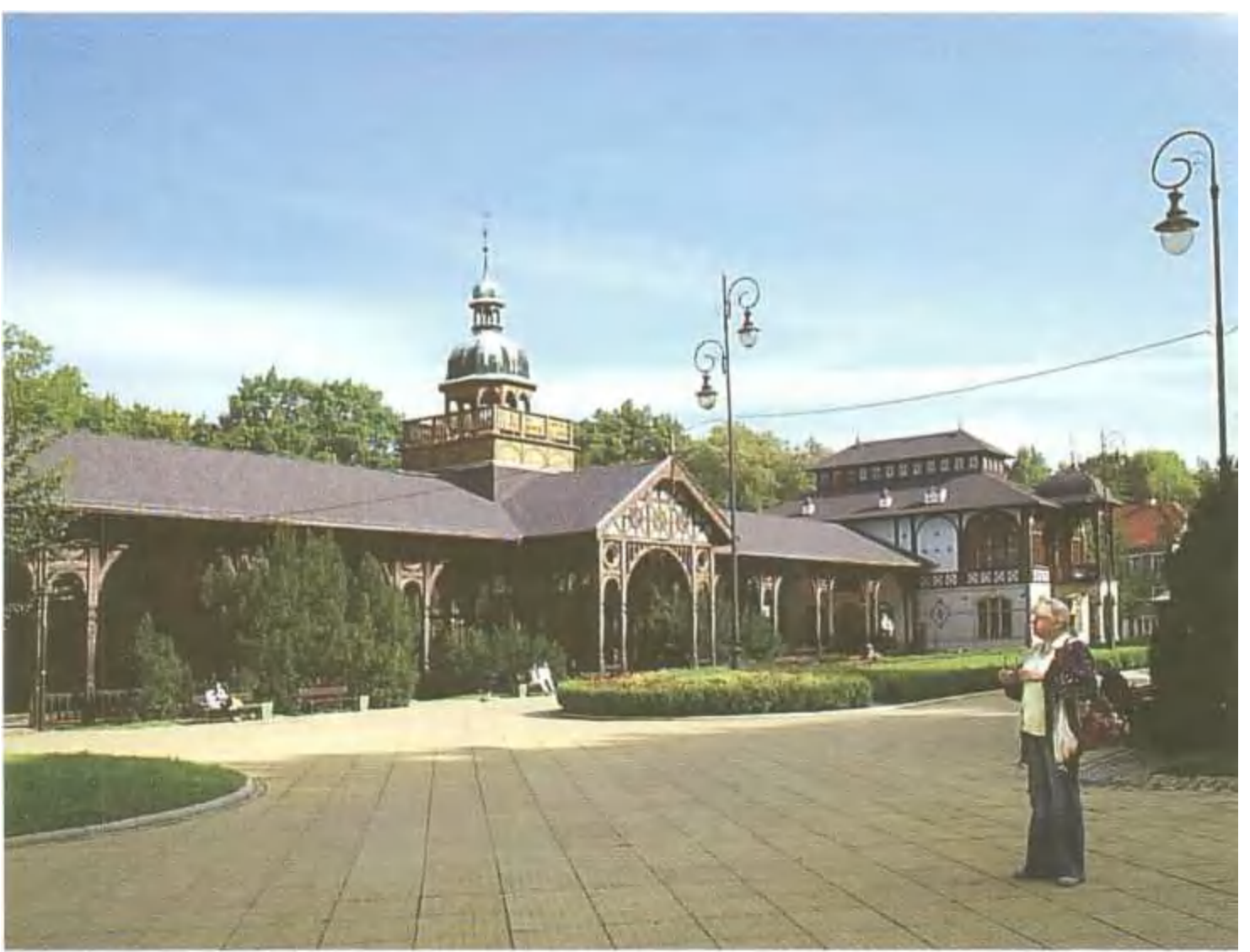


Bad Salzbrunn, Hotel Śląski. Tu leczył się adiutant Hitlera

**Partie mit Anna-Turm.**



Szczawno-Zdrój na starej pocztówce – po prawej Wieża Anny



Szczawieński Park Zdrojowy





Pijalnia wód mineralnych w Szczawnie-Zdroju



Wnętrze Hotelu Śląskiego – tu czas się zatrzymał



„Tajemniczy” korytarz pod sanatorium





Podziemia Szczawna-Zdroju



Jak w berlińskim instytucie –  
komora ciśnieniowa



Polskie są jedynie dwa wskaźniki, telefon i... kubek



Amerykański dowód tożsamości „cywila”, SS-Sturm-bannführera Wernhera von Brauna

Nagroda imienia zbrodniarza wojennego



Niemieckie mauzoleum w Wałbrzychu – pomnik „Dumy, chwały i siły”



*Waldenburg i. Schles. Gefallenen Ehrenmal*